

II / 1627 / 1K

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Ż Y J C I E

I P O Z W Ō L C I E Ż Y Ő I N N Y M

E S E J

Stefan Pieńkowski

00 - 159 Warszawa

ul. Nowotki 35 m 43

tel. 31 68 66

II/1627-1K

W S T E P

© ARCHIWUM WSCHODNIE

NIECH PRAWDA WYJDZIE NA JAW

Swoją opowieść rozpoczynam wypowiedziami dwóch ludzi reprezentujących wykładnię polityki radzieckiej w latach dwudziestych naszego stulecia. Znamienna jest myśl Lenina, chyba nigdy nie popularyzowana, nie mówiąc już o jej stosowaniu. Kiedy została wypowiedziana i gdzie zapisana - nie pamiętam.

A oto ona:

"Trzeba nazywać rzeczy po imieniu,

mówić prawdę bez ogródek ...

umieć nieulękle przyznać, że zło jest złem

nie zamykać oczu ...

Nie odwrót jest straszny, ale iluzje i samooszukiwanie się, zgubna obawa przed prawdą".

Dlaczego tej ożywozej myśli nie ujrzeliśmy na żadnym transparenecie, nie usłyszeliśmy na żadnym spotkaniu jubileuszowym, nie mówiąc już o ujawnianiu prawdy wynikającej z dokumentów, jeśli nie pisanych, to wyjętych z pamięci ludzi jeszcze żyjących?

Wiele sporów do dziś nastęrcza Piłsudski ze swoją decyzją wojny polsko-bolszewickiej. Definitywną odpowiedź dał marszałek Michał Tuchaczewski - :

".... Nawet w razie zupełnego rozgromienia Polski panów,

wojna klasowa nie mogłaby być

przerwana, musiałaby być stanowczo i żywiołowo przelana

do krajów Europy Środkowej".

Swoje rozważania będę prowadził w kontekście powyższych wypowiedzi.

"Prawda" jest kategorią filozoficzną i nie musi być jednakowa dla wszystkich, którzy się tym terminem posługują. Zbliżamy się jednak do niej w miarę obejmowania coraz większej ilości atrybutów.

Ambasador brytyjski w Berlinie lord Edgar d'Abernon /uprzednio członek brytyjskiej misji w Polsce/ dał tytuł napisanej przez siebie książki: "Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata", oddał w ten sposób przekonanie, że wygrana przez Polaków wojna z bolszewią w 1920r. jest równej donieskości dla całego świata, przez swoje znaczenie dla kultury, nauki i religii i politycznego rozwoju ludzkości, jak każda inna z pozostałych siedemnastu.

Fenomenem w dziejach narodu polskiego był fakt, że na zawołanie - "Ojczyzna w niebezpieczeństwie" - Polaków zjednoczyła woła obrony niepodległości dopiero co odzyskanej. Mieszkańcy wsi i miast, robotnicy i inteligencja, młodzież akademicka i uczniowie szkół średnich, wojskowi i cywile, rząd i Kościół organizowali "stos ofiarny" dla odparcia szkowrogiej nawały.

I. NA ZAPAD HURRA !!!

Niemcy mieli odwieczne hasło - Drang nach Osten - Rosja bolsze-
wicka przyswoiła sobie hasło Manifestu Komunistycznego: -

Proletariusze wszystkich krajów łączcie się - /do walki z kapi-
talistami/.

Polska, aczkolwiek nie miała jeszcze ustalonych granic i wstrzą-
sana była sprzecznościami wewnętrznymi - to jednak odzyskaną nie-
dawno Niepodległość ceniła sobie najbardziej. Rewolucyjna Rosja
dążyła do uszczęśliwiania ludów świata pod swoim przewodnictwem,
wbrew ich woli. Mimo dekretów o samostanowieniu narodów, wydanych
przez Rewolucyjny Rząd Delegatów Robotniczych, Chłopskich i Żoł-
nierskich Rosji, Polska została potraktowana nie jako podmiot,
lecz jako przedmiot przetargów /Pokój brzeski z Niemcami, oddanie
chłmszczyzny Ukraincom itd./

Nie wdając się w ocenę koncepcji Piłsudskiego budowania pań-
stwa polskiego w federacji z Ukrainą, przedstawię nastroje swego
wiejskiego środowiska w owym pamiętnym lecie 1920r, kiedy to
miałem 8 lat.

Wieś nasza, leżąca niemal na skrzyżowaniu bitej szosy z żelazną
koleją, łączącymi Brześć z Warszawą, była stale nawiedzana przez
coraz to nowe oddziały polskie, które etapami przesuwały się da-
lej na wschód.

Bywało, że nowoorganizowane jednostki wojskowe kwaterowały w do-
mach i stodołach dość długo, przechodząc żołnierskie przeszkolenie.
Nie dziwnego zatem, że stopień zażyłości żołnierzy z dziećmi był
znaczący. Dom nasz był ponadto miejscem spotkań i narad gospodarzy
z dowódcami stacjonującego wojska. Czytano gazety, rozprawiano o
tym, co słychać w świecie i na wojnie.

Ludzie wsi dzielili się na stronników Dmowskiego i Piłsudskiego. Były jeszcze reminiscencje Rady Regencyjnej z lat 1916 - 1918. Stanowisko lewicowe /zdaje się o pokroju Wyzwolenia/ prezentował jedynie kierownik mleczarni /przybysz z zewnątrz/, ale i on jak się potem okazało wykluczał prawo do narzucania Polsce obcego ustroju.

Z rozmów wynikało, że przed najazdem bolszewii na Polskę Rosjanie cieszyli się lepszą opinią niż Niemcy, dlatego koncepcja Romana Dmowskiego o konieczności współpracy, a nawet przymierza z Rosją trafiała na grunt dość przychylny, przynajmniej tak było w moim otoczeniu. Pamiętam niektóre wypowiedziane argumenty:

- są Słowianami i łatwo się z nimi porozumiewać
- dało się z nimi żyć
- za cara był dobrobyt, od złotych rubli obrywały się kieszenie
- Polacy w Rosji dorabiali się majątków, byli tam szanowani
- raz wyznaczone podatki nie zmieniały się, przez całe lata każdy wiedział ile ma płacić.

To się zmieniło wraz z najazdem bolszewików na Polskę.

30 kwietnia 1920r. Wł.Lenin i Lew Trocki /Bronstein/ wydali odezwę:

- Czerwonoarmiści, czerwoni marynarze, Kozacy!
Musicie zadać takie uderzenie polskim obszarnikom i kapitalistom, aby jego echo zadźwięczało na ulicach Warszawy i na całym świecie!
Polacy głośno fetowali zajęcie Kijowa w lipcu 1920r. Falowanie nastrojów i poglądów zmieniało się zależnie od sytuacji na frontach. Kontrofensywa bolszewicka przekamała bowiem wątki front armii polskiej i niepowstrzymaną nawałą ruszyła na Zachód.

Więści z terenów zajmowanych przez bolszewików były przyjmowane ze zgrozą.

Dyscyplina żołnierska prawie nie obowiązywała zdobywców na terenach "jaśniepańskiej Polski". Tuchaczewski w rozkazie dziennym wołał:

...- Po trupie Polski wiedzie droga do światowego pożaru!
Na Warszawę marsz! -

Wówczas to, za sprawą państw zachodnich, uległa się w głosie angielskiego ministra spraw zagranicznych linia Curzona. Armie Tuchaczewskiego i Budiennego nie myślały nawet o respektowaniu tej linii. Niepowstrzymanie podążały ku Warszawie.

Ustały spory, kto ma większe prawo do ziem wschodnich: czy rewolucyjna Rosja, czy odradzająca się Polska. Tak swany "Polski rząd komunistyczny" w Białymstoku na próżno szukał zwolenników i poparcia miejscowego społeczeństwa. Wieści biegły szybciej, niż posuwały się "wyzwoleńcze" armie, a pełne lęku oczekiwanie na to, co miało nadejść, było bardziej dojmujące niż sama późniejsza rzeczywistość. Plakaty, karykatury rozwieszane na budynku remisy strażackiej mojej wsi, przedstawiały bolszewików jako wcielonych diabłów z rogami na głowie /czapki budiennówki/ jako smoków z wywieszonymi długimi językami.

Z uwagi na to, że najeźdźcy lada dzień mogli zjawić się we wsi - jej mieszkańcy oczyścili, swoje domostwa od papierowej propagandy.

Nagle zajechały do wsi "telegi", "płaszczatki" i taczanki z karabinami maszynowymi, gotowymi do strzału. Potem pojawiły się lekkie półkoszki wypełnione ludźmi w różnym wieku. O dziwo, wśród mężczyzn z taśmami i amunicją na piersiach siedziały tu i ówdzie młode, ładne i dobrze ubrane kobiety. Trudno było rozpoznać, kto z jeźdźców lub powożących jest dowódcą, bo dystynkcje nie rzucały się w oczy, a może nie było ich wcale.

O szarży danego osobnika dawały znać pokrzykiwania i rozkazy. Im głośniejszy ktoś hałasował, tym był znaczniejszy wśród tej bu-
rej braci. Właśnie tacy w tumanach kurzu dojeżdżali na zwykłych
wiąskach słomy. Każde podwórze zostało zajęte. Uzbrojenie żołnie-
rzy było raczej skromne. Nie widziałem armat /być może artyleria
przesuwała się drogami bitymi/.

Ubranie przybyszów było niejednolite: na głowach budiennówki
często papachy /mimo sierpniowych upałów/, a nawet cywilne czap-
ki, dalej długie bure szynele lub półkożuszki, na nogach buty
z cholewami, w przegubach złożone w charakterystyczną harmonij-
kę. Pamiętam również dobrze, że starsi mężczyźni /prawdopodobnie
chłopo-ochotnicy/ mieli na nogach łapcie, wykonane z lipowego łyka.
Budziły one ogólną ciekawość naszych gospodarzy. Indagowali więc
ich posiadaczy o szczegóły wykonawstwa, mocowania na nodze i no-
szenia w różnych sytuacjach. Oni w dobrej intencji zdejmowali
sznury, pokazywali, jak posługiwać się długimi onucami i jak krę-
pować łydki, aby onuce nie obsuwały się. Wywoływało to kpiące
uśmieszki polskich widzów, ale goście nie przejmowali się tym.
Byli przyjaźnie usposobieni.

Młodzi krasnarmiejcy poruszali się zwinnie kocimi ruchami.
Wysypywali się ze swoich pojazdów, zsuwali się z siodeł koń-
skich, poprawiali kabury z pistoletami na sznurach przewieszonych
przez szyję. Byli chętni do rozmów z gospodarzami, z których wię-
kszość mniej lub więcej potrafiła posługiwać się językiem rosyj-
skim. Przybysze nakazali zwołać dorosłych mieszkańców wsi na "mi-
ting" przed remizą strażacką. Dowódcy rozeszli się po domach, za-
bierając ze sobą kobiety z półkoszów.
Do naszego domu wszedł oficer "polityczny" /miał broszury przy
sobie/.

Po lustracji kwatery wyszedł i wrócił z przystojną "Laską".
Przed domem stanął wartownik z karabinem, z nasadzonym sztykiem
na sztorc. Komisarz /jak się potem okazało/, udał się z moim ojcem
na wiec. Kobieta zastała z naszą matką, wymieniając z nią szeptem
jakieś słowa. Nie mogłem dosłyszeć treści rozmowy, ale też nie mo-
głem zrozumieć, dlaczego ta nieznajoma zaczęła płakać, a nawet
desperować. Z późniejszych komentarzy wynikało, że te kobiety -
- to t.zw. "branki" z polskich dworów, zaskoczone najazdem for-
pocztów bolszewickich. Ojcowie, mężowie, bracia tych zakładniczek
jeśli nie zdążyli uciec, byli rozstrzelani lub więzieni. Kobiety
zostawały bezbronne. Hojna uroda kresowych "Lasek", prowokowała
"mołojców" do salotów, a nawet gwałtów. Od ciągłego zagrożenia
takim losem mogła ratować brankę jej uległość dowódcy, który z
racji stanowiska i znaczenia mógł gwarantować jej względne bez-
pieczeństwo. Jeśli wybierać - to lepsza jest miłość, nawet nie-
chciana, niż zniewolenie siłą przez zgraję półdzikich barbarzyń-
ców. Każde sprzeniewierzenie się, czy próba ucieczki mogła spowo-
dować zemstę np. przez oddanie "bladzi", "na pohybel" pospólstwu.
Mimo wszystko, niektóre branki ryzykując, potajemnie opuszczały
dotychczasowych swych "opiekunów", wsiąkając w miejscową ludność.
Ukryte przez mieszkańców wsi, gdy już było po wszystkim, stawały
się urzędniczkami, nauczycielkami lub odjeżdżały do krewnych czy
kuzynów w rodzinnych stronach. Często nie było dokąd wracać, w
przypadku gdy ich domostwa znalazły się na terenach ogarniętych
wojną lub zostały definitywnie odcięte od polskiej granicy.

W naszej wsi były dwie kobiety, których pochodzenie intrygowa-
ło mieszkańców wsi. Jedną z nich była moja nauczycielką w klasie
pierwszej i drugiej.

Potem nagle wyjechała nie podając nikomu swego nowego adresu. Z drugą panią ożenił się zamożny sadownik - podobno jej wybacza. Było to ze wszechmiar udane małżeństwo. O pani domu mówiono, że jest czytana, ma dobre maniery, mówi po francusku, dobrze i smacznie gotuje. Pochodziła jakoby z okolic Mińska Białoruskiego. Nikt chyba z rodziny nie ocalał, bo nawet po zawarciu pokoju z Rosją Radziecką w 1921r. nie było stamtąd odwiedzin, ani ona tam nie wyjeżdżała .

W podwórzach i po obu stronach szerokiej ulicówki stały archaiczne furmanki. Koła bez żelaznych obręczy, przemyślnie były opasane drewnem dartym z jałowca. Kręciły się one na osiach, również drewnianych, więc pod większym ciężarem i przy szybkich obrotach piasty dymiły, a nawet zapalały się. Takie spostrzeżenia wywoływały masę docinków i dowcipów na temat zacofania przybyszów.

Na wiecu propagandziści mówili, że chłopi jako "rabocziej" "narod" nie muszą się niczego obawiać, bo "sowiecka władza" niesie ludowi "swabodu", uwalnia ich od "gniota" "pamieszczików" fabrykantów, i spekulantów.

Tymczasem "bura brać" rozkaziła się po budynkach gospodarczych. Ten prószył sianem inny koniczyną, tam komuś rozbili spichrz i zabrali zboże, jeszcze gdzie indziej gospodarze nakryli "mołojców" w komerze na kradzieży suchego sera i słoniny.

Nie pamiętam, aby mieli kuchnie polowe. Rozniecali ogniska gdzie popadło i coś tam gotowali w okrągłych "jaszczikach" - najczęściej "kartoszki", które znoszono wprost z pól /była to przecież połowa sierpnia/.

Odważniejsze gospodynie kłóciły się ze szkodziejaskami, wyzywały ich od "kacapów", wydzierają im z rąk kradziony dobytek.

Temu i owemu oberwało się pięścią po karku, ale oni, złapani na gorącym uczynku, nie mścili się.

- Niczewo, niczewo, tiszyna babuszka. Jej Bohu, uże nie budu --. Obracali wszystko w żart, ale oszukiwali i kradli dalej. Gdy żołdaci najedli się, leżąc i siedząc w półkoszках lub pod płotami śpiewali tęskne pieśni na głosy, często z solowym "zapiewajką". Refren podejmowali wszyscy. Ton i melodię poddawał muzykant na harmoszcze albo na ustnych organkach.

Przed "ruskimi" trudno było schować cośkolwiek. Byli wdrożeni do tropienia, węszenia i znajdowania tego, co im było potrzebne. Ginęły konie, bo ich własne ustały, lub nie podkuwane, kulały. Ginęły wozy, bo ich własne rozpadały się w upalnych dniach. Goście na pozór dobroduszni, naprawdę zaś przebiegli, potrafili uspić czujność, zdobyć zaufanie, aby ofiarę naiwności bez skrupułów wykerzystać, szukać, obrabować.

Już wygląd zewnętrzny przybyszów nie zachęcał do bliższych kontaktów. W niedopasowanych szynelach potykali się o przydeptywane poły /szczególnie przy podchodzeniu pod górę/ wciąż podrzucali barkami długie karabiny, zwisające na parcianych pasach i sznurkach. Postawienymi na sztorc sztykami zaczepiali o gałęzie przydrożnych drzew, a związane w węzeł worki /zazwyczaj puste/ podrzucał wiatr.

W tej burej masie robotniczo-ehłopskiej byli jednak osobnicy budzący swoim pojawieniem się respekt, a nawet grozę. To kawalerzyści z armii Budiennego /bodajże Czerkiesi i Kozacy/. Wyróżniali się energią, zręcznością ruchów. Na nich spoczywał główny zaczyn inwazji na Warszawę.

Rozmowy propagandzistów z mieszkańcami wsi na temat rewolu-

cyjnych przemian w Rosji, na temat szczęśliwej przyszłości, gdy władza robotniczo-chłopska opanuje świat - upoważniała, niejako przekornie, do wystąpienia mieszkańców wsi z żalami z powodu ogolania ich przez wojsko z pasz dla koni i żywności dla ludzi. Komisarz uspokajał mieszkańców. Zapewniał, że wszystko, co Krasnaja Armia "wzięła" "budziet woznagraždione". I rzeczywiście, wkrótce potem do naszego domu wszedł płatnik z rulonem papieru w ręce. Gdy go rozłożył, okazało się, że są to ruble o większej wartości nominałów w arkuszach perforowanych jak znaczki pocztowe. Inne arkusze z gorszego papieru, już bez perforacji, opiewały na mniejsze sumy i po prostu można je było odcinać lub oddzierać, jak kawałki gazety na skręty, papierosowe. Pamiętam je dobrze, bo długo wały się w szufladach niewykorzystane, ale przechowywane w nadziei, że Rosja Radziecka wykona zobowiązania wypłacenia Polsce odškodowań wojennych, wynikających z Traktatu Ryskiego /1921/. O naiwności!

W tym rzecz najważniejsza, że za te banknoty nie można było kupić czegokolwiek, nawet u tych, którzy sami je wypłacali za zarejestrowane szkody.

Handel żołnierzy obcych armii z ludnością miejscową istniał zawsze. Zawsze bowiem żołnierz posiadał coś do upłynnienia. Jeśli nie z "kazionnego fasunku", to z nielegalnego źródła. Próba przeprowadzenia transakcji przy pomocy dopiero co uzyskanych pieniędzy była przyjmowana z lekceważeniem. Żądano wymiany: towar za towar. Podobno przy każdej armii bolszewickiej były maszynki do drukowania banknotów bez żadnej legalizacji. Oto jeszcze jeden przykład cynicznego nabijania ludzi w butelkę, przy zachowaniu pozorów legalności.

Wreszcie bolszewicka nawała przetoczyła się pod Warszawę, od-
daloną od nas ok. 85 km. Pozostał po niej brud, smród i ubóstwo.
Wszędzie skłona zmieszana z odchodami końskimi i ludzkimi. Cała wieś
cuchnęła kałem i uryną. Chłopi penetrowali niedawno opuszczone obo-
zowiska. Można było bowiem znaleźć w słomie, w chwastach i krzakach
porzucone, zapomniane lub zagubione naboje "patrony" i części
oporzędzenia. Nie przypominam sobie, abyśmy znaleźli broń.
Mieszkańcy wsi zabrali się przede wszystkim do perzadkowania wła-
snych obejść. W polu nie było zbyt wiele do roboty /brak koni, sprzę-
żaju/. Lichy plon z rozdeptanych i rozjeżdżonych pól został zebra-
ny wcześniej, rozwleczony i rozkradziony przez niedawnych, nie-
proszonych gości.

Po rekwizycjach zostały frontowe ruble, jak na pośmiewisko i
na udregę niepewnych dni. Ponad wszystkim górowała troska o tych,
którzy poszli bronić stolicy:

- Czy Warszawa się obroni?
- Czy Polska utrzyma swą niepodległość?

Boдайże na początku trzeciej dekady sierpnia 1929r., tuż
przed wschodem słońca wieś przebudziły przeciągłe wołania i krzy-
ki:

- Pojeżdżaj! Pojeżdżaj! Pojeżdżaaaaj!

Zerwałem się z poskania i jako pierwszy z domowników znalazłem
się na piaszczystej drodze, spowitej tumanami kurzu. Całą jej sze-
rokością tłoczyły się wozy i przy skręcie na gospodarczą węższą
drogę, prowadzącą w kierunku północno-wschodnim, utworzył się gi-
gantyczny zator.

Furmanki zaczepiały osiami o sztachety opłotków i rozprzegały
się. Powstał ogromny tumoły nawoływania i przekleństwa.

Konie przeraźliwie rżały, a okaleczone kwiczały. Poza zabudowaniami na przełaj przemykały grupy jeźdźców.

Wyglądało to wszystko bardzo malowniczo dla świadków tego zdarzenia, które znamianowało polskie zwycięstwo. Lepiej jednak nie okazywać swej radości. Toteż ludzie spoglądali ukradkiem zza węgła i sycili się widokiem uciekających w panice bolszewików.

Na domiar grozy po jakimś czasie ukazał się na niebie samolot, z którego ostrzeliwano ten skłębiony potok ludzkiego tłumu, szamoczącego się w usuwaniu przeszkód z porzuconych pojazdów i przewróconych opłotków. Nie zdawałem sobie sprawy z niebezpieczeństwa /po raz pierwszy w życiu zobaczyłem samolot/. Ostrzeliwanie pilota z karabinu maszynowego okazało się nieskuteczne. Strachu nabawiłem się dopiero wówczas, gdy spłoszeni już furmani pokotem klękali przed figurą Matki Boskiej /stała w rogu posiadłości gospodarza Dmowskiego/ i żegnając się bili pokłony do samej ziemi.

Żarliwie i błagalnie wołali:

- Hospodi pomiluj, hospodi pomiluj!...

Inni żegnając się, pomykali za piwnicę, więc i ja - w nogi. Mimo, że lotnik gęsto pukał, nikogo nie zabił, nikogo nie okaleczył. Odleciał na wschód, za uciekającymi oddziałami bolszewików.

Za parę godzin na wsi zapanowała cisza. Pozostały tylko na drodze części rozspanych kół, piasty z rozczapirzonymi szprychami, przedki i zadki furmanek, pogniecione wiklinowe półkoszki, pogubione poddenice i gnojówki.

Pozostawionym "dobrem" rażno zaopiekowali się gospodarze.

Wiadomo, wszystko może się przydać, więc pościgali to na swoje podwórza. Okazało się jednak, że niewiele z tego wszystkiego było pożytku - chyba że na opał. Wymiary rozstawu osi nie pasowały do naszych kolein dróg. Skąpe zastosowanie żelaza wyznaczało niewielki udźwig furmanek i częste ich psucie się.

Gdzieś w godzinach przedpołudniowych starsi chłopcy zauważyli w głębi szerokiej drogi dwóch Rosjan, jadących stępą na dobrze utrzymanych koniach. Z wystroju uprzęży i czapraków oraz siodeł, można było się domyślać, że to są wyżsi dowódcy wojskowi.

Dwaj chłopcy /Władysław Bączek i Bolesław Chomka, rówieśnicy mojego najstarszego brata/ wyskoczyli nagle z za śturki i odważnie szybko chwycili za uzdy przy pyskach koni. Równocześnie jeźdźcy i konie zostali otoczeni gromadą dzieciarni. Ktoś z niej rzucił celnie kamieniem.

I o dziwo, krasnoarmiejcy gwałtownie zeskoczyli z koni i pognali łakami ku olszynie. Z domu wyskoczył z dubeltówką mleczarz Marce-li Polkowski /była już o nim mowa/ i za uciekającymi plunął śrutem z obu rurek. Chyba niepotrzebnie, bo uciekinierzy byli już za daleko, aby ich śrut dosięgnął.

Chłopcy z animuszem wprowadzili zdobyczne konie do pustej stajni wdowy - pani Czarneckiej, zadali im do żłobów coś do jedzenia i zamykając zwierzęta przygrozili nam, abyśmy "nie gęgali" bo inaczej, poobrywają nam uszy. Wspaniałe siodła i ozdobne czapraki ukryli gdzieś w stodole.

Wtem, gdzieś w oddali, rozległa się gęsta strzelanina z broni ręcznej i maszynowej. Oczywiście wszyscy pognaliśmy w tamtym kierunku. Ponieważ odgłosy palby stawały się coraz wyraźniejsze - zatrzymaliśmy się na skraju wsi nasłuchując wrzawę bitewną.

Po głośnym, przeciągłym krzyku "hurraa hurraa" - wszystko ucichło.

Około południa, przed dom Raczyńskich na Górcie zajechały przedwozy, na których leżeli ranni bolszewicy, z których ściekała krew na poddanice, a stamtąd szparami na ziemię. W skwarze słonecznej wijały się natrętne muchy. Polacy - woźnice i konwojenci - poili zmęczone konie, podrzucali im snopki słońca do żarcia.

Ranni wołali prosząco:

- woody, woody!

- daj zakuric!

Kobiety, starsi gospodarze nie namyślając się, wynieśli wiadra i kubki. Ten i ów skręcił samosiejkę w papierek i zapalone papierosy wkładał do ust nieszczęśliwców. Te samarytańskie usługi przerażał rozgniewany polski oficer. Z rewolwerem w ręku /był jeszcze podekcytowany z bitewnego podniecenia/, przeklinał, złorzeczył, groził:

- Nie pozwalam, wynoście się stąd, bo was poprzetręcam, tak jak ich - czerwonych plugawców! Won stąd!

Kobiety zaczęły perswadować:

- Toż to też ludzie

- Trzeba mieć sumienie

- Niech pan nie będzie tak okrutny. Przecież oni są bezbronni.

Oficer, chyba zawstydzony, oddalił się gdzieś, a kobiety poiły rannych, wyniesionymi z domu płatanami lnianego płótna opatrywały rany. Zapiętkę od bólu i pragnienia wargi rannych nabierały wyrazu. Świeża, studzienna woda przynosiła cierpiącym ulgę. Szczególną wdzięczność okazywali gospodarzom za papierosy.

- Spasiba, balszoje spasiba - szeptali z wysiłkiem.

Kiedy konie odpoczęły i posiliły się, nadszedł dowódca kowoj i dał rozkaz odjazdu.

Z relacji polskich żołnierzy wynikało, że ranni na wozach pochodzą z oddziału tylnej straży uciekającej w popłochu armii bolszewickiej. Oficerowie, spłoszeni przez wiejskich chłopców, jechali pewnie, bo przypuszczali, że za sobą mieli jeszcze strażę. Tymczasem okazało się, iż zostali osamotnieni, gdyż polscy ułani przecieli odwrót koło wsi Grzędz i straż tylną zwinęli w walce.

Już na drugi dzień z rana po naszej wsi chodziła polska żandarmeria i zbierała na wozy taborowe porzucone lub zdobyte mienie wojskowe. Przede wszystkim chodziło o broń, uprzęż i konie. Plany Władka i Bolka przywłaszczenia sobie zdobyczy nie powiodły się. Wiadomo: "wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi".

Zresztą we wsi panował taki nastrój, niemal odświętnej satysfakcji, że ludność chętnie oddawała wszystko, co mogło być potrzebne "Obroncom Ojczyzny". Wojna przecież toczyła się dalej. Wyniesiono więc do wozów stojących na środku wsi: łopaty, ładownice, pasy, plecaki / "podwędzone" jeszcze Niemcom/, amunicję i różnych typów części broni.

Podochoceni samogonem polscy żołnierze śpiewali:

- Lance do boju, szable w dłoń

Bolszewika goń, goń, goń...

Teraz miejsce na małą dygresję:

W swoim opowiadaniu świadomie unikałem określeń: "Armia Radziecka", "Wojsko Radzieckie", wojna "polsko-radziecka". Takie nazwy nie były stosowane w 1920r., gdyż Związek Radziecki, więc i Armia Radziecka powstały dopiero 30.XII.1922r.

Jest to więc manipulacja autorska różnych wydawnictw publicystycznych, gdyż z wycucia językowego i znaczeniowego określenie "bolszewik" przywołuje na pamięć zło, krzywdy i cierpienia, jakich Polacy doznali od wschodniego sąsiada w czasie najazdu. Nazwy "Kraj Rad", "Związek Radziecki", "Armia Czerwona" są bardziej nobilitujące.

Nastroje filorosyjskie na krótko pojawiły się w społeczeństwie polskim podczas okupacji niemieckiej w latach 1916 - 1918, za rządów gubernatora Beselera, na skutek bezwzględnych rekwizycji żywności i powszechnego głodu. Wkrótce jednak rok 1920 ujawnił polityczne, społeczne i gospodarcze zagrożenia dla Polski i Polaków ze strony rewolucyjnej Rosji. Od bolszewików wymyślały żony swoim mężom, którzy upijali się i zdradzali je. Bolszewik, to antychryst, synonim bezbożnictwa, braku kultury i zataraty wszelkich zasad moralnych. Bolszewizmem straszili publicyści polskie społeczeństwo. Świadcami byli powracający z tamtego "raju" (już po traktacie Ryskim) wyniszczeni repatrianci z Rosji i z Dalekiego Wschodu. Ich wstrząsające opowieści o bezdennej biedzie, o okrucieństwie reżimowców, o straconych godzinach w kolejkach po cokolwiek, o powszechnym zaniku wszelkich wyższych uczuć ludzkich całkowicie wystarczały, aby nie ulegać propagandzie prokomunistycznej. Już bowiem wówczas było widoczne, że utopijne hasła o powszechnej szczęśliwości nie mogą być realizowane w warunkach całkowitego zakłamania i upadku moralnego.

Siłą rzeczy, koncepcje polityczne Romana Dmowskiego szukającego oparcia w Rosji musiały utracić swą aktualność i nośność na rzecz polityki Naczelnika i Marszałka Państwa Polskiego, Józefa Piłsudskiego, który podjął walkę o Polskę niepodzielną, niezależną, z atrybutami najpełniej pojętej suwerenności.

II. ŚWIAT NIE JEST JEDEN

W dwudziestoleciu międzywojennym dorastałem, uczyłem się w kulcie polskości. Byłem człowiekiem bez wyraźnego oblicza politycznego. Nie należałem do żadnej partii politycznej, bo nikt o mnie nie zabiegał i do niczego nie namawiał. Moja osobowość niejako przygodnie wzbogacała się o przekonania, poglądy, o życiową praktykę. Z biegiem czasu dochodziłem do wniosku, że świat nie jest jeden i należy być bardziej ostrzeżnym w formułowaniu sądów, ale to nie znaczy, że należy milczeć.

Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem był strukturą polityczno-społeczną opartą na lojalności wobec Wielkiego Marszałka, który był autorytetem nie tylko dla obozu legionowego, ale także symbolem do naśladowania w bezinteresownej pracy i miłości dla Ojczyzny. Ponadto psychika chłonnych umysłów tamtych czasów rozwijała się w kulcie dla heroizmu wielkich postaci historycznych. Widocznie jednak moja temperatura uczuć do tego rodzaju światopoglądu nie była wciąż zbyt wysoka, skoro mimo pełnej życzliwości i uznania dla tego ruchu, do partii nie wstąpiłem.

Wychowanie państwowe miało godzić sprzeczności w wielonarodowej Rzeczypospolitej. Pomostem między dołami społecznymi i grupami etnicznymi mieli być urzędnicy - inaczej powiedziawszy, inteligencja wychowana i wykształcona w Polsce Odrodzonej. Polityka jednoczenia kraju powstałego z trzech zaborów polegała na częściowym przynajmniej wymieszaniu ludności tych zaborów. Wielkopolska była najbardziej zwarta i samowystarczalna ekonomicznie, Galicja jako miejsce pochodzenia najlepiej wykształconych i stosunkowo licznych elit dostarczała urzędników do Kongresówki, a województwa centralne dopiero w latach trzydziestych |

dostarczały ziemom i kresom wschodnim nauczycieli i urzędników. Odwrotnie, absolwenci kresowych szkół średnich i wyższych wyznania prawosławnego obejmowali stanowiska w Polsce centralnej. Wobec nadmiaru kandydatów do objęcia posady i braku wolnych miejsc do pracy, nadmiar ludzi wykwalifikowanych i wykształconych szukał oparcia w spółdzielczości /Ukraińcy, Białorusini/ i w wolnych zawodach /Żydzi/. O zatrudnieniu lub niezatrudnieniu decydowały protekcje lub referencje osób ogólnie szanowanych, na wyższych stanowiskach. Ja również skorzystałem z referencji mojego profesora z Seminarium Nauczycielskiego, dra Wojnara. Nie była to protekcja, bo na ten temat nigdy z nim nie mówiłem i po opuszczeniu szkoły nigdy go już nie zobaczyłem. Widocznie Seminarium wysłało opinie do kuratorium o swoich absolwentach, a ja wysłałem 21 podań o pracę do różnych instytucji i w różnym czasie. Chwyciło ostatnie, adresowane do Kuratorium Szkolnego w Lublinie:

- Zechce się pan zgłosić do tutejszego Inspektoratu Szkolnego w Tomaszowie Lubelskim celem objęcia stanowiska kontraktowego nauczyciela w szkole Nr 2, w charakterze czasowego zastępstwa. Często z przekąsem mówiono o Polsce urzędniczej i to odpowiadało prawdzie. Kto miał szczęście uplasować na państwowej posadzie - ten żył w poczuciu bezpieczeństwa, wiedział, że nie ominą go przegrupowania finansowe, że ucięła sobie kapitalik, wystarczający, aby na emeryturze pobudować własny domek z ogródkiem.

Mógł należeć lub nie do ugrupowań politycznych, choć dobrze był notowany fakt przynależności do sanacji, bo ta dawała asumpt do awansów w wyższej hierarchii urzędniczej. Nikt nie agitował, nie namawiał, nie zmuszał. Najwięcej się liczyły efekty w pracy zawodowej.

Kierownikiem szkoły w rodzinnej wsi był p. Feliks Młynarczyk, bezpartyjny, powszechnie lubiany /nie chcę powiedzieć, że może dlatego/. Dowcipny, komunikatywny, operatywny w organizowaniu szkoły, mądry, rzeczowy, każdemu życzliwy, nie eksponował swoich przekonań politycznych. Nie dziwnego, że zauważono go i przeniesiono do spraw oświatowych w Siedlecach /zginął w 1944r. na Wschodzie/.

Po nim nastąpił p. Czesław Osiński - znany w powiecie socjalista - lewego skrzydła. Obowiązkowo w dniu 1-maja zakładał czerwony krawat, brał flagę i maszerował do miasta, by wziąć udział w pochodzie. Kontakty ze wsią ograniczali z żoną tylko do niektórych osób, bardziej zorientowanych w układach klasowych. Dla ożywienia tych sporadycznych spotkań podejmowali goście herbatą, niekiedy kolacją. Towarzysz Czesław politykował ze skrajnymi endekami /B. Skup, H. Hebda/. Kłócili się zawzięcie, ale spotykali się na sobotnich "preferansach" i grali w karty do późna w noc. Taki towarzyski pluralizm polityczny.

Na skutek antywychowawczych posunięć państwa Osińskich podczas uroczystości związanych z imieniem Piłsudskiego, musiał Tow. Czesław oddać kierownictwo na rzecz p. Leona Patyńskiego /piłsudczyk/. Pracował on wraz z żoną najdłużej we wsi. Oboje pochodzili z rzeszowszczyzny. Pan Leon współpracował z Ochotniczą Strażą Pożarną, założył Koło "Strzelca". Współpraca jednak z dawnym przełożonym, a potem podwładnym - nie układała się harmonijnie. Państwo Patyńscy zbudowali swój domek pod miastem i pracowali w szkołach peryferyjnych koło Siedlec.

Ja, wprawdzie ukończyłem Seminarium Nauczycielskie, potem odbyłem służbę wojskową w Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy,

ale oblicza światopoglądowego nie miałem. Można było ze mnie jeszcze ulepić ludowca, socjalistę, zwolennika sanacji. Wykluczyłem jednak komunizm i skrajną endecję. Nie wiedziałem jeszcze, jakie obrać zajęcia, ale nie wyobrażałem sobie w roli nauczyciela.

W poważnych życiowych rozmowach uczestniczyłem, ale najczęściej w roli aktywnego słuchacza - wydawało mi się, że wszyscy mają rację. Pilny słuchacz jest zawsze pożądanym w rezonerskim towarzystwie.

No i właśnie w 1935 roku los splatał mi figla.

Zostałem nauczycielem i to w miasteczku powiatowym.

Skończyło się słuchanie i potakiwanie. Stałem przed uczniami siódmej klasy, złożonej głównie z Żydów, i musiałem przemówić własnym głosem. Wiedziałem, że uczniowie nowego nauczyciela wypróbują. Przyznam się, że ratowałem się przeprowadzając musztrę typu wojskowego (była to szkoła męska). Na drugi dzień chłopcy przynieśli mi stos macy, który wnieśli do pokoju nauczycielskiego, bo nie wiedziałem co z tym zrobić. Ciało pedagogiczne przyjęło to z rozbawieniem i nie minęła jeszcze "pauza", a po macach zostały tylko okruszynki.

Seminarium nauczycielskie nie uznawało specjalizacji, przygotowywało kandydatów do zawodu, do wszystkich przedmiotów, a więc przydzielono mi wychowawstwo klasy trzeciej, ze wszystkimi przedmiotami. I tu bardzo mi się przydały t.zw "michałki": śpiew, rysunek, roboty ręczne. Przygotowywałem się solennie do każdej lekcji. W szkole akceptowano mnie, byłem tym faktem zdobyty dla zawodu.

12 maja 1935r. poraziła nas hiobowa wieść:

- Marszałek nie żyje!

Naprawdę zorganizowano uroczystość pogrzebową.

Śpiewaliśmy: - To nie prawda, że Ciebie już nie ma, -...

Na Siwej Dolinie (między leśnymi zboczami) odbył się wiec pogrzebowy. Pierwszy raz w życiu widziałem takie ogromne zgromadzenie ludności. Przemawiał inspektor szkolny Stefan Wlekiński tak żarliwie, że wszyscy płakali: Polacy i Żydzi, urzędnicy i ludność nauczyciele i młodzież szkolna szkół powszechnych i tutejszego gimnazjum.

- Czyżby wszyscy, którzy tu ocierali swe policzki z łez są piśmudczykami - zadawałem sobie pytanie. Żadne odczucia, ale rzeczywistość fascynująca osobowość, autorytet Marszałka wnoszący ze sobą poczucie bezpieczeństwa, w państwie. Teraz poczuliśmy niepewny grunt pod nogami. Wchodziliśmy w lata niepewności politycznej i społecznej.

Tymczasem trzeba było wrócić do codziennych obowiązków. Życie potoczyło się dalej.

Mieszkałem ze stożowaniem się u pp Trepków - emerytowanych nauczycieli. Przyjmowali oni na stancję uczennice i uczniów oraz początkujących urzędników. Do willi schodziła się brać uczniowska (gimnazjalna) na czytanie zbiorowe ciekawszych doniesień prasowych, na dyskusje i rozmowy towarzyskie, a wszystko pod czujną opieką pani domu. Byłem świadkiem niektórych rozmów jej z rodzicami: - Tylko proszę pani bez wódki, niech panie o wszystkim, co nie stosowne, nas informuje. Rzeczywiście, wiem że z panienkami przeprowadzała rozmowy wychowawcze. Nie pomogło - wzywała rodziców, aby córkę zabrali do domu lub przenieśli gdzie indziej. Było to środowisko ze wszech miar dla mnie pożądane. Przeważnie nie dorównywałem

w elokwencji niektórym dyskutantom. Szczególnie wyróżniał się niejaki Stanik (imienia nie pamiętam), uczeń z przedostatniej klasy miejscowego gimnazjum. Był adorowany niemal przez wszystkie uczestniczki spotkań. Pilnie go obserwowałem, aby odkryć tajemnice jego powodzenia, no i sposobu prowadzenia rozmów. Środowisko szkolne uważało go za bezkonkurencyjnego prymusa. Rozmów indywidualnych z nim nie prowadziłem, ale niekiedy w spotkaniach zbiorowych zabierałem głos, aby coś potwierdzić lub czemuś zaprzeczyć. Unikałem jednak polemiki, choć ciekawy byłem jego wnętrza i stosunku do otaczającego świata. Nawet na myśl mi nie przychodziło, aby nazwać go komunistą.

Tu przerywam opowieść z nim związaną, bo mnie kończył się kontrakt i właśnie wówczas zastałem zafascynowany pytaniem:

- Czy chciałby Pan zrobić coś dla Polski?

A było to tak:

Pełniłem ze swoją wychowawczą klasą III-cią dyżur podczas dużej przerwy na podwórzu. Piękny dzień czerwcowy. Po drewnianym chodniku (z powodu piasku) dostojnie kroczyło czterech panów. Wśród nich poznałem swego inspektora szkolnego, Stefana Wleklińskiego oraz jego zastępcę Władysława Łyszczarza. Potem dowiedziałem się, że dwaj pozostali to: p. Kurator okręgu lubelskiego Lewicki i naczelnik personalny p. Barchan. Przeczucie mówiło mi, że idą w mojej sprawie. Montuję więc w głowie przebieg lekcji, którą za chwilę rozpocznę z rozbawioną swoją klasą. Przybiega woźny od p. dyrektora Józefa Piaseckiego z informacją, że będę wizytowany przez pana Kuratora i osoby mu towarzyszące. Odpowiadam, że lekcja odbędzie się pod gołym niebem, na wolnym powietrzu, więc proszę o zejście przed szkołę. Razem z dziećmi przeszliśmy na łachę piaszczystą tuż

pod lasem. Lekcja była pomyślana jako powiązanie zajęć praktycznych śpiewu z podstawowymi pojęciami geograficznymi: modelowanie góry z wilgotnego piasku przy wprowadzaniu pojęć (podnóże, zbocze, szczyt, widnokrąg, horyzont, wysokość względna i bezwzględna) przetykanych fabułą. Ponieważ zostało mi trochę czasu, zaśpiewaliśmy: - płynie Wisła płynie - od Karpat do morza (tu wskazałem te dwa kierunki: północ i południe).

Do lekcji nastąpiła rozmowa kuratora z całą przy całym gremium. Usadzić miałem koncepcję lekcji oraz wykazać znajomość ogólnych uwag do programu szkolnego. Pamiętam puente mojej dłuższej wypowiedzi: - Wychować ucznia na obywatela takiego, aby jemu i z nim było dobrze -.

I wówczas padło powyższe pytanie:

- Czy chciałby pan coś zrobić dla Polski?

Otrzymałszy odpowiedź twierdzącą, kurator przedstawił swoją koncepcję wychowania państwowego w skali regionu, konkretnie wskazał gminę Poturzyn (pow. Tomaszów Lub.)

Dzieje się tam źle. Są antagonizmy narodościowe: Ukraińców i Polaków. Zdarnają się morderstwa na tle polityczno-społecznym.

Zamierzamy - mówił - wymienić całą ekipę nauczycieli w tym regionie. W placówkach szkolnych nie będzie ani jednego nauczyciela, ani jednej nauczycielki z dawnej ekipy. Oni za nadto ulegali administracji państwowej i policji. Trzeba szkołę odpolitycznić. Szkoła musi odzyskać grunt neutralny, uczyć i wychowywać w znaczeniu ogólnoludzkim bez podziałów faszystujących i komunistujących. Co i jak zrobić? Kuratorium powoła pana na kurs specjalny w Kazimierzu nad Wisłą i na zakończenie całą nową obsadę nauczycielską poprosimy na wspólną naradę.

Kurs w Kazimierzu wprowadził nas w treść i metody pracy pozaszkolnej (śpiew, teatr, widowiska ludowe) a narada wniosła analizę społeczną poszczególnych osób i instytucji, występujących na terenie gminy (urząd gminy, poczta, posterunek policji, spółdzielnia, ziemianie, cerkwie i kościół).

W końcu sierpnia 1935 roku znalazłem się we wsi Witków. Obsada dwuosobowa: ja i mój kierownik, obaj kawalerowie. Pan Marian - rządca majątku - miał dziesięcioro dzieci, w tym czworo uczących się jeszcze w gimnazjum w Tomaszowie Lub. więc chętnie zostałem przyjęty na pokój z pełnym utrzymaniem. Mój kolega zamieszkał przy szkole. Obiady jadał u pp Leonowiczów.

Objąłem nauczanie w pierwszej i drugiej klasie uczących się w budynku wynajętym przez gospodarza. Musiałem zetknąć się z pierwszą kłopotliwą i nieprzyjemną sprawą z powodu likwidacji drewnianej cerkwi (wybudowanej kiedyś we wsi w ramach rusyfikacji). Ponieważ zrobiły to władze administracyjne - polskie, więc odium niechęci mogło ogarnąć nas, jako Polaków. Próby wmontowania nas w tę sprawę zostały zażegnane. Tamci nauczyciele odeszli już w końcu czerwca, my nastaliśmy w końcu sierpnia, żadnych porozumień terenowych nie było, zatem jest oczywiste, że szkoła w tym udziału nie miała. Odwrotnie, razem z sołtysem miejscowym podjęliśmy starania o pozostawienie drewna ze ściętych drzew na budowę remizy strażackiej (drewno pocerkiewne zostało usunięte przez nieznanych ludzi w nieznanym nam miejscu).

W pewnej mierze w rozładowywaniu napięcia wzięli udział Ukraińcy komuniści. Im pop był niepotrzebny (to "opium dla ludu"), jeśli więc cerkiew rozebrana - to i on powinien wynieść się ze wsi, ale on pozostał, bo pozostawiono mu dzwonnice cerkiewną, którą przysposobił

na odbywanie nabożeństw.

W oparciu o służbę folwarczną organizowaliśmy Ochotniczą Straż Pożarną. Wieś duża, drewniana, trzeba ją zabezpieczyć od pożaru. Na tle tej organizacji budowaliśmy powoli współdziałanie wszystkich grup ludnościowych, a przy tym nawiązywaliśmy kontakty z poszczególnymi ludźmi. Na tle opracowywania monografii regionu dowiedzieliśmy się na podstawie spisów z XVIII wieku (udostępnionych mi przez popa Wyszyńskiego z Poturzyna), że ludność w owym czasie była wyznania greko-katolickiego, a rusyfikacja poprzez prawosławie nastąpiła po rozbiorach. Ślady tego procesu można było prześledzić w nazwiskach i silnych związkach pokrewieństwa małżeństw mieszanych. Podwójne święta w ramach jednej rodziny były radością dla dzieci, udręką dla nauczycieli z powodu ciągłej, dużej liczby nieobecności uczniów na lekcjach.

Dowiedzieliśmy się, że odbicie tego, czym żyje wieś, będziemy widzieli w dniu 1 Maja. W nocy zostaną rozlepione ulotki antypaństwowe, na najwyższych czubkach drzew zostaną porozwieszane czerwone flagi, że milicja konna rozpędzi zbierające się grupy ludzi w jednym końcu wsi, a powstaną w drugim miejscu ze śpiewem Czerwonego Sztandaru. Dowiedzieliśmy się również, co poprzedziło naszą nauczycielską rotację. Otóż został zamordowany dżutem konfident policji, który śledził zebranie komunistów w sadzie, że sprawcy tego mordu pochodzą z Witkowa, a teraz odbywają wieloletnie kary więzienia. Powoli wchodziliśmy w spleątany świat ludzkich światopoglądów.

Następuje dzień 1 Maja. Widzę, że po schodkach ganku idzie policjant. Wychodzę mu na przeciw.

- Czego pan sobie życzy? - pytam
- Chcę się dowiedzieć o nazwiska dzieci nieobecnych dzisiaj w klasie-
- pada odpowiedź.

- Chyba pana pouczono, że szkoła jest eksterytorjalna, więc niepotrzebnie się pan trudził. Żadnych informacji nie udzielię -.
Policjant bez sprzeciwu zaszalutował i poszedł pełnić swą wywiadowczą funkcję (widocznie był zorientowany o nowym kursie społeczno-politycznym).

Wchodzę do klasy i liczę. Jest siedmioro dzieci. Co z nimi robię? Przerabiać program? Nie. To już 1 maja, czas uporządkować ogródek przed szkołą i zasiać przynajmniej astry. Z jednej strony nie ma ogrodzenia. Są tylko żerdzie. Wysłałem chłopców do lasu po "prucie" (leszczynowe wici). Jedni przekopują ziemię, inni przeplatają żerdzie wiciami. Przechodzi obok mnie dobrze zbudowany Bojko - wyszedł niedawno z więzienia za działalność komunistyczną. Zatrzymał się i na wpół żartem, a na wpół serio pyta:

- To pan dnia dzisiejszego nie świętuje?!
 - Jak najbardziej świętuję, Święto Pracy - pracą.
- Próżnowanie nie odpowiada mi - dodałem.

Tego dnia mieliśmy z Kierownikiem szkoły wiele do analizowania. Dochodząca woźna szkoły stwierdziła: W tym roku było spokojniej.

Czy nasza działalność miała charakter pacyfikacyjny? Tak, ale cała rzecz w metodzie. A więc byliśmy na dobrej drodze. W dalszym ciągu kierownik szkoły wystawiał swoje radio w okno, przed którym codziennie zbierali się mężczyźni na wysłuchanie dziennika wieczornego. Raz w tygodniu wymienialiśmy książki z biblioteki wędrownej. Raz w tygodniu odbywały się próby do "komedyjki" śpiewanej, do której udało się pozyskać do duetu pannę Sapównę córkę gajowego, śpiewającą altem (katoliczka) i pannę Bojkównę (śpiewającą sopranem - prawosławna, siostra komunisty). Zorganizowaliśmy też dziecięcy teatrzyk szkolny.

Część lata w 1936 r. spędziłem na ćwiczeniach wojskowych, a część u rodziców. Jak równy z równym rozmawiałem z kol. Osińskim. Nawiązaliśmy do głośnej książki Wańkowicza - Na tropach Smętka -. Hitlerowskie Niemcy łamią Traktat Wersalski, Hitler ogłasza swoje credo jawnie w "Mein Kampf", młodzież niemiecka wznieca niepokoje w Gdańsku, wojsko niemieckie łamiąc porozumienia międzynarodowe, obsadza zdemilitaryzowaną Nadrenię. Co mają oznaczać wizyty dostojników niemieckich na polowaniach w Polsce?

- Ostudzić nieco działalność komunistyczną w Polsce - odpowiadam na chybił trafił. (Nie wiedziałem, że właśnie wówczas wyjechali członkowie Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Polski do Związku Radzieckiego).

Kol. Osiński wyrzucał z siebie pełne złości wyznanie:

- Dopóki nie umrze ostatni legionista - w Polsce nie będzie lepiej -. Niech kolega przeczyta co robią sowiety! (chodziło o "Opierzoną rewolucję - Wańkowicza).

O dziwo, nie zaprotestowałem. Następowwały lata burzy i naporu. Włonie sanacji nie było zgody i jedności. Pacyfikacje w okręgach robotniczych i ruchy chłopskie na Podkarpaciu, akcje terrorystyczne na tle narodowościowym - to wszystko niesło niepewność jutra.

Po wakacjach w Tomaszowie Lub. spotykam w Inspektoracie trzy panny skierowane do gminy Poturzyn w charakterze nauczycielek. Jedna z Lublina ma być moją koleżanką w Witkowie.

Nadjechał właśnie wóz, który przywiózł dzieci państwa Leonowiczów i z powrotem zabierze nas. Dowiadujemy się sensacyjnych informacji. Mianowicie na ogrodzonym terenie gimnazjum rósł dość gęsty zagajnik sosnowy, który poprzez siatkę łączył się z dużymi lasami państwowymi.

Właśnie w tym zagajniku przeprowadzał zebranie z tomaszowskimi komunistami kolega Stanik. Pewnej niedzieli zauważył ukrytego w gałęziach wywiadowcę. Jako wypróbowany członek partii dysponował bronią palną. Nie miał wątpliwości, że został zidentyfikowany przez konfidenta, więc podszedł do niego i zastrzelił go.

Uczestnicy spotkania po naradzie postanowili upozorować zabójstwo w tartaku przy pracy. Postarali się o saneczki (była wczesna wiosna 1936r.) o worek i włożywszy do niego zwłoki powieźli do tartaku, gdzie na pile tarczowej zmasakrowali trupa. Miało to symulować porachunki osobiste między robotnikami. Dochodzenie w sprawie morderstwa nie trwało zbyt długo, ale proces sądowy był skomplikowany, bo w sprawie niedoszłego maturzysty Stanika zeznawali: Dyrektorka liceum (chyba p. Jackiewiczowa), profesorowie i uczniowie. Wszyscy na korzyść oskarżonego. Wina była ewidentna, zresztą oskarżony grał rolę bohatera, mówił prawdę i tylko prawdę, całą winę wziął na siebie, zachowując się przed sądem godnie, a nawet z emfazą.

Właśnie panna Młecia Leonowiczówna - już maturzystka i koleżanka Stanika relacjonowała wrażenia z procesu, który odbył się przed sądem okręgowym (była tam w roli świadka).

- Nas, kolegów i koleżanki fascynował swym ciepłym wzrokiem. W jego twarzy nie było cienia bojaźni o swój los. Słyszałam, gdy odwrócił się do swej policyjnej eskorty i kpił, aby wszyscy zebrani na sali sądowej słyszeli:

- Nie spodziewałem się takiej asysty, która przystoi wysokim dygnitarzom -.

Tak wyglądał zmaterializowany w tym chłopcu pozytyw i negatyw idola, trudny do wyniesienia albo potępienia. Sąd wziął pod uwagę okoliczności łagodzące:

młody wiek, nienaganne dotychczasowe prowadzenie się, ogólną do niego sympatię środowiska szkolnego - skazał winnego na 8 lat więzienia. Nie wiem czy doszedł do rangi wysokiego dostojnika komunistycznego w Polsce Ludowej czy w ZSRR. Polscy Komuniści nie mieli szczęścia do generalissimusa Stalina. Z nielegalnych źródeł dowiedziałem się, że w 1958r. rozwiązano Komunistyczną Partię Polski, a członków przedstawicieli tej partii po potwornych badaniach rozstrzeliwano.

Nurtował mnie wówczas, zresztą nurtuje dotychczas problem: którzy komuniści byli źarliwi i lepsi? Ci, którzy przeżyli, czy ci którzy zginęli? Bardziej intrygują nas umarli niż żywi, umarli śmiercią zadaną, gwałtowną. Stanik był kandydatem do śmierci gwałtownej, zadanej, bo miał w sobie nieprzeciętność umysłu i charakteru. Nie z kułtatorstwa, nie z oportunistu, a wszystko z talentu i własnej młodzieńczej woli dla idei, której zaczął służyć w imię lepszego świata.

Zbieżność przypadkowa dwóch zabójstw: w Tomaszowie Lub. i w Wiskowie wróciła moją uwagę na gapowatą moją uczennicę w klasie czwartej, białowłosą Ninę Gen. Uczyłem ją już cztery lata. Jej ojciec był głównym zabójcą wywiadowcy. Odsiadywał karę 10 lat więzienia. Byłbym go nigdy nie poznał, gdyby nie wojna, która go stamtąd uwolniła.

Jako były uczestnik wojny obronnej we wrześniu 1939r. wróciłem do Wiskowa, aby dowiedzieć się, co tam wniosła wojna, czy jest możliwe dalsze zatrudnienie w nowym układzie warunków życia i pracy. Oto zmiany:

Dziedzic pośpiesznie zakończył parcelację majątku i stąd wyjechał, pan Leonowicz musiał się przenieść do leśniczówki, gdzie nastąpił po zmarłym poprzedniku, kierownik szkoły wyjechał do rodziny w Łaszczowie. Jego następczynią ustanowiła rada wiejska niejaką Duńkę (przed wakacjami była uczennicą ukraińskiej szkoły handlowej w Sokalu).

moja koleżanka z Lublina siedziała na walizce i czekała na zrządzenie losu. Miała uczyć, ale wciąż jeszcze jej status nie został ustalony. Moje rzeczy były złożone w bokówce przy szkole.

Mój powrót z wojny obiegł wieś błyskawicznie. Wieczorem miałem u siebie delegację wsi z sołtysem na czele. Powiedzieli mi, że cieszą się z mojego powrotu i mają nadzieję że zostanę, aby uczyć dzieci geografii przyrody i rachunków, "bo Duńka nic nie umie". Powstał szkopuł, że ja nie znam języka ukraińskiego, ale na razie trzeba uruchomić szkołę, a potem będziemy jeszcze radzić. Pani Rybicka zgodziła się już pozostać i uczyć klasę pierwszą i drugą. Oświadczyli, że nie wiedzą, co jest z kierownikiem, bo wyjechał przed wakacjami i nie dał o sobie znaku życia, a tu już listopad.

Rozeszliśmy się właściwie z niczym. Wymówiłem sobie 2 - 3 dni do namysłu.

Późnym wieczorem następnego dnia do drzwi mojej izdebki zastukał jakiś mężczyzna, z głosu nieznajomy. Chwila wahania, że ten ktoś przez drzwi przedstawi mi się:

- Jestem Gan. Uczył pan moją córkę w czwartej klasie, Ninę. Niech się pan nie boi, przychodzę z podziękowaniami. Pan był dobry dla mojej córki.

Uspokoilem się nieco i otworzyłem drzwi. Wszedł wąsaty chłop i rozpoczął od wyjaśnień, dlaczego tak późno składa mi wizytę:

- Chcę, aby o mojej obecności u pana nikt we wsi nie wiedział. Nie wiem, co pan o mnie wie, ale ja o panu wiem dużo od swojej żony i córki. Przypomnę panu zdarzenie sprzed kilku miesięcy. Moja córka spóźniła się na pana lekcję. Pan zapytał: dlaczego spóźniłaś się? Ona stała przy drzwiach i nie odpowiadała, bo zauważyła nieznajomego człowieka w klasie (był to wizytator). Wówczas pan zbliżył się do niej i pow-

wtórzył pytanie, nachylając ucho do odpowiedzi. Dowiedział się pan, że skończył jej się "kajet", ale na nowy nie miała groszy, czekała więc aż kura zniesie jajko i ona jeszcze ciepłe zaniesie Maksimowi (sklepikarz) i zamieni je na zeszyt, ale się nie doczekała, więc przyszała bez "kajetu" i rozpłakała się... Pan, jakby nic się nie stało, otworzył szafę sklepiku uczniowskiego, wręczył jej "kajet" i kazał jej usiąść w ławce na zwykłe miejsce.

Usiłowałem zbagatelizować sprawę, ale on perorował:

- Czy wszyscy nauczyciele tak robią? Czy to należało do pana obowiązków?

Zapewniłem go, że tak. On zaprzeczał. Miał jakieś inne doświadczenia ze szkoły. Mówił jeszcze o innych epizodach szkolnych i powodach swojej wdzięczności. W pewnym momencie przerwał swoje wywody.

- A teraz do rzeczy. Zapewne niepokoi pana fakt, że przyszedł kryminalista i opowiada swoje "michałki", ale mam panu coś doradzić. Słyszałem, że była u pana delegacja wsi z sołtysem i namawiała, aby pan ze swoją koleżanką zostali i uczyli w szkole. Ja wam odradzam. Od ludzi tutejszych nic wam nie grozi. Byli z was zadowoleni, ale mogą nastać "zagony" i będą "wykurzać" Polaków. Przyjdą z daleka nocą i zrobią swoje. Dobrze zrobił wasz kierownik, że już przed wakacjami uszedł stąd ze swoją rodziną. Niemcy popierają rebelię Ukraińców przeciw Polakom. Faszyzm niemiecki i nacjonalizm ukraiński są ze sobą w przymierzu -.

Chciałem dodać, że przymierze to zostało zakleszczone paktem zawartym przez Ribentropa i Mołotowa, ale nie znałem jeszcze szczegółów tej sprawy, zresztą nie wypadało pytać komunisty, co sądzi na temat polityki Stalina, choć na pewno wiedział o rozwiązaniu Komunistycznej Partii Polski w ubiegłym roku.

Podziękowałem swemu rozmówcy za poradę. Wewnętrznie byłem już

zdecydowany opuścić Witków, ale jak?

Do kolejki wąskotorowej w Tuczapach 17 km. Do kolei szerokotorowej w Hrubieszowie 27 km. Od paru dni rozpadał się drobny deszcz i borowinowe drogi rozmiękły na ciasto, moja koleżanka prosi mnie, abym jej nie zostawiał, a oboje mamy trochę dobytku, nieco książek.

Zwróciliśmy się do zamożnego prawosławnego gospodarza, który w poprzednich latach był naszym woźnicą. Nigdy nam nie odmawiał. Odwrotnie, p. Sapa (tak się nazywał) wdzięczny był za "świeży grosz". A teraz jesteśmy w szczególnej potrzebie i on nam odmawia. A to daleko, a to droga ciężka. Przypomnieliśmy mu że do Tomaszowa było 45 km i nie wahał się jechać furmanką. Nasz wyrzut skwitował wieloznacznym stwierdzeniem: - To był inny czas.

Poszliśmy do p. Leonowiczów w leśniczówce, aby nam coś poradzili. Budynek solidny, ale drewniany. Na parapetach worki z piaskiem, zamaskowana broń palna (myśliwska), na zapiecku kilka granatów. W razie czego będziemy się bronić - mówi Janek - syn pp Leonowiczów. Rady nie było. Konie zostały oddane dla wojska, resztę zabrali Niemcy.

Wieczorem udałem się do Gana, zreferowałem mu nasze kłopoty. Gan niby do swojej żony, niby do nas mówi: - Nasza szkapina nie uciągnie.

Do tego wtrąca żona:

- Prawda, że mamy jednego słabego konika, ale przecież sprzęgaliśmy się z konikiem sąsiada. Idź i proś. Co będzie pożyczone, będzie oddane -.

Gan poszedł, ja czekałem w niepewności. Niedługo wrócił zadowolony i od progu powiedział:

- Jutro, skoro świt, bądźcie gotowi, bo podjadę po was.

Noc zeszła mi na przygotowaniach do odjazdu i na rozważaniach.

Na niewiele zdały się nasze 4-letnie wysiłki w budowaniu pomos-

tów między Polakami, Ukraińcami, prawosławnymi i katolikami, wreszcie między nacjonalistami i komunistami. Wystarczyły dwa miesiące, aby zniszczone zostało to, co już kiełkowało. Ludzie od pokoleń współżyjący ze sobą, często skolidaceni węzłami pokrewieństwa wpadają do wrogich sobie obozów. Miraż obietnic okupanta satarły wczorajsze oblicza ludzkie, by je przekształcić w bestie.

Przyszłość miała urzeczywistnić skowrogi "zagony". W dwa lata później dowiedziałem się od żony mego kolegi, że jej mąż Ryszard Suprynowicz (nauczyciel) został sadziubany widłami w stogu siana, gdzie się ukrywał, naszego kierownika szkoły dopadli w Iaszczowie i zarżnęli nożami. To nie była zemsta, bo nie było za co, ale na wzór hitlerowskiego "Lebenmaun" Ukraińcy poprzez ludobójstwo widzieli opróżnione dla nich ziemie i urzędy.

Gan, tak jak powiedział, o świcie stanął z furką pod szkołą. Usadowiliśmy się na wiązce słomy i koniki ruszyły. Tylko z góry mogły podążyć klusen, przeważnie kroczyły stępa, a w rozmiękkłym trakcie nawet przystawały. Po ośmiu godzinach dojechaliśmy do Hrubieszowa. Woznica zakoczył konikom torby z obrokami, derkami przykrył parujące zwierzęta.

- Muszą odpocząć, bo ustana w powrotnej drodze - powiedział, jakby do siebie.

- Panie Gan, a ile jesteśmy panu winni za wyświadczoną przysługę? -

- zapytałem.

- Jak bym śmiał wziąć od was cośkolwiek! Nie ma mowy!!

Dał się tylko nakłonić na wspólny posiłek. Udzień przy stacji udało mi się kupić pół litra okowity, kilo kiełbasy i bochenek chleba. Kubeczki mieliśmy własne, więc przysiadłszy na furce częstowaliśmy się, życząc sobie nawzajem, abyśmy mogli spotkać się jeszcze, już po wojnie.

Do tego jednak nie doszło.

Wspomnienia o Bojku, Staniku, Ganie zmieniły mój stosunek do komunistów mimo to, że mandatariuszem ich działalności były Sowiety, które potajemnie układały się z hitlerowskimi Niemcami i dopuściły się czwartego rozbioru Polski. Myślałem tak: skoro tacy ludzie jak Stanik i jak Gan zawierzyli komunizmowi to warto wyjść mu naprzeciw, a nie zwalczać go. Kto mógł wiedzieć, że polscy Komuniści zostali wmanewrowani w imperialne oszustwo Stalina o budowie społeczeństwa bezklasowego, rzekomo szczęśliwie rozwijającego się w trwałym pokoju?

Chociaż polscy komuniści na razie mieli prawo azylu w okupowanej Polsce (ze względu na przymierze zawarte ze sobą przez obu zaborców), to jednak zawiesili swoją działalność w oczekiwaniu dalszych wypadków.

Gdy 10 października 1939r. dotarłem do rodzinnego domu - ojciec mnie przywitał słowami:

- Przynajmniej jeden... o Władku i Antonim nie ma wiadomości -.

Przy stole w kuchni siedział Żyd - Fule, rówieśnik mego najstarszego brata. Podczas relacjonowania swoich przeżyć z walk odwrotowych od Śląska pod Tomaszów Lub. i Lipsk, Żyd poraził mnie nieoczekiwanym pytaniem:

- Panie Stefanie, gdzie wasza Polska?

Odpowiedzi nie było. W tym pytaniu bowiem wyraził niepoprawny obywatel Polski swoje lekceważenie dla "sezonowego" państwa" (tak określali Polskę komuniści i Niemcy). Czyżby Fule w naszej narodowej tragedii widział zwiastuna lepszych czasów dla siebie?

Kłopotliwe milczenie przerwał mój najmłodszy brat - Geniek (lat 15) który cisnął w niego kontrpytaniem:

- A na kogo trzymaliście broń i amunicję pod podłogą waszej bożnicy?

(podczas bombardowania przez Niemców torów kolejowych i transportów bomba trafiła w dom modlitwy Żydów powodując pożar). Wszyscy musieli uciekać daleko od eksplodującej, nagromadzonej tam amunicji. Niech Fule powie, jakie mieliście plany ? - pytał Geniek.

Fule poczuł się nieswoje. Było mu chyba trochę głupio, gdyż nasza rodzina miała z nim od dawna gospodarcze powiązania. Wkrótce potem zebrał ^{zresztą} znaczny majątek i upłynniwszy go na kosztowności, wraz z małoletnim synem poszedł na wschód. Tam zorientował się, że sowiecka straż graniczna ograbi go ze wszystkiego, wolał więc wrócić z powrotem do wsi, która zapewniła byt jemu i synowi. Obaj przeżyli i po wojnie, sprzedawszy prawa spadkobiercze do majątków rzekomo swoich krewnych wyjechali do Izraela.

Za ukrywanie Żydów płaciło się głową, a mimo to tysiące tych ludzi było przechowywanych przez Polaków i ocalało, choć nie zawsze byli oni czułym synami kraju, który był ich przybraną ojczyzną przez wieki. Pytanie Fulego o los "waszej" Polski świadczyło o tym, że on i może wielu innych nie bardzo się z tą Polską utożsamiało. Dziwić jednak może, że w klęsce Polski nie dostrzegał własnej tragedii. Nie odbyła się jeszcze osławiona "konferencja" w Wansee, która zdecydowała o "ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej". Ale każdy, kto słyszał o ustawach norymberskich, o "Kryształowej Nocy", o rozpoczynającym się grodzeniu gett nie mógł mieć złudzeń - Niemcy hitlerowskie dążyły do zagłady narodu żydowskiego.

Przed wojną Żydzi byli znani ze swojego wewnętrznego solidaryzmu. Ten solidaryzm i podkreślana konsekwentnie kulturowa odrębność bywały w międzywojennej Polsce przyczyną różnorodnych napięć. Trzeba pamiętać że Żydzi stanowili w Polsce wyjątkowo liczną mniejszość - było ich ponad 3 miliony, co stanowiło prawie 10 procent ogółu ludności w Polsce ! Tylko margines tej gigantycznej mniejszości stanowili ludzie bogaci - ci zresztą zwykle dość łatwo asymilowali się.

Cała ogromna reszta Żydów polskich była po prostu bardzo biedna, tworzyli oni armię drobnych pośredników, czujnych na każdą okazję zarobku, od wieków wprawionych w pilnowaniu targowisk, skrzyżowań dróg, wszystkich miejsc, gdzie można było coś kupić i sprzedać. Podobnie biedna i tragicznie przeludniona była polska wieś. Łatwo sobie wyobrazić, jak wielką zaradnością musiał się wykazać przeciętny "chłopski syn" z małorolnej, wielodzietnej rodziny szukający szczęścia w pobliskim miasteczku. Przedsięwzięcie takie kończyło się najczęściej porażką - cała nieskomplikowana infrastruktura ekonomiczna takiego przeciętnego miasteczka we wschodniej Polsce (drobny handel, rzemiosło) była opanowana przez Żydów. Było to wspólne nieszczęście biedoty polskiej i żydowskiej - miłość bliźniego ustępowała miejsca sprzeczności interesów.

Mimo tych i innych sprzeczności wspólnoty polska i żydowska żyły na tej ziemi od wieków. Teraz, po wybuchu wojny, obydwie znalazły się w śmiertelnym zagrożeniu. Należy pamiętać, że pierwszymi ofiarami masowych morderstw stali się przedstawiciele polskiej inteligencji - ziemianie, oficerowie, nauczyciele, księża, urzędnicy, prawnicy, lekarze, naukowcy. Zza Buga nadchodziły wieści równie złowrogie jakie mieliśmy w Generalnej Guberni - urzeczywistniała się historyczna prawidłowość dwóch wrogów. W chwili, kiedy wyjęto spod prawa cały naród żydowski, okazanie im solidarności i pomocy było odruchem naturalnym który zwykle jednoczy prześladowanych i zagrożonych. Przez wieś okupacyjną przewinęło się wielu ludzi szukających schronienia. W pewnym okresie na prośbę p. Czesława Osińskiego przechowywałem przedstawicieli inteligencji żydowskiej i było to dla mnie coś najzupełniej normalnego. Nie ukrywałem ^(natomiast) swojego z-dziwienia wobec wyraźnie proradzieckiej postawy u niektórych ^(z nich) i to w okresie, kiedy armia hitlerowska posuwała się naprzód wspomagana surowcami sowieckimi. Nie udało mi się też nikogo z nich spotkać w ruchu oporu organizującym się na moim terenie, choć podziwialiśmy potem heroizm bohaterów powstania w Getcie Warszawskim.

III. PRZYPEYW WIARY I NADZIEI

22 czerwca 1941r. nad ranem obudził mnie nieznośny hałas motorów i kanonada artyleryjska. Ziemia się trzęsła od wybuchów bomb i pocisków. Wieloczłonowe eskadry samolotów różnych typów kierowały się na Wschód i nawracały innym kanałem powietrznym. Latały cały dzień.

Armia niemiecka wciąż odnosiła zwycięstwa. W październiku znalazł się niedaleko Moskwy, u szczytu swej potęgi.

W tumanach kurzu wlokły się długie kolumny głodnych i zmęczonych jeńców radzieckich do obozu, którego całe wyposażenie - to podwójne rzędy drutów kolczastych i wieże wartownicze dla straży z karabinami i pistoletami maszynowymi. W środku chłopskie zagony z niedojrzałym jeszcze zbożem.

Był to Kriegslager - Suchożebry, położony niedaleko szosy łączącej Siedlce z Sokołowem Podlaskim. Pojemność obozu była znaczna, oceniana przez nas na 60 - 80 tys. ludzi. Ludzie marli z głodu i chorób. Początkowo dożywiali się zieleniną, ale nie na długo jej starczyło. Chleba otrzymywali 200 - 300 gramów na dzień, do tego surowe warzywa i odpady z nich (liście kapuściane i buraczane, obierzyny ziemniaczane^Z/kuchni niemieckich). Śmiertelność była ogromna. Zwłoki układano w długich dołach na skraju lasu po drugiej stronie szosy. Ciała z zasypką tworzyły przyzmy na wysokość człowieka, w miarę upływającego czasu zapadające się, ale wciąż widoczne.

W obozie ubywało ludzi, ale przybywali wciąż nowi pod silną strażą. Rodziły się pytania:

- Jacy oni są? Co i jak myślą? Czy w ogóle myślą? Jaki jest ich stosunek do Polaków i do Stalina?

Jak zwykle, spałem w stodole na sianie. Około północy usłyszałem

równe, długie serie strzałów z broni maszynowej. Wyjrzałem przez otwór w szczytowej ścianie stodołki w kierunku wsi Żytni i Chodowa. Ten odcinek prześwieślały snopy światła "Jupiterów". Siąpił drobny deszczyk. Ponieważ strzały ucichły, ułożyłem się z powrotem na postaniu, nasłuchując pojedynczych strzałów karabinowych. Ciekawość wzrastała, bo zaczęły ujadać psy. Szczekanie słychać było coraz bliżej. Tak jakby zwierzęta przekazywały sobie kolejno to, co miało nastąpić - wreszcie i nasz pies rzucił się do przodu z ujadaniem, to znów od kogoś uciekał. Obiegał zabudowania i znów atakował.

Zebrałem się w sobie i wybiegłem ze stodoły, aby wesprzeć psa w ataku. Nie miałem latarki, aby szybko zorientować się, co się dzieje, ale w szarzyźnie przedświtów zauważyłem, że kilku ludzi, nie zwracając uwagi na psa i na mnie, myszkowało po ogródku warzywnym, wybierając ogórki, chciwie gryząc i połykając je. Nasyciwszy się, ładowali buraki, marchew do swoich woreczków.

Uciszyłem psa, próbując nawiązać rozmowę z przybyłymi. Ostrożnie pytam przyciszonym głosem:

- Kto wy? Kto wy?

Ci ludzie nie odpowiadali. Robili swoje. W pewnej chwili rozbiegli się i znikli w szary mrok.

Już rankiem tego samego dnia wiadomo było, że byli to jeńcy radzieccy, zbiegli z obozu w Suchożebkach, którzy na umówiony sygnał podbiegali do zasieków z drutów kolczastych, zarzucali na nie płaszcze, koce i tłumem napierali na druty, które przy naprężeniu pękały. Oczywiście straż obozowa uruchomiła swoje działanie, ale nie mogła powstrzymać tych, którzy znaleźli się już poza ogrodzeniem. Ilu jeńców zginęło tej nocy nie wiadomo. Niemcy opanowali bunt obozowy. Następnego dnia, wracając furmanką z miasta widziałem, że patrole Niemców

przechasywały osiedla i laski w obrębie Igań i Wesółki. W rowie przydrożnym siedziało dwóch ujętych Rosjan, zrezygnowanych i wyczerpanych. Nieopodal stał żandarm z karabinem gotowym do strzału.

W godzinach popołudniowych tego dnia pojawiły się ogłoszenia rozprowadzane przez sołtysów, które nakazywały ludności meldować o kryjówkach jeńców radzieckich. Jednocześnie ostrzegają, że osobom udzielającym pomocy ukrywającym się bolszewikom grozi kara śmierci.

Niebezpieczeństwa zagęszczały się.

Pewien Żyd - przyjaciel mego niedawno zmarłego ojca - mawiał filozoficznie:
- Mnie wszystko jedno, kto mnie zabije. Jak mnie Niemcy złapią - zabiją. Jak mnie u pana znajdą - nas oba zabiją. A więc w naszym interesie jest, aby mnie tutaj nie znaleźli. Jedno wyjście, niech mnie pan zabije i będzie spokój, albo niech pan mnie ochroni.

Chroniłem, ale mój podopieczny kręcił się po gospodarstwie, a ktoś stał przy brzoźce i wołał z daleka:

- Ach wy szlachcice, trzymacie parchów!

Złota się wam zachciewa!?

Ledwie uporaliśmy się z grupą Żydów, umiejscawiając ich w wolnostojącej stodole, a tu znów jeńcy sowieccy.

Na szczęście nie zostało ich tak wielu, jak początkowo mogło się wydawać. Jedni, słabsi zostali wyłapani z zarośli przez Niemców, sprawniejsi rozśrodkowali się i przechodzili za Bug.

Na kolonii Świerczyna było ich na początku czterech, a tak naprawdę zostało dwóch, którzy związali się z nami prawie do końca wojny: Michał i Paweł. Michał był na całkowitym naszym utrzymaniu, gdyż w czasie ucieczki seria z karabinu maszynowego "sfastrygowała" mu przedramię. Ręce zostały pogruchotane. Ręka trzymała się tylko na podziurawionych ścięgnach i skórze. Dowłókł się do domostwa Kosieradzkich.

Szczęśliwie się skończyło, że przebywała u rodziców pani Helena - pielęgniarzka i akuszerka. Ona to orzekła:

- Trzeba zrobić amputację, a to może wykonać tylko chirurg. Trzeba go umieścić w szpitalu.

Michał zrozumiał o czym mowa i zaprotestował:

- Ja nie chcę w gorech. Ja nie chcę!

Nożem odiełajcie i wsie! -

I tak się stało. Pani Helena wyostrzyła nóż kuchenny wygotowała go i odkażila spirytusem i przyłożywszy odpowiednio, oddzieliła fioletową od skrzepów rękę od ramienia. Michał syczał z bólu, ale nawet nie krzyknął. Oczywiście opatrunek był zrobiony fachowo, z użyciem sastrzyku przeciw zakażeniu, jodyny i prawdziwego bandaża.

Michał zjawił się u nas pewnego wieczoru już z pustym rękawem i w cywilnym ubraniu. Coś go spłoszyło w poprzednim miejscu. Stał przy progu, milcząc, ale można było poznać, że jest głodny. Posadziliśmy go przed kominem na wieżce chrustu i między kolana wstawiliśmy miskę z resztkami kolacji. Ocalałą lewą ręką wrzucał kluski do ust. Dla niego był to obiad i kolacja, więc dostał na wynos pajdę chleba. Kto wie, czy sje śniadanie?

Wstał, skinął ładnie głową i ze słowami "balszoe spasiba" odszedł. Dokąd? Nie pytaliśmy. Następnego wieczoru przy jedzeniu, chcieliśmy go zagadywać, aby coś o sobie powiedział, ale on tylko pomrukiwał, i z tego rozumieliśmy, że woli nie mówić. Był nieufny, a może my byliśmy za bardzo natarczywi i ciekawi. Z trzech braci każdy o coś pytał. Dla swego bezpieczeństwa celowo zmieniał dni odwiedzin, ale zawsze przychodził późno wieczorem. Wiedzieliśmy, że nocuje gdzieś w naszych budynkach, ale gdzie - mogliśmy się tylko domyślać. Ponieważ w obrębie kilku domów kolonii wszyscy go znali, więc w każdym domu mógł się po-

jawić niespodziewanie, zmieniając taktykę swego ukrywania się. Wiosną 1942r. obrał sobie nasze gospodarstwo na pobyt stały. Znajdowało się ono w języku pól ornych między olszyną od północy i lasem sosnowym od wschodu.

Wspomniany wyżej Paweł stałego pobytu nie miał. Pojawiał się od czasu do czasu. Był pogodny, jasnowłosa czuprynę wadzał w półotwarte drzwi i po polsku mówił - dzień dobry -.

Zjadał, co mu podano i udawał się na rozmowę poufną z Michałem. W jaki sposób odnajdywali się w obejściu, było dla nas zagadką.

Umiejętności maskowania się Michał zawdzięczał swoje przetrwanie. Jesienią 1942r. młóciliśmy żyto. Skoro już zaistniała milcząca zgoda na pobyt Michała u nas i usankcjonowaliśmy taką sytuację swą życzliwością - Michał bez pozwolenia odciągał jedną ręką wymłócone już snopy słomy na podwórze. Młocarnia była w ciągłym ruchu. Wszystkich pochłonięła ciężka robota w tumanach kurzu. Poddawałem rozwiązane snopy zboża do bębna maszyny. Aby zaczerpnąć świeżego powietrza, skręciłem głowę w prawo, ku otwartym wierzchołkom. Zmartwiałem. Na podwórze wjeżdżali już dwaj żandarmi z blachami na piersiach: - Feldpolizei -, a tu Michał idzie w głąb klepiska po następny snop słomy.

Michał zauważył moje zdenerwowanie, kiedy zawołałem: - Hoolaa - - znak na wstrzymanie koni i rozdygotanymi rękami wpychałem nierozwiązany jeszcze snop zboża, by zatrzymać maszynę. Michał w lot ocenił bezbłędnie sytuację: próba ucieczki mogła go tylko zgubić i nie tylko jego. Stanął więc, jak wryty w kąci, jaki tworzyły sterczące snopy w sąsiedku i szeroka belka, na której były zawieszony otwarte wierzchołki. Niemcy wchodzili z dworu, gdzie panowała jasność południowego słońca do zakurzonego pomieszczenia w cieniu. Nie zauważyli Michała. Pod pretekstem zaczerpnięcia świeżego powietrza i pozbycia się kłaczek ku-

rze z nosdrzy, wyszliśmy przed stodołę, a więc cofnęli się również żandarmi. Michał pozostał bez ruchu, w stodole. Żandarmi pytali, kto jest kto. Otrzymawszy informacje, idą za mną, zdejmującym ochronne okulary, otrzepującym ubranie z plew. Coś do mnie mówią, ja nie bardzo rozumiem, o co im chodzi (zdaje mi się, że żądają drabiny). Już raz, trzy lata temu stałem z ojcem pod pistoletem, a agenci buszowali po strychach i obejściu. Wtedy się udało... A teraz? Ten Michał, te schowki broni, ponadto... czy ja wiem, czy ktoś gdzieś nie siedzi?

Wtem zostałem otoczony skrzydlatą gromadą kurczaków, które co roku hodowałem przy sztucznej matce. Przywisały się do mnie, jak do kwoki, bo wciąż je karmiłem. Karmazyny były okazałe, dobrze wyrośnięte.

Jeden z żandarmów przerwał moje zmieszanie i powiedział, o dziwo, po polsku:

- Jeden kogutek dla komendanta, jeden dla mnie -.

Oczywiście otrzymali to, co chcieli. Wsiadli na konie i odjechali.

Epizod z żandarmami, szczęśliwie zakończony, przyczynił się do zadziorniejszego bliższych kontaktów z Michałem. Dowodził, że nic lepiej nie ochroni człowieka - jak bezruch, skamieniała postawa. Na poparcie tej prawdy zaczął opowiadać swoje zdarzenia z frontu, no i z okresu swojego pobytu u nas. Zapytał mnie: ile razy widziałem go w pobliskim lesie?

Odpowiedziałem, że jeden, jedyny raz w dołku po karpi-nie. A ja pana widuję często - zareplikował.

Pewnego razu zauważyłem, że Michał sylabizuje i powoli składa zdania z "Kuriera", wyrzuconego pod komin na rozpałkę. Zacząłem mu więc oddawać przeczytane gazety. Czytał coraz sprawniej i nawet dowcipnie komentował tekst.

Pewnego dnia zapytałem go wprost:

-Powiedz mi Michale, jaki jest ten wasz Stalin?

Widziałem, że postawiłem go w kłopotliwej sytuacji. Był wyraźnie skrępowany. Swoją pozytywną oceną Stalina mógłby mnie zniechęcić do siebie. Gdyby mówił źle, mógłby się narazić swoim, gdy tu przyjdą. A więc liczył na zwycięstwo Armii Czerwonej. Powiedział tylko:

- Generalissimus Stalin "unicztorzy" (zniszczy) Hitlera. A świat antyhitlerowski wątpił, czy Rosjanie wytrzymają parcie do Wołgi, czy obronią Stalingrad. Matka proboszcza w Miwiskach, gdy jej dostarczyłem "Biuletyn Informacyjny" zniecierpliwiona odkładaniem drugiego frontu na Zachodzie, powiedziała:

- Panie ja bym połączyła się z diabłem, aby przeszkodzić w zwycięstwie Hitlera. Na co oni czekają? Na to aż Rosja padnie!? A potem, kto okiełzna bestię?

Wiosną 1943r. w naszym domu znalazły się trzy Rosjanki z piętnem zbiegów, uciekinierek z transportu do Niemiec: Katia - lat 30 z trzyletnią córeczką i siostrą Zoją - lat 17.

W ucieczce pomógł im Rosjanin, który w Siedlcach żył i pracował od czasów Rewolucji, której nie chciał podzielać. Odstąpił rodaczkom jeden pokoik. Front Wschodni pożerał coraz większe kontyngenty wojska niemieckiego. Na skutek dywanowych bombardowań miast niemieckich osoby cywilne i oddziały jednostek wojskowych przenoszono do Generalnej Guberni, aby uniknąć nadmiernych strat w ludziach.

W budynku mieszkał wysiedlony krawiec z Poznania, którego dobrze znałem. Obaj z białogwardzistą doszli do wniosku, że bezpieczeństwo uciekinierek jest zagrożone, bo kwatermistrze już oglądali lokale i zostawili ich wykaz do opróżnienia. Wówczas krawiec, znając moją sytuację (zmarli rodzice)pertraktował o umieszczenie u mnie Rosjanek.

One przyjmą wszystkie warunki, aby tylko mogły przeżyć wojnę.

Zgodziłem się. Katia od pierwszego dnia okazywała swoją wdzięczność i z miejsca zajęła się porządkowaniem domu i gotowaniem strawy. Robiła to czysto i bardzo dobrze. W swoich wypowiedziach wykazywała umiar i takt, ale była dość rozmowna. Powiedziała, że mąż jej był w armii pod Stalingradem, a ją z dzieckiem i z siostrą wieziono do Niemiec w niewiadomym charakterze (dziecko mogło być jej odebrane).

- Taka czestnaja ruska žena i mać - powiedziałyby rosyjski patriota (taka godna žena i matka).

Diametralnie różna od niej była Zoja. Zadzierzysta, popędliwa. Była wychowanką Komsomołu. Kłóciła się z moimi młodszymi braćmi (prawie w jej wieku). Przez przekorę drażnili się nawzajem. Do roboty nie garnęła się, wręcz unikała jej. Zajmowała się tylko swoją malutką siostrzeniczką.

Nie wszyscy zbiegowie z obozu w Suchożebrach zadawali się jak-żeś mużną ofiarowywaną przez okoliczną ludność, z narażeniem własnego życia, nie wszyscy szukali kontaktów z radzieckimi oddziałami partyzanckimi. Byli tacy, którzy budowali własne ziemlanki i grabiąc bezbronnym wieśniaków zdobywali odzież, żywność. Zabierali nawet do swych kryjówek poduszki i pierzyny. Za argument do wymuszania uległości służyła brzytwa, nóż lub tępe narzędzie, a niekiedy nawet rewolwery.

Pewnej niedzieli mieszkańcy Zaliwia w drodze do Kościoła zauważyli w wodach Liwca topielca. Po wydobyciu zwłok okazało się że był to komendant policji granatowej w Mokobodach - Sikora, któremu ktoś podrzynał gardło i zepchnął do wody.

Cała okolica była wstrząśnięta tym mordem, tym bardziej, że nie był on zwykłą "gliną". Był człowiekiem szanowanym, bo odważnie angażował się w zapewnienie bezpieczeństwa mieszkańców i ich dobytku. A tu nie-

wątpliwie karabin Sikory dostał się w ręce przestępcy. Powiadomieni Niemcy zjechali samochodami z Siedlec, ale po przeprowadzeniu formalnego dochodzenia, odjechali jeszcze przed zmierzchem do swego garnizonu, nawet nie przeprowadziwszy obławy.

Niedługo potem naszą gminę wstrząsnął fakt zastrzelenia młodego kolegi Stanisława Kosieradzkiego. Ożenił on się z dziewczyną, która miała podnieść jego prestiż społeczny ^{-jego wybranka była} wykształcona i zamożna.

Bardziej zorientowani w układach snuli nieprawdopodobne wersje, ale prawdopodobnie Staszek został zastrzelony przy użyciu karabinu Sikory.

Wdowa po Staszku w rok potem pocieszyła się, przystając do oficera Armii Wyzwoleńczej. Była mu potrzebna w okresie dłuższego zamrożenia frontu w czasie Powstania Warszawskiego. Potem poszedł wraz z innymi do Berlina i dalsze ich losy są mi nieznane.

W okolicy mnożyły się kradzieże, włamania, najścia z bronią w rękę, terrorystyczne grabieże. Szczególnie napastowane były pojedyncze zagrody, sąsiadujące z lasami. Właścicielem takiego gospodarstwa był Zygmunt Kisieliński, który bronił swego majątku przy pomocy dubeltówki. Jako doświadczony kłusownik strzelał niezawodnie. Lępił wążsających się rzezimieszków, naraził się więc zorganizowanej bandzie, która wciąż ponawiała próby podejścia do jego gospodarstwa, ale za każdym razem musiała się wycofywać, tracąc kogoś ze swego składu. Ciągłe polowanie na siebie mógł znosić tylko Zygmunt. Pewnego dnia zastrzelił herzeta bandy o twarzy Mongoła, przy którym znalazł "obrzynka" (karabin z obciętą lufą i częścią kolby), Zygmunt skojarzył tę broń z karabinem Sikory. Okoliczność tę postanowił wykorzystać, aby nobilitować ^{się} w oczach miejscowej społeczności. Ludność bowiem nie pochwałała

zawadiackich poczynań Zygmunta. Unikano go, a nawet posądzano o obłąk. Choć nikomu z Polaków nie uczynił krzywdy budził wiele kontrowersji. Nie pomogło mu hasło, którym się posługiwał:

- Polska dla Polaków!

Strzelanina nie uszła uwadze niemieckiej służby bezpieczeństwa. Zygmunta aresztowano. Posiadanie broni palnej Niemcy karali śmiercią, ale w tym przypadku, kiedy numer ewidencyjny komory obrzynka zgadzał się z numerem metryki karabinu Sikory (znajdującej się na posterunku w Mokobodach) uznali Kisielińskiego za przydatnego do tępienia bandytów. Przydzielono mu karabin z pozwoleniem noszenia go, już oficjalnie.

Kręte i splątane były drogi ludzi w upiornych latach okupacji. Zygmunt mógł być uznany za bohatera. Niestety, warunki jego egzystencji i okoliczność wojny pozbawiły go dobrego imienia. Podobno wyrażał chęć przystąpienia do Armii Krajowej, ale komendant rejonu nie zgodził się, a nawet rozważano sprawę likwidacji Kisielińskiego, ale orędownicy zaręczali, że przenigdy nie będzie on szkodził sprawie polskiej, bo ma wady i zalety "polonusa". Podjęto decyzję:

"Zasługi i winy Kisielińskiego niech rozważy sąd po ustaniu okupacji. W warunkach konspiracyjnych obiektywne spojrzenie na działalność Zygmunta jest niemożliwe". Z Kisielińskim dane mi było się jeszcze spotkać.

Parę zdań o tym, co robiłem ja:

W listopadzie 1939r. za pośrednictwem mego byłego nauczyciela zostałem zaprzysiężony w Siedlcach do SZP (Służba Zwycięstwu Polski). Zlecono mi pracę o charakterze kontrwywiadowczym. W 1941r., po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej skierowano mnie do ZWZ - AK w placówce "Niwa" dla organizowania III plutonu, zbierania i zakupowania broni, kolportowania prasy (regularnie "Biuletynu Informacyjnego").

Brałem udział w ochronie rzutów lotniczych w rejonie Mokobody. Do swoich osiągnięć mogę zaliczyć rozszyfrowanie groźnych agentów Gestapo, braci Wasilewskich (posiadali już listę Polaków do aresztowania). Współuczestniczyłem w ich likwidacji na rozkaz przekazany nam przez majora Jerzego Sasina (Kopka). Udałem się aresztowanie gajowego z Suchożebr (udzielał pomocy i schronienia zbiegom-jeńcom radzieckich z obozu) itd.

IV. BOLESNE ZWIASTUNI WYZWOLENIA

Piloradzieckie nastroje w moim środowisku miały swoje wzloty w trzech okresach wojny antyhitlerowskiej:

- po zawarciu układu Sikorski - Stalin w lipcu 1941
- po odparciu armii hitlerowskiej pod Moskwą w jesieni tegoż roku
- po klęsce armii gen. von Paulusa pod Stalingradem, zimą 1943r.

Stosunek społeczeństwa polskiego do walki z Niemcami był jednoznacznie przychylny, obojętne czy to były ugrupowania zjednoczone w ramach ZWZ - AK, czy ugrupowania pozostające pod własnym dowództwem B.Ch (Bataliony Chłopskie), czy WRN (Wolność Równość Niepodległość) czy NZS (Narodowe Siły Zbrojne) czy nawet antagonistyczne jednostki z PPR (Polska Partia Robotnicza). Orientowaliśmy się o swoim istnieniu, a nawet o niektórych objawach działalności, oczywiście przy zachowaniu konspiracji i tajemnic organizacyjnych. Na naszym terenie w zasadzie nie było ostrych rozgrywek ani tarć ideologicznych.

Gigantyczny walec militarny odwrócił kierunek: na Zachód.

"Bitwa o szyny", nasilenie aktów polskiej dywersji i sabotażu, nieudane próby montowania organizacji wojskowych do walki z bolszewizmem na wzór armii Własowa czy Bandery (z jeńców radzieckich) nie powiodły się. Niemcom nie udało się utworzyć nawet symbolicznych kompanii Polaków do walki z Rosją Radziecką. Zdawałoby się, że wysiłek polskiej armii podziemnej w dezorganizowaniu transportów zaopatrzenia armii niemieckiej, w walkach partyzanckich z siłami wroga będzie dostrzeżony i doceniony przez dowódców radzieckich.

"Biuletyn Informacyjny" podawał, że codziennie ginie z rąk hitlerowskiego okupanta 2000 Polaków.

15 kwietnia 1943r. Niemcy ogłosili straszliwą wiadomość o odkry-

ciu masowych grobów oficerów polskich w Katyniu. Jeszcze żudziłiśmy się, że to jest grubymi nićmi szyta mistyfikacja antysowieckiej propagandy Goebelsa. Trudno uwierzyć w tak straszną prawdę. Niemcy utworzyli komisję z udziałem wybitnych przedstawicieli różnych narodowości, w tym również Polaków, do uczestnictwa w ekshumowaniu i identyfikacji zwłok. Komisja podała nazwiska i inne dane osobowe ofiar w Kurjerze Warszawskim. Wśród nich znalazłem dane o moim bracie ciotecznym, por. Janie Pietrzykowskim, który przed wojną pełnił służbę zawodową w Korpusie Ochrony Pogranicza. Matka Janka otrzymywała kartki od niego, że żyje w obozie radzieckim. Ostatnią wiadomość od niego otrzymała w kwietniu 1940r.

Antypolskie oblicze ukazał Stalin, zrywając stosunki dyplomatyczne z rządem emigracyjnym w Londynie za samo zwrócenie się Władysława Sikorskiego do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o udział w międzynarodowej Komisji do badań zawartości grobów w Katyniu.

Stalin miał kłopoty z gen. Władysławem Anderssem, który uparcie poszukiwał zaginionych polskich oficerów, bo przecież nie może być armii bez dowódców. Stalin wówczas nie mógł być arogantem w sprawie wypuszczenia polskiego Wojska na Bliski Wschód. Musiał ulec Churchillowi, który tego się domagał, aby zabezpieczyć flankę południowo-wschodnią od ewntualnego nagłego ataku Niemców na Iran i zagłębie naftowe w Baku. Pozbywszy się kłopotliwego polskiego generała i jego armii nie musiał już liczyć się z rządem emigracyjnym. Obmyślił własne plany dotyczące sprawy Polski: zahamuje oskarżenia Związku Radzieckiego o ludobójstwo, pozbawi Polaków równoprawnego partnerstwa w układach, ubezwłasnowolni ich przez wprowadzenie własnych kadr dowódczych do następnej armii polskiej.

Walec wojny nieubłaganie toczył się ku dawnym granicom Polski.

I właśnie w tym czasie (30.VI.1943r.) zostaje aresztowany Grot-Rowecki, Komendant Główny Armii Krajowej. W 4 dni później (4.VII.1943r.) ginie Wódz naczelny Armii Polskiej, gen. Władysław Sikorski w katastrofie lotniczej nad Gibraltarem. Chcielibyśmy wierzyć, że zbieżność tych bolesnych faktów była przypadkowa, ale wyobraźnia ludzka nie zna granic i w głowach znękanych Polaków legły się robaki wątpliwości do okoliczności obu zdarzeń.

Posługując się "koniem trojańskim" w postaci Związku Patriotów Polskich, Stalin zażądał połowy terytorium Państwa Polskiego pod pretekstem ochrony interesów Ukraińców, Białorusinów, Litwinów. (w warunkach terroru dobrze już poznanego w 1939r.). Nikt nie upominał się o rozwiązana Komunistyczną Partię Polski. Związek Patriotów Polskich puścił w niepamięć martyrologię KPP.

Poszedłem do Czesława Osińskiego z myślą uporządkowania kłębiących się podejrzeń, aby upewnić się co do wątpliwości na temat kształtu terytorialnego i przyszłości ustrojowej Polski.

Nagle ja, nieupolityczniony akowiec, miałem wymieniść zdania z wytrawnym socjalistą. Oblał mnie z miejsca "zimną wodą". - Tak panie Stefanie, powinniśmy oddać Związkowi Radzieckiemu sporne terytoria. (47% obszaru przedwojennego).

- To pan panie Czesławie uważa, że do Wołynia, Podola, a przede wszystkim do Wilna i Lwowa - ZSRR ma większe prawo, niż my? Komu zawdzięczają te miasta swój rozwój, rozkwit? Zresztą, czy można anektować w XX wieku takie ośrodki nauki i kultury bez zasięgnięcia zdania samych zainteresowanych mieszkańców? Niech się wypowiedzą wobec jakiej komisji międzynarodowej, zapewniającej stanowisko neutralne.

- Przecież już się wypowiedzieli! - wtrącił p. Czesław

- Ale w jakich warunkach to się działo? W atmosferze terroru, wywołanej

aresztowań - atakowałem.

- O czym tu mówić, skoro Armia Czerwona taranuje Niemców i lada tydzień może tu być! - pojednawczo powiedział pan Czesław.

- To przypomnę panu bajkę Kryżowa "o wilku i jagnięciu":

- wobec silniejszego - słabszy nigdy nie ma racji-.

Tragiczny los zgotowali nam sprzymierzeńcy. Po co te szczytne hasła? Stalin głosi, że pragnie, aby Polska stała się silniejsza niż była kiedykolwiek. Rekord hipokryzji, bo wolność - zniewolenie oznacza, sprawiedliwość - bezprawiem się syci, miłość Ojczyzny - ma wyrosnąć z zaprzeczenia jej historii.

- prawda żywi się kłamstwem, oszustwem i obłudą

- pokój - zawołanie maskujące wojnę

- socjalizm tak - ale w wydaniu sowieckim.

Tu zamilkłem, bo ponosiłem mnie ze wzburzenia.

Żałowałem, że za dużo powiedziałem, czy nawet wykrzyczałem, ale uspokoiłem się nieco, mój słuchacz poprosił o zaopiekowanie się przez jakiś tydzień znaczącą osobą (Żydówką). Dostarczając jej książki do czytania dowiedziałem się od niej, że Ferdynand Goettel - to faszysta, a właściwie on miał, czy wziął udział w Komisji polskiej do zbadania grobów katyńskich (szczegół do zwątpień w wersjach co do sprawców mordu).

Wiosną 1944r. wysunięte ugrupowania wojsk radzieckich nawiązały łączność z 27 dywizją Armii Krajowej na Wołyniu. Mało tego, współdziałanie obu ugrupowań pozwoliło na wyjście z okrążenia niemieckiego. Nieoczekiwane żądanie podporządkowania się Polaków Armii Czerwonej doprowadziło po odmowie do okrążenia części polskich oddziałów, rozbrojenia i wcielenia do I Armii Berlinga. Wielu oficerów i żołnierzy AK przy przedzieraniu się do Prypeci i na południową lubelszczyznę

zginęło od kul sowieckich i niemieckich.

W lipcu 1944r. gen Krzyżanowski (Wilk) zarządził powstanie w Wilnie. Walki trwały cały tydzień. W końcu podeszły oddziały radzieckie, zdobyły resztę miasta i zażądały, aby zwycięskie oddziały polskie opuściły miasto. Oddziały polskie wycofały się do Puszczy Rudnickiej i tu zostały otoczone przez wojska "zdradzieckie" gen. Czerniachowski (zginął potem pod Pieniężnem). Oficerowie AK zostali aresztowani i wywiezieni do obozów, a żołnierze rozproszeni i w dużej mierze wyłapani. W akcji pacyfikacji Wileńszczyzny ponoc współdziałali z NKWD Stanisław Wroński i Jerzy Putrament, jako polscy komuniści.

W tym samym czasie podobny los spotkał oddziały AK we Lwowie. Po rozbrojeniu zostały wywiezione do ZSRR.

Bezprzykładnie heroiczna 63-dniowa samotna walka powstańców Warszawy wzbudziła respekt i podziw świata, nawet hitlerowskich zbrodniarzy - tylko nie gen. Rokossowskiego, który wykonywał rozkazy Stalina i oczekiwał na samozatrącenie miasta. Nawet zwycięski gen. von dem Bach przyznał powstańcom prawa kombatancie, ale nie fałszywi przyjaciele. Już wcześniej rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych apelowały do Sowietów, aby wydały wspólną deklarację, aby w ten sposób zapobiec ewentualnym morderstwom wziętych do niewoli powstańców. Na próżno. Nawet nie pozwolono na wahadłowe lądowanie samolotów zachodnich aliantów, niosących pomoc otoczonym zewsząd powstańcom Warszawy.

Oto zemsta za brak zgody na dobrowolne oddanie połowy terytorium państwa polskiego sowietom.

Nasz ośrodek wystawił dwa w pełni uzbrojone plutony, aby na rozkaz Komendanta Głównego AK generała Bora - Komorowskiego, podążyć na pomoc ginącej stolicy. Niestety nie zdołają przedrzeć się przez kordon

wojsk radzieckich, stojących pod Warszawą. Rozbroiły się więc same. Aby uniknąć aresztowania i wywózki, zakopawszy broń, wróciły rozproszone do swoich domów. Obyło się bez strat, bo ludność wsi ukrywała i żywiła chłopców, ostrzegała i wskazywała bezpieczną drogę do przejścia.

Mnie, jako dowódcy III plutonu (szkieletowego), przed odejściem rzutu bojowego na pomoc Warszawie, powierzono opiekę nad Placówką "Niwa". Do mnie więc ludzie zaufani zwracali się o informację: Co robić? Dlaczego nas aresztują? Przecież nie występujemy przeciw wyzwolicielom? Dlaczego rozbrajają nasze oddziały? Ktoś - uciekinier z "tamtej strony" - przyniósł wiadomość że Związek Patriotów Polskich szykuje nam los 17-tej Republiki radzieckiej. Nie wiedziałem wówczas, że Wanda Wasilewska i Stefan Jędrzychowski byli już członkami Wierchownego Sowietu ZSRR, a przebywający tam od 1939r. Bolesław Bierut był szefem polskiego wydziału w zagranicznym departamencie NKWD i pośrednio brał udział w akcjach oczyszczania Kraju z żywiołu opozycyjnego względem polityki ZSRR i że sprawa katyńska nie była mu obca.

Kolega ppor. rez. Bieniecki wyciągnął schowany radioparant lampowy i robił nasłuchy. Niemcy straszą nas "Iwanem", apelują o zjednoczenie wszystkich sił i wspólną walkę w obronie kultury europejskiej przeciw Azjatom ze Wschodu. Uruchomili podobno jakieś sakulisowe rozmowy wstępne z Narodowymi Siłami Zbrojnymi (NSZ), ale bez rezultatów.

29 lipca 1944r. radiostacja radziecka nadała apel do Polaków, by podjęli walkę z Niemcami, bo "chwila wyzwolenia nadchodzi".

30 lipca nadano takie wezwanie:

"Ludu Warszawy do broni.... Uderzcie na Niemca, udaremnijcie plan zburzenia publicznych budowli, pomóżcie Czerwonej Armii w przeprawie przez Wisłę. Przesyłajcie wiadomości, pokazujcie drogi.

Milion ludności Warszawy niechaj stanie się milionem żołnierzy, którzy wypędzą niemieckich najeźdźców i zdobędą wolność. Cała ludność miasta musi się połączyć w ogień Armii Wyzwolenia.

Obywatele Warszawy! Do broni!

Napadajcie na Niemców. Ułatwiajcie przejście przez Wisłę wojsku sowieckiemu. Milion mieszkańców - to armia miliona ludzi, którzy walczą o wolność Polski". (styl przemówienia Wandy Wasilewskiej).

Dlaczego więc, gdy Powstanie wybuchło i rozgorzało na dobre, Moskwa ucichła, a front rosyjsko - niemiecki znieruchomiał?

Zapewne Stalin zacierał ręce z zadowolenia, że ginęła reduta polskości dowództwo Armii Podziemnej z kwiatem młodzieży zgrupowanej w Szarych Szeregach.

31 lipca po bitwie pancernej Siedlce zostały zajęte przez Rosjan, przy efektywnym udziale grup AKowskich pod dowództwem nauczyciela por. rez. Czesława Dylewicza. Nasze patrole, zdobywszy plany wysadzenia zakładów i budynków miasta, zdołały udaremnić ten zbrodniczy zamiar przez nagłe uderzenie z bronią na minierów. Poległo sześciu AKowców, których nazwiska mają być przywrócone światu żywych dopiero teraz (nie bez oporów miejscowych czynników oficjalnych 1989r.

- Po co tyle tablic!? - pytają

Te nazwiska należą do historycznego dziedzictwa Siedlczan. Gdy gaśnie pamięć ludzka, dalej mówią tablice i kamienie.

Pierwsza połowa sierpnia 1944 r. Już od tygodnia słychać bitewną strzelaninę. Gdzieś od Skorca odzywają się słynne "organki Stalina". Wkoło rozbrzmiewa palba strażaków karabinowych. Za naszą stodołą wybuchają trzy pociski artyleryjskie. Na Sabince niedaleko zabudowań pp. Kosieradzkich, okopują się niemieckie obsługi trzech ciężkich dżugolufowych dział pancernych (Ferdynandów). Parę pocisków posyła

Niemcy na skrzyżowanie drogi we wsi Chodów. Nie ma innej rady jak wykopać doły osłonowe. Wnosimy cenniejsze przedmioty z drewnianych budynków. Rosjanki nam pomagają. Widać, ^{że są} rozpromienione ⁱ pełne werwy. Malutka Marusia, nieświadoma tego, co się dzieje, biega po podwórzu. Michał gdzieś się schował z powodu sąsiedztwa załogi niemieckiej przy armatach. W każdej chwili mogą tu wpaść, bo nie mają zaopatrzenia.

W Siedlcach krążą patrole NKWD. Na rogatkach stoi działko przeciwlotnicze i wysyła serię za serią pocisków ku górze. Nie ma co ^{się} gapić. Skoro nie udało się nawiązać kontaktu z dowództwem AK - trzeba wracać do domu. Tymczasem dowiaduję się, że Osiński jest już w Administracji miasta, że funkcjonuje Urząd Bezpieczeństwa współpracujący z NKWD w tropieniu i aresztowaniu akowców (mniej ich interesują Narodowcy).

Gdzie jest front? Ucichło wszystko!

Pewnego sierpniowego ranka (przed wschodem słońca) ktoś delikatnie zapukał w okno. Był to młodzieńki jeszcze chłopiec niemiecki w pelerynie i prosił "um Brot". Otrzymawszy go oddalił się bez słowa, odprowadzany moim wzrokiem ku wczorajszemu stanowiskom armat. Dręczyłem się oceną swej odruchowej dobroci. Przecież to Niemiec. Była okazja, jeden Niemiec mniej, a ja co? Ale był bez broni - po co mi on - perswaduję sobie. Gdy się rozwidniło luf armatnich nie zauważyłem.

Nastąpił przełom! A może zmiana warty!? około godziny ósmej wzdłuż drogi obok naszego sadu od żytni jechało konno trzech jeźdźców. Gdy wyjechali na prostą, wziąłem lornetkę, aby lepiej im się przyjrzeć. Wyraźnie dojrzałem czerwone otoki czapek i emblematy radzieckich zwiadowców. Konie szły stępą.

- Katia, wasze bojce jadut - zawołałem do kuchni.

Zerwała się ku swemu szczęściu. Przerzuciła przez głowę sukienkę,

obciągnęła ją, zarzuciła chustkę na głowę i już była za drzwiami. Zoja również wstała, ale z ubiorem swoim marudziła, bo widocznie chciała atrakcyjnie wyglądać: a to spinka, a to zaczesanie włosów, a to włożyć buciki.

Tymczasem Katia dobiegała bosymi nogami do pierwszego jeźdźca. Objęła rękami cholewy jego butów radośnie wołając, chyba:

- Zdrastwój brat ty moj - !!

Cod jeszcze mówiła, śmiała się idąc przy koniu. Ale widzę, że tam za szkołę coś nieprzyjemnego. Wyraźnie widać, że "bojec" prawym butem odpycha kobietę. Chyba ją kopnął. Dobiega Zoja, ale już dojrzała, co się dzieje z jej siostrą. Staje bezradnie, skonsternowana. Za chwilę obie idą, raczej wloką się zrezygnowane za końmi.

Zanim zajechali na podwórze byłem już ubrany. Przybysze zarzucili cugle końskie za sztachety płota i zaczęła się dziwna rozmowa. Nie wszystko rozumiem, ale domyślam się, że uważają swoje krajanki za zdrajców "rodiny". One zaprzeczają, Katia mówi, że jej mąż walczył pod Stalingradem.

- Da twój muž charoszy, a ty wreditielka -.

Zoja krzyczy, że ona jest Komsomołką i że ona nie pozwoli na to, aby ją obraćano.

Próbowałem i ja zaświadczyć, że one były zabrane siłą i wiezione do Niemiec, ale krasnoarmiejcy uciszyli mnie zarzutem, że wykorzystywałem radzieckie obywatelki do pracy bez wynagrodzenia. Zamilkłem więc.

Naszą kłótnię usłyszeli moi młodszy bracia, którzy spali na sianie w stodole. Już idą i przystają obok nas. Widzę, że zanoszą się na większą awanturę. Potrzebny jest ktoś, kto by wyłożył kwestię w ich rodzimym języku. Mówię szeptem do Geńka (najmłodszego brata).

- Zawołaj Michała. Jest w drewutni pod torfem.

Zanim Geniek doszedł do kryjówki, Michał z wahadłem swego pustego rękawa idzie ku nam:

Podchodzi do młokosów i jako były starszyna spod Stalingradu, choć spokojnym głosem opowiada historię swego uczestnictwa w Armii Czerwonej, potem losy pobytu w obozie niemieckim, pokazuje pusty rękaw po amputacji. Opowiada, jak i kiedy kobiety rosyjskie znalazły się w tym gospodarstwie.

Raswiedczyk przerwał Michałowi jego potoczystą mowę:

- Chwatit! Ruskij sałdat nie zdajutsia w plen -.

- Eto ty wreditiel, predatiel rodinu -.

(rosyjski żołnierz, nie poddaje się, ty jesteś zdrajcą Ojczyzny).

Michał godnie, ale nieustępliwie zaprzecza. Broni nas, że nie tylko nie wykorzystywaliśmy ludzi radzieckich, ale odwrotnie, z narażeniem własnego życia chronili i żywili różnych ludzi, nie tylko ich.

Mówi o małym dziecku Kati. Jakże matka opuścić miała własne dziecko.

Protestuje, jakoby byli "izmiennikami", czyli zdrajcami ojczyzny.

Racje są po jego stronie, ale zniecierpliwieni zwiadowcy, zdaje się ich nie podzielają. Jeden z nich chwyta Michała za ocalałą rękę i ciągnie go pod ścianę obory. Drugi odbezpiecza pepeszę. Ale oto mój brat, Geniek, staje przed Michałem i rozdzierając koszulę na swojej piersi krzyczy:

- Strylaj, jop twoju mać!

Struchlałem z trwogi. Obaj zginą - pomyślałem. Nic podobnego nie nastąpiło. Prędko do strzelania "raswiedczyk" ochłonął pod wpływem swej rodzinnej mowy. Opuścił pepeszę i roztargniony słuchał dodatkowych wyjaśnień swoich "grażdan".

Nagle zakomenderował: "Paszli"!

Pojechali do wsi. Po obiedzie byłem w polu, gdy przyjechali "Zisem"

enkawudysci i bez większych ceregieli zabrali wszystkich swoich obywateli: Michała, Katię z córeczką Marusią i Zoję. Nie mieli nawet możliwości pożegnać się ze mną. Co się z nimi stało? Jeszcze przed wyzwoleniem przyrzekaliśmy sobie, że po wojnie albo się spotkamy, albo do siebie napiszemy. Minęło prawie półwiecze - i żadnej od nich wiadomości. To, czego byliśmy świadkami nie mieściło nam się w głowie - tak wiele było w tym bezwysłnego barbarzyństwa, ^(był właśnie) Ale taki zakon (prawo) Stalina. On ludzi traktował jako mierzwę dla realizacji swych zbrodniczych planów. Budował "imperium zła".

Mądry i przewidujący był kolega Michała - Paweł. Nie witał swoich lecz zapadł się między obcych, którzy go przyswoili jak swojego. Może założył rodzinę z obcą kobietą i ma dzieci, już polskie. Mówię o tym dlatego, że zdarzyło mi się spotkać tu, w Warszawie, w kilka lat po wojnie byłego jeńca radzieckiego. Po przeszkoleniu na kursach szoferskich został kierowcą autobusów miejskich. Nikt go nie oskarżył, nie wydał. Mówił mi, że w jego dawnym kraju było niemożliwe, aby jeniec innej narodowości mógł poczuć się bezpiecznie.

Nie wiem, czy to przypadek, czy w związku z zabranymi ode mnie Rosjankami (byli przecież na pewno przesłuchiwani w NKWD) odwiedził nas starszy lejtendant Bondarczuk. Niby to jechał na skróty rowerem do Niwisk, np i zaszedł napić się wody. Kwaterę miał w Niwiskach i pełnił tam funkcję komendanta wojennego. Nie wiem, czy zależało mu na skróceniu drogi, czy raczej na spenetrowaniu terenu. Odwiedzał mnie parokrotnie. Bywało, że jechał rowerem przez zaorane pole, aby usiąść na skibie i opowiadać o sobie, oczekując rewanżu.

Spotkania krępujące, ale co miałem robić? Opowiadał o sobie, że pochodzi spod Kijowa, że jak ja, był nauczycielem. Trzeba jakoś rozmowę przetrzymać, bo inaczej mogę mu się wydać podejrzanym. Opowiadałem mu

więc o swoim udziale w wojnie w 1939r., o konieczności powrotu na ojcowiznę. Pytał mnie czy obecnie należę do "padpolnej raboty". Gdy za-
przeczyłem, do tego tematu więcej nie wracał. Kiedyś ugoszczony posił-
kiem zaofiarował mi swoją życzliwość. Jak kiedyś będę potrzebował po-
mocy, to mogę zwrócić się do niego.

Jeżeli jeden wywiadowca dla drugiego wywiadowcy jest taki uszuźny,
to znaczy, że on będąc górą wie, iż ja do niego przyjść muszę, on na-
wet w przybliżeniu wie, kiedy to nastąpi, bo taką sytuację może sam
stworzyć. Byłem ostrożny i czujny. Bondarczuk dyskretny o Rosji, ale
dociekliwy o Polsce.

Front w tym czasie zatrzymał się przed powstańczą Warszawą.
Żołnierze radzieccy wałęsali się po zagrodach i to wciąż inni: zdrowi
i ranni, uzbrojeni i bez broni. Pewnego dnia przyszło ich pięciu.
Jeden z nich uwalik się na chruscie pod kominem, dwóch poszło do są-
siada, a dwóch usiadło przy stole, na którym leżały karty. Obejrzeli
je i pytają, czy gramy w pokera? Zdziwieni, powiedzieliśmy, że tak,
tylko nie mamy rubli, a to gra na pieniądze.

- a imieście wasze dengi?

- Da - odpowiedzieliśmy.

Nie pamiętam, jaką relację ustaliliśmy za rubla. Gra potoczyła się
wartko. Rosjanie odważnie wchodzili, ostro przebijali, często blefo-
wali. My graliśmy uważnie, a t.zw. szczęście dopisywało nam. Wkrótce
zabawa się skłóczyła, bo im zabrakło rubli, które znalazły się w na-
szych kieszeniach.

Bojcy rozpoczęli rozmowę o wojnie. Zaczęli rozmowę o Andersie.
Celowo szedłem z Andersa (drażliwa sprawa), zablefowałem nazwiskiem
mało znanego gen. Zajęca (był zastępcą Andersa).

Ten, niby drzemający pod kominem i udający pijanego (a może takim

był) zerwał się i nie mówiąc, zaczął szamotać się z własną teta-
tką w kaburze, i zdawało mi się że ją wreszcie wyrwał, ale złapał go
za rękę drugi bojec.

Nie czekaliśmy z braćmi na wyświetlenie tej sytuacji. Ja przez o-
warte okno, bracia przez drzwi, uciekliśmy i schowaliśmy się w mendl-
szoża. Gdy wróciliśmy o zmierzchu - ich już nie było, w domu niczego
nie brakowało, nic nie zniszczyli, wszystko było na miejscu.

Charakteryzowaliśmy poznanych Rosjan:

Michał, Katia z jednej strony - Zoja i ci młodzi z drugiej. Pierwsi
odznaczali się kulturą wewnętrzną i dużą dozą obyczajności, drudzy
- to już młodzież ze szkoły stalinowskiej, przeniknięta prywitywi-
zmem, brutalnością i dzikością (wychów komsomolski).

Nie mam pojęcia, jak trafiali zwolnieni ze szpitala ozdrowieńcy
do swych jednostek. Szli piechotą, bez zaopatrzenia żywnościowego.
Byli na darowanym chlebie i stanowili nie mniej uciążliwą kategorię
od tyłowych odprysków dziczy, która pokrywała najmniejsze osiedla
i bezkarnie żądała wódki i jadła. Zajmowanie terenu przez Rosjan było
zupełnie różne od taktyki Niemców. O ile Niemcy podążali tylko drogą
mi i to głównymi najczęściej, o tyle Rosjanie fala za falą, nakrymi
nawet grupkami penetrowali dokładnie osiedla, zarośla, lasy.

W kampanii wrześniowej były całe wsie, które nawet po zakończeniu
działań wojennych nie widziały Niemca, teraz "wyzwolenie" zajrzało
do każdej chaty i każdego skrawka lasu.

Może nikt nie uwierzy, ale idąc do Siedlec, widziałem dużą "tele-
gę" z "płoszczadką", ciągniętą przez dwa potężne woły w jarzmie.
Powozik nimi 14-15 letni chłopiec, ubrany ni to po cywilnemu, ni to
po wojskowemu. Ponieważ wzbudzał sensację swoim widokiem, dodawał sobi
animuszu, trzaskając z bata. Przyjrzałem się "teledze". Koła były

wykonane z jednolitego kręgu parusetletniego drzewa, zawieszane na drewnianych osiach. Obracały się powoli ze skrzypem i charakterystycznym kłopotem. Wyglądało to teatralnie i groteskowo, chyba dla poniżenia dumy "germańców", że oto muszą uciekać przed wołami. Co to za metafora, godna artystycznego obrazu! Brak tylko imponująco zakutych w stal rycerzy, którzy w czerwcu 1941r. z chrząstem gąsienic podążali na Wschód. Teraz można ^{było} sobie tylko przypominać i wyobrażać ^{tamtęj} grozę organizacji techniki do niszczenia przeciwnika.

Ale ten przeciwnik dobije "gitlerowskiego zwiera" w jego legowisku, jak zapowiadają przydrożne plakaty. Stać go na wojenne fortele przebiegłości, nieprawdopodobną odwagę, wprost straceńską, bez alternatywy:
- Fala na falę "wpięrod"!

A nas w tej fali ma nie być. Brak zaufania z obu stron. W poczuciu historycznej krzywdy i niezasłużonych cierpień, los nasz ma być przesądzony. Próby dyplomatyczne ustawienia nas na właściwe tory nie dają rezultatów. Stalin żąda zrzeczenia się dobrowolnego połowy terytorium Polski, enigmatycznie wspomina o bliżej nieokreślonej rekompensacie wojennej. Rząd londyński ma się najpierw zrekonstruować, potem podporządkować się rządowi PKWN w Lublinie.

Idę do Siedlec po rozkazy. Akowcy dopominają się o wiarygodne decyzje. Z biedą docieram przed oblicze konspiracyjnego dowództwa obwodu. Spotykam tam kapitana Zdzisława Barbasiwicza, byłego mojego dowódcę plutonu w Dywizyjnym Kursie Oficerów Rezerwy. Po zameldowaniu się pytam niemal po koleżeńsku:

- Werbują do I Armii Berlinga. Co nasi ludzie mają robić....?

- Ślupie, wstydkilbyś się stawiać teraz takie pytanie. Wiadomo, że werbunek należy na różnej drodze zbojkotować. Ty jesteś nauczycielem, a takich zwalniają z tego obowiązku.

- No tak, ale, co z ludźmi?

Nastaję, aby dał mi odpowiedni rozkaz na piśmie:

Dostałem go na pasku papieru. Podaję go z pamięci, więc nie ręką za dosłowność:

- Jedynym prawomocnym rządem Polski jest Rząd w Londynie. Zabrania się członkom Armii Krajowej wstępowania do t.zw. Ludowego Wojska Polskiego pod rozkazami Sowietów. (A jednak kpt. Barbasiewicz wstąpił potem do tego wojska, nawet awansował do stopnia podpułkownika i jako pracownik Sztabu Generalnego został rozstrzelany w 1949r., a w 1956r. zrehabilitowany).

Powyższy rozkaz odczytałem swoim podkomendnym, dodając do niego swój komentarz: Wobec trudnej i niebezpiecznej sytuacji, każdy podejmie decyzję ^{według} własnego uznania.

Sam jadę do Sokołowa Podlaskiego i w tamtejszym Inspektoracie oświaty nawiązuję do rozmów przedwojennych o możliwości przeniesienia się z Witkowa... do Sadownego. Otrzymuję zgodę z warunkiem natychmiastowego podjęcia pracy. Proszę o prolongatę. Wracam do domu, by zlikwidować sprawy rodzinne z perspektywą ożenku.

Tego samego dnia po południu najedzie nas patrol NKWD. Z ilu osób się składał nie wiem. Najpierw u płotu stały 3 konie, a potem tylko dwa. Pijani przybysze żądali "wodki". Nie otrzymawszy jej rozbiegli się po gospodarstwach "Świerczyny" i "Sabinki". Już był zmrok, gdy trzech ledwie trzymających się na nogach powróciło, upadając wprost na podwórzu, by zasnąć. Przez okno zauważyłem, że przy śpiących leży broń, a żaden z nich nie czuwa. W trosce, aby jej nikt nie ukradł wniosłem do domu i ustawiłem ją w kącie kuchni.

Noc minęła mi w półczuwaniu. Rano zerwał się jeden z NKW-dzistów i krzyczy do swoich towarzyszy:

- Słuszaj, lachy podpiździli oruźje!

Wychodzę mu naprzeciw i uspakajam, pokazuję pepesze stojące w kacie. Zabrawszy broń rozbiegli się po naszych zabudowaniach i wyprowadzają ze stajni naszą młodą klacz (pierwszy raz śrebną).

- Eto żoszać maja - powiada jeden z nich.

Nie, zaprzeczam.

Wasze konie są przy płocie, a ta klacz jest nasza (teraz uprzytomniłem sobie, że koni było trzy, a teraz stoi dwa - przepili jednego konia).

- Wrosz jop twoju mać! Eto żoszać maja!

Na te krzyki zrywają się bracia, przynoszą książeczki tożsamości koni - to ich doprowadza do wściekłości.

- Łożis, jop waszu mać! Łożis!!! - krzyczy.

Ładziemy się więc. Najstarszy NKWDzista idzie do domu, siada na stole przy otwartym oknie i cooraz pojedynczym nabojem strzela. Widzimy, że mierzy w nas, trwa to kilkakrotnie. Pijany człowiek może trafić nawet niechcący - myślę.

Z głupim nie ma żartów. Wszystkie 3 konie razem z naszą klaczą już zostały gdzieś odprowadzone, a on wciąż strzela, trzymając nas leżących w strachu na środku podwórza. Idzie sąsiad Janezura, jest ciekawy, co robimy na podwórzu leżąc. Słyszysz nakaz naszego prześladowcy:

- Łożis, pobystrej!

Poprzedniego dnia obiecywaliśmy zwrot młockarni sąsiadowi Piotrowskiemu. Zniecierpliwiony idzie z synami, aby maszynę przetoczył do siebie (sąsiadowaliśmy tylko przez drogę).

- Łożis! - krzyczą

Jest już nas siedmiu mężczyzn, a ten starszyna siedzi w oknie i posyła nam kule z pepeszy.

Jak długo było tego dręczenia - nie wiem, bo znając obyczaje "wyzwo-
licieli" nie używałem zegarka, schowawszy go tak, aby go nie znaleźli.

Podwórze zasnuwać coraz gęściejsza mgła. Zebrałem się w sobie i po
którymś strzale z kolei zerwałem się z miejsca i pobiegłem ku olszy-
nie. Stamtąd byłem już niewidoczny.

Wpadłem do sołtysa we wsi. Zdyszany opowiedziałem, co się u nas dzie-
je, ale pan Grabowski wrusza ramionami i powiada:

- Człowieku, ja nie mam ochoty połknąć kuli!

Bierz pan rower i sprowadź komendanta wojennego z Niwisk. Innej rady
nie ma!

Rzeczywiście, przyjacielsko nastawiony do mnie st. lejtnant Bondarczuk
chyba mi nie odmówi - myślę.

Nie zawiodłem się, bo wezwał paru uzbrojonych bojców, wsiedliśmy do
Zisa i jedziemy. W gospodarstwie cisza. Żadnych koni nie ma. Okazuje się,
że po mojej ucieczce enkawudziści poczuli się zagrożeni i woleli ujsć
z łupem. Ostrożnie zbliżają się do nas rozproszeni ludzie. Ktoś poinfor-
mował, że między młynem Brągoszewskiego a mostem kolejowym pasą się
jakieś konie. Bondarczuk ze swoim patrolem i z nami pojechał w tamtym
kierunku. Mgła już opadła i z daleka dojrzeliliśmy swoje konie. Na mura-
wie spali koniokradzi. Komendant wojenny nakazał, abyśmy zostali
na szosie na samochodzie, a rozsypawszy bojców w tyralierę posuwał
się wraz z nimi ku leżącym. Spali tak twardo, że prawie nieprzytomnym
zabrano broń. Komendant Bondarczuk zwrócił nam konie, a zatrzymanych
enkawudzistów powiózł do komendy wojennej w Siedlcach.

Jakież było moje przerażenie, gdy po dwóch dniach, wróciwszy z
pola, dowiedziałem się, że ci sami enkawudysty byli na kolonii i do-
pytywali się o mnie. W dodatku przyszła moja stryjeczna siostra Jadwi-
ga z prośbą o wzięcie w obronę mieszkańców "Palucha" (nazwa kolonii

za olszyną, koło Ostrówka).

- Może być coś zrobik. Przecież nie dają nam żyć. Przed strzelaniną ukrywaliśmy się w pasku po kartoflach. Mieliśmy tam garnki, pierzyny, poduszki. Wpadli tam, szukając wódki, rozpruli pierzyny, porozbijali garnki. Co zjedli to zjedli, resztę zniszczyli. Ledwie uciekłyśmy od nich do Niecki (nazwa lasu), bo usiłowali gwałcić dziewczyny. Zapewniała mnie, że dowództwo wojsk sowieckich surowo rozprawia się z rabusiami i gwałcicielami. We wsi rozstrzelano jednego amatora segaretek i pierścionków.

Upewniwszy się, że mieszkańcy Palucha są gotowi podpisać zbiorową skargę na rabusiów i gwałcicieli, wysłuchuję kolejno relacji, redagując petycję do wojskowych władz radzieckich. Była długa, na parę stron kancelaryjnego papieru. Napracowałem się niemało, ale jak przyszło podpisać się pod zeznaniami, kilka osób wykręciło się od tego.

- Kto to wie, co z tego może wyniknąć?!

- Dziś poskarżymy, a jutro przyjdą i zrobią z nami, co zechcą.

Ich siła, ich prawo.

Poszedłem za olszynowy rów do sąsiadów. W domu była tylko pani Borkowska. Córki i synowie pochowali się po krzakach. Gospodyni piekła chleb, musiała go pilnować, bo co by jedli?

- Panie Stefanie powiada, sama groza i obraza boska. Ja tu w dzieży ciasto mieszam, a ta łachudra wsadza w okno swój żeb (otwarłam je bo od ognia w piecu gorąco) i lezie do mnie. Ja mu mówię:

Ja stareńka, mienie użę 60 lat. A on na to:

- Niciewo, niciewo, u tiebia taka tożstaja żopa -

i poklepuje mnie drań, żapy wsadza pod bluzkę to znów pod spódnicę.

Uwalikam żobusa żopatą. Ledwie się obroniłam. Gdyby nie był pijany, nie dałabym mu rady. Niech pan pieze, ja podpiszę, czemu nie, bo tak było.

prawdę mówię.

Złożyłem tę zbiorową skargę na ręce st. lejtnanta Bondarczuka w Niwiskach. Pytał, czy te "nieparadki dziełali" ci sami, którzy zabierali konie. Nie mogłem tego potwierdzić, choć było to możliwe. Komendant zaczął przeprowadzać przesłuchiwanie osób, które słożyły oskarżycielskie zeznania. Do Niwisk przyjechał komendant wojenny z Siedlec w randze majora i za pośrednictwem wspomnianej wyżej Jadwigi zaprosił mnie na "dopros".

Zorientowałem się, iż major zamiast interesować się meritum sprawy, skoncentrował swoją uwagę na mnie. Rozłożył przed sobą jakiś formularz, którym władze śledcze w ZSRR posługują się chyba od Władywostoku po wieś i miasteczka tuż za frontem, o czym miałem się przekonać później. Zrobiło mi się nieswojo. Musiałem podać nie tylko dane osobowe, jakie zawierały karnkarty, obowiązujące w Generalnej Guberni, ale co robiłem przed wojną, co w czasie okupacji i co teraz robię. Z intencji stawianych pytań i z akcentów niektórych słów wywnioskowałem, że obwącjuje mnie pod kątem mego stosunku do Związku Radzieckiego. Musiałem być czujny, aby nie zvekslował mnie z pozycji oskarżyciela (w imieniu mieszkańców poszkodowanych) na pozycję oskarżonego, zniesławiającego Armię Czerwoną. Wydaje mi się, że udało mi się wyplatać z stawianych pułapek, bo na dowód mego stosunku do ludzi radzieckich przetoczyłem mu fakt udzielenia schronienia kilku obywatelom Związku Radzieckiego.

W końcu dał mi do podpisania protokół, który sporządził i wstając oświadczył, że być może nie jest to ostatnia "biesiada" między nami. Wypadało mi tylko uśmiechnąć się, zapewnić go, że jestem gotów pomagać mu w utrzymaniu porządku w strefie przyfrontowej i w budzeniu obopólnej "drużby".

Chyba obaj z Bondarczukiem zauważyli, że wychodzę od nich, jak to się mówi, na nie swoich nogach.

Ta rozmowa, aczkolwiek prowadzona kulturalnie, upewniała mnie w przekonaniu, że należy wynieść się z tego terenu. Nie było to jednak takie proste: oderwać się od gospodarstwa rolnego we wrześniu, październiku. Trzeba zakończyć roboty w polu. To musiało trochę potrwać. Pojechałem do Sokołowa Podlaskiego i otrzymałem przydział do szkoły (nawet z funkcją kierownika).

Niestety, w nocy z niedzieli na poniedziałek, w połowie października 1944r. dom, w którym spałem, został otoczony. Do izby weszło trzech uzbrojonych funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, inni prześwietlali wnętrza elektrycznymi latarkami (wieś nie była zelektryfikowana). Rewizja nie dała rezultatu, jakiego spodziewali się. Znaleźli lornetkę wojskową. Objąłem, że jest zdobyczna na zabitym Niemcu w 1939r. Album z fotografiami przejrzyli, ale nie znaleźli w nim nic interesującego. Zażądali zapalenia latarni naftowej i oprowadzenia po budynkach gospodarczych. Sam zdziwiłem się, że na klepisku przy spichlerzu śpią moi bracia z sąsiadem, Witkiem Ksieżopolskim. Wrócili późno z kawalerki i położyli się spać poza domem.

Po powrocie do domu zaproponowałem "gościom" wypicie po garnuszku śmietany. Uczynili to skwapliwie, wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze. Tymczasem jeden z nich, wskazując po kolei na nas palcem powiada:

- Pan, pan i pan pojedą z nami - co oznacza: ja, brat Bolesław i ów Sąsiad - Witold.

Nieopodal domu stał samochód ciężarowy. Przechodząc obok niego chciałem zajrzeć do kabiny, bo ktoś tam siedział, ale nie pozwolono mi na to. Weszliśmy więc do skrzyni. Samochód oświetlił drogę i przez wieś

w kierunku Siedlec. Zatrzymał się na Górcie. Tu zabrano Józefa Pieciaka i przywieziono nas do więzienia siedleckiego.

Do zarejestrowania, zauważyłem na tablicy przy kancelarii napis kreda, stan: 17. Przyjęto tej nocy nas czterech, razem 21 więźniów. Wprowadzono nas do dużej, pustej sali na I piętrze z dwoma dużymi zakratowanymi oknami wychodzącymi na ulicę Warszawską (Piłsudskiego), stąd był widoczny Bank Polski, po lewej stronie boisko sportowe, no i chodnik, z którego niby przygodni przechodnie wypatrywali uwięzionych. Trochę na migi, a i pomagając sobie głosem, przekazywaliśmy rodzinom, co mają dostarczyć z ubrania i żywności. Mieliśmy tego tyle, że byliśmy prawie samowystarczalni. Geniek (mój najmłodszy brat) przemycał nam nawet alkohol, nalewany śmietaną (wyglądało to na mleko). Było nam więc wesoło. Siedleczanie przystawali na chodniku i słuchali naszych pieśni partyzanckich. Najlepiej byliśmy zgrani przy wykonywaniu piosenki: "Serce w plecaku".

Zastanawialiśmy się za czyją sprawą zostaliśmy zgarnięci: Kto nas "sypnął"?

Fale? Ocalały Żyd, pełniący teraz ważną funkcję w Siedlcach, Michał, z którego NKWD mogło wycisnąć to, co chciało?

Czesław Osipiński? Był kierownik szkoły w Opolu, który podczas rozmowy ze mną na krótko przed "oswobodzeniem" nieoczekiwanie skrytykował stanowisko emigracyjnego rządu polskiego w sprawie stanowczego utrzymania całości terytorium państwa polskiego sprzed września 1939r.?

Był przekonany, że ziemie wschodnie powinny przypaść ZSRR. Doszło do dość gwałtownej wymiany zdań między nami. Nie sądziłem, że przednie-żnął się w komunistę i to w wydaniu rosyjskiego sowietyzmu. Nie spotkałem się dotychczas z takim stanowiskiem wśród Polaków. Teraz on był Górcą. Został na krótko starostą siedleckim. Bardzo kontrowersyjna pos-

tać i do dziś nie mam o nim wyrobionego zdania, bo wejście w okres przełomu miał wspaniałe, ale z politycznymi meandrami. Uważał pomagać niektórym, ale i przeszkadzać innym. Chyba był rozgoryczony do nowej władzy, bo coś potem robił w Administracji Publicznej, ale nie wiem mu się. Złe przystawał do graczy nowej rzeczywistości. Może za mało był posłuszny. W każdym razie, nie miałem i nie mam do niego zaufania i byłby ostatnim człowiekiem, do którego mógłbym się zwrócić o cokolwiek. Spotykałem go parę razy w Siedlcach po powrocie z ZSRR. Mimo, że pracował w jakimś Ministerstwie w Warszawie - odwiedzał "stare kąty". Pytanie, po co?

V. POLSKA NIEPOLSKA.

Pierwsze dwa przesłuchania w więzieniu przeprowadził Polak z głową obwiązaną bandażem, niejaki Grodzki, podobno nauczyciel z Trzcianki czy z Domanic. Teraz pełnił jakąś ważną funkcję w Urzędzie Bezpieczeństwa. Po "koleżeńsku" przystąpił od razu do rzeczy.

- To wasi mnie tak urządzili - powiedział dotykając ręką wał bandaża na głowie.

- Ponieważ mamy kłopoty z reakcyjnym podziemiem, sądzę, że kolega (dostał się do takiego zaszczytu) zechce nas wspierać. Jako oficer AK może kolega oddać nam duże usługi w budowaniu nowej sprawiedliwej Polski.

Z miejsca zaprzeczyłem mu:

- Wprawdzie jestem oficerem rezerwy, ale do AK nie należałem. Chciał w ten sposób przekonać się, co on o mnie wie. Okazało się, że gra w ciemno. Coś tam powątpiewał o moim patriotyzmie, ale na drodze rozmowy chciałem od niego dowiedzieć się, na czym polegał jego patriotyzm. Uznał to za bezczelność z mojej strony. Radził mi, abym się dobrze zastanowił i przyjął postawę zgodną, bo "my i tak o was wszystko wiemy" - powiedział.

- Z kim konspirowaliście? - rzucił pytanie.

- Sami dobrze wiecie, że z nikim - odpowiedział.

Na drugie przesłuchanie przyniósł plik fotografii:

- Zgadza się, nie mamy przeciwko wam poważniejszych zarzutów i dlatego postanowiliśmy was wypuścić, pod warunkiem, że pomożecie nam ustalić, kto jest kim na tych fotografiach.

- przecież chodzi wam o akowców, w czym mogę więc wam pomóc, skoro nie należę do AK.

- Przypuśćmy, że wam uwierzę, ale przecież możecie kogoś znać? Zidentyfikujecie dwa, trzy nazwiska i pójdziecie do domu. Nam nauczycieli potrzeba. Pójdziecie pracować do szkoły - musi mój rozmówca. Biorę fotografie po kolei do ręki. Niektóre osoby rozpoznaję, ale z namysłem powiadam:

- Ogromnie żałuję - nikogo nie rozpoznaję.

- Kolego, jedno nazwisko - jakby prosił.

Już teraz wiedziałem, że co do mnie "są zieloni", więc twardo mówię:

- Tak niewiele do szczęścia, ale nie mogę wam pomóc -.

6 Bardzo żałuję, ale muszę was oddać do celi sowieckiej - powiedział Grodzki. Zebrał ze stołu fotografie i wezwał strażnika, aby odprowadził mnie do celi.

Przeszuchiwał Grodzki również mego brata, jego kolegę Witka i Piecika - również bez rezultatu, ale nakazał ich zwolnienie. Mnie przeniesiono do celi od podwórza. Miałem teraz dzielić pomieszczenie niewielkie o jednym oknie z nieznanym mi człowiekiem, jak się okazało, bardzo ciekawym - "żulikiem". Początkowo podejrzewałem go, że jest wtyczką, ale ponieważ zachowywał się jak pospolity chuligan i tak jakbym go zupełnie nie interesował, nabrałem do niego sympatii i ciekawości.

Ów "żulik" swoim śmiesznym zachowaniem, żartami z łatwością wchodził w kontakty ze strażnikami sowieckimi. Za kieszonkowe lusterko uzyskał prawo roznoszenia supy. Z kolei jako ^{roznosiciel} (nawiązał porozumienie z kuchnią, ze strażnikami, z więźniami i więźniarkami. Dzięki niemu i ja parę razy roznosiłem z nim konwie z zupą. Miało to pewne dla mnie znaczenie, aby zorientować się, czy ktoś z naszej placówki lub ośrodka nie został przymknięty. Okazało się, że są tylko dwaj bra-

cia - żołnierze AK z Zaliwia, z którymi bezpośrednio nie miałem dotychczas styczności. To mnie uspokoiło. Mój współlokator przez swoje znajomości udrośnił łańcuch porozumień z ludźmi za murami. Kiedy urwały się kontakty moje z rodziną i już wałówek nie dostawałem, on wciąż otrzymywał to, czego sądził, co miało walor płatniczy za usługi świadczone przez żołnierzy radzieckich, pełniących służbę strażników.

Do rozpuku zaśmiewał się, że temu "kocmouchowi" (strażnikowi) obiecał "fanar", jeśli ułatwi mu spotkanie ze wskazaną mu dziewczyną, siedzącą w celi. Strażnik wyprowadzał dziewczynę (pod pretekstem prowadzenia jej na badania) i zamykał ją w więziennej kaplicy, potem wpuszczał tam pomysłowego amanta. Parę takich spotkań sprawiło, że kobuziak miał jej dość, a strażnik dopingował go do następnego pojedynkując na spełnienie obietnicy.

- Musiałem skombinować mu "fanar" (elektryczną latarkę), bo może się jeszcze przydać.

Bojce, jak dziecko, przykrywał latarkę pozę płaszcza włączając kontakt i cieszył się, że mimo dmuchania światło nie gaśnie, ogień pali się a nie parzy.

- Wot bolszaja technika - wdychał z ukontentowaniem.

Duże wzięcie miały papierosy z ustnikami i "zrečki" (lusterka). Można się było za nie dostać do roboty na terenie więzienia. Co prawda to były czynności niezbyt długie, ale zawsze o czymś się człowiek dowiedział, rozprostował nogi, nacieszył się światem, a także dostał coś do jedzenia. Byłbym zapominał o formie represji więziennej w postaci odebrania jego mieszkańcom prawa do Słońca. A było to tak: Po udanej randce mego współlokatora, zaśmiewaliśmy się z naiwności sowieckiego strażnika, uszczęśliwionego latarką. Zachowywaliśmy się

hałasliwie. W pewnej chwili podszedłem do okna i spowaźniałem. Tam w dole stała grupka sowieckich generałów ubranych w czarne skóry. Przysiągłbym, że stał również marszałek Żukow. Miał charakterystyczną kwadratową twarz i niezapomniany dołek w podbródku (przypomniałem sobie to po latach, gdy studiowałem fotosy radzieckie). Oczy nasze się spotkały. On spoglądał na mnie w górę z takim grymasem przysiany i złości, że spuściłem na dół powieki i szybko cofnąłem się wstecz w głąb celi, aby zejść mu z oczu. A więc generalicja sowiecka wizytowała więzienie, inwestycję jeszcze carską i nakazała unowocześnić ją przez założenie blach na okna. Od tej pory tylko dziesięciocentymetrowa szpara przepuszczała do celi nieco światła dziennego. Już nie mogliśmy urozmaicać sobie czasu wyglądaniem przez okno, by obserwować z nudów grę promieni słonecznych w drgających na wietrze liściach, nikły ruch obsługi więziennej przechodzącej przez podwórze do różnych drzwi w poszczególnych pawilonach i ich przybudówkach.

Nie jestem pewny, ale wydaje mi się, że za czasów carskich i w Polsce międzywojennej tylko więzienia ciężkie, z obostrzonym regulaminem, miały kosze w okienkach. Natomiast ten pawilon, w którym przebywaliśmy, zawsze był wolny od obskórnych blach - wystarczały kraty. Nie żałowało się więźniom i aresztantom przebywającym tu w okresie śledstwa ani światła, ani powietrza, ani widoku nieba. Te luksusy miały być odjęte wychowankom do nowego życia, dla nowego ustroju, dla socjalizmu.

- Ja drugiej takiej strony nie znajduję,

Gdzie tak wolno dyszy człowiek -

Na przesłuchania doprowadzał mnie milczący żołnierz, który niezdarnie nosił na ramieniu karabin. Wpuszczał mnie do pokoju "śledowatego", a sam zostawał za drzwiami na korytarzu. Dadał mi zawsze ten

sam sowiecki kapitan z głową semity, w dobrze skrojonym mundurze. Coś niecoś mówił po polsku, ale usiłował posługiwać się językiem rosyjskim.

- Budiem biesiadować, razgawariwat -

i wraz z tymi słowami wyjmował formularz na protokół. Zdołałem się przekonać, że obrządek śledczych przy tego rodzaju czynnościach był identyczny, nawet dokonywany przez różnych funkcjonariuszy:

- Imię, nazwisko, imię ojca, rok urodzenia, miejsce urodzenia, "obrazowanie", "profesja" itd.

Wszystko szło gładko do chwili, kiedy padało pytanie:

- Był ty w AK?!

Za każdym razem zaprzeczałem. Kapitan się denerwował, ubliżał mi. Sarkastycznie pytał mnie, jakimże jestem Polakiem? przecież on wie, że wszyscy dobrzy Polacy należeli do "podpolnej raboty".

Wyrzucał mnie za drzwi ze słowami:- Idy, podumaj -!

Wzywał znowu mnie po paru godzinach. Nieraz wydawało mi się, że o mnie zapomnieli. Otóż nie, nie zapomnieli, ale chcieli, abym dosłyszał, że w międzyczasie młóci kogoś kijem, a ten ktoś krzyczy z bólu. Znowu rozkładał formularz, już inny i znowu zaczynał od imienia, nazwiska, "oteczestwa" itd.

Bąłem się, aby mnie nie zaczął bić. Ale do tego nie doszło. Wzywał mnie po 2-3 razy w nocy. Groził mi, że mnie ubije, że on chce dla mnie dobrze, a ja tego nie rozumiem.

- Daję czestnoje słowo aficera Krasnoj Armii, pajdiosz damoj, no skaży mienia, był ty w AK?

Byłem już bliski potwierdzenia, ale na straży stanęło pytanie, co będzie potem? Zapyta mnie z kim byłem, kto mnie zaprzysięgił itd.

Byłoby to zdradą konspiracyjno - organizacyjnych tajemnic.

Wówczas nie wyplączę się - pomyślałem, a głośno zaprzeczyłem:

- Nie, nie byłem!

W następnym "oprosie" kapitan był w dobrym nastroju.

- "Zdrastwujcie, jak żywicie"? "Kak wy siebia czuwstwujeicie"?

- Pan, a pan, zawtra u was balsoj prazdnik!

Potwierdziłem, że istotnie jutro dwudziesta szósta rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918r.

"Śledowatiel", ujmującym tonem, z uśmiechem zaczął mi schlebiać, że jako człowiek wykształcony, znam dobrze historię swego Kraju i on jest przekonany, że niemożliwe, abym nie brał udziału w ruchu oporu. "Takoj czestnyj aficer polskoj armii", "uczyciel", nie mógł stać na ubo-
czu. Wyjaśniłem mu, że walczyłem z Niemcami w 1939r., a więc swój obowiązek wobec ojczyzny spełniłem. W czasie okupacji brakowało broni i innych warunków do walki....

Tu spojrzełem na swego rozmówcę i zrobiło mi się go żal. Tak, on się wysiła na łagodność, musi mieć rezultaty swoich przesłuchań, a ja w żywe oczy kłamie mu, zapieram się. Za chwilę zmieni się nie do poznania. Krogulczy nos jeszcze mu się wydkuży, będzie straszny, że mnie "ubije", będzie sięgał do kabury, kto to wie, co mu przyjdzie do głowy. Może, dla uniknięcia tych drastycznych następstw, może dla niego i dla mnie będzie lepiej, gdy przyznam się do czegoś....

Skoncentrowałem się w sobie i powiedziałem:

- Przygotowywaliśmy społeczeństwo do powszechnego powstania, gdy przyjdą nasi sojusznicy. No wy, Anglicy, Amerykanie-

Podchwycił to i spytał, na czym to polegało? Z kim to robiłem?

- Nie oddałem Niemcom radia, ze swoim kolegą kierownikiem szkoły z Rozbitego Kamienia robiliśmy nasłuchy, sporządzaliśmy z nich komunikaty i dawaliśmy je chłopom do przeczytania.

Tu zapytał, jak się ten kierownik szkoły nazywa, i skąd odbieraliśmy nasłuch.

- Wiktor Szajkowski (rozstrzelany przez Niemców w Sokołowie Podlaskim). Rozgłośnie były różne: Londyn, Paryż, a nawet Kościuszkowska. Widać było na jego twarzy zadowolenie. Wreszcie na to, na co czekał, co mu pasowało, aby dokonać klasyfikacji. Szybko zestawiał protokół, oczywiście z sakramentalnym pytaniem: Był w AK? i odpowiedzią: Nie! Wstawił informację, że słuchałem radia z Londynu i zażądał podpisu. Oczywiście, otrzymał go. Dopiero w łagrze przyszło mi do głowy, że mogłem być posądzony o szpiegowstwo.

Wydawało mi się, że moja sytuacja jest na dobrej drodze, gdy tymczasem wezwał zza drzwi konwojenta, podał mu jakiś paperek i powiedział: - Eto wsio! -

Konwojent zaprowadził mnie do mojej celi i nakazał mi zabrać swoje "wieszczy". Ponieważ akurat przyniesiono zupę, pozwolił mi ją zjeść. Po spakowaniu rzeczy zaprowadził mnie na oddział ciężkiego więzienia i przekazał za pokwitowaniem innemu strażnikowi. Zamknęły się za mną ciężkie drzwi. Znalazłem się w zimnej celi z betonową posadzką. Jedynym sprzętem były żelazne nary, ale o tej porze podwieszono do ściany i zamknięte na kłódkę. W ścianie szczytowej celi, wysoko było nieduże okienko z pionowymi prętami. Podskoczyłem i udało mi się uchwycić owe pręty. Okazało się, że nie było blachy, więc mogłem zauważyć po przeciwnej stronie ulicy halę targową. Na ulicy Świętojanińskiej, biegnącej wzdłuż muru więziennego zauważyłem wzmożone patrole sowieckie, z bronią gotową do strzału. A więc liczą się z możliwością napadu. Przecież to wigilia Święta Niepodległości - 11 listopada, a zdarzało się już podczas okupacji, że różne grupy podziemia, stosując różne fortele (np. w mundurach gestapowskich) dostawali się

do wnętrza więzienia i uwalniali zamkniętych tam ludzi. Także teraz może zdarzyć się coś podobnego. Zacząłem analizować swoje położenie.

Dlaczego akowców bardziej tropią i przesładują niż Nszetowców? (wypuścili Witka i Bolka), a ja dobrze zakonspirowany w kontrwywiadzie - siedzę. Aha, może obciążający fakt wykształcenia (byłem już studentem II roku Wolnej Wszechnicy Polskiej). Inteligencja AK stawia główny opór.

Nie wiedziałem wówczas, że 28 lipca 1944r. Stalin zawarł tajną umowę z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego, oddającą radzieckiemu dowództwu najwyższą władzę w pasie przyfrontowym do zakończenia wojny (faktycznie NKWD korzystało z tych uprawnień znacznie dłużej). Na podstawie tej umowy wywieziono z Polski Centralnej około 50 tysięcy AK-owców i 30 tys. górników ze Śląska, którzy jakoby "dobrowolnie" zapragnęli odbudowywać Donbas.

Wróćmy jednak do przerwanej wątku.

Nagle otworzono z przeciągłym skrzyphem ciężkie drzwi. Zabrano mnie wraz ze swoimi rzeczami do sporego pomieszczenia, z dużym stołem po środku. W kątach stali więźniowie obmacywani przez "bojców". Wówczas przyswoiłem sobie nowy nieznanym mi wyraz rosyjski: - "obisk" - rewizja osobista. Młodzi chłopcy w "gimnaściorkach" robili to z wielką biegłością. Podchodząc do nich, należało wyłożyć na stół wszystko, co się miało przy sobie i podejść do dalszej obróbki. Ręce tych zadowolonych z siebie ludzi przebiegały wzdłuż ciała z góry do dołu i wybierały z odsieczy wszystko to, co nie zostało ujawnione na poprzednie wezwanie. Z reguły zabierali przedmioty wartościowe i przybory do pisania, wszelkie dokumenty i pieniądze.

Wydawało mi się, że mój "aparaczyk" jest chłopcem sympatycznym, więc zapytałem:

- co będzie ze mną.

To, co usłyszałem było brutalne, ale jakże prawdziwe:

- Żyć będziesz, nu jebać nie zachocysz -

Był to dla niego najlepszy kawał, jaki mu się zdarzyło przekazać "preklatym Polaczkom", z "białymi rękami". Niech znają mądrość rewolucyjnego ludu rosyjskiego. Dla krzywdzonych była złowróźbna, dla krzywdzących złośliwie satysfakcjonująca: - Dałoj z panami!!

Mój informator zaczął tak głośno rechotać, że jego towarzysze na chwilę przestali rewidować. Gdy dowiedzieli się o treści "skazki" zaczęli i oni śmiać się.

Zacząłem oponować, że zabiera mi lusterko kieszonkowe (z jakąś gwiazdą filmową na odwrocie), zegarek kieszonkowy, kennkartę z auswaizem Binenareta, wieczne pióro i o dziwo, grzebień.

- Eto wam nie nużne - powiedział jakby od niechcenia.

Żadnych pokwitowań, żadnych depozytów. Po prostu zabraj, i kazał mnie odprowadzić do celi. Zostawił mi tylko topione masło w puszcze i rozprute buty z cholewami.

Już się ściemniało. Pograżyłem się w rozważaniach, już nie wiem po raz który wracałem myślami do tych samych pytań, na które nie znajdowałem odpowiedzi.

Nagle doszły mnie odgłosy z chrzęstem otwieranych drzwi (chyba żelaznych) i gdy na wezwanie wyszedłem na długi korytarz zalany jasnym światłem (w celi było ciemno) ujrzałem kilkadziesiąt mężczyzn i usłyszałem polecenie, które wydał znany mi już kapitan w służbie NKWD:

- Lejtnant Bohdan Piotrowski, zdiełajcie parjadok. Bdziesz "Kamandajuszczim otriadom". Pajdiocie w armiu. Z was budiet sam łutszyj wzvod, może być rota -.

(zróbcie porządek, będziesz dowódcą oddziału, pójdziecie do wojska, z was będzie bardzo dobry pluton, a może kompania).

Istotnie, ów Piotrowski (nie znałem go, podobno lekarz z Domanic) wydał komendę:

- Baczność, w dwuszeregu zbiórka, kolejno odlicz - kapitan spojrzął na papier, który trzymał w ręku i zażądał, aby wywożani ustawiali się kolejno według listy:

Było nas chyba ze stu.

Piotrowski znów sformował dwuszereg, potem dwurzęd i w ślad za kapitanem wyszliśmy na podwórze więzienne. Zauważyłem na czarnej tabliczce liczbę 347 (3 tygodnie temu było 17, a potem 21, a więc w międzyczasie budynki więzienne zaludniły się przeszło dwudziestokrotnie.

Na dziedzińcu stały ciężarowe samochody. Wokół nich stali bojcy w pałatkach z pepeszami w ręku.

Teraz wszystko odbywało się błyskawicznie. Bojcy pokrzykując na nas, nakazywali wskakiwać na platformy i siadać w niej w ten sposób, aby każda piątka osób miała między nogami ściśle następną piątkę, twarzami w kierunku jazdy. Następnie jeden żołnierz usadowił się na masce samochodu, drugi przysiadł w rogu na skrzyni i zakomenderowali:

- Pojechali!!!-

Żadnych protokółów, formalności przekazywania. Tak to wyglądało, jakby nas NKWD z więzienia polskiego ukradło, nie pozostawiając dowodów na to, że kiedykolwiek nas stąd zabrali.

Szybko otwarto bramy więzienne i 3 a może 4 samochody nabite ludźmi popędziły przez miasto w kierunku ulicy Sokołowskiej. Samochody jechały z maksymalną szybkością, wzniesając za sobą tumany kurzu. Mijałymy Strzałę, Chodów. Miałem złudzenie, że jedziemy do Mokobód.

Niestety, minęliśmy odnogę szosy, która prowadziła do Kisielan, gdzie stacjonowały jednostki I Armii Wojska Polskiego (moździerz).

W Sokołowie Podlaskim skręciliśmy chyba w ulicę Lipową, gdzie znajdowały się baraki poniemieckie, zamienione teraz na obóz przejściowy.

Nas wprowadzono raczej do obszernej szopy, niż do baraku, bo nie było żadnych prycz, ani łóżek. Po stosie blaszanek, różnych misek, menażek można było różnie wnioskować: albo nie byliśmy tu pierwsi, albo specjalnie te "naczynia" zgromadzono, dla naszego transportu.

Nastąpił drugi z kolei "obisk". Okazało się, że było jeszcze co odbierać, mimo ogromnej wprawy poprzedników w więzieniu siedleckim.

Po rewizji pozwolono nam wziąć z kupy blaszanki (po konserwach) do których dano nam z kotła wojskowego gęsty pęczak. Zapewne byliśmy gdzieś blisko stacji lub boczniczy kolejowej, bo popędzani przez bojów kłusem musieliśmy biec do wagonów towarowych.

- Pobystrej, pobystrej, jop waszu mać!

Byli wśród nas ludzie starsi, którzy w ciemności potykali się, a nawet przewracali. Właśnie ich strofowali konwojenci. Wpędzali nas, jak bydło, do wagonów towarowych, bodajże po 75 osób (a może 100), ale bez sprawdzania listy. Było już dość ciemno, tylko konwojenci odpowiedzialni za dany wagon liczyli wskakujące do wagonu osoby i w pewnym momencie mówili:

- Lewolno, chwatit - i ryglowali drzwi wagonu.

Potem żądowano następnego wagonu. Nie nam pojęcia, ile wagonów miał cały skład, ale zapewne dużo, bo pokrzykiwania konwojentów dochodzące z końca "essakonu" były dość stłumione. W wagonach było bardzo ciasno i ciemno. Po omacku stwierdziliśmy, że jest żelazny piecyk, przed nim trochę węgla, na prawo i na lewo grube deski na piętrowe leże.

Gdzie kto mógł, tam zajął miejsce, aby przynajmniej usiąść.

Oczyścili nas z tłumoczków, walizek, toreb, więc dla samego człowieka niewiele potrzeba miejsca, ale mimo to byliśmy zbici jak śledzie w beczce. Ładowanie ludzi trwało długo. Widocznie ściągano ludzi nie z jednego baraku, a być może, że nie z jednego obozu. Pociąg ruszył nad ranem. Noc zaczęła rzędnąć pod wpływem nadchodzącego dnia, 11 listopada. Teraz zaczęliśmy się rozglądać: przy drzewach było ujście korytka do odprowadzania uryny, otwór większy w podłodze - to dla złatwiania grubszej potrzeby. W górze okienka wagonowe zaplątane drutem kolczastym. Wlazłszy na deski pięterka, można widzieć mijane domostwa, wsie, trakty obsadzone drzewami, ale żadnych ludzi. Ktoś mi pożycza kawałek ołówka, sam znajduję w kieszeni bocznej kurtki pudełko po papierosach. Robię z niego dwie równe kartki i piszę na niej wiadomość:

- Nazywam się... (tu imię i nazwisko, miejsce zamieszkania)

Enkawudziści wiozą nas pociągiem na wschód...

Proszę powiadomić braci w tu adres.

Wyrzucam kartki przez okienko. Padają przy torze. Może ktoś znajdzie, a jeśli znajdzie, na pewno przekaże wiadomość. Polacy traktują to jako swój obowiązek. ^{Wysyłam} Drugą kartkę o podobnej treści z prośbą o poinformowanie mojej byłej narzeczonej. Niestety, jak się później dowiedziałem, żadna z kartek nie spełniła swego zadania.

Trószy śnieg, a raczej z rzadka polatują białe płatki, ale robi się coraz zimniej. Jedziemy bowiem znowu przez Siedlce do Łukowa, a stamtąd na Wschód. Nie wiadomo kto z nas przemycił sprężynowy nóż. Ofiarą tego noża są świerkowe deski, dzielące wagon na górę i dół, które zostają pokupane na drzasgi. Ktoś przechował zapalniczki. Rozpalają ognisko w piecyku. Rura nagrzewa się do czerwoności. Promieniuje dobroczynne ciepło. Jedna sekata deska nie poddaje się operacji noża. Chłopcy

wtykają ją końcem między drzwi. Naciskają. Rozlega się taki trzask, że przeraziliśmy się. Przecież w brekach są konwojenci. Już krzyczą. Bębnią czymś po dachu i krzyczą:

- Nie szumi jop waszu mać - i strzela. Nie wiadomo, czy w powietrze? A tu stary człowiek z Rembertowa o nazwisku Vogel woła: "pić, pić" - i jęczy w malignie. Ma gorączkę. Nie można go uspokoić. Zapewne nie rozumie, co się do niego mówi. A ten na górze, sukinsyn, z torzeczy, wymyśla i grozi, że nas wystrzela. Zdrapujemy na poję płaszcz szron z łebków gwoździ i śrub wewnętrznych wagonu. Podajemy choremu. Chciwie zgarnia go spieczonymi ustami i uspakaja się. Widocznie przynosi mu to ulgę.

Gdzieś w okolicy Białej Podlaskiej pociąg hamuje i wyraźnie staje. Rozlegają się strzały, już nie pojedyncze lecz seriami. Echo nieśie jakieś krzyki. Nie wiemy co się dzieje. Przed naszym wagonem słychać tupot butów. Biegną ku tyłowi pociągu. Głośne rozmowy, nawoływania. Kogoś prowadzą, nie - ciągną. Ten ktoś osuwa się na ziemię, jest ranny. Konwojent, a raczej "starszyna konwoj^ośw" dobija go z pistoletu. Wszystko ucichło, my również. W obliczu rozegranej tragedii - siedzimy jak trusie. Gdzieś w oddali rozbłyska wystrzelona rakietka. Zapewne konwojenci ścigają zbiegów - domyślamy się.

Sprawa tego epizodu podróży została naświetlona już w ZSRR przez deportowanych, zajmujących miejsca w wagonie uciekinierów. Otóż pracowali oni nad wyłamaniem desek w podłodze wagonu już od rozpoczęcia jazdy (wykorzystując najdrobniejsze uszkodzenia i spróchnienia drewna, nadmierne eksploatawanego taboru kolejowego). Szparę poszerzyli na tyle, że można było w nią stoczyć się, leżąc na krawędzi otworu, między szyny. Trzeba było tylko czekać na zatrzymanie się pociągu, a przynajmniej na znaczne zwolnienie jego biegu. I taki moment nastąpił.

Pociąg hamował przed semaforami koło Białej Podlaskiej. Już dwóch czy trzech odważnych ludzi znikło w szparze wagonu. Byłoby wszystko dobrze gdyby wytrzymali nerwowo, do czasu odjechania pociągu na znaczniejszą odległość. Tymczasem, ledwie ostatni wagon przesunął się nad nimi, zrywali się i zeskakiwali na boki z nasypu kolejowego. Te ruchy ich zdradziły. Konwojent zauważył uciekających i zaczął "pruć" z pepeszy. Zatrzymano pociąg na dłużej, bo otwarte uszkodzony wagon policzono obecnych i naprawiono podłogę (nie wszystkie deski były jeszcze spalone w piecyku). Imi konwojenci pobiegli za uciekinierami. Postrzelono jednego i dobito. Co zrobili ze zwłokami, nie dowiedziałem się. Do pełnej liczby zabrakło trzech ludzi. Konwojenci mogli mieć jednego człowieka więcej, ale nigdy mniej. Odpowiadali za to przed swoim "naczalstwem". Naradzali się między sobą i zdecydowali brak uzupełnić z pobliskiej wsi. Tak zrobili. Wieś już wstawała do rannego obrządku w gospodarstwach. Ten i ów młody chłopiec wracał z kawalerki, z kart lub potańcówki. Połapani, uzupełnili liczbę "zakluczonych". Teraz pociąg bez zatrzymywania się dojechał do Brześcia n/B. Tu staliśmy bodajże parę godzin. Przez zadrutowane okienko widzieliśmy przede wszystkim naszych konwojentów w półkożuszkach w watowanych brulkach (spodniach wpuszczonych w walonki lub w zdobyte buty poniemieckie. Nie pozwolili nikomu zbliżyć się do pociągu, nawet polskim kolejarzom. Nie mogliśmy z nimi zamienić ani jednego zdania. Z daleka przyglądali się nam, wyim. Kręcili trwożnie głowami i szli w swoją stronę. Nieopodal był jakiś czerwony budynek, przy nim rozbite przybudówki, na peronie napis: "Kipiatak" (ze strzałką). Nie wiedziałem, co to znaczy, ktoś zaczął tłumaczyć, że to taki przywilej rosyjski. Suchą herbatę każdy podróżny powinien mieć własną, a gorącą wodę otrzymuje na stacji bezpłatnie. Po zalaniu wiórków herbaty lub ziół otrzymuje się napój pity na "pry-

kurzu" (z kostką cukru braną pod język). Można w ten sposób wypić 1 litr napoju przy jednej kostce cukru.

W dalszej podróży straciliśmy rachubę czasu. Vogel znowu gorączkował i wołał: pić! Co mogliśmy zrobić, gdy nikt nie miał ani kropli napoju. Miałem puszczkę topionego masła z małą łyżeczką w środku (jeszcze więzienna przesyłka od brata). Najpierw sam stwierdziłem, że to masło doskonale zwilża usta, błony śluzowe jamy ustnej stają się śliskie i język w niej staje się funkcjonalny. Można normalnie mówić, a nie bełkotać. Po kryjomu, w nocy, dałem łyżeczkę masła Mietkowi Mechowi (zaprzyjaźniłem się z nim w pociągu), pytałem go o pozytywny skutek. Potwierdził moje spostrzeżenia.

Masz, powiadam, łyżeczkę masła i daj Voglowi, on umiera z pragnienia. Powiedz, że to lekarstwo na gorączkę. Sam nie chcę tego robić, bo inni rzucają się na mnie i zabiorą wszystko, a musi nam starczyć do końca drogi.

Rzeczywiście, Vogel przestał jęczeć, a konwojent przeklinać. Któregoś ranka pociąg stanął. Konwojenci rozsunęli drzwi i nakazali wybrać dziesiętników. Przez otwarte drzwi zauważyłem napis na przysadzistym budynku z "okrągłaków": Borysów.

Tak w dużym skrócie odbył się "akt^u wyzwolecielski" w moich przeżyciach. Okazało się, że tyłowe oddziały^{sowieckie} na zapleczu frontu niemieckiej przerażały bezprawiem i okrucieństwem od Gestapo. Z etykietą przyjaźni, z frazeologią komunistyczną, Stalin wydał Polakom podstępna ludobójczą wojnę.

Moja przymusowa peregrynacja do Związku Radzieckiego była nieodwracalną drogą odwrótu od^{idei} komunizmu sowieckiego. Zobaczyłem machinę systemu od spodu, systemu, gdzie człowiek nie jest wartością samą w sobie, a jest mierzwą, która użyźnić miała marną egzystencję rabów.

Dowiedziałem się, że pierwsze państwo światowego proletariatu realizowało zdobycze Rewolucji Październikowej łamiąc ^(z perfidia) elementarne prawa człowieka i depcząc wszelką sprawiedliwość. Zdawało się, że pociąg więzienny zdążający na wschód był upiorną machiną czasu. Cofaliśmy się o tysiąclecia, za nami pozostawał cały dorobek cywilizacji, którą opuszczaliśmy cofając się do jaskiń albo jeszcze dalej. "Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją"*. Zaiste, przekraczaliśmy bramy krainy, która miała się stać naszym piekłem - piekłem zgotowanym nam przez innych ludzi.

* Dante Alighieri ; „Boska Komedia” , „Piekło”, Pieśń Trzecia, 7.

VI. NA GOŚCINNEJ ZIEMI RADZIECKIEJ

A więc jesteśmy na dawnej stacji granicznej po stronie ZSRR. Po stronie polskiej były Stożpce, ale nie zauważyliśmy tej stacji. Konwojenci zabrali dziesiętników, jednych poprowadzono w kierunku parowozu, drugim wręczono wiadra. Ci pierwsi przynieśli na plecach zgrzebne worki z sucharami czarnego chleba oraz w skrzyneczce śledzie, pokrojone na dzwonka. Ci drudzy, z wiadrami poszli do stawu, za którym było jakieś gospodarstwo (chyba kołchozowe) z dużym podwórzem bez ogrodzenia, na którym stał kierat. Sieczkarnię wprawiało w ruch 5 czy 6 kobiet, które napierały sobą ⁽ⁿ²⁾ dwuramienny dyl. Być może, że w ten sposób szatkowały kapustę, bo coś podobnego leżało przy sieczkarni na klepisku. Żadnego mężczyzny nie było. Gdy nasi podążali z wiadrami po wodę do stawu, kobiety przystanęły i z zainteresowaniem przyglądały się niecodziennemu wydarzeniu, ale konwojenci skierowali naszych bardziej na lewo, aby odległość przez staw uniemożliwiła porozumiewanie się głosem.

Przyniesiono parę wiader wody ze stawu, ale ludzie rzucili się na nią tak gwałtownie, że więcej jej wypryskali na ziemię, niż nabrali do swoich blaszanek.

Wielu z nas nie miało zaufania do wody z bajora, więc nie pchali się do niej: Ale jak gryźć te suchary, skoro śliny w ustach brakuje? Co mądrzejsi ostrzegali: Nie jedzcie śledzi, są szkodliwe. Nie wytrzymacie z pragnienia. Lepiej być głodnym, niż umierać z pragnienia. Z sucharów i śledzi skorzystali ci, którzy napili się wody. Pożałowali tego, bo niektórzy z głodu zjedli parę porcji śledzia i sucharów, a potem wili się z wewnętrznego ssania, lizali metalowe części wagonu, na którym osiadł szron lub skraplała się para z wydalonego potu

ścieśnionych ciał w dolnej płaszczyźnie wagonu, bo już wszystkie deski zostały połamane przez piecyk i piętarka nie było.

Od tego dnia byliśmy "gośćmi Związku Radzieckiego". Tak bowiem nobliwie określa powojenna literatura wspomnieniowa pobyt polskich prominentów na terenie Kraju Rad. Autorzy, którym udało się przeżyć swój niedobry los, dla chleba, dla stanowiska, dla możliwości pisania - zapuścili za sobą gęstą zasłonę niepanięci, że przecież byli także na dnie poniżenia, nieludzkiej poniewierki w głodzie i chłódzie. Piszą więc, że byli "na gościnnej ziemi Związku Radzieckiego" - bo to brzmiałoby przytulnie, przyjacielsko, rodzinnie. Wolał nie wspominać, że tam nie zadano komentarzy dla braci - Polaków, którzy z wyniszczenia biologicznego i moralnego konali bez majestatu śmierci, a potem byli kopywani byle gdzie, jak to się zwykle robi z padliną - bez ludzkiego obrzędu.

Każdy z nas, "kacierników", ma pragnienie napisania prawdy o deprawacji sowieckiego człowieka, tylko nieporadność pisarska, a może lęk, pozostały jeszcze z tamych lat, szciera do ciepłego dziś mieszkania, do jako tako urządzonego bytowania (dla naszych dzieci - pełnego niewygód i niedostatków, a dla nas, którzy doświadczymy zimnego chowu - aż nadto dostatecznego). Boimy się o siebie i swoich najbliższych, aby brutalnie nam nie odjęto tego, co mamy.

Konstytucja PRL leży sobie zakurzona na półkach bibliotek, bo nikt po nią nie sięga, aby prawnie dochodzić swoich swobód obywatelskich. Do niedawna bezprawnie wyrzucało się ludzi z partii (za dopomnianie się o "pryncypia socjalizmu"), wykluczało się ze Związku Literatów za ukazywanie meandrów rzeczywistości, pozbawiało się urzędu za głoszenie prawdy, za wyznawanie swych przekonań światopoglądowych.

Usunięty z partii, wykluczony ze Związku Literatów Tadeusz Hołuj

napisał niedawno, już w Polsce Ludowej:

"Tak to bywa w życiu - bicie młotem odkuwa miecz,
ale my nie jesteśmy ze stali i jeżeli stal jęczy,
to coś dopiero człowiek?"

SZEPLEKOWO, MORDLAGER (CZY SZACHLAGERT?)

Minęliśmy niski, drewniany, senny Borysów. Żadnych koni, krów, żadnej zwierzyny, ani hodowanej, ani dzikiej, tylko przysadziste, ^{domy} z małymi okienkami, kryte deskami, a może i słomą. Pociąg nabierał rozpędu, ale stał na rozjazdach, a i bez nich. Minęliśmy Mińsk Białoruski, Smoleńsk, Rżew. Jechaliśmy dzień i noc. Była taka prawidłowość, że nie robiono postojów na stacjach większych miast, więc nie pamiętam jakichkolwiek epizodów z tej trasy: gdzie pociąg zatrzymywał się, gdzie i kiedy, czym i czy w ogóle nas karmiono lub pojono. Monotonny krajobraz pustego kraju. Jak okiem sięgnąć biała, pokryta śniegiem pusta płaszczyna, tylko gdzieś tam wypryski samosiewu drzew i krzewów. Tylko jeden raz przejeżdżaliśmy przez zwarty las. Akurat dokonywane arębu starych świerków. Między powalonymi drzewami przy ognisku siedziało paru ludzi. Dyn wsiąkał w stojące jeszcze drzewa.

Dopiero zapamiętałem sobie dużą stację rozrządową: BAŁAGOJE. Tutaj dane nam znowu suchary z czarnego chleba i wodę do picia, ale już z kranu stacyjnego. Czy dali coś więcej? Dalibóg, nie pamiętam. Dedukuję jednak, że gdybyśmy dostali coś więcej, u kwiliby mi to w pamięci, jak tamte śledzie w Borysowie, bo byliśmy bardzo spragnieni i bardzo głodni.

Z Bałagoi (jest na mapie między Moskwą a Leningradem) ruszyliśmy jeszcze dalej na północ. Opuszczaliśmy wagony podobno po 8 dniach jazdy, dopiero w Borowiczach.

Jest to jakaś osada słynąca chyba tylko z tego, że tam znajdowało się "Uprawienie bagier" (nie pamiętam numeru) obejmujące kilka uczastków. Do paru z nich miała się włączyć nasza gromada: do Szepietowa, do Jegły, do Waldlagru... Do dziś mamy trudności w odróżnieniu nazw. Bo na przykład "uczastek" obozu Nr 127 w Szepietowie miał różne nazwy, nadawane przez jego kolejnych mieszkańców. Pobudowali go Kuzacy w pierwszych latach trzydziestych i tu zostali wyniszczeni przy kopaniu kanału, który miał połączyć bogatą w wodę rzekę Martę (wpadającą do jeziora Ilmen) z rzeką Mołogą, co miało włączyć je do systemu kanału Białomorskiego i Wołgi. Następni mieszkańcy są nieznani. Dopiero wojna ojczyźniana z Niemcami dostarczyła nowych lokatorów. Oni to nazwali Szepietowo: "Mordlagier" (obóz zabójczy). Za pobytu naszego spopularyzowała się nazwa Szachtlager, jako że stąd wychodziły brygady do pracy w prymitywnej kopalni węgla kamiennego, ale zwaną już "ogólnym zakładem". Ja chodziłem z brygadą roboczą na "żyłostrój" (budowę osiedla

Kanał nie został ukończony, choć pochłonął, według relacji jednego "tutejszego", od 50 do 60 tysięcy kuzaków (1929-1932).

Wrochę opisuję się znajomością rzeczy, o których dowiadywałem się znacznie później: urywkami, półżołtami, bo uniemożliwiono nam jakiegokolwiek kontakty z ludnością miejscową. Nie mieliśmy być tajemnicą stanu, a zatem do naczelnych obowiązków konwojentów i służby obozowej należało bezwzględnie odpędzać od nas obywateli radzieckich, a jeśli już natarczywie pytali bojców, kogo prowadzą, mieli odpowiadać:

"To balsze przestupniki", "Naszyc ubiwali". Każdego, kto tu dostaje się pod straż uważa się za przestępców i winowajców, choć w swej niedoli są niewinni, skłonni do przyjaźni. Władza nie wyli się."

Być może, iż ci skocnoocy konwojenci, wyciągnięci z głębokiej Azji, świeżo w to wierzyli. Rozmowy żadnej z takim nie było, byli

skoczy do ubliżania, do pieszczotliwania popeszą lub karabinem, przystawiania "sztyku" do pleców czy piersi. Jak później mieliśmy się przekonad, NKWD wykazywało wiele pomysłowości, aby nas zohydzić, aby ludność wykazywała wobec nas swoją pogardę, nienawiść, aby nam skorszczyła. Nie pamiętam, aby u nas w kraju ktokolwiek z Polaków rzucał w kolumny sowieckich jeńców ubliżające epilety. Jest w nas jakiś pierwiałek humanitaryzmu, aby nie pastwić się nad pokonanym, nad bezbronnym. Ogarnia człowieka ciekawość, ale i zgroza. Jakież jest to socjalistyczne wychowanie skazanych na życie w Rosji?

Właśnie w Borowiczach, zaraz po wyjściu z wagonów, z pokrzykiwaniami, z idiotycznymi wyzwiskami, z potrącaniem bronią ustawiali nas "piaciorkami" (ulubiony szyk obozowy w ZSRR - jako wygodny do liczenia). Był dzień pochmurny, a śniegu na drogach sporo. Na wstępie "starżyna" zakomunikował:

- Pany, a pany! Wnimanie, wnimanie!!

- Szag w prawo, szag w lewo, budiem prynimać orużje!!!

Groźba użycia broni mogła odstraszyć ludzi sprawnych, a nie chorych, dmier elnie zmęczonych i zmaltretowanych już wcześniej metodami band "doprosów śledowacielii". Piątki zaczęły się rwać. Jedni szli równo, inni zostawali w tyle. Trzeba ich było podtrzymywać, a nawet prowadzić ujmując z obu stron pod pachy. Wówczas konwojenci skłócili się, grozili że dopuszczą się "ubijstwa". Czoło kolumny musiało się zatrzymywać aby tyły podciągnęły. Pewien odcinek drogi przechodziliśmy przez tafłę lodową i tu zarządzono odpoczynek na siedząco.

Gdzieś po drodze pewna część kolumny została skierowana na prawo (okazało się, że do Jogły). My poszliśmy prosto. Przeszliśmy podobno 6 km drogi, co trwało kilka godzin. Już był zmrok, kiedy zamknęła się za nami najeżona drutem kolczastym dwuczęściowa brama obozu szepieto

wskiego.

Wewnątrz ogrodzenia z drutów kolczastych szliśmy po drodze z desek, z których śnieg był zgarnięty na boki. Wpędzono^{nas,} do baraku Nr 5 (340 osób). Już przy kopcizce naftowej czy ropnej (bez szkiełka) szukaliśmy, po cienku prawie, miejsca na ułożenie się. Po obu stronach szerszego przejścia w środku baraku były piętrowe nary z desek z podniesieniem przy ścianach na głowy. Każdy miał jakieś wyrachowanie co do zajmowanego miejsca, ale trzeba było decydować się natychmiast, bo za chwilę mogło zabraknąć miejsca w ogóle, a wówczas trzeba się liczyć z konfliktami. Ważne było, aby zapewnić sobie dobre sąsiedztwo, aby było trochę powietrza, ale nie za wiele (np. nie przy drzwiach), aby było ciepło, a więc nie przy okienkach. We czterech z obwołu siedleckiego wspięliśmy się przy pomocy wycięć na słupkach podporowych i poprzączanych nabitych szczebli na nary i ułożyliśmy się tak, że po prawej stronie miałem dwóch braci (bliźniaków) Raffów, a z lewej strony Silickiego.

Ponieważ wargi, język i cała jama ustna była spieczona i oboląka, wyszedłem przed barak (sąsiedzi mieli pilnować mego miejsca). Wszędzie śnieg, z dachu zwisały niewielkie sople lodowe. Chciałem je odzupać dla lizania, ale były za wysoko.

Wiem dojrzałem Niemców, ciągnących oblodzony beczkowóz z wodą. Miał nieszczelną pokrywę na skutek warstwy lodu, więc woda wypryskiwała na zewnątrz. Chciałem chytrze zaczerpnąć blaszanką nieco wody, ale odtrącono mnie:

- Las faflühter Pole!

Za wo zrezygnowałem, bo tuż przy wejściu do baraku stała beczka. W nadziei, że tam jest woda, sięgnąłem blaszanką i zaczerpnąłem jakąś ciecze. W przekonaniu, że to jest woda przyłożyłem naczynie do ust.

Zanim jednak nachyliłem naczynie, odrzucił mnie charakterystyczny zapach amoniakalny uryny. Zawieszony, starannie wytarłem śniegiem wnętrze blaszanki, napełniłem ją śniegiem i wróciłem do kolegów, by napić siebie i ich wodą z roztopionego śniegu ciepłem własnych ciał.

Obozem rządzący jacyś niemieccy. Komendantem był młody, przystojny Niemiec w lisiej czapce (skąd ją wziął?). Nazywał się Reiss. W stosunku do nowoprzybytych Polaków był taktowny i najbardziej kulturalny spośród wszystkich swoich współrodaków.

"Prowierki" przeprowadzał sprawnie, bez dysonansów. Odczuwaliśmy wprawdzie jako zniewagę fakt, że Niemcy - nasi wrogowie - pełnią wszystkie funkcje w obozie, ale po ich odejściu przypadekowi się, że nie był to najgorszy układ. Niemcy i my trzymaliśmy się od siebie z dala, nie znali nas, a my ich, więc nie było precedensów do protekcji. Wszystko, co nam przysługiwało, dzielili względnie sprawiedliwie.

Za dnia mogliśmy obejrzeć usytuowanie obozu. Nic szczególnego. Obejmował kilka hektarów terenu ogrodzonego dwoma rzędami drutów kolczastych. Gdzieś tam wystawała ze śniegu tablica ostrzegawcza w dwóch językach:

- Zapretna zona - po rosyjsku - (strefa zakazana)

i po niemiecku - Achtung - eintritt verboten - (uwaga, wstęp wzbroniony).

Na rogach stały bocięce dla strażników. Dokoła kotliny w środkowej części obozu stały drewniane baraki. Te większe dla obozowiczów, mniejsze, często z dobudówkami, dla służby obozowej złożonej na razie z jeńców niemieckich. Potem zajęli je nasi: fryzjerzy, krawcy, szewcy, lekarze, kucharze. Przy głównej ulicy, wiodącej od bramy wejściowej stała kuchnia, za nią za wewnętrznym ogrodzeniem, mały barak, w którym zamieszkało w rok później około 60 kobiet przywiezionych z Polski.

Najbliższej drutów obozowych stał nieduży, ale chyba najsolidniej sbudowany z grubych brzo-wion i najlepiej się prezentujący budynek na karcer (miałem okazję w nim siedzieć). Najbliższej obniżenia terenowego była obozowa latryna z wybetonowanym dołem na nieczystości. W jednym rogu obozu była piwnica. Jak się okazało, używano jej na składowanie trupów, które czasowo pozostawały tu do wywózki ich na Kozią Górę, którą było widać nieopodal obozu. Na terenie obozu nie było żadnego drzewa, ani krzaczka. Tuż za ogrodzeniem stał pochylony szup z izolatorami, z których powiewał kawałek przewodu aluminiowego, skrócony z drutem kolczastym. "naczyło to, że w swoim czasie obóz miał oświetlenie elektryczne, obecnie wystarczały smrodliwe "kopułki". Za ogrodzeniem stał jeszcze niepozorny domek dla komendanta obozu, a może jeszcze dla kogoś, przy nim skłone chlewiki, czy budy gospodarczy. W przeciwnej stronie była jakaś przyzma torfowa (nie opak lecz składnica lodu i chyba magazyn żywnościowy). W prostej linii za nimi, w większej odległości, stał stóg siana, czy słomy. Wokół obozu jak okiem sięgnąć pusta przestrzeń, gdzieś tam tylko z niskimi zakrzaczeniami. Z jednej strony horyzont przecinała jakaś wieś. Skąd przybywali oficerowie NKWD, siostry (pełniące rolę personelu nadzorującego lekarzy wyłonionych z obozowiczów), komwojenci i strażnicy - nikt nie wiedział. W każdym razie odbywali podróże piechotą. Wspominam o tym usytuowaniu na początku, bo każdy szczegół ma pewne znaczenie w dalszej opowieści.

Zastanawiająca była nasza sytuacja. Niemcy mieli względną swobodę ruchów. Obsługiwali transporty środków żywności, wyjeżdżali po chleb, ziemniaki, kapustę, mąkę itd., nas nie używano do żadnych posług poza obozem. Ustanowiono tylko "dopiewalnych" pełniących w dzień i w nocy służbę przy drzwiach. Oni odpowiadali za sprawnie działanie drużyn

służbowych, które odgarniały śnieg sprzed baraków i ze ścieżek. Ściągały ^{też} błoto z podłóg baraków przy pomocy gumy umocowanej między dwoma deszczułkami, oprawionymi na kiju. Wszystko, co dało się zgarnąć, wraz z wodną popłuczką, skierowywano do kwadratowego otworu i stamtąd pod podłogę. Zadziwiająca usprawnienie porządku sanitarnego.

Dla poboru żywności z kuchni mieszkańcy baraku byli podzieleni na drużyny po 10 osób. Zupę, herbatę, chleb - na wiadomość od łącznika z kuchnią, poprzez "dniewalnego", przynosili kolejno członkowie danej dziesiątki. Podział odbywał się na oczach wszystkich. Rozgorączkowanymi oczyma śledziliśmy, aby odbywał się sprawiedliwie. W miarę, jak głód niszczył tkanki, udoskonalała się przy świetle kuczywa zapalonego od kopałki, technika rozdziału ciekłej karmy. Każda drużyna zdobyła blaszanki na mniejsze i większe chochelki. Najpierw każdemu wlewano po większej chochli wodę (rzadką zawiesinę zupy) a potem z dna drewnianego wiadra uzupełniano małą chochelką zagęszczoną już treścią kartoflaną, a groch czy fasolę liczone na sztuki. Dla przykładu czasem było ich 9, rzadziej 13-14 sztuk. Bywało, że otrzymywaliśmy cukier. Wówczas nabierano go łyżką i drewnkiem ściągano nadmiar równo z brzegami.

Mijały dni i tygodnie, leżeliśmy na twardych narach w zaduchu potu z własnych ciał i ^{ze} spalonej ropy naftowej w kopałce przy drzwiach. Było nam ^{ciepło}, choć barak nie był spalany. Na dworze hulał wiatr, dni były coraz krótsze. Na zewnątrz wychodziliśmy tylko za własną potrzebą i dwa razy dziennie na "prowierki" (czyli sprawdzenia stanu liczbowego). Nie mylił się wcale, bo nie było ani wody, ani mydła. Tępiak zmysł wężu.

Przyzwyczailiśmy się do zapachów, normalnie odrażających. Zjadaliśmy wszystko, co nam dano. Nawet drobne zaplaszczone kartofle, bo

były tak małe, że nie sposób było je obrać. Przypominam sobie, że hrabia Przewłocki odsuwał z odrazą blaszankę z taką supką. On miał jeszcze jakieś zapasy w dużym eleganckim plecaku, który zabierał ze sobą, gdy odbywał po obosie codzienne swoje spacery. Właśnie on zwracał uwagę, że trzeba się gimnastykować, nie wolno poddawać się apatii i abnegacji. Jednak stopniowo chudł plecak wraz z jego posiadaczem. Niedługo potem hrabia został skierowany do Waldlagru dla podratowania kondycji. Dalsze jego losy nie są mi znane.

Zastanawialiśmy się, dlaczego administracja obozowa nie interesuje się nami? Dlaczego obóz obsługują wyłącznie Niemcy? Snuiliśmy różne przypuszczenia: Wojna jeszcze trwała, więc chcą nam dać, jak to się mówi, w kość, abyśmy potem z wierności przyjęli ich umundurowanie i broń dla walki z Niemcami. Późną nas zapewne do karnych kampanii, czy batalionów, ale lepsze już to, niż gnicie w tym młym sapachu brudnych i głodujących ludzi.

W miarę upływu dni i tygodni nadzieje te wędlały.

Mimo, że w obozie byli chyba wyłącznie Polacy, to jednak nie przedstawiali oni monolitu. Wprawdzie, jak można było się zorientować, w przewadze byli Akowcy, ale ^(byli) również ludzie z tęg swanych sfer wyższych ziemianie, lekarze, urzędnicy, ^(Zdarzali się też) okupacyjni handlarze, ponadto jednostki niewiadomego pochodzenia, których, sądząc po ich sposobie bycia, nie można by darzyć zaufaniem. Zagarniano nas bowiem, często bez większego wyboru, z terenów "wyzwalanych" od miejscowości podwarszawskich po Podkarpacie. Nic więc dziwnego, że w dalszym ciągu istniała atmosfera konspiracyjna w grupach przynależności organizacyjnej lub terenowej. Baliśmy się dezkonspirowania, bo przewidywaliśmy, że oficer polityczny obozu na pewno nie siedzi bezczynnie, lecz montują siatkę informacyjną.

Był wśród nas pułkownik Stanirowski, podobno z przedwojennej służby sanitarnej czy intendentury Wojska Polskiego, który przy pomocy bliższej sobie grupy oficerów robił spisy. Dla jakich celów? Czy po to, aby utworzyć w obozie jakąś hierarchię, czy oddziaływać na kadrę oficerską wychowawczo - nie wiadomo. W każdym razie nie każdy oficer ściszył sobie smalec się na takiej liście. Byli przecież wśród nas "cichociemni" z grup operacyjnych Kedywu, byli policjanci. Sprawa katyńska pozostała złowieszczą, tajemniczą. Wymordowani polscy oficerowie nie byli ofiarami ^{walk} ~~...~~ lecz bezbronnymi jeńcami, którym

Wprawdzie ciągle rewizje w barakach oraz "obiaskiwania" osobiste z rozbieraniem się do naga, z zagładaniem do ust i do odbytnicy przy wykonywaniu przysiadów, wskazywały na to, że nadzór obozowy bardziej interesuje to, z czego można by obozowiczów jeszcze ograbić, niż to co mają oni w głowach i w sercach, ale przy okazji odbierano nie tylko ocalałe jeszcze zegarki, pierścionki, obszyte jako guziki - złote monety, ale i dokumenty. Rodziły się napięcia psychiczne w podejrzaniach: nie chcą powtórzyć błędów oprawców z Katynia, którzy pozostawili swym oficerom tyle dowodów rzeczowych.

Jeszcze jeńcy niemieccy obsługiwali obóz, gdy po raz pierwszy w życiu śmierć niespodziewanie uderzyła tak blisko mnie. Mój sąsiad Tadeusz Paff z Siedlec zaczął trząść się jak w febrze. Przykryłem go własną kurtką. Zdawało się, że usnął. Rano obudziłem się i z przerażeniem stwierdziłem, że leżałem obok trupa.

Jego brat Waldek pobiegł do ambulatorium, aby powiedzieć o tym fakcie i prosić o pomoc. Przyszli sanitariusze-Niemcy i wynieśli zwłoki do "bolnicy". Waldek zdziwił się, że brat może jeszcze żyć, ale spotkał się z obojętnością obsługi "Rapiduchów". Kazali mu po prostu wyjść.

Kiedy wrócił w niepokojną godzinę, zwłoki Tadeusza leżały nagie. Wszystko z niego zdjęto, żadnej rzeczy nie oddano bratu.

Ogarnął nas strach. Być może, śmierć nagła ukosi nas jeszcze dziś, a trupy zostaną odarte z odzieży i wyniesione do kostnicy i tak, jak Tadeusza wywieżą nagich na Kozią Górkę wraz z innymi. Przy dyszlu i kłonicach staną Niemcy, a może już koledzy nieznaní z brygady ostatniej posługi i będziemy grozić niebu sztywnymi rękami. Nie zakopią nas zbyt głęboko, bo ziemia zmarznięta i się nie staje. Wystarczy powłoka śniegowa, aby wilki i lisy w tej głodnej krainie nie miały wiele zacho-
chodu.

Chcemy żyć!!

A jeśli umrzeć, to tam u siebie. Tu śmierć odarta jest ze swego majestatu. Tu zmarłych nikt nie żegna. W ostatniej drodze nie towarzyszą dostojni żałobnicy. Zamiast marszu żałobnego, na otwartym zboczach Koziej Górki zawyją wilki i włączą tkanki zmarłych w swoje chude wilcze siaka. Nic nie może się zmarnować. Odzież tych nieszczęśników wyniosą sanitariuszki do pałacu gwałtan. Czekają na "wieszaczy" (rzeczy). Ścięte i trzewia zjedzą dzikie zwierzęta, kości bielejące rozsypią się, udyżniając gliniastą morenę.

Zostanie pamięć nielicznych świadków, ocalałych nieszczęśników z gościnnej ziemi radzieckiej - jeśli przeżyją.

VII. MIĘDZY NAMI POLAKAMI

Powoli rozesznawaliśmy się w swej zbieraninie. Już sama informacja o tym, kto z jakiej miejscowości pochodził, powołanie się na wspólnych znajomych, na swoich dowódców wojskowych sprzed wojny i z czasów kampanii wrześniowej, na sawód czy funkcję jaką wykonywaliśmy w Polsce - te wszystko ułatwiało zbliżenia, koleżeństwo, a nawet przyjaźń. Unikaliśmy rozmów na temat konspiracji, bo ona przede wszystkim była przyczyną naszego losu.

Nie znam mechanizmów organizowania wewnętrznej hierarchii obozowej werbowanej z Polaków. W każdym razie taka powstawała, powoli obejmowała funkcje po Niemcach, których wycofywane. W dalszym jednak ciągu nasi nie byli dopuszczani do brygad zatrudnionych poza obozem.

Bodajże najpierw dopuszczono lekarzy polskich do pomocy sowieckim sanitariuszkom - które uważały się za "kraczy" (lekarzy), ale kwalifikacje ich były chyba ^(Zresztą) znikome, i jak one mogły pomóc chorym, skoro do dyspozycji miały jeden czy dwa termometry, maśó siarkową na świerzb, trochę jodyny - ale nadzorowały pracę naszych lekarzy, interweniując, gdy zbyt wielu chorych kwalifikowali do "bolnicy" - szpitalika obozowego, gdzie otrzymywali t. zw "pajek" czyli dodatkowe porcje żywnościowe (biały chleb, kawałek ryby, trochę tłuszczu). Asortyment i granatura tych wzmacniających porcji nie były z góry ustalone. Zależało to od dowozu z magazynów i uczciwości administracji.

Spośród kilkunastu lekarzy wyjątkowo wybijał się na czoło dr Sergiusz Hornowski, nie tylko wiedzą lekarską, lecz również godnością i odwagą cywilną w obronie postawionej przez siebie diagnozy. Byłem nieraz świadkiem utarczek słownych z sowietkami, które z reguły ustę-

powwały przed jego rzeczową argumentacją. Mówił zresztą swobodnie po rosyjsku, błyskał im określeniami zacofskimi - a to budziło do niego respekt.

Mimo ostрых nieraz kontrowersji co do liczby osób kierowanych do "bolnicy" - utrzymywał się na stanowisku lekarza obozowego i towarzyszył nam do końca pobytu w ZSRR. Miał autorytet zarówno u Rosjan jak i wśród obozowiczów. Nie słyszałem ani wówczas, ani już w Polsce, aby ktokolwiek oceniał go inaczej, niż na to zasługiwał. Właśnie on, wielu z nas ocalił życie.

Ze znanych mi lekarzy wymienię doktora Paulo, który na zlecenie sowieckiego komendanta obozu robił sekcję zwłok hrabiego Flatera. Zadziwiająca sprawa. Był to chyba jedyny przypadek w Szepietowie, że zażądano ekspertysy lekarskiej i protokołu przyczyny zgonu tego człowieka (gruźlica z rozpadem płuc).

Inni lekarze lub felczerszy pełnili role pomocnicze, coś w rodzaju sanitariuszy szpitalnych i barakowych (było ich około 30).

Liczącą się i ważną grupą byli funkcyjni w kuchni obozowej: Kucharze i ich pomocnicy, "chleboreszkowie" krajający i porcjujący chleb, a potem i wozacy, dostarczający z magazynów żywność. Najpodlejsza czynność przy kuchni wiązała się z dolewkami, wyskrobkami z kotła, ewentualnie z możliwością "podwędzenia" czegośkolwiek do jedzenia. Ta grupa młodych, silnych chłopców była szczególnie emablowana przez dozorców, którzy zabiegali o zawarcie z nimi znajomości, choć oni unikali spotkań i rozmów z obawy przed utratą funkcji. Często chowali się w głębi zadymionej kuchni, aby nie widzieć i nie słyszeć żebraniny o dolewkę, wyskrobki czy okruchy chleba. Podobno były z funkcyjnymi kuchni zawieszane układy, że za systematyczne świadczenia w dożywianiu biorcy zobowiązywali się do wypłacenia określonej kwoty w dolarach,

lub w t.zw "twardych" monetach już po powrocie do Polski. Rotacja w składzie brygady kuchennej była chyba największa, tutaj bowiem zrodkowało się największe zainteresowanie zarówno sowieckiej administracji obozowej, jak i głodujących ludzi. Pierwsi liczyli na zwerbowanie "kapusiów", którzy przy okazji donoszą, co w trawie piszczy, drudzy z zawiści czy z rachuby - na wejście do grupy uprzywilejowanych.

Znaczącą też grupą była "szajsbrygada" wywołująca poza obóz nieczystości z dołów kloacznych. Brudna robota, to prawda, ale oficjalnie należały się im dolewki. Od nich właśnie dowiedziałem się, że przy czerpaniu śmierdzących odchodów znajdowali sporo żelaznych krzyży i innych bojowych orderów niemieckich.

Pożyteczną dla nas funkcję pełnili "parikmacherzy" czyli golarze i fryzjerzy. Swoją nieprzyjemną pracę wykonywali narzędziami odebranymi obozowiczom: wyszczetbionymi maszynkami i tępymi brzytwami (dobre narzędzia rewidenci zabierali sobie). Przy ^{mogły przenosić się z osoby na osobę.}braku odkażania choroby skórnej

Potrzebni też byli szewcy i krawcy, nie tyle dla nas, ile dla administracji obozowej. Przecież komendant obozu, bezręki pułkownik NKWD, miał rodzinę, podwładni oficerowie również. Odebraną przy rewizjach lepszą odzież cywilną i obuwie można było bez kosztów przerebobić według miary dla swoich kobiet. Z biegiem czasu z ich usług korzystały osoby liczące się w obozie, lub znaczące w kraju.

Zewnątrznie, chyba najlepiej prezentował się rotmistrz polskiej kawalerii - Królikowski. W cywilnym ubraniu, ale w eleganckich błyszczących butach oficerskich ("ze szklankami"), energiczny w ruchach, szybkim krokiem przemierzał baraki. Budził respekt swoją postawą, ale też niepokój: Jak on to zrobił, że zachował ten frapujący ubiór? Dostał się do pewnego stopnia wtajemniczenia, bo został pisarzem obozowym. Robił listy i wykazy dla potrzeb zwierzchności. Jego nie widziało się

przy kuchni, ani w brygadach pracy fizycznej. Pożywienie przynoszono mu do t.zw. Kancelarii.

Z szacunkiem wspominam kapitana Kapkowskiego z Rembertowa. Wyważony w swych wypowiedziach, z pewnym dystansem do nieznanych osób, biegle posługujący się językiem rosyjskim. Przez pewien czas widywałem go przy bramie kontrolnej w toku odprawy brygad do pracy, ale widocznie nie odpowiadała mu ta funkcja, bo po pewnym czasie wolał chodzić jak wszyscy inni do roboty fizycznej. Jeszcze będzie o nim mowa.

Przyjaźnił się z nim major Mizgalewicz, również z Rembertowa. Przebywał on, chyba na stałe, wśród t.zw. dystrofików w "bolnicy". Dystrofia - słowo mało znane w Polsce, a jeszcze rzadziej używane, a w Związku Radzieckim, szczególnie wśród kagierników, niemal nagminne, oznaczające zmiany zanikowe tkanek miękkich. Stąd zapewne rodziły się u niego stany depresyjne, melancholijne (ale wrócił do Polski).

Powoli i ostrożnie wchodziliśmy w szersze znajomości. Deliberowaliśmy na temat swego położenia. Żadnych kontaktów ze światem zewnętrznym. Ani listów, ani książek, ani gazet. Dni dłużyły się z bezczynności. Pierwsze obozowe święto Bożego Narodzenia obchodziliśmy, dzieląc się kawałeczkami chleba jak opłatkami, płacząc nad swą niedolą. Zamiast napoju wydano nam suchą herbatę. Zabrakło podobno wody i opału w kuchni, a może była to barbarzyńska złośliwość naszych prześladowców. Może wiedzieli, że zużyjemy ją na skrety, we wstrętnym papierze, uzyskiwanym od funkcyjnych z opakowań żywności pochodzenia amerykańskiego, bowiem i tu ona docierała. Podobno dym ze spalonej herbaty, w dodatku w przetłuszczonym często papierze, powoduje groźne następstwa dla zdrowia. Odczualiśmy to na sobie: zawroty głowy, ośpienie, mdłości. W gardle i płucach osuszonych ostre drapanie.

Szatański kawał wigilijny dla "proklątých polaczków".

W barakach, w nastroju przygnębienia, nuciliśmy zanikającymi głosami
pieśń obozową:

- O Boże skrusz ten miecz co siecze kraj,
do wolnej Polski nam powróć daj,
by stał się źródłem naszej siły,
nasz dom, nasz Kraj -

Administracja obozowa dowiedziała się o treści tej pieśni. Groźnie za-
powiedziano, że zrobią z nami "pariadek", że nie zobaczymy "Polszy",
jeśli nie zaprzestaniemy wrogich pieśni.

Politruk wołał mniej więcej tak:

- Śpiewajcie, śpiewajcie aż doigracie się, że osadzimy was w takie
miejsce, skąd powrotu nie będzie -.

VIII. PRACA NA RZECZ ŻAGRU I JEJ DOLEGLIWOŚCI

Była już śnieżna zima 1945r. Dotychczas siedzieliśmy jak w klatkach, wewnątrz odrutowan. Prace wykonywaliśmy, ale tylko wewnątrz obozu. Pierwsze moje wyjście poza zonę (poza zabronioną strefę) będę wspominał całe życie. Przedstawiało ono obraz grotgerowski. Proszę sobie wyobrazić wielką płaszczyznę pustyni śniegowej, nieskazitelnie białej, po której posuwa się kilkunastu ludzi gęśiego, ślad w ślad. Każde zboczenie z tak torowanej drogi nie tylko było zakazane, ale i utrudnione, gdyż nogi zapadały się po kolana, a niekiedy po pas. Pierwszego człowieka z pochodu wymieniał coraz to inny, bo ten pierwszy cały dygotał ze zmęczenia i grozy. Dął silny wiatr, mokry śnieg zalepiał spocone twarze, brwi i oczy. Czy można być spoconym podczas tak mroźnego dnia? Okazało się, że można. Nie tylko wysiłek ponad miarę osłabionego organizmu był tego przyczyną, ale i sakramentalna zapowiedź skośnockiego konwojenta, który odebrał brygadę z "prechadnoj" (bramy obozowej):

"Pany, jop waszu mać, a pany, wnimanie!!

Idy priamo! Szag w prawo, szag w lewo - budiem strilat"

(Uwaga! Krok w prawo, krok w lewo - strzelamy!)

Na czele stanął "kamandir" z automatem i wyznaczał drogę, po bokach w odległości piętnastu, dwudziestu kroków z karabinami w rękach, z przepisowo ułożonymi palcami ^{na} spuście paru Mongołów, z tyłu dwóch boj-
ców z automatami, prowadzącymi złe psy, które rwały się do powiewają-
cych na wietrze chałatów lichu ubranych ludzi. Oni w walonkach z dość
szerokimi spodami, my różnie: w kamaszkach, trzewikach, w letnich
pantofelkach. Oni mniej się zapadali w śniegu, szli żwawo, kocimi ru-
chami pokrzykując:- "Nu, balszoje prestupniki, pobystrej, pobystrej".

My, po dwóch miesiącach "gnicia" na narach w zaduchu baraków, głodni, maszerowaliśmy ociężale, pójani ostrym powietrzem niekiedy krok za krokiem, zapadając się w głębszych zwałach śniegu. Nadzorcy doskakowali do pozostających w tyle wymierzając w nich ostrza sztyków.

"Idy, jop twoju mat!! Idy! Pobystrej!!"

Dokąd oni nas prowadzą? Co oni z nami zrobią?

Po paru kilometrach drogi weszliśmy do z rzadka wystających ze śniegu krzaków. Tu nas zatrzymano. Uzbrojeni konwojenci przepisowo rozstawili się w większej odległości od siebie. Byliśmy jak w kotle na grubego zwierza. Czy będą nas tu wybijać?!

Ależ nie, nic podobnego. Wręczyli kilku ludziom noże, którymi jak tasakami mieli ścinać wystające "prucie" (pręty, łoży), a pozostali zbierać w wiązki tak, aby przywlec je do obozowej kuchni. Większe gałęzie można było wlec za sobą po śniegu. Drobniejsze rozsuwały się i gubiły po drodze. Trzeba je było więc wiązać paskami od spodni lub sznurkami, jeśli ktoś miał takowe. Powrotna droga była już spokojniejsza. Nawet psy przestały ujadać i szczerzyć kły. Wiatr ustał, ścieżka przetarta, no i nastąpiło odprężenie psychiczne. Zwyczajna sprawa. Kuchni brakowało opału, nawet torficy, którą kiedyś przywozili Niemcy skądś z daleka.

Jeszcze potem byłem parę razy po "prucie", w dalszych rejonach, ale już bez tej scenerii grozy.

Nawet zmniejszała się liczba konwojentów. Dwóch, trzech wystarczało. Byli ciekawi, kim jesteśmy, skąd, dlaczego nas "zakluczyli" (aresztowali). Nie dowierzali nam, że jesteśmy Polakami, bo wielu z nas po obrabowaniu podczas rewizji otrzymywało zniszczone płaszcze, panterki i czapki niemieckie w kolorze "feldgrau", często ze śladami krwi. Ta mistyfikacja miała na celu upokarzanie nas, łamanie godności dum-

nych Polaków, a przede wszystkim utrudnić nawiązywanie kontaktów ze strażą i przygodnie napotkanymi "grażdaninami" radzieckimi. Wiadomo, "Fryce" nie mieli dobrej sławy wśród ludzi, zarówno u nas, jak i u nich.

Oczywiście, w bezleśnej i bezludnej krainie nie spotykaliśmy nikogo, nawet zwierzyny, ale z rzadka trafialiśmy na tropy wilków, które prowadziły w kierunku cmentarzyska na Koziej Górze i z powrotem, w zakrzaczenia.

Pewnego razu zabrano większą brygadę do odśnieżania drogi zawiąanej śniegiem. Rozstawiono nas z drewnianymi szuflami, łopatami, deskami nabitymi na długie drzewce. Na poszczególnych odcinkach drogi, w jednym miejscu prześwitywała ziemia, gruda, w innych, w zagłębieniach terenu było śniegu "na chłopa". Śnieg iskrzył się diamentowymi odblaskami w promieniach zimowego słońca. Raziko oczy. Wiatr porywał odrzucane przez nas wały śniegu. Gdzieś w oddali widać było przysadziste chaty jakiejś wsi z białymi czapami dachów. Gdzieś tam z kominów ulatywał dym, rwany na strzępy tuż po opuszczeniu kanału. Nad okolicą górowała jakaś wieża: ni to cerkiew, ni to resztki zburzonego pałacu. Ciekawi byliśmy, dokąd nasza przekopywana droga prowadzi w jedną i drugą stronę, jak nazywa się ta wieś? Stamtąd chyba przychodziła sowiecka obsługa obozu (prawdopodobnie były to Borowicze).

Próba wdania się w rozmowę z kałmukami nie powiodła się. Kowojentom zabroniono rozmów z nami. Każde nasze odezwanie się wyzwalalo w tych bestiach całą furie wyzwisk, obelg i złości:

- Nada rabotać, jobany wrot, nie razgawariwać!

Nie pozwalano nawet rozmawiać między sobą.

Wtem z oddali przybliżyła^(się) do nas jakaś szkapa w dule i hożoblach. Na niskich płożach sani pólśiedział - pólleżał na wiązce słomy kołcho-

źny chłop w czapie na głowie. Może da na skręta machorki, może nam coś odpowie. Byliśmy we dwóch na końcu swego odcinka. Daliśmy znak ręką, aby się zatrzymał. Chłop ściągnął lejce i był gotów do rozmowy. Nie zdążyliśmy zadać pytań. Konwojent zarepetował głośno karabin i skierował w nas:

- Nie lizia, job waszu mać - Ubiju was kak sobaki!!! (zabije, jak psy).

Chłopina skulił się w sobie, uderzył konika kozicą bata i odjechał bez słowa. Ot, co znaczy respekt przed uzbrojonymi stupajkami. I wtedy przypomniałem sobie, że w Polsce w szeregi jeńców radzieckich, pędzonych w kurzu, jak bydło, wpadały pudełka papierosów, bułki, chleb, co kto miał pod ręką. Nie z sympatii dla ujarzmionych komunistów, ale z odczucia niedoli ludzkiej, ze współczucia dla tragicznego losu ludzkiego. Ale to było w Polsce. Ta dzicz nie myśli, nie jest zdolna do uczuć wyższego rzędu, są gotowi do rozłupania ci głowy, sfastrygowania piersi kulami pepeszy, aby tylko mieć po temu powód czy rozkaz.

Straszne.... R. eścież nic by się nie stało, gdybyśmy zanienili kilka słów, bo nawet nie mieli nad sobą zwierzchnika wyższego rangą. Byliśmy z daleka od obozu. A jednak i ich strach oblażywał, że przekroczyć mogą "wajenny zakon" (prawo rozkaz). Widocznie mieli wkręcane w ciasne głowy reguły postępowania z "zakluczonymi" - "przestupnikami":

"Ani naszych ubiwali", "Ani swołoczce", "Wzreditiele"! "Mieszczatiele".

Zachodzi pytanie. Dlaczego nie protestowaliśmy wobec obelgi, poniżenia, poszturchiwań kolbą, sztykiem, bezprawnego ograbiania z drobiazgów osobistych, ubrań, obuwia? Czy nie było depozytów? Pokwitowań? Czy nie było komu poskarżyć się na prymitywnych i nieobyczajnych boj-ców? Można na ten temat napisać rozprawę. To przyginianie, łamanie godności ludzkiej i degradowanie człowieka było "systemem wychowawczym"

w. zamysle oprawców, często dawnych kryminalistów.

Oni, niedawni łagiernicy, czują teraz, że są ważni, mogą brać rewanż za swoje przebyte poniżenia. Oni, niedawno sami głodni, teraz są syści, często na drodze okradania magazynu obozowego.

Z oficerską kadrą obozową jeszcze niewiele mieliśmy wspólnego. Tyle tylko, co na prowierkach, ale to już osobny temat.

IX. KADRA OFICERSKA OBOZU

Komendantem szepietowskiego obozu był pułkownik, bodajże bez nogi (spieramy się na ten temat do dziś, bo nigdy nie widziałem go z bliska) którą zastępowała mu drewniana, prymitywna proteza. Nigdy nie widzieliśmy go wewnątrz obozu. Nie mogliśmy mu się przyjrzeć, nigdy nie przemówił do nas słowa. Intrygowało nas, jaki on jest!

Pewnego dnia, a raczej pewnego ranka, prowierka niepomiernie przedłużała się. Oficer dyżurny szybkimi krokami przemierzał odległość między barakami i skrzętnie parę razy podliczał na desce stany liczbowe raz i drugi. Znowu zeszkrobywał szkłem to co przedtym napisał i znów podliczał "piątki" (piątki). Staliśmy jeden za drugim piątkami. Starszy lejtenant dotykał deską ramienia pierwszego czkowieka z każdej piątki, przemnażał i zapisywał w kolumnie cyfr. Od towarzyszącego mu komendanta polskiego dowiedzieliśmy się, że brakuje trzech ludzi. Już obeszlili wszystkie zakamarki obozu - bez rezultatu. Dowiedzieliśmy się też, że ten starszy lejtenant z suchotniczą piersią nazywa się Rodin.

Od budki strażniczej przy bramie rozległ się jakiś chrapliwy głos: "Polaki piejcie , Jeszcze Polska.." (Polacy, śpiewajcie "Jeszcze Polska"). Myśleliśmy, że chodzi mu o nasz hymn narodowy. Zdenerwowany z powodu braku trzech osób, Rodin służalczo nakazał nam, aby śpiewać w takt marszu w miejscu. Ponieważ było nam zimno w nogi, chętnie podjęliśmy to wezwanie, aby się nieco rozruszać i rozgrzać. Zaczęliśmy śpiewać, ale pułkownik przerwał: "Nie to". "Nie tak".

Rodin sam podchwycił słowa, zaczął machać deską. Nie zorientowaliśmy się, o co chodzi? Ktoś podsunął, że chodzi o tekst, w którym jest refren:

"Marsz, marsz Polonia, marsz dzielny narodzię,
Odpoczniemy po swej pracy w ojczestej zagrodzie"

(Śpiewany na nutę ukraińską)

Jak długo śpiewaliśmy to w kółko - trudno określić. Nikt już chyba nie miał zegarka, a gdyby go miał, to nie po to, aby stwierdzić, która godzina, bo kapusie od razu donieśliiby, gdzie trzeba i odbyłoby się polowanie na "czasy" (zegarek) z szykanami rozbierania do naga. Zresztą tak już nieraz bywało.

Było przedwiośnie. grunt Gliniasty ubijany pod stopami niękt. W wybitych dożkach chlupała woda. Śpiewaliśmy coraz ciszej, ze zmęczenia już nie podnosiliśmy kolan tak wysoko, jak nakazywał Rodin. Mimo wezwań do dziarskiego kroku, markowaliśmy ruchy kołobaniem tułowia w prawo i w lewo. Wreszcie niezbicie stwierdzono, że brakuje trzech obozowiczów. Ustalono też, że byli to młodzi trzej chłopcy z "chleborezki". Mieli dostęp do chleba i innych wiktuałów, zabrali co im było potrzebne na drogę i poszli do Polski, przeczołgując się przez zakazaną strefę pod uniesionymi futami (stwierdzono, w którym miejscu to nastąpiło).

Co się działo poza obozem, można się domyślać. Postawiono w stan alarmowy posiołki, kołchozy i sowchozy. Każdy ich mieszkaniec został ostrzeżony, co go czeka, gdyby zechciał pomagać uciekinierom w jakiejkolwiek formie. Prawo było twarde, najmniej 10 lat ciężkich robót za podanie kawałka chleba. Obyczaj wojenny, chyba wszystkich cywilizowanych narodów, głosi, że prawem każdego jeńca jest ucieczka.

Tu jest inaczej. Ucieczka jest przestępstwem. Kto uciekał - jest wrogiem, "szpionem". Pouczono nas, że uciekinierzy nie oddalili się zbyt daleko, że na pewno zostaną złapani. Będą odpowiadali za kradzież chleba i innych rzeczy, będą sądzeni jako przestępcy, bo gdyby

nie byli przestępcami, to nie uciekaliby z obozu. Swoim postępowaniem ujawnili się jako groźni bandyci (zaś my życzyliśmy im w myślach udanego przedsięwzięcia).

Po trzech dniach penetrowania bliższych i dalszych okolic przez milicję i patrole NKWD, przyprowadzono śmiazków bardzo zmęczonych i zmaltrretowanych. Ledwie trzymali się za nogach. W jakich okolicznościach ich złapano nie dowiedzieliśmy się. Pokazano nam ich na specjalnym apelu i wsadzono do bunkra. Co się z nimi stało - nie wiem.

Pułkownik i st. lejtenant Rodin tryumfowali. Ten drugi wołał, że żaden wróg sowieckiej "władzi" nie ujdzie cało (dlaczego wróg?). Następnego dnia Rodin postawił na nogi cały obóz. Gdy wychodziliśmy przez bramę, zobaczyliśmy wzmocnione grupy "bojców" z pepeszami i z psami. Może to były patrole pościgowe, które zostały ściągnięte skądś specjalnie, aby odszukać nieszczęsnych uciekinierów. Mieli bowiem dobrze skrojone przyzwolite umundurowanie, nie takie jak nasi zwykli konwojenci w swoich burych siermiężnych, mocno już sfatygowanych szynelach. Lekkość ruchów tych pierwszych kontrastowała z ociężałością tych drugich. Całością dowodził Rodin, ustawił kolumnę w piątkach, wystawił porządek obstawy i zakomenderował:

- Paszli!!-

Zaprowadzili nas nad rzekę Mstę. Zwierciadko wody nieco opadło tak, że przy brzegu pozostały połamane tafle lodu.

Kazano nam brać je gołymi rękami. Nie mogły to być zbyt małe kawałki, bo konwojenci wymyślali, nakazywali je rzucać, a wskazywali wówczas delikwentom duże kawały do niesienia, więc lepiej było brać od razu umiarkowanie sporą tafle, przymierzyć ją do poły płaszcza, aby ręce przynajmniej trochę odizolować od lodu. Mimo to ręce marzły, a lód topniał i moczył ubranie. Były jakieś dodatkowe łaszki (onuca, ręcz-

nik, szalik) rozwiązywał sprawę, bo można byłoby zmienić pozycję udźwigu i mniej się męczyć. Nie byliśmy jednak przygotowani do takiego zajęcia. Tymczasem sadysta - st. lejtenant Rodin - z premedytacją chciał nas udręczyć, odebrać resztkę sił. Z biedą pokonywaliśmy z tym lodem trzy-czterokilometrową drogę. Kolumna kamała się przez nienadążających. Ci ostatni byli naratni na kły wilczurów popuszczanych na całą długość smyczy, by popędzić tych pozostających w tyle nieszczęśników. Pomagaliśmy sobie, jak tylko mogliśmy, skrycie porzucaliśmy cięższe bryły lodu w opłotkach jakiegoś luźno zabudowanego osiedla, a może też jakiejś stolarni czy tartaku. Zdawało się, że już ostatkiem sił skończyliśmy lód w ziemiance nieopodal obozu między zwalami torficy czy torfu, co miało potem stanowić przykrycie lodu. Sądziliśmy, że to już koniec udręki. Niestety, Rodin sucho i władczo zakomenderował:

- Pany, abratno do riekii! ("Panowie", spowrotem do rzeki!)

I poszliśmy powtórnie, aby umęczenie było całkowite. Zrobiliśmy tego dnia około 15 kilometrów. Nie jest to wiele dla normalnie odżywionego człowieka, ale nas doprowadziło to do stanu krytycznego wyczerpania. Wielu odchorowało ten dzień, a niektórzy zostali przez lekarzy skierowani do szpitalika, czy izby chorych.

Nie wiedzieliśmy, że tą samą drogą odbędziemy jeszcze kiedy indziej po szczapy drzewa splewane rzeką Mstą i przechwytywane po drodze przy pomocy bosaków na brzeg. Z nakazu władzy obozowej przenosiliśmy je pod kuchnię obozową i przed nieliczne zabudowania komendanta obozu oraz jego podkomendnych.

Rodin nosił w sobie antypolskie nastawienia, prawdopodobnie z powodu 1920r., odpłacał się nam więc jawną nienawiścią. Często z byle powodu wściękał się, wymyślał ordynarnymi przekleństwami, jakie tylko mógł Rosjanin wymyślić. Niepodobna je nawet wymienić i powtórzyć,

tak były bogate i soczyste, zebrane chyba z całej ziemi radzieckiej od Dniepru po Władywostok i Sachalin. Jedną zniewagę rzuconą nam przed frontem baraku zapamiętałem:

"Przeklęci Polacy, ja bym was rozdeptał, rozcierał jak pluskwy"
To brzmiało tak:

(Praklute Polaki, ja by was raztuptał, razcierał kak kłapy).
Czy to nie był faszysta sowiecki? Nacjonalista rosyjski, w najgorszym wydaniu? Od takiego Rosjanina niczego nie można się nauczyć, ale przy jego despotyzmie i naszym położeniu musieliśmy zapomnieć o poczuciu godności.

Diametralnie inny był lejtenant Kutuzow. Jeśli miałbym kogokolwiek wspominać mówiąc z uczuciem sympatii do Rosjanina, to na pierwszym miejscu postawiłbym jego. Był mniej niż średniego wzrostu z regularną budową głowy, z bystrymi oczami zdradzającymi inteligencję i ludzkie odruchy życzliwości. Poruszał się lekko, zwinnie. Głos miał ciepły, dźwięczny, wymowę czystą bez naleciałości. Nawet ci, którzy języka rosyjskiego nie znali, łatwo pojmowali, o co mu chodzi. Dał się poznać z jak najlepszej strony, gdy poszedł z grupą po wodę do kanału.

Kanał ten był nieukończony na skutek wojny. Budowano go wiele lat, chyba od 1929 do wojny 1939. Podobno pracowali tu i ginęli tysiącami Kułacy. Przygodnie spotkany kołchoźnik wymienił liczbę około 40 tys. ofiar, "zakopanych tam" - tu wskazał ręką na Kozią Górkę. Możliwe, bo nasi, którzy tam chodzili z ostatnią posługą, widzieli obsunięte zboże i odsłonięte kości masowego grobu.

Ale wracajmy do zdarzenia, jakie miało miejsce przy ślepo kończącym się kanale, gdzie mieliśmy pobrać wodę beczkowsów - a raczej do beczkosan, które mieliśmy przyciągnąć własnymi siłami do obozu.

Były tam tarasowate stopnie do przerębli, skąd czerpaliliśmy wodę dużym obłódzonym wiadrem. Podając je z rąk do rąk, coraz wyżej do otworu w beczce, obsuwaliśmy się w dół rozlewając zawartość wiadra tak, że do dużego pojemnika trafiało zaledwie kilka, zamiast 10-15 litrów. Zdenerwowało to naszych konwojentów i zaczęli jak zwykle obrzucać nas przekleństwami i wyzwiskami.

Kutuzow początkowo milczał, przypatrywał się naszej niezdarnej robocie. Widział, że to nie z psoty ani z niedbalstwa wylewa się woda, lecz z braku odpowiednich przyrządów do poboru wody, no i z braku sił.

Gdy powtórzyła się wiązanka wymysłów z poszturchiwaniem ludzi kolbą karabinu - nie wytrzymał i siląc się na spokój, z naciskiem powiedział do tego konwojenta mniej więcej tak:

- Ty udajesz bohatera tutaj i znęcasz się nad słabymi ludźmi, ale jedź do Polski, do ich kraju i spróbuj z nimi powalczyć, aby ich pokonać i przywieźć jako jeńców tu, - wtedy będziesz gerojem -.

Była w tym odezwanii się obrona naszej czci jako narodu i uznanie dla męstwa Polaków, równocześnie drwina, z tego żapciaka (a może aluzja do barbarzyńców z Katynia, którzy mordowali jeńców).

Konwojenci zbaranieli. Jeden z nich mruknął:

- Tak, toczno towarzyszc lejtynant. Wątpliwe natomiast, czy coś z tego zrozumieli. Odtąd robota potoczyła się różnie. Dzięki aprobacie Kutuzowa, przybyło nam niejako sił.

Innym razem w mroźny, słoneczny poranek poszliśmy po drzewo nie z Rodinem, lecz z Kutuzowem. Był z nim jeden konwojent.

Poszliśmy w dół Msty. Minęliśmy jakiegoś cywilnego Rosjanina, który sterczał przy przerębli w łodzi i łowił ryby. Potem, znowu, dziewczyna z wiadrami na nosidłach przerzuconymi przez plecy. Dojrawszy nas przyspieszyła nabierania wody z przerębli, przez którą była prze-

rzucona deska i szybkim krokiem oddalała się w kierunku osiedla, leżącego na wysokiej skarpie. Szła pod górę, kołysząc się w biodrach. Wyglądała zabawnie, bo wiadra za każdym jej krokiem wahały się: To w górę - to w dół. Po marszu Kutuzow pozwolił odpocząć. Staliśmy w dole, przy korycie rzeki i podziwialiśmy żadne położenie ogrodzonej astachetkami jakiejś drewnianej willi bogato strojonej w ozdoby - jak bombonierka. Były i drzewa. Z werandy schodziła grupka dzieci w wieku przedszkolnym. Rzucił się w oczy ich ubiór. Wszystkie miały takie same królicze futerka i takie same czapeczki. Wyglądały naprawdę jak króliczki - wszystkie jednakowe. Szły za swoją wychowawczynią, gęsiego, jedno za drugim. Nauczycielka satoczyła krokami na podwórzu koło, a one za nią szły niejako ślad w ślad, w zupełnej ciszy. Żadnej radości, żadnych uśmiechów, żadnych rozmów i baraszkowania. Opiekunka przystanęła i gapiała się na nas, one również. Patrzyliśmy na siebie bez słowa. Ciekawi byliśmy, co to za przedszkole. Rygor, dyscyplina, ale i automatyzm. Kutuzow powiedział, że to są sieroty po oficerach, którzy nie wrócili z wojny:

"Eto pryjut" (to ochronka). Pohraliśmy po szczapie drzewa ze stojących sąsni i udaliśmy się w powrotną drogę. Władzio Grzegorski twierdzi, że myśny to drzewo ukradli. Bo ja wiem? A może tu każdy bierze drzewo jeśli mu trzeba? Wszystko państwowe! Po drodze dyskutowaliśmy: Uniformizm czy indywidualizm w wychowaniu. Co lepsze dla rozwoju dziecka: swoboda czy przymus. Kutuzow nie zabierał głosu - słuchał.

Pewnego razu lejtenant Kutuzow, jako oficer dyżurny, przy powierce przedwieczornej powiedział mniej więcej tak:

- Pany, drogi są nieprzejezdne dla samochodów. W obozie brakuje siemniaków. Możemy je pokraść z sowchozu oddalonego 20-25 kilometrów, poszukuję na ochotnika 18 ludzi wytrzymałych i zdrowych -.

Sława Kutuzowa wśród nas rosła. Wystąpiło więcej ludzi, niż 18. On sam miał kłopoty, kogo odrzucić. Ja zostałem zakwalifikowany do marszu.

Wyfasowano nam walonki, suchy prowiant, do trzech sani przytwierdzone długi drut, w który zapleciono w skręty szczeble do ciągnięcia, pobrano worki na 9 kwintali kartofli.

Rano obudził nas służbowy baraku (dniewalny), dostaliśmy jakieś jadło pozostawione z wieczora w kuchni i skoro świt stanęliśmy przy bramie. Jak zwykle zapisali nas z imienia i nazwiska na zeszkrobanej desce. Kutuzow podpisał się na niej i zostawił ją na "prechadnoj" - wartowni. Zarzucił pepeszę przez ramię i ścisłym głosem powiedział:

- Pojechali...

Wartownik otworzył bramę i zwyczajnie wyszliśmy, ciągnąc za sobą skrzypiące po śniegu sanie. Ci, którzy byli zbędni na razie, szli przy pustych saniach, a nawet gdy było z górki, siadali na deskach. Było też trochę baraszkowania, dowcipów. Kutuzowa chcieliśmy posadzić na saniach, on się bronił, w końcu uległ. Ktoś zagadnął go, że na sławnego przodka, który był pogromcą Napoleona. Widać było, że to pytanie mu pochlebiło i skromnie odpowiedział:

- Tak teczno. Eto moj praszczur - prapraprareditiel.

(tak jest. On był moim prapraprzodkiem).

Zapytaliśmy się go, dlaczego ze sobą nie zahrał konwojentów i czy się nie obawiał jechać z Polakami sam.

Odpowiedział, że nie obawia się niczego złego od Polaków. - Wy jesteście panowie i wiecie, co znaczy zaufanie, koleżeństwo, honor. Zresztą, co by komuś z tego przyszło, gdyby nawet odebrał mi broń? Do Polski są tysiące kilometrów. Niełatwo się wydostać ze Związku Radzieckiego. Kto byłby taki nierozsądny, aby zgubić siebie? -

Po drodze mijaliśmy jakiś dawny dwór, rozebrany z cegieł do parteru. Mijaliśmy również resztki murowanej, dużej cerkwi, której tylko część wieży coś mówiła o jej wspaniałej architekturze. Kutuzow chyba zażartował, ni to z nadzieją, ni to z żalem:

- Boh na pocziotnym karaule -

(Bóg na honorowej straży, a może Bóg czuwa)

Powiedział też, iż cegły z pałaców bojarskich i rozebranych cerkwi są w chłopskich piecach. Nie zostały zniszczone, bo były dobrze wypalone.

Wytworzyła się atmosfera szczerości, obopólnej sympatii. On był taki zwyczajny, bez dystansu. Żartował, śmiał się i myśmy się śmieli. Gdy przyjechaliśmy na miejsce dano nam "kipiatok" (wrzącej wody). Prowiant na posiłek mieliśmy własny. Po odpoczynku załadowaliśmy 12 skrzynek, po cztery na każde sanie. Workami obłożyliśmy, opatulili ziemniaki, aby nie zmarzły na kamień. Przechowywane były w należytej temperaturze zimnego bunkra. Bulwy wyglądały pięknie. Jeszcze takich kartofli w ZSRR nie widziałem. Zawsze były zmrożone na kamienie.

Powrotna droga okazała się trudniejsza. Miejscami brakowało śniegu na drodze. Sanie piskliwie docierały płozami do ziemi, to znów zapadały się po same deski w głębokim śniegu. Zaczęło się ściemniać, a my przebyliśmy podobno dopiero połowę drogi. Lejtenant Kutuzow zachęcał do szybkiego kroku. Sam zapierał się nogami i wołał do całej szóstki:

- Pany, cianijcie, cianijcie, jeszcze niemnoszko!

Ciągniemy, popychamy, unosimy to z lewej, to z prawej strony, to z tyłu. Wydostaliśmy się wreszcie z nagiego odcinka drogi. Ciężko dyszymy, pot zalewa oczy, brwi obmarzają lodową kaszką. Na szczęście mamy teraz z górki. Wystarczy tylko kierować saniami. Same suną do przodu,

nawet szybciej, gdy przysiadamy na deskach. Trzeba walonkami nieco hamować, aby sanie nie wywróciły się gdzieś w jakimś nieoczekiwanym skręcie.

Wróciliśmy, kiedy cały obóz spał. Tylko z bocienica strażnik zawołał:

- Pstoj, kto idiot-!!?

Na odzew: "lejtynant Kutuzow"-, wartownik wpuścił nas do zony. Kutuzow dziękował nam:

- Pany, spasiba wam, bolszoje spasiba ...

Pozwolił nam, abysmy wzięli po kilka kartofli, nawet największych. Tyle, ile zmieści się w obie złożone dłonie. Wiedział, że były sortowane więc prawie równe, ale okazał żadny gest wdzięczności za to, że go nie zawiedliśmy.

Za parę dni służbę oficera dyżurnego objął znowu - Kutuzow. Po przedwieczornym apelu przyszedł on do naszego baraku i powiedział, że wyfasujemy podgłówki i sienniki. Po ich rozdaniu powiedzieliśmy z zakłopotaniem, że przydałaby się słoma:

- Tak toczno, budiet sołoma - usłyszeliśmy.

Wyprowadził nas z poszwami przed wartownię i tam policzył. Wyszliśmy wzdłuż drutów w pole. Z wieży wartowniczej zagrzmiął głos:

- Pstoj, kto idiot?!

- Lejtenant Kutuzow, po siano dla koshadi - padła odpowiedź.

- Puskaj, prejdiet (niechaj przejdzie).

Uszliśmy jeszcze z kilometr, gdzie stała sterta słomy po wymłóconym zbożu. Po napełnieniu podgłówek i sienników wróciliśmy do obozu.

Ponieważ po wyprawie kartoflanej walonki nasze były mokre, więc Kutuzow nam je zostawił, aż wyschną przy piecu, w którym już "dniewalnyj" (dyżurny dzienny) baraku podtrzymywał ogień. Nie spieszyło nam się zdg-

wad tych walonek (wojtkowe buty). Było w nich ciepło w nogi. Używaliśmy je, gdy przyszło wyjście do roboty. Własne buty z cholewkami chowałem wówczas między słomą w sienniku wraz z niesjedzonymi jeszcze kartoflami. I właśnie stało się nieszczęście. Gdy byłem poza zoną na robotach, Rodin z nowym komendantem, na którego po opuszczeniu obozu przez Niemców wyznaczono Drawsę (podobno Ślązak), - zarządzili rewizję w prawie pustych barakach, t.zw. roboczych. Do baraku weszła ekipa żołnierzy NKWD, którzy fachowo przetrząsnęli sienniki i podgłówki, przeszukali każdy zakamarek. Szczególną sensacją wzbudziło odkrycie moich butów i ziemniaków.

Rodin, a najbardziej Draws, dopytywali się natęrczywie służbowego baraku:

- Czyje to są buty, kto na tej przycy śpi?

Dyżurny nie umiał na to odpowiedzieć, a może udawał, że nie pamięta nazwiska użytkownika nary.

Plon przeprowadzonej rewizji był dość duży: szaliki, chusteczki, zapasowe cywilne koszule, trochę trzewików i pantofli, sporo kartofli no, a moje buty z cholewkami z miękkiej sakowej skóry były prawdziwym rarytasem. Wszystkie zakwestionowane rzeczy zostały odniesione do baraku funkcyjnych i tam zdecydowano, co z nimi zrobić.

Po powrocie z pracy dowiedzieliśmy się, co zaszło podczas naszej nieobecności. Kolega służbowy baraku określił moją sytuację jako groźną.

Nimo obaw, postanowiłem wszczęć starania o odzyskanie skonfiskowanych butów, a nawet kartofli. Przecież miałem alibi na jedno i na drugie. Własne buty mogłem schować, bo wyszedłem do pracy w walonkach, które nam wypożyczono na wyprawę po ziemniaki dla obozu i które po wysuszeniu trzeba oddać. Ziemniakami obdarował nas lejtnant Kutuzow

w nagrodę. Wezale ich nie ukradłem.

Ale właśnie, czy przypadkowo Rodin nie wykorzysta tej wiadomości przeciw poczciwemu Kutuzowowi? Kutuzowa nie było, więc nie mogłem się z nim porozumieć w tej sprawie.

Być może, że Rodin śledził Kutuzowa w związku z podejrzaną przyjaźnią z Polakami. Możliwa ta rewizja była robiona pod tym kątem. Postanowiłem pozostawić aferę ziemniaczaną, swojemu losowi (kartofli było 7 sztuk, tylko tyle, ile można zmieścić w dwóch złożonych doniach). Cenne dla mnie, ale coś mogły znaczyć wobec groźby wkopania człowieka, który nam ufał i traktował nas jak ludzi.

Na moje prośby, zastępca Drawsa - Wacław Woś zgodził się zbadać, co stało się z moimi butami, gdyż miał dostęp do funkcyjnych. Tego samego dnia przekazał mi wiadomość, że zostały oddane szewcom w celu wykonania bucików na model żeński, wg miary.

Złożyłem zażalenie do Drawsa. W rezultacie osobiście wsadził mnie do Karceru. Karcer - to był najsolidniej zbudowany budynek z grubych okrągłaków drewnianych, z których nie można nic odkupać, ani przewiercić. Wchodziło się z wąziutkiego korytarzyka do pojedynczych kojców. Drzwi były masywne, z bali, zasuwane drągiem. Nie takie, jak w barakach, ze szparami, nie domykające się, krzywo zawieszane. Kojec był mały z małym okienkiem w górze, mniejszym niż obwód ciała człowieka. Leżeć w nim się nie dało, bo wymiary jego pozwalały tylko na siedzenie w kucki, no i oczywiście stanie. Bunkier nadzorował wartownik z wieży narożnej. Wejście do Karceru było dozwolone tylko w obecności wartownika z bramy. Jedzenie ograniczano do połowy, w szczególnych przypadkach do 300 gramów chleba i pół litra wody na dobę.

Nastąpiła zimna noc. Czuję, że ciepło uchodzi ze mnie. Przykre aż do bólu odczucie, że krążenie krwi ustaje, a kończyny stają się

bezwładne. Ogarniała mnie senność, choć nie zapadła jeszcze chyba noc. Przerażiłem się, że mogę tu zamaranąć niespostrzeżenie. Zacząłem robić gimnastykę rękami, nogami, rozcierać twarz i uszy. Gdy jeden rodzaj ćwiczeń mnie zmęczył, robiłem inne, choć siły topniały. No jeszcze, jeszcze, nakazywałem sobie, aby wytrzymać do rana. Wreszcie dochodziły mnie odgłosy z kuchni, sygnalizujące, że to już świt. Nawoływałem, ale umiarkowanie, aby wartownik na wieści nie doskyszał, lecz obozowicze byli zbyt zajęci swymi czynnościami, a strażną nikogo nie było w pobliżu. Na ogół wszyscy stronili od bunkra, bo tuż była "zapretniona senna" i natchodziła obawa, że wartownik może strzelać do niepowołanych w tym miejscu. Pewnego razu obozowicze stali na prowierce. Jeden z nich, stojący w piątce, wszedł jedną nogą do rowku oddzielającego "zapretnioną senną", od obozu i nachyliwszy się zamierzał w tawie oczyścić buty. Wtem padł strzał wartownika z "bocianka". Nieostrożny delikwent, jak święty padł martwy.

Wreszcie uderzone w zawieszono przy wartowni żelazo, co oznaczало że rozpocznie się ruch przed prowierką. Ale dopiero po sprawdzeniu stanów liczbowych zastępca Drawsa - Wód, przepisowo wraz z wartownikiem z "prehadnej" przynieśli mi 200 gramów chleba i jakiś płyn.

Błagałem Wosia:

- Słuchaj, proszę cię, powiedz Drawswi, a jeszcze lepiej Rodinowi, że butów się wyrzekam, niech mnie tylko stąd wypuszczą, bo zamaranę tu na śmierć.-

Przekazaną moją prośbę Drawsa przyjął z humorem:

- Odechce mu się składać zażalenia!! - i pozwolił mi wypuszczenie mnie z karceru.

Dowiedziałem się potem, że w stolarsni wykonano specjalnie drewniane kopytka według podanych wymiarów, naciągnięto na nie odpowiednio

wykrojoną skórę z moich rozprutych butów, krawcy wymodelowali odpowiednio cholewki, szewcy połączyli elementy w odpowiednią całość. Polscy rzemieślnicy słynęli z dobrej roboty. Podobno st. lejtenant Rodin osobiście wręczył eleganckie buciki żonie pułkownika - naczelnego komendanta obozu.

Prysłowie mówi, że nieszczęścia chodzą parami.

Przyszło ono znacznie później, chyba w kwietniu 1945 roku. Zaprzyjaźniłem się z Władkiem Silickim spod Mordów czy Łosic. Pracował on już w szachcie (kopalni). Do pracy w szybie otrzymywał buty gumowe, a na terenie obozu nakładał "skombinowane" przez kogoś trzewiki. Własne buty z cholewkami krył, tak jak to robiłem ja. Były mu nieużyteczne, bo okazały się za ciasne.

Nogi mu jakoś nabrzmiały, skarpety jakie przywiózł z kraju podarły się, a o naciągnięciu ^{butów} na nogi w onucach nie było mowy. W obawie przed konfiskatą oddał je mnie, mówiąc, że policzymy się jakoś po powrocie do Polski. Akurat dobrze się złożyło, bo w całym obozie nakazano wysuszyć walonki i oddać je do magazynu. Włożyłem buty, zdałem walonki i wyszedłem na prowierkę. Raport odbierał Drows. Przejrzał nas stojących jak zwykle w piątkach, dał rozkaz do rozejścia się. Nie spodziewałem się, że coś mi grozi, bo oddalił się, jak zwykle, do baraku przeznaczanego dla funkcyjnych. Stałem jeszcze na chodniku z dasek obok kupy śniegu, który po nocnej śnieżycy dyżurna drużyna zgarnęła ze ścieżek. Nagle wyrósł przede mną Drows i ryknął:

- Zdejmuj ta buty!!

Gdy się nieco ociągałem, popchnął mnie na kupę śniegu. Gdy się przewróciłem po prostu siłą ściągnął mi z nóg buty. Ze złością rzucił mi "rzymki" - drewniaki ze skrzyżowanymi paskami,

- Iate idzie - zacharczał i znikł w baraku funkcyjnych.

Tym razem nie dowiedziałem się, czyją twarz opromienił błysk szczęścia, wydobyty z głębin spełnionego pośladania: "Batinki"!!.

Może tym razem była to żona Rodina, u którego Drows cieszył się specjalnymi względami. Drows był wyjątkowym kanalią i niejednego z nas ograbił z tego, co przedstawiało jakąś wartość użytkową. W ten sposób okupywał się za funkcję i pozycję, niepodważalną w obozie.

X. REORGANIZACJA ŻAGRU I CO Z TEGO WYNIKAŁO

Wiosną 1945 roku zaczęło się coś dziać w naszym "uczastku" szepietowskim. Z zewnątrz przyjechała kobieca komisja lekarska. Przed nimi odbyła się tak zwana "szwancparada". Rozebrani do naga z tłumoczkami odzieszy w rękę, pojedynczo przechodziliśmy przed komisją. Za stołem siedziały dwie czy trzy "wraczki", które robiły spisy, jedna lekarka dokonywała pobieżnego oglądu i każdego z nas wprawnym ruchem palców chwytając za skórę na pośladku, po czym podawała do zapisu na listach jakieś fachowe określenia. Zrozumieliśmy, że dokonuje się segregacja, bo żadnej rewizji osobistej nie było. Lekarki były nawet miłe, w miarę poważne, gdy przed nimi przechodził ekas dystroficznego wyniszczenia - drabina kości, obciążnięta obwisłą, pomarszczoną, żółtą skórą. Natomiast dyskretnie uśmiechały się, gdy trafiał się mężczyzna z prawdziwego zdarzenia wstydliwie oskaniający swe przyrodzenie tłumoczką ubrania. Czasem dochodziło do krótkiej wymiany zdań lekarek sowieckich z polskim lekarzem - Hornowakiem, który był obecny i towarzyszył przeglądowi.

Po wyjeździe komisji nakazano generalne porządki w barakach. Zeskrobaliśmy z desek podłogi zaschłe błoto, wylaliśmy wodą przejścia między pryzkami, aby potem brudną maź gumowymi ściągaczkami skierować do otworu pod podłogę. Po ukończeniu mycia podłóg przykrywało się otwory dopasowaną klapą. Przed naszym barakiem odkryliśmy spod usuniętej warstwy gliny żelazną skrobaczkę wbity w belkę i brzozy drapak do zgrubszego oczyszczenia obuwia. Przy drzwiach na taborecie ustawiono konwie drewniane, do których codziennie pod dozorem sanitariuszy obozowych nalewano nawar z igliwia sosnowego. Stwierdzono bowiem, u "zakłuczonych" (u aresztowanych) nagminną awitaminozę. I nie tylko

awitaminosę, bo po raz pierwszy zaprowadzono nas do t.zw. "bani" (kaźni). Nyliby się jednak czytelnik, gdyby chciał porównać to do naszych łazienek domowych, czy nawet miejskich - publicznych. Nic podobnego, ale o tym - potem.

W każdym razie jednak zaczęło się jakieś zainteresowanie nami. Po licznych agonach z wyniszczenia i z chorób - baraki rozluźniały się, w każdej dziesiątce ubywało dwóch - trzech ludzi. Tu śalowi pozostałych uzupełniano stan do pełnej dziesiątki, ale bywało że dzień lub dwa fasowano żywności, a przynajmniej supę, na pełną dziesiątkę i wówczas były dolewki lub dokładki. Umarli nie są głodni. Po uzupełnieniu stanu osobami z rozwiązanych dziesiątek już tych możliwości nie było.

Wreszcie przegrupowano całe baraki. Jedne zasiedlono, zgodnie z ich pojemnością, inne pozostawiono puste.

Ja dostałem się do przestronnego, z uwagi na większe okna, nowszą i wyższą budowlę - do baraku nr 2. Było tu więcej powietrza, ale i było zimniej. Starych i chorych ludzi odeszano do Waldlagru.

Pewnego dnia przybyło do obozu kilkuset naszych ludzi z Jogle (podobno 700 osób), którzy zajęli baraki przez nas opróżnione. Wreszcie mogliśmy wymienić informacje: co, jak i gdzie?

Oczywiście, i oni nie wiedzieli, co z nami będzie. Jedni byli dobrej myśli, inni przysygnębieni, zrezygnowani, ale przynajmniej pochodzili z innych stron (Rzeszów, Tarnów, Kolbuszowa, Dębica itd.)

Przebywali w Jogle w podobnych warunkach, jak my, a nawet w gorzszych, co do zakwaterowania, bo w ziemlankach. Ustaliliśmy, że szereg naszego obozu znajduje się w Borowiczach, któremu podporządkowane są t.zw. "uczastki" (oddziały, filie): w Szepietowie, w Jogle, w obozie leśnym (Waldlagier) i może jeszcze gdzieś. Płatała nam się jeszcze nazwa "Mordlagier", czy "Mordlagier", bo nawet konwojenci używali nazwy zamien-

nie: rosyjskie i niemieckie. Zasięgnięcie języka w sprawie organizacji i rozmieszczenia obozów było niemożliwe, bo stanowiło to ścisłą tajemnicę, a wymiana informacji w tej sprawie należała do przestępstwa rzędu szpiegowstwa. Już sama etykieta "szpion" budziła strach, a przynajmniej zaniepokojenie.

W południowej części "obłasti" leningradzkiej, gdzieś w rejonie jeziora Seliger znajdował się zkiej sławy Ostaszków, gdzie zginęli jeńcy z Korpusu Ochrony Pogranicza, granatowi policjanci, sędziowie i inni funkcjonariusze przedwojennej Polski, głównie z terenów wschodnich. Właśnie niedokończony, uprzednio wspomniany kanał, miał łączyć jezioro Seliger z rzeką Mstą, by w ten sposób włączyć go do systemu dróg wodnych Kanału Białomorskiego.

Czy oprócz kułaków rosyjskich i Niemców, których miejsce zajęliśmy za drutami, były jakieś inne narodowości - nie zdołaliśmy ustalić. Być może, że byli tu Polacy, bo coś znaczyły rzadko, ale jednak znajdowane w ziemi guziki żołnierskie z polskimi orzełkami. Czy pogubili je nasi? Być może, bo nawet niektórzy członkowie Armii Podziemnej zostali tu przywiezieni, jeśli nie w mundurach wojskowych, to w przerobionych już ubraniach z żołnierskiego sukna, na model partyzancki.

Rodzi się jednak pytanie, czy w ciągu paru miesięcy i to głównie zimowych, owe guziki mogłyby pokryć się aż taką patyną? Nie komentuję dalej tych szczegółów, bo zagubilibyśmy się w domysłach, nie wyjaśniając niczego. Niemniej jednak kości oficerów polskich z Ostaszkowa należałoby szukać też w rejonie Borowicz i Bałagoje.

Ilu nas było w tym borowickim obozie wraz z jego oddziałami? Trudna odpowiedź. Jedni oceniali na 4 i pół tysiąca, inni wymieniali liczbę 5250 osób.

Ilu umarło po niespełna półrocznym pobycie na "gościnnej" ziemi

radzieckiej? Na oko już oceniano, że "co trzeci już nie żyje"
Może liczba przesadzona, ale wiadomości wyniesione przez naszych
kancelistów obozowych wskazywały na dużą śmiertelność. Zmarło ponoć
przez pół roku 1250 osób, co stanowiło 24 - 28% początkowych sta-
nów.

Po akcji sanitarnej i reorganizacji obozu w Szepietowie znaleźli
się ludzie tylko zdrowi. Z nich montowano już brygady do budowania
"szacht" /szybów/. Werbowano do nich ochotników. Obiecywano trzystu-
gramowy dodatek chleba, lepsze wzmocnione zupy, no i inne dodatki w
postaci porcji ryby, kiełbasy okraszonej olejem, papki z brukwi.
Oczywiście, o "diengach" /pieniądzach/ nie było mowy. Zresztą po co,
skoro w obozie nie było żadnej kantyny. Prowadzono też nabór do innych
brygad: stolarskich, ślusarskich. Odbywało się to w ten sposób:
Podczas apelu pytano: kto jest stolarzem, cieślą, kto ślusarzem?...
Występ.

Gdy ludzie występowali, zapisywano ich na pakowym papierze po to-
warach "made in USA", bo innego nie znaliśmy w obozach. Potem te tym-
czasowe listy wędrowały do kancelarii, gdzie zestawiane odpowiednie
ekipy. Wyznaczano brygadierów. Według jakich kryteriów? Trudno to usta-
lić.

O tym decydował wszędobyłski Drawa - druga osoba po komendancie obozu
ze względu na jego użyteczność: bezwzględność w przyginianiu Polaków,
w ograbianiu ich - mimo iż przyznawał się do polskości: Kim był przed-
tem? Różnie o tym mówiono: że był starszym ubanem Wojska Polskiego w
Grudziądzu, że był volksdojczem podczas okupacji, a nawet że był w
Kutspolisei czy wręcz w odziałach SS. Po polsku mówił śle, z akcen-
tem Ślązaka, z naleciałościami niemieckimi. Znał trochę słów po rosyj-
sku, więc na potrzeby obozowe to wystarczało.

Co może robić w ZSRR polski nauczyciel, wywodzący się ze wsi, znający się na robotach w gospodarstwie rolnym?

Nie organizowano brygad do pracy w kołchozach czy sowchozach. Znalazłem się więc w rezerwie do prac wyrwykowych, od przypadku do przypadku, gdzie nas posłano.

Wytworzyły się więc wglądnie stałe brygady, które pracowały na rzecz gospodarki radzieckiej i luźne grupy robocze, które pracowały głównie na rzecz obozu w dalszym ciągu, a od czasu do czasu były montowane ekipy doraźne na zapotrzebowanie instytucji państwowych. Oczywiście administracja rosyjska obozu pobierała za nas jakieś wynagrodzenie, ale my nie otrzymywaliśmy niczego.

Ponadto nadzieje na jakieś profity z tytułu kontaktu z miejscową ludnością nie sprawdziły się. Byliśmy tak pilnowani, że swobodniejsza rozmowa stawała się niemożliwa. Handel wymienny istniał, ale na nasze odczucie byliśmy wykorzystywani. Pierścionków, złotych monet, zegarków, nożyków, koszuł zapasowych już nie mieliśmy. Szała wiosna, więc ten i ów sprzedawał sweter, szalik, płaszcz czy obuwie /na zamianę z dopłatą/, ale co za to otrzymywał? Co mógł otrzymać?

Najwyżej woreczek krupczatki, trochę ziemniaków, kilka cebul, parę główek czosnku, kilkanaście rubli, na dodatek starą gazetę.

Oczywiście, że w obozie to wszystko przedstawiało ogromną wartość. Palacze za parę skrętów oddawali 400-gramową poranną porcję chleba, ziemniaki można było upiec w barakowym piecu i urządzić imieniny w towarzystwie kolegów, kawałkiem cebuli i ząbkami czosnku można było potrzebować pająkę chleba i jeść ją, jak z masłem. Lęk przed strasznymi skutkami awitaminozy ^(i tak) pedbijał ogromną cenę warzyw. Gazetę można było przeczytać, aby mniej więcej dowiedzieć się, co słychać na świecie, co z wojną, gdzie przebiegają fronty. To nie, że była nieaktual-

na, sprzed paru tygodni. Już zgnieciona w kieszeni, jeszcze służyła na na skręty tytoniowe. Za ruble można było pobierać od funkcyjnych dolewki i dokładki. Oni z kolei mieli porozumienie z wozakami wyjeżdżającymi do magazynów i osiedli, gdzie można było w kantynie coś nieco kupić - nawet okowitę, przywożoną w różnych naczyniach: bańkach, blaszankach, w czym się dało.

Butelek nie było. Nawet śmietniki nie zawierały szklanych pojemników. Sprowadycznie samogon był, ale butelek brakowało.

"Spiczki" czyli zapalki stanowiły rzadkość. Trzeba było mieć hubkę, krzesiwo i przynajmniej bawełnę, jeśli miałeś knot. Skąd to wszystko? Z zewnątrz. Był ruch w interesie. Nie każdy się do tego nadawał. Trzeba było mieć spryt, kalkulację w głowie i odwagę wchodzenia w układy z brutalnymi konwojertami. Okazywało się jednak, że i oni dawali się "oswoić". Można ich było przekupić. Nie za darmo, nie bezinteresownie. To pojęcie było im nieznane. Umarłych obdzierali, coś dopiero żywego, w dodatku wroga władzy radzieckiej z "Polszy".

Mimo, że człowiek wewnętrznie stronił od szacherek i kombinacji, ale coś go ciągnęło do małego handelku. Jeszcze miałem coś, co mogło zainteresować obywatela sowieckiego. Skorzystałem z propozycji Władka Silickiego - tego samego, od którego dostałem buty, które tak niefortunnie przepadły. Mianowicie w zastępstwie za kogoś z jego szachetowej brygady wszedłem do szybu, drążyć chodnik. To, czego doświadczyłem, nie da się opisać. Czworokątna studnia, z drabinami wewnątrz na kilku poziomach, ośliszko od błota ściany, ciekąca woda. Obok druga studnia już bez drabin, na urobek /wówczas tylko 12/. Wiedrami, a raczej dużymi kubkami z grubej blachy ^{Jedni} wyciągali urobek kołowrotami na powierzchnię, a inni wylewali błoto dookoła szybu. Zastanawiałem się, czy ta breja nie obsunie się, aby pogrzebać tych, którzy pracu-

ją pod ziemią. Otóż nie, bo woda spływała po pochyłości zbocza, a wał
liku po pewnym czasie nabierał konsystencji stałej. I wówczas można
go było rozwieźć wózkami. Tak nam mówiono. Ale jak tu pracować, kiedy
krople wody spadają z góry, nie wiadomo skąd, moczą ubrania, błoto
przyklepia się do butów, do rąk, do ubrania. Ochronne czapki z kapą na
kark chronią szyję, ale tam, głębiąc szyb, trzeba podsuwać coraz to
nowe drewniane szpontowniki. Nie zawsze pasują. Trzeba podbijać, saci-
nać siekierą, a potem nawoływać tych z góry, aby opuścili kubeł.
I właśnie wtedy chlapnie pacyna błota prosto w twarz, struga wody
chluśnie w tors. Przy tym jest ciemno. Latarki naftowe i otwór w górze
nie dają wystarczającej ilości światła. Katorżna robota.

- Nie - Władku, dopóki nie muszę, nie pójdę więcej do kopalni - powie-
działem. Nie chcę 300-gramowego dodatku chleba, nie chcę "dobawek",
nie chcę handlu. To nie na moje zdrowie.

Ale Władek chodził do końca. Wracał mokry, potem czyścił się w bani,
suszył ubranie w suszarce, a raczej w komorze odwadzalniczej, która
tę rolę spełniała w przerwach między okresami "ubijstwa" wszy w ukra-
niach obozowiczów. O tym będę jeszcze mówił.

Leżałem więc na narach parteru w baraku drugim. Nary były na dwóch
poziomach. Te górne miały więcej światła i powietrza, ale trzeba było
się na nie wdrapać, a ja już nie miałem sił. Wyciągnąłem się na dol-
nej pryczy i myślałem, co mam ze sobą zrobić? Czy są podstawy, aby za-
kwalifikowano mnie do "bolnicy"? Podobno dobrze wyglądam. Twarz pełna,
skóra gładka, naciągnięta. Na piersiach - tkanka tłuszczowa, czy co?
Tylko ta słabość w kończynach, mętlik w głowie, rezygnacja.

Wtem ktoś się zatrzymał przy narze i spytał?

Czy się nie mylą, że jest pan: tu wymienił moje nazwisko.

-Tak, powiadam, ale, ale, skąd ja pana znam. Jak się pan nazywa? - py-

tam.

- Nazywam się Lucjan Górski z Zaliwia. Tak naprawdę to bliżej zaznajomiliśmy się w więzieniu siedleckim. Pamięta Pan ten barszcz ukraiński nabrany z dna wiadra, gęsty i wlany do pana miski? No, roznosiłem zupę i pan dziękował mi. No, pamięta pan.... a ja pana poznałem wcześniej, kiedy byliśmy w lasach rucheńskich na koncentracji akowskiej.

Przysiadł się do mnie. Powiedział, że wzięli go ze stryjecznym bratem - za AK.

Wypytał mnie, co mi jest?

- Właściwie to nic mi nie jest. Tylko te gliniane nogi, no i zimno.

Trzęsę się jak w febrze.-

- Będzie wszystko dobrze. Tylko niech pan ^(uda się) do doktora Hornowskiego i niech się pan wzmocni. Zabiorę pana do swojej brygady, która pracuje w stolarni. Będzie tam ciepło. Praca czysta, niezbyt wyczerpująca. Będzie nam dobrze.

- Ależ ja nie jestem stolarzem - powiedziałem z zakłopotaniem.

- Nic nie szkodzi, jestem brygadierem, urzędnikiem brata, urzędę i pana, zobaczy pan - uspokoił mnie.

Na pożegnanie dał mi kostkę cukru i przypomniał o tym, abym się zgłosił do dra Hornowskiego.

Wessałem w siebie cukier, wydało mi się, że jest mi lepiej.

- "Nadzieja jest grobem rozpaczy" - przypomniałem sobie sentencję z przeczytanej kiedyś książki.

Zgłosiłem się do dra Hornowskiego. Przy stole na krzyżakach siedziała sowiecka "siostra" (pielęgniarka). Kazano mi rozebrać się do naga.

Doktor osłuchał mnie, uważnie obejrzał nabrzmiałe ciało. Robiłem wrażenie tłustego, co mnie martwiło, sądziłem, że mają mnie za symulanta.

Ale nie podobnego. Dr Hornowski wcisnął palec w goleń. Pozostał dołek, który się nie wyrównywał, nawet po paru minutach. Takich dołków zrobił więcej i zaczął objaśniać po rosyjsku i po łacinie, typowy przypadek obrzęku głodowego.

- Opuchlizna głodowa, wodna - powiedział do mnie. Dojdzie do serca i koniec. Pójdzie pan do baraku ozdrowieńców. Ograniczyć płyny. Otrzyma pan strawę zagęszczoną. Zwolnienie od pracy na 9 dni, potem zobaczymy-.

Byłem uratowany....

Odwiedził mnie Lutek. Raz przyniósł mi sporo omaszczonej, gęstej bruki. Wziąłem bańkę między nogi i jadłem, jadłem, jadłem.

- Niebo w gębie - zażartowałem.

Lutek patrzył na mnie z rozczuleniem. On nie wiedział jeszcze, co to znaczy być głodnym, ciągle głodnym i tylko głodnym.

XI. JESTEM GŁODNY - WSZYSCY SA GŁODNI

Tym razem byłem nakarmiony, lecz czy byłem syty?

Otóż nie! Miałem odczucie takie, że gdyby mnie ktoś przystawił do rzeki zupy, to jadłbym, aż do zatopienia się w niej.

Leżąc na sienniku ciepłego baraku przeanalizowałem każdy niemal epizod kilkumiesięcznego pobytu w obozie i powolny lecz permanentny proces degradacji człowieka, nie tylko w postawach, w zachowaniach na zewnątrz, lecz również w życiu wewnętrznym. Gdy byliśmy jeszcze dość silni i zdrowi, w barakach było szumnie, ludzie odwiedzali się, spierali, kłócili o sprawy pozamaterialne. Zastanawialiśmy się, na przykład, dlaczego dla swych mocodawców byliśmy bezprzedmiotowi, dlaczego nie podjęli żadnej decyzji w naszej sprawie? W jakim celu trzymają nas w odosobnieniu? Ani gazet, ani książek, ani żadnej korespondencji z Krajem. Rozważaliśmy różne warianty zakończenia wojny, jakie będzie miejsce rządu Polskiego na emigracji i dla nas (jeśli przeżyjemy), jakie jest i jakie powinno być stanowisko w sprawie granic?

Niepokoika nas zarówno ścisła izolacja od świata, jak i zohydzenie nas w oczach radzieckiego narodu.

Ten Rodin, ten Draws, ci tępi konwojenci o skośnych oczach. Jednak była w tym wszystkim perfidia i okrutna metoda. Już po 5 miesiącach głodu, brudu, zawszczenia i poniewierki staliśmy się skłonni do ugody w Polsce. Nie chcieliśmy wstępować do Armii Radzieckiej i do stowarzyszonej z nią Armii Berlinga, a teraz kto wie? Choćby za cenę wydostania się stąd. A więc wystarczy człowieka wsadzić do kretowiska i dać mu peryskop - powie:

piękny jest świat.... Warto, jest żyć, nie dla filozofowania, dla analiz i synteza myślowych lecz dla przyziemnej potrzeby bochenka chleba,

aby można było najesć się do syta i aby go choć kawałeczek na jutro zostało.

Skowyczał człowiek w sobie i jedna tylko melodia w mózgu grała: jestem głodny, jestem głodny.

Nie docenialiśmy tego, że nawet w czasie okupacji byliśmy, mimo wszystko, szczęśliwi. Ogrzewała nas nadzieja: "Słoneczko wyżej - Sikorski bliżej". A tu? Choć nigdy nas nie ważono, jednak stwierdziliśmy u siebie starczą obwisłość skóry, zanik mięśni, to znów monstrualne obrzęki twarzy. Organizm zjadał sam siebie. Najpierw węglowodany, tłuszcze, wreszcie białko ustrojowe. Odnowy nie było żadnej, bo i z czego?

Pół litra wodnistej supy, w której pływały liście zdrewniałej kapusty, lub klaczkę ze smażniętych kartofli (już cuchnących), 600 gramów gliniastego chleba ze zrodniętego zboża, do niego rano i wieczorem po pół litra herbaty, a raczej lekko osłodzonej często już letniej wody. Powie ktoś, ^{że} 600-gramów chleba nie zjadałem w domu! To prawda, ale cóż to był za chleb?! I co jadaliśmy poza nim?

Jak zachowywał się przeciętny biorca pieczywa? Ponieważ po pajdki chleba codziennie chodził kto inny, ^{ten} tak zwany dyżurny z każdej dziesiątki ■ miał ■ prawo te pajdki rozdzielać. Po drodze tak je tasował, aby jemu przypadła przylepka, bo była lepiej wypieczona, a zawierała więcej treści, choć ważyła tyle samo, bo w chlebobrezce porcje ważono. Środkowe cegły chleba - zawierały więcej wody. Przylepka była więc pożywniejsza. Dochodziło do awantur, bo z bochenka chleba uzyskiwano tylko tylko dwie przylepki, a amatorami ich była cała dziesiątka. W chlebobrezce krajano więc chleb na porcje 400 i 200 gramowe, aby do każdej dołożyć z podziału końcówek po kosteczce przylepki. Te właśnie dodateczki bywały pożykane przez nosicieli. Nie wszystkie, nie, ale

niektóre z porcji, które optycznie wydawały się większe. Oczywiście, czyniono to bardzo dyskretnie, ale wszyscy wiedzieli o tym procederze. Ponieważ codziennie zmieniali się dyżurni, więc co było niejako "pożyczone" w jednym dniu, zostało oddawane innemu w dniu następnym. Zażądaliśmy, aby cukier fasować osobno, nie w herbacie. Każdy chciał widzieć, ile go dostaje. Było go tyle, ile zostaje na płaskiej blaszanej łyżce, po zgarnięciu drewnianym wzdłuż brzegów.

Szła już wiosna 1945r. Poznawaliśmy jej szybkie nadejście po traktorach, które dalekim, stłumionym klekotaniem przemierzały kilometrowe połacie ziemi. Za nimi posuwali się jacyś ludzie. Czyżby już sadzili ziemniaki, bo mieli w rękach wiadra? Coraz to schylają się, to znów prostują, idą do przodu, zbaczają na boki, zawracają. Inaczej wygląda praca przy sadzeniu, kiedy to trzeba wrzucać bulwy prosto, w równe rzędkę, aby potem umożliwić mechaniczną obróbkę plantacji. Tutaj jest inaczej. Ci ludzie przypominają raczej rój pszczół. Zafascynowani tym widokiem spoza drutów gubiliśmy się w domysłach. A może zbierają kamienie? - Ktoś przypomina podobne czynności z Polski. Nie, tu nie ma kamieni, tu jest ziemia gliniasta - kontruje inny, znałca przedmiotu. Gubiliśmy się w domysłach przez parę dni, spoglądając ku wsi, której kontury ledwie zarysowują się na horyzoncie.

Nie czekaliśmy zbyt długo, aby otrzymać relację niejako z pierwszej ręki. Złożył je Henio Zbudzki - syn młynarza z Sekuły koło Siedlec (mieli młyn wodny na rzece Muchawce). Był to chłopak wciąż energiczny, zdrowy, pełen pomysłów i fantazji. Ponieważ w obozie palacze skęcili się z pragnienia dymu tytoniowego zrobił wyprawę wieczorną po ów specjał. Przeczekał się pod drutami niespostrzeżenie i poszedł do owej wsi, która nas intrygowała.

Wrócił z mieszkiem "krupezatki" podwieszonym u paska spodni. Udało mu się! Ryzykant, nie ma co! Podziwialiśmy go. Stał się ośrodkiem obozowego zainteresowania. Odmierzając na "skręty" sieczkę samosiejki za pajdki chleba, chętnie opowiadał, co widział w kołchozie.

Otóż ci ludzie, szperający za traktorami, wybierali ze świeżo wywróconych skib ziemi zeszłoroczne ziemniaki. Właśnie zastał ich w chacie przy obróbce dziennej zdobyczy. Ponieważ bulwy już się rozpadały i były zabrudzone ziemią, oczyszczano je z odstającej żupiny i wrzucano do konwi z gorącą wodą, następnie rozdrabniano tłuczkiem. Następował proces frakcyjny, to jest oddzielania mieszaniny na zasadzie różnic ciężaru właściwego. Po wprowadzeniu jej kołkiem w ruch okrężny, najpierw wylewano brudną wodę z wierzchu, jako niepotrzebną, potem zlewano do innego naczynia krochmal, który się jeszcze utrzymywał w środkowej warstwie wody. Na ostatku wylewano z konwi to, co zalegało na jej dnie, a więc piasek, czy też zgniłe już, żylaste kłaczkę przemrożonych ziemniaków. Zabiegi te powtarzano parę razy, aby krochmal był względnie czysty, pozbawiony odrażającego zapachu fermentującej brei. Uzyskany krochmal służył surowcem do innych przetworów, być może i samogonu. Heniek widział, że po dodaniu nieco razówki (raz przepuszczonego zboża przez prymitywne młynki lub żarna) robiono lepochy-placki, które przypieczone na blasze były zjadane przez domowników z wielkim apetytem. Na dowód tego pokazał nam dwa takie lepochy, które podobno sprzedawano po pięć rubli sztuka. Na zapytanie, skąd miał ruble, odpowiedział że nie płacił "diengami", lecz należność za otrzymany towar uregulował szalikiem i koszulą, które zdjął z siebie. Byliśmy ciekawi: Jak go przyjęli?

Otóż z wielką nieufnością. Początkowo nawet wrogo, aby pozbyć się natręta. Gdy jednak nie odchodził, a zagadał ich po polsku (Heniek nie zna

języka rosyjskiego) i powtarzał, że jest Polakiem z obozu, transakcja została dokonana w komórcie bez okien, aby nikt nie zobaczył nieproszonego gościa. Próby nawiązania rozmowy na temat, co słychać na świecie, nie powiodły się. Domagali się, aby czym prędzej wracał do obozu. Na odchodnym wyłudził jeszcze środek jakiejś książki, która leżała na ławie. Dali mu ją na skręty. Była to pierwsza drukowana lektura, wypożyczona od Henka, dla mojej nauki języka rosyjskiego. Znałem tylko niektóre "bukwy" greckiego alfabetu, gdyż przez cztery lata uczyłem w wiejskiej szkole polskiej, do której chodziły dzieci Rusinów i od przypadku do przypadku miałem do czynienia z drukami piśnianymi cyrylicą. Osłuchałem się też z językiem potocznej mowy ukraińskiej. Wystarczało to, aby domyślić się treści przekazu, bo był to podręcznik geografii dla piątej - szóstej klasy szkoły początkowej z ilustracjami. Czego się z niego dowiedziałem? - Omówię później. Jesteśmy bowiem przy problemie głodu. My jesteśmy głodni i oni są głodni. Wszyscy są głodni w tym kraju.

Pewnego razu trzymałem służbę "dniewalnego". Nadeszła noc, wszyscy spali. Usiadłem więc na brzegu pryczy i w półśnie czuwałem. Nagle coś zaczęło się ruszać w kieszeni mego płaszcza. Przypomniałem sobie, że mam w niej porcję chleba. Któż do diabła jest taki bezczelny i sięga do mojej kieszeni? Szybkim ruchem nakrywam ręką kieszeń, aby zapaść z kłódzieja na gorącym uszynku. A tu coś się szamocze i dziabnąwszy mnie swymi ostrymi siekaczami w rękę, wymyka się na podłogę i ucieka ciągnąc za sobą długi nagi ogon. To szczury! Brr - wzdrygnąłem się.

Wprawdzie wiedzieliśmy, że pod podłogą baraków kotkują się z piskiem szczury, ale nie przypuszczałem, że mogą atakować śpiących ludzi. No tak, i one są głodne, bo nawet na tutejszych śmietnikach nie ma odpadków, które mogłyby posłużyć im za pożywienie.

Wyjaśniła się w dużej mierze sprawa tajemniczego znikania dobrze ukrytych pajdek chleba. Wyczulony węch tych zwierząt doprowadzał je niezawodnie do celu.

Konkluzja: Wszystko, co żyje tutaj, jest głodne...

Moje nadzieje na pracę w stolarni nie powiodły się! Doktor Hornowski przedłużył mi pobyt w baraku dla ozdrowieńców i nie doradzał, abym wychodził na roboty. Jeśli chcę żyć, muszę się oszczędzać, dopóki będzie można. Miałem więc sporo czasu, aby poznać życie obozowe bliżej.

Przeglądałem się ludziom kręcącym się wokół kuchni obozowej. Już po wydaniu kolacji, przyklepni do desek baraku, cicho przywoływali przez okienka funkcyjnych: - Heniek, Mietek, Leszek, dajcie trochę wyskrobków, a może trochę zupy. Nie bądź taki, daj, nie pożałujesz! - zebrałi.

Niektórzy otrzymywali to, o co prosili, częściej jednak kucharze zasuwali z trzaskiem okienko. Bo jakże rozdać wyskrobki, pomyje z czyszczonych kotłów, skoro w chlewiku poza obozem komendant obozu hodował parę prosiaków. Musiały być czymś żywione. Nawet wyznaczono dwóch "łagierników" na stałe, którzy pod dozorem konwojenta z karabinem parę razy dziennie zanosili zwierzętom karmę z kuchni. Pułkownik wyraził przez swych czynowników niezadowolenie, że świnie, mimo upływu czasu, nie rosły i są wciąż chude. Surowo nakazał konwojentom czujność.

Sprawa się wydała. Dotychczas konwojent doprowadzał "świniopasów" do drzwi i do wnętrza klatki nie wchodził. Nasi funkcyjni mogli więc odlać rzadkie jadło do koryta, a z wiadra zebrać rękami treść gęstą i połykać ją.

Zawsze tak było, że "kabany" rzucały się wściekle na jadło, ale tym razem nie było to zwykłe radosne pochrząkiwanie wysokonogich war-

chlaków, lecz bitych pięścią po ryjach zwierząt. Konwojent wszedł do środka i co zobaczył? Największa świnia podchocona jadłem z koryta, nagle rzuciła się do wiadra, z którego wybierane były rozmiękkłe kartofle i wyskrobki. I tak przyparła do dna naczynia, że nie sposób było ją oderwać od śarcia. Złośliwi opowiadali potem, że w wiadrze znalazły się dwie głowy: "łagiernika" i wolnej świnie i tam zaklinowały się. Stąd właściciele obu głów szametali się z przerażeniem. Oczywiście funkcyjni stracili dobrą "posadę", okazało się bowiem, że za ich kadencji i świnie pułkownika były głodne.

Mówiło się u nas, że wszyscy mają jednakowe żołądki (w sensie spowiedliwego rozdziału żywności).

Otóż nie, są organizmy, które ekonomicznie wykorzystują zjadaną pożywienie (do tych należał podobno rotmistrz Królikowski, który jadł niewiele, a wyglądał dobrze). Są jednak organizmy, powiedziałbym rozrzutne, mimo iż są zdrowe. Nawet w przedwojennym wojsku, gdy jedzenia właściwie nie brakowało, byli żołnierze, którym komisja lekarska przyznawała oficjalnie dwie porcje.

W obozie tych niuansów osobniczych nie rozpatrywano.

Każdemu jednakowo, a co zakombinował ponadto - jego sprawa. Był pewien sierżant, który przez jakiś czas pełnił funkcję pomocniczą w kuchni. Wprawdzie kucharze mogli najadać się do syta (kto ich sprawdzi), ale jego żarłoczność była dowiedziona, więc został odsunięty od funkcji w kuchni. Zaczął szybko chudnąć i znalazł się jako "dystryfik" w "bolnicy". Korzystał jeszcze, choć nieregularnie, z dolewek otrzymywanych od współczujących mu dawnych kolegów, ale był nienasycony. Ileż on może zjeść?! - pytano się nawzajem ze zgrozą.

Pewnego razu, z tartów, czy ze złośliwości nalano mu do wiadra tyle zupy, ile przypadało na 10 osób, to jest 5-6 litrów. Nie wiem,

czy był nasycony, ale w nocy wyniesiono go do kostnicy.

Był sierpień, a może początek września 1945r. Ludzie pozostający jak ja w obozie, byli używani do lżejszych prac polnych w kołchozach. Ci, którzy czuli się na siłach, nawet nie sprzeciwiali się organizowaniu brygad roboczych w nadziei, że może zdarzyć się jakaś okoliczność zdobycia żywności. Jedna z takich brygad była przez parę dni zatrudniona przy sprzęcie grochu. Była okazja najedzenia się, jak mówiono, po dziurki w nosie. Ale cóż z tego. Nie wszyscy mieli zdrowe zęby (szkorbut), a poza tym trzeba było jeść ukradkiem, by nie narażać się konwojentom. Tak więc nie żuli ziarna dokładnie. Często połykali je w całości. Przewód pokarmowy, nie przywykły do trawienia surowizny, pęczniał, a w najlepszym przypadku wyrzucał z siebie ziarna grochu.

I właśnie, taki groch, wybierany z dołu kłocznego, posłużył koledze Wolskiemu (być może i innym z "szajsbrygady") do dopełnienia koniecznych potrzeb żywnościowych organizmu. Wybierał ziarna rękami z dużego czerpaka na fekalia, płukał parokrotnie groch w wodzie, potem prażył go w palenisku pieca i spokojnie zjadał. Czy musiał to robić? Widocznie tak, bo nawet dolewki, które pobierał oficjalnie z tytułu przynależności do brygady sanitarnej - nie wystarczały mu. Z ciekawości zbliżyłem się do tego cichego i potulnego, osamotnionego człowieka. Okazało się, że jest dobry i łagodny. Jego głęboko zapadłe spłowiałe oczy nie wyrażały nic, prócz uległości i poddania się. Powiedział, że był nauczycielem w jakiejś miejscowości nad Wisłą (zapomniałem nazwy, bodajże spod Maciejowic). Gdy wyznałem mu, że jestem również nauczycielem - ożywił się, choć z jakimś wewnętrznym wstydem. Zdawał sobie sprawę, że przekracza jakieś przyjęte granice człowieczeństwa i depuszcza się procederu, będącego poniżej godności przeciętnego człowieka. Ten człowiek jednak nie zrobił nikomu krzywdy. Nie dobijał

się przywilejów. Znosił swój los bez złóżeczeń i przekleństw. Nikogo nie oskarżał i nie obmawiał. Szczęść człowieka? A może wprowadzał swój system postępowania, który prowadził go do celu, do przeżycia, mimo wszystko. Wrócił do Polski.

Na drugim przeciwstawnym biegunie stawiam prof. Grzymałę ze szkoły rolniczej w Dublanach (a może ^zGrzywna?)

Mimo, że znajdowaliśmy się w baraku dla ozdrowieńców, ludzie ubywali. Jedni umierali, innych przesuwno do "bolnicy" (szpitalika). Pamiętam, że z naszej dziesiątki ubyło trzech mężczyzn. Do pozostałej siódemki przybyło trzech, nieznanym nam jeszcze ludzi. Zafascynował mnie jeden z nich. Był to mężczyzna niskiego wzrostu, już siwiejący, o łagodnym spojrzeniu jasnych oczu, zmiłym uśmiechem ust i twarzy. Przy podziale żywności doszło do sprzeczek. Obrzucano się wzajemnie złośliwymi epitetami. Ów pan wówczas wstał i bez słowa odszedł w głąb baraku. Gdy wrócił, stała jego blaszanka z zupą, już wystygła. Wyjął zza pazuchy własnorecznie zrobioną drewnianą łyżkę i zaczął spokojnie jeść, jakby delektował się najwspanialszym daniem. Wieczorem przyniesiono, jak zwykle, 200-gramowe porcje chleba, w pudełeczku cukier do rozdziału między dziesięciu ludzi, którzy już pięścieniem usiedli wokół wiadra z herbatą. Zapłonęło drewniane łuczywko i w półmroku odbywała się ceremonia rozdziału żywności. Z herbatą nie było kłopotu, każdy otrzymał półlitrową porcję płynu. Przy rozdziale chleba już rozjarzyły się pożądlive oczy, magnetyzujące ręce szafarz. Posypały się uwagi, nieprzyjemne zarzuty, dotyczące sprawiedliwości. Nasz nieznanomy znowu gdzieś się ulotnił, choć pozostał jeszcze do rozdziału sypki cukier - bodajże najważniejszy przysmak w życiu obozowym. Po powrocie zastał wprawdzie chleb, ale dokładka do niego i cukier znikły. Zaczęliśmy wysuwać podejrzenia, szeptem wymieniać między

sobą uwagi.

Nieśmiało powiedziałem, bo zrobiło mi się wstyd:

- Panowie, tak być nie może! Wszyscy jedziemy na jednym wózku, wszyscy jesteśmy głodni ..." Chciałem dopowiedzieć, że nie możemy się wzajemnie okradać, ale poszkodowany z godnością w głosie, z ręką, jakby majaki od siebie odsuwał, przerwał mi.

- Proszę panów, widocznie ktoś był głodniejszy ode mnie...

Ni! ma o czym mówić!...

Z namaszczeniem zabrał się do jedzenia. Chleb jadł po małym kawałku, dokładnie i powoli żuł, jakby dwa razy jadł. Nie tak, jak my, wrzucając do żołądka wszystko, co jadalne. Patrzyliśmy na niego ze ślinotokiem. My już po wszystkim, a on jeszcze ma. Po spożyciu swojej kolacji zrobił nam wykład z fizjologii trawienia i wchłaniania pożywienia w przewodzie pokarmowym, wiążąc to z psychologią. Powoływał się przy tym na praktyki Gandhiego. Według niego, głód, a raczej dolegliwość z niego wynikająca, jest sprawą względną. Nie można nastawiać się na jego przeżywanie. Człowiek sam sobie musi pomagać swoją psychiką, umysłem, duchem.

- Pamiętajcie, kto powoli jada, dwa razy je - zakończył.

Od tego dnia zaszła w naszej drużynie całkowita odmiana, choć profesor w dalszym ciągu nie uczestniczył przy podziale żywności, nigdy jemu, ani nikomu nic nie zginęło. Dokonał tego, czego nie potrafiliśmy zrobić, swarząc się między sobą. Zwyciężył, w tym przypadku, etyczny perfekcjonizm.

Szła szybko wiosna, zaczęliśmy wychodzić brygadami do różnych prac w polu. Po drodze profesor wtajemniczał nas w różne właściwości odżywcze poszczególnych chwastów, dziko rosnących: a to pokrzywy, a to osty, a to wierzbowka, polne bratki czy komosa. Na potwierdzenie

swoich słów zrywał młode pędy napotkanych roślin i żuł je, dodając:
- Można i smak zmienić, gdy się tego bardzo chce. Człowiek swoją świadomością nie tylko ogarnia rzeczywistość, ale potrafi ją zmieniać w nową jakość -

Nie wszystkim trafiało to do przekonania, ale byli tacy, którzy przyjmowali jego słowa ze zrozumieniem i stosowali je w praktyce.

X X X

Minęła wiosna i lato 1945 roku. Nadchodziła jesień. Wówczas mianowano mnie brygadierem największej chyba grupy roboczej, bo złożonej z czterdziestu paru "Ozdrowieńców". Zadaniem naszym było równanie terenu wzdłuż opalowanej trasy, którą miała przechodzić droga do przyszłej kopalni węgla.

"Normirowszczykiem" czyli wyznaczającym ogólne i szczegółowe zadania dla każdej osoby, była sowiecka dziewczyna. Szczupła blondynka, nie ładna, nie brzydka, ale najważniejsze, że była dla nas wyrozumiała, a nawet życzliwa.

Prosiła tylko, abyśmy rzetelnie pracowali i wykonywali normę, którą wymierzała wg. stopnia trudności pracy w terenie. Chodziło o zniwelowanie trasy z przewożeniem ziemi na taczkach po deskach w dołki i dolinki. Praca była dość ciężka, ale frapująca, bo po obu stronach przyszłej drogi rozciągały się kartofliska. Ziemniaki były wprawdzie wykopane, ale zawsze mogliśmy przy pomocy łopat wydobyć z ziemi upragnione bulwy. Początkowo konwojenci ograniczali nas w poszukiwaniach, ale zdemoralizowaliśmy ich pieczonymi w puszkach ziemniakami. Grzali się więc przy ognisku, bo i zimno było przenikliwe. Najadali się do syta, a i nam pozostało po parę sztuk pysznej zdobyczy. Doszło nawet do tego, że po wypaleniu wszystkich kętów ziemniaczanych, wyznaczali dwóch -

- trzech ludzi, aby poszli do budującej się "szachty" i "podpiździli" drzewa do palenia. Ognisko dymiło przez cały czas naszego pobytu, bo garncowych puszek /po tłuszczu, przysłanym przez Amerykę/ było tylko dwie, więc po parę razy po opróżnieniu były wypełniane i wkładane do żaru paleniska. Z opałem było kruczo, więc i żaru za mało, a co za tym idzie, ziemniaki przypiekały się nierówno. W jednym miejscu spalały się na węgiel, w drugim ^(były) jeszcze surowe. Szkoda towaru, tym bardziej, że obszar kartofliska już był w dużym stopniu spenetrowany. Co innego, jeśli kartofle zostały obrane, pokrajane w równe kostki i zalane małą ilością wody /także zdobywaną w szachcie/. Wówczas rumieniły się brązem. Były pyszne.

Dziwiliśmy się, że tego wynalazku nie stosuje się w Polsce. Obiecywaliśmy sobie, że po powrocie do Polski, jedną z pierwszych czynności będzie pieczenie ziemniaków w puszcze, na sposób tu wypróbowany. /Nie słyszałem, aby ktoś z nas to zrobił. Ja - nie./

Nie-łatwo być brygadierem.

Ludzie mi się jakoś rozłazili, a niektórzy wprost korzystali z dobrego układu stosunków i rozmawiali całymi godzinami między sobą, udając, że coś robią. Skutki nie dały zbyt długo czekać na siebie. Sowietka zaczęła mi robić wymówki, że ludzie nie pracują, że wczoraj wyrobiliśmy zaledwie 28% normy. Tak dalej być nie może!

Przemówiłem do swoich kolegów, żeby byli rozsądni, bo tak dobrze jak tu, nie będzie nam chyba nigdzie /oczywiście w doli łagiernika/.

Poskutkowało na tyle, że wykres u "normirowki" skoczył na 43%. Na ciągłe zarzuty wskazywałem, że to są ludzie po chorobach, ozdrowieńcy, że sił im nie staje. Konwojenci nie mieszały się w nasze sprawy. Oni mają nas pilnować, aby nikt nie uciekł, a robota nasza ich nie obchodzi /całe szczęście/.

Krzywa "wyrabotki" falowała, ale nigdy nie osiągnęła nawet 80%.
Gdy ziemniaki zostały wyeksploatowane z pól, krzywa osiągnęła dno: 26%.

Znowu zarzuty: Jaki ze mnie "rukowoditiel", zamiast napędzać ludzi do pracy, ja sam biorę łopatę i im pomagam.

- Znajdziesz, u nas /tam - w ZSRR/ rukowoditiel nie rabotajet - tylko przewodzi, organizuje, wydaje rozkazy -.

Mówiła prawdę. Tak było. Pomagałem niektórym ludziom, to odwieźć taczkę ziemi, to skruszyć już zaschłą, a potem zmarzniętą glinę.

Szczególnie pomagałem swojemu krajanowi z Mokobód. Ten młody człowiek był jakiś dziwny. Stał nieruchomo przy skarpie swego metra ziemi i prawie nic nie robił. Podchodziłem do niego, zachęcając go do ruchu.

- Panie Skup, niech Pan nie da się zamrozić /istotnie, nagle pojawiły się zwiastuny zimy, która tutaj po prostu zaskakuje ludzi przy sprzęcie zbiorów z pól/.

Niezmiennie stał na stanowisku, że nie przyjechał tu do pracy niewolniczej, że nie będzie dorabiał bolszewików. W kraju był niższym urzędnikiem w gminie.

- Czy ktokolwiek przyjechał tu ochotniczo? - kontrowałem - niech pan zrozumie, że człowiek stale skulony w bezruchu traci mięśnie, mało, kostniejąc na zimnie, może nabawić się zapalenia płuc, a wie pan, co oznacza tu zapalenie płuc?

Kiedyś, już w złości, powiedziałem mu, że gdy są kartofle do podziału, to z nich nie rezygnuje. Więc taka postawa nic nie ma wspólnego z koleżeństwem. Wówczas leniwie zabrał się do roboty. Gdy mu pomagałem w rozbijaniu kilofem i żelaznymi klinami przemarzniętą ścianę ziemi, powiedział:

- Ja muszę się oszczędzać, bo chcę przeżyć i wrócić do kraju - Powiedział tak, jakby nam wszystkim na tym nie zależało. Dziwna filozofia.

Miałem do czynienia z człowiekiem, który uległ głębokiej psychodegradacji, a takich ludzi, mimo że są zdrowi, cechuje obniżenie zdolności do pracy.

Od dłuższego czasu prześladował mnie dylemat obozowy, ze stanowiska brygadiera grupy roboczej:

- czy wycęzać siły do wykonywania normy i tym samym zaszkodzić ^{innymi} sobie w wyniku wyczerpania?

- czy pracować mało lub wręcz bumelować, nawet wkalkulowawszy możliwość represji, bo to się opłaca, gdyż zostaną zaoszczędzone siły? Ten dylemat stawał przed każdym z nas i zależnie od sytuacji był rozwiązywany indywidualnie.

W danym przypadku mieliśmy do czynienia z dziewczyną sowiecką, która nigdy na nas nie podniosła głosu. Jeśli robiła wymówki, to w sposób kulturalny i tylko brygadierowi /t.zn. mnie/. Mieliśmy wyjątkowo dobre układy. Nie było mowy o pracy ponad siły. Jeśli swoje wyniki podciągaliśmy nieco wyżej 30-40%, "normirowszczyna" była zadowolona. Przypuszczam że wówczas mnożyła procenty przez 3 i wysyłała raporty, które nie budziły czujności u władz. Podobnie robili wszyscy nadzorcy robót w ZSRR.

Mój podopieczny ^{Skup} wrócił do kraju, wcześniej niż ja. Było mi przykro, bo oszkalował mnie, rozpowiadając w okolicy, że zmuszałem go do pracy w obozie. Inne miałem intencje i inna była prawda, ale rzucona grudka błota, w dodatku niesłusznie, budzi sprzeciw.

Ciekawe zjawisko, że nawet w najtrudniejszym okresie nie było wśród nas samobójców. Czyżby instynkt życia wzmagał się w miarę wyniszczania się organizmu. Między zwątpieniem a nadzieją wykluwała się wola przetrwania, mimo wszystko - aby tylko wrócić do kraju.

XII. W ZAKŁADZIE PRODUKCYJNYM / W STOLARNI/

Z nagłym nadejściem zimy roboty drogowe przerwano. Brygada została rozwiązana, a ja bez żalu straciłem funkcję brygadiera, no i oficjalnie przysługujące mi dolewki zupy. Lutek Górski dotrzymał słowa. Jego sowiecki przełożony już zgodził się na przyjęcie nowego pracownika. Protekcja i tu była potrzebna. Ponadto jednak miałem złożyć egzamin kwalifikacyjny. Prace stolarskie nie były mi obce, bo w siedleckim seminarium nauczycielskim uczył mnie rysunków i robót ręcznych znakomity i wymagający profesor Werla. Nauka w szkole dawała jakieś ogólne pojęcie o przedmiocie, ale co innego wykazać się umiejętnościami cieśli czy stolarza. Zresztą z toporkiem i strugiem nie miałem nic wspólnego po opuszczeniu seminarium. Uczyłem w szkole wiejskiej tylko przedmiotów teoretycznych. Żadnej pracowni tam nie było. Trochę z ciekawością, a bardziej z lękiem dołączyłem do nielicznej brygady stolarnianej. Siedemnaście ludzi prowadziło dwóch konwojentów z karabinami. Barak drewniany z licznymi dobudówkami stał niedaleko rzeki Msty, znanej nam już z pobierania wody i wyciągania spławianego drewna. Na podwórzu bezładnie leżały okrągłaki o różnym przekroju, ale głównie bale i deski oraz obrzynki. Oto stolarnia i wewnątrz stoją piły tarczowe i heblarki napędzane silnikami elektrycznymi, oraz warsztaty stolarskie do obróbki ręcznej. Lutek roztawił swych ludzi na stanowiska robocze i zameldował "naczelnikowi" że przyprowadził swego "znakomego" /znajomego/ na egzamin.

Weszliśmy do kantorku. Zobaczyłem niskiego, krępego, już łysiejącego człowieka z dużym guzem na kysinie. Nazywany więc był przez pracowników: - "Ten z guzem" -. Oficjalnie tytułowano go: "Gaspadin naczelnik". Nie wolno było zwracać się do niego per "towariszcz", bo jacy my dla nie-

go towarzysze! Już z samego zewnętrznego, pokraccznego wyglądu był od-
stręczający. Poczujęm się nieswojo, gdy długo jego chytre ślipka obma-
cywały moją postać, niejako szacowały, co jestem dla niego wart. Ma pra-
wo - pomyślałem. Przyjmuje mnie do pracy w zakładzie, który pracuje na
rzecz państwowej gospodarki: "ugolnowo proizwodstwa", czyli przedsię-
biorstwa węglowego.

Umówiliśmy się wcześniej z Lutkiem, że będę odpowiadał tylko na wy-
raźnie skierowane do mnie pytania. Krótko i węzłowato. Referencje o mnie
on już ma, a jeśli będą potrzebne dalsze wyjaśnienia, to Lutek sam uzu-
pełni.

I rzeczywiście, Lutek poufale napłótł o mnie naczelnikowi: "jaki to
jestem czestny czelowiek", jaki to ze mnie "krasnoderewiec".

"Nu ładno" - przerwał naczelnik. Na krótko wyszedł z kantorku i z pod-
wórza przyniósł mi gruby kawałek sosnowej deski, którą miałem ręcznie
obrobić do kantu przy pomocy struga.

Co ja się namęczyłem. Deska była zmarznięta, surowa, w dodatku z sę-
kiem. Dobierałem strugi, ale niemal każdy był tępy, często skancerowa-
ny. Te lepsze strugi były niejako przypisane do poszczególnych stolarzy,
którzy nie wypuszczali ich z rąk. Zresztą wstyd mi było zwrócić się do
kogoś o pomoc.

- Jak to, mam być stolarzem i nie potrafię naostrzyć i nastawić żela-
za?

Na szczęście naczelnik gdzieś się urwał. Wszystko zostawił pod do-
zorem Lutka, który był zajęty sprawami organizacyjnymi.

Drzewo się zadzierało, bo słoje deski były nierówne, gdzieś zapa-
dały wokół sęka. Zmieniałem pozycję i kierunek obróbki. Na nic, bo przy
mocnym posunięciu strugiem sęk wypadł. Trzeba było dalej strugać, aby
wyrównać dołek. Z przerażeniem stwierdziłem, że z półtoracalowego bali-

ka zostaje mi zaledwie połowa poprzedniej jego grubości.

Co na to powie "ten z guzem", gdy wróci, aby sprawdzić wynik egzaminu? Wyrzuci mnie. A tu tak ciepło, bo w piecyku spalane są obrzynki, wióry. Konwojenci grzeją się przy ognisku na zewnątrz. Nie wtrącają się w to, co się dzieje w stolarni. A tu gdzieś z tartaku słychać syrenę, sygnał że za pół godziny - koniec roboty.

Podszedł do mnie, obejrzał to, co zrobiłem przez kilka godzin i wyrzucił deskę w kąt. Pobiegł na dwór, znalazł podobny balik, jaki otrzymałem do obróbki, wyjął z szafki swój strug, pociągnął nim kilka razy z jednej i z drugiej strony, umocował odpowiednio, aby ostrugać do kantu i gotowe.

Naczelnik wrócił, przyjął robotę z uznaniem. Zostałem więc przyjęty do pracy w stolarni.

Ale, co dalej będzie?

Lutek mnie uspokoił. Główną produkcją stolarni były "szpontowniki" dla budowanych szycht węglowych, na umacnianie głębionych szybów. "Szpontownik" był wykonywany z bala, około 2 metrów długości, w którym należało toporkiem wydziobać rowek, z przeciwnej strony zaciosać krawędzie w klin, tak, aby klin jednego szpontownika wchodził w rowek drugiego szpontownika. Norma wynosiła 7 szpontowników na roboczą dniówkę. Niektórzy wyrabiali 9 do 11 sztuk. Za przekroczenia normy otrzymywano talony na dokupienie czegoś w kantynie tartaku. /Nigdy tam nie byłem/ W pierwszym dniu produkcyjnym udało mi się wykonać 3 szpontowniki, potem stopniowo coraz więcej, w miarę nabierania wprawy, ale do wyrobienia pełnej normy przez jakiś czas pomagał mi mój przyjaciel. Nawet wówczas, gdy samodzielnie mogłem zrobić więcej sztuk, w przypadku lepszego materiału, sprzyjającej pogody /pracowałem pod gołym niebem/ nie wysiłałem się dla przekroczenia normy, bo oceniając swój wydatek

sik i ewntualną rekompensatę na ich regenerację w postaci towarów za uzyskane talony, stwierdziłem, że byłoby to ze szkodą dla mojego zdrowia. Względnie dobra kondycja fizyczna warunkowała przecież przetrwanie.

Przypuszczam, że naczelnik zdołał już zauważyć, iż uległ świadomej mistyfikacji co do moich kwalifikacji. Przechodząc przez podwórze widział, że swoje zadanie wykonuję, ale z trudem. A może dojrzał również, że korzystałem z pomocy. Mogłem już podejrzewać, że wykorzysta swoje spostrzeżenia dla zastosowania szantażu względem mnie.

Celem jego zainteresowania był mój weźniany płaszcz przywieziony z Polski, co prawda nieco przybrudzony, ale jeszcze w dobrym stanie.

Pewnego dnia podszedł do mnie Lutek z wyraźnym zakłopotaniem.

- Słuchaj, naczelnik chce od ciebie kupić płaszcz. On chce zrobić prezent swojej żonie....

Zaczęliśmy rozważać niełatwą sytuację. W przypadku odmowy - będzie się mścił. Moja pozycja fachowa nie była zbyt mocna. Na tak zwanym wolnym rynku sowieckim, mogłem otrzymać 250-300 rubli, co oznaczało przykładowo 50-60 pajdek 400-gramowych chleba, czyli 20-25 kilogramów.

A ile zażądać od niego? Przecież nie mogę oddać mu za darmo najcenniejszej rzeczy, jaka mi pozostała jeszcze po skonfiskowaniu butów.

Ustaliliśmy, że Lutek wysonduje możliwości płatnicze naczelnika. Okazało się, że ruble nie mogą wchodzić w rachubę. On może mi wypłacać należność codziennie w naturze. Odpowiadało mi to, bo w ten sposób ^(mogłem) wierdziłem się niejako przy stolarni, ^(mogłem) ogrzać się przy żelaznym piecyku, a nawet coś sobie ugotować czy upiec. Poza tym zależało mi na tym, aby stale pracować wśród stałej, dość sympatycznej załogi, a nie w przypadkowej zbieraninie ludzi.

Niedługo potem zostałem wezwany do kantorku. Majster obejrzał

dokładnie płaszcz z wierzchu i od podszewki, widziałem że jego pożą-
dliwość wzrasta. Oświadczył, że może dać 10 pajdek chleba, 10 cebul
i 10 stakańczyków (szklaneczek po musztardzie), "krupczatki" (samo-
siejki tytoniu). Byłem zgnębiony, więc zwróciłem jego uwagę, że płaszcz
jest prima z wełny, z poznańskiej pracowni, sławnej w "zapadnej Eu-
ropie" - tu pokazałem metkę. Chciałem, aby zwiększył mi liczbę pajdek
chleba no i dodał kartofli (miałem na uwadze możliwość ich pieczenia
lub gotowania).

Nie, on nie może mi dać kartofli, co najwyżej dołoży 5 główek
czosnku. Na tym stanęło. Cóż było robić?

Faktycznie otrzymałem 5 czy 6 porcji chleba, 7 stakanów machorki, pa-
rę główek czosnku, ale złej jakości, bo były za bardzo wysuszone,
więc nie przedstawiały większej wartości. Cebuli (Ługu) nie otrzyma-
łem wcale.

Kiedy upominałem się o regulowanie należności, popadał w złość,
wolałem więc puścić wszystko w niepamięć. Wynagrodził mi wiosną, bo
udawał, że nie widzi iż przynosikiem narwane przy drodze pokrzywy i
osty. Siekałem to zielsko toporkiem, kładowałem do blaszaka, zalewałem
wodą i gotowałem w piecyku. Niektórym wyrzucał puszki na dwór, mnie
nie. Opłacało się więc, bo po odlaniu brunatnego nawaru można było
tak przyrządzony "szpinak" przenieść do obozu, aby tam wrzucić go do
wodnistej zupy i zagęścić ją. W ten sposób obciążało się żołądek, co
dawało poczucie sytości.

Nie wiadomo, jakie kwalifikacje miał nasz naczelnik do prowadze-
nia przedsiębiorstwa, ale dawał sobie radę, bo podobnie jak ja, mu-
siał się okupywać swoim przełożonym. Jak było powiedziane, główną pro-
dukcją stolarni były szpontowniki, ale również typowe okna i drzwi do
baraków, oraz taborety. Widać to było w ogólnej hali produkcyjnej.

Intrygowało mnie jednak, gdzie znikają na całe dniówki robocze bracia Ryczaje wraz z innymi dwoma rzemieślnikami. Co oni robią? Gdzie się znajdują? Było to tajemnicą.

Zapytałem o to Lutka. Objął mnie zastrzegając zachowanie dyskrecji. Otóż lepszym fachowcom powierzał naczelnik wykonywanie mebli na połysk, a bracia Ryczaje (gdzieś spod Lublina) jako lutnicy i stroiciele instrumentów ze specjalnością organów robili dla dyrektora kopalni węgla fisharmonię. Te przedmioty były wykonywane w ciasnej komórce, do której wykonawcy wchodzili małymi drzwiami, zastawianymi potem deskami.

Istniało porozumienie, że w razie inspekcji lub wizyty innych niepożądanych gości, majstrowie po otrzymaniu sygnału wychodzili szybko na halę produkcyjną i po zabarykadowaniu tajemnych drzwi, stawiali przy z góry ustalonych piłach, strugarkach, by wykonywać zamówienia państwowe.

A więc tam za ukrytymi drzwiami w dobudówce, widzianej tylko od zewnątrz odbywało się misterium inkrustowania stolików, biurek no i owej fisharmonii przy użyciu szlachetnego drewna i oklein: czarnego hebanu, czerwonego mahoniu, jasnej lipy czy białego jaworu. "Ten z guzem" musiał mieć rozległe stosunki, aby dostarczać odpowiedni materiał, bo stolarnia dysponowała na standartowe roboty tylko sosną, świerkiem i modrzewiem. Wiosną, gdy wezbrała rzeka Msta, gdzieś z jej górnego biegu bezładnie spływały ku nam całe kloce drzew, które przy użyciu bosaków wyciągano na brzeg do obróbki w tartaku. To co zatopiło się w nierównościach dna koryta rzeki, czy nie udało się wyciągnąć było potem popychane przez ławice szczap opałowych i spływało dalej w dolny bieg rzeki. Tam też były osiedla i zakłady przeróbki drewna. Czy ktoś kierował obrotem drewna - nie wiem, ale chyba nie, bo jak

wyławialiśmy drewno opałowe dla obozu, nie zaobserwowaliśmy, aby ktokolwiek wypisywał fakturę. "Wsio kazionne" (wszystko państwowe), po co więc to wszystko.

Nasi rzemieślnicy dokonywali cudów pomysłowości, aby zadowolić wyższe potrzeby hierarchii sowieckich przełożonych. Najgorzej było z wycechowaniem piszczałek na odpowiedni ton. Potrzebne były do tego odpowiednie stopy blach. Wobec ponaglenia dyrektora kopalni przyniesiono różne blaszane puszki i opakowania z towarów żywnościowych dostarczanych Związkowi Radzieckiemu przez Stany Zjednoczone A.P.

Bracia Ryczajowie pokonali więc i tę trudność. Wykonane przedmioty były rozwożone do przełożonych podczas naszej nieobecności.

Wszyscy obdarowani byli chyba zadowoleni, co mogliśmy zauważyć po ucieszonych minach "Tego z guzem", który poufale poklepywał po ramionach Lutka: "Mołodiec", "Mołodiec" - powtarzał - co oznaczało "chwat".

Posypały się w większej ilości talony dla wykonawców potajemnych zamówień. Talonami nazywano blaszane krążki i trójkąty, na których były wytłoczone odpowiednie liczby: 50, 100, 200, 500, co odpowiadało wartości zakupionych towarów. Można było nimi płacić w wewnętrznej kantynie za kawałek kiełbasy, dzwonko śledzia, parę kostek cukru itd. Po zakupy chodził brat stryjeczny Lutka, bo już był tam znany.

Lutek przejrzał już cały mechanizm handlu w kantynie. Był przy w porozumieniu z naczelnikiem, który informował, co przywieźli do kantyny i czy warto posyłać po zakupy. Nie za darmo, nie. On chciał korzystać z tego, co przyniesiono do stolarni. Oczywiście, płacił nie z własnej kieszki, a talonami, którymi dysponował. Sam wolał nie pokazywać się w kantynie, bo mógłby podpaść robotnikom, którzy go znali.

Lutek - złota rączka znalazł kawał nierdzewnej blachy o grubości odpowiadającej talonom, wykroił z niej odpowiednie kształty, sporządził przy użyciu różnych przecinaków i pilniczków "sztance", powybił cyfry i z takimi talonami posyłał brata po zakupy. Przyniósł on, prócz delikatesów, cały garnek gęstej omaszczonej brukwi, takiej samej, którą w swoim czasie otrzymałem od Lutka, gdy spuchnięty leżałem w baraku na "hiobowym łożu".

Tym razem najedliśmy się we trzech.

Proceder urwał się nagle, gdy po pewnym czasie stwierdzono, że brakuje pokrycia na talony w towarach. Przychodzili robotnicy z talonami, a towaru już nie było.

Zrobił się szum, kantynę zlikwidowano ku żalowi całej naszej brygady. Sam naczelnik gorzko powiedział do Lutka:

- Smatrij, kultury niet - nu tiechnika bolszaja -

/Popatrz, to jest niekulturalne, ale technicznie zdumiewające/.

X X X

Nie powiedziałem jeszcze nic o Jakowlewie, który miał nadzorować nas bezpośrednio, w imieniu naczelnika. Był młodzieńcem dość przystojnym, z falującymi jasnymi włosami, wysuwającymi się spod futrzanej czapki. Mówił nerwowo, tak szybko, że nie zawsze rozumieliśmy o co mu chodzi, wówczas wpadał w furję i beształ nas beżkotliwie tak wyszukanyimi wyzwiskami, przekleństwami, że nie nadają się do powtórzenia. Zresztą, kto by je spamiętał. Klął nas ile wlażło, ale dało się z nim żyć.

Wpadał do stolarni jak żbik, pokręcił się, popytał, czy ktoś czegoś nie ma do wymiany na krupczatkę, cebulę lub czosnek i zniknął. Pojawiał się znowu pod koniec pracy, porozumiewawczoⁱ chytrze łypał

świdrującymi oczkami, zapytał czy nie było "tego z guzem". Jeśli nie, to wyjmował formularz i z uciechą wpisywał do niego wczorajszą "wyrobotkę" i dzisiejszą łącznie, aby było ponad normę, aby były talony - on też z tego chciał coś mieć.

Cieszył się ochryplym śmiechem gdy udało się "omamić" / oszukać/ "tego z guzem".

- Nu żadno, pany, haraszo ! - kwitował dzień z aprobatą.

Zdarzyło się raz, że wpadł do stolarni podchmielony. Zrzucił czapkę na warsztat stolarski, usiadł na nim i bujając nogami zaczął opowiadać nam o swojej "żiźni" /naczelnika nie było/.

Był produktem wychowania państwowego: w "przyjacie" /sierocińcu/, w "dzieckim sadzie" /dziecięcym domu wychowawczym/, w szkole dla "beprizornych" /młodzieży trudnej/.

Z fantazją opowiadał, co się tam działo.

Pewnego razu wydostali się we trzech poza ogrodzony i strzeżony zakład. Złapali dziewczynę /wg. niego "bladź"/ zrzucili jej kurtkę na głowę i po zgwałceniu zakorkowali ją szyszką ze świerka. Jako młodociany był już w więzieniu. Nie wszystko było uciészne, co on opowiadał, ale ponieważ był rozbawiony epizodami swego życia, wypadało i nam się uśmiechać, bo reagując zgrozą mogliśmy stracić jego przychylność. Nie pytaliśmy go, dlaczego nie był i dlaczego nie jest w wojsku, ale wyobrażaliśmy sobie, co taki mógłby narebić, gdyby dostał do ręki peszę. Zapewne wystrzelałby wszystkich oficerów. Szukał bowiem emocji w łamaniu prawa i władzy. Chciał imponować nawet poprzez demoralizowanie innych. Była to żywiołowa, pierwotna jeszcze natura, lub też jednostka zdeprawowana przez cały system życia i styl bycia otoczenia. Zapewne nałożyło się na siebie jedno i drugie. Może i Makarenko byłby w tym przypadku bezradny.

Ktoś zapytał, dlaczego tolerował go w stolarni jej naczelnik? On go się bał. Kiedyś przy jakiejś wpadce, naczelnik zaczął go "rugać". Musiał uciekać ze stolarni, bo Jakowlew chwycił za topór i rzucił za nim tak mocno, że wbił siekierę w futrynę drzwi. "Ten z guzem" - nawet nie postarzył się u władz.

- No niechby on tylko "duchnął" /pisnął/, to ja bym jeszcze z nim "poigrał". Przy tych pogróżkach Jakowlew stawał się straszny, aż ciarki nas przechodziły. Maksymą jego postępowania było oszukiwać, okłamać, ukraść i nie dać się złapać.

Dla niego liczyli się tylko tacy ludzie, ^{jak on sam} inni - "eto barachło" /śmiecie/.

Dziwna rzecz, tyle w nim było nienawiści, zła, ale miał sentyment do aresztowanych, to znaczy do nas. Na przykład był oburzony, że naczelnik mnie oszukał /"omanił"/. Być może, nie wynikało to z bezinteresownego ludzkiego współczucia, a z utraconej możliwości zysku przy transakcji, bo powiedział, że dałby mi 250-300 rubli za płaszcz i jeszcze by na nim zarobił,

Świadczy o tym też fakt, że nikt z brygady nie skarżył się, aby Jakowlew komuś zarwał, nie dopłacił, zaparkł się wziętych do sprzedaży rzeczy, jak robił to "Ten z guzem" - "Naczelnik", czy nawet pułkownik obozu.

Do stolarni przychodził też 14-letni chłopczyzna rosyjski - Lońka. Był synem wdowy, a ponieważ w okolicy nie funkcjonowała żadna szkoła, więc matka oddała go do stolarskiego terminu. Lońka był pojętym chłopcem, bo nauczył się wielu słów polskich i niemal wszystko rozumiał, co do niego mówiliśmy. Szczególne przywiązanie okazywał Lutkowi, a ten darzył go niemal ojcowskim uczuciem. Lońka był naszym łącznikiem ze światem zewnętrznym.

Ludzie tej krainy nie mieli żadnych zasobów ubraniowych na przetwarzanie, nicowanie, reperowanie. Tylko tyle, co na sobie. Dlatego każdy kawałek materiału, nawet wypruty z łachów, znajdował nabywcę. Widywaliśmy tutejszych ludzi w ubraniach pstrokatech: z odmiennych tkanin karczki, mankiety, kołnierze, patki, paski, które zdradzały kontakty z "wojennoplennymi" i "zakluczonymi" - Niemcami i Polakami. Matka Łonki pomysłowo łączyła elementy w całość, zestawiała kolory tak, aby sukienka czy marynarka były ^{zbyt} nie rażące dla oka.

Nielegalny handel z miejscową ludnością z różnym nasileniem wciąż trwał.

Pytanie, skąd braliśmy "towary" po tylu rewizjach, konfiskatach, grabieżach. Otóż przez pierwsze pół roku nie handlowaliśmy, a jeśli nawet - to między sobą. Obławiała się wówczas administracja obozowa, bezkarnie, bez jakichkolwiek dowodów, depozytów, pokwitowań, rekompensat. Te wytwory cywilizacji kapitalistycznej są "nie potrzebne" /niepotrzebne/. Zabierali i już.

Trzeba było po obdarciu ludzi z lepszego ubrania i obuwia coś dać do przykrycia nagiego ciała. Powoli uruchomiano wydawanie odzieży i bielizny zastępczej z magazynu. 18 - letni ksiądz Lubomirski wyglądał jak Łazarz. Jakieś obrzynki na nogach, piszczele gołe, strzępy zawieszane na ramionach. Nie wiem, czy wszystko posprzedawał, czy został tak dokumentnie obrabowany.

Co otrzymywaliśmy?

Z bielizny to, co pozostało po zmarłych. Brr, Brr i to po zabraniu lepszej. Ubrania i płaszcze po Niemcach, często były jeszcze zakrwawione. Chodziło o to, aby czym prędzej ta cywilna "banda" mistyfikowała Niemców. Dla nich nie obawiano się współczucia.

Kiedy zaczęliśmy wychodzić z obozu do pracy, sami uczestniczyli-

śmy, w tym procesie przebijania się. Po co mają mi zabrać za darmo, kiedy mogę sprzedać i dożyć się!

Oczywiście, były opory psychiczne w nakładaniu na siebie odzieży z trupa i to niekiedy z gnidami. Zawsze istniała obawa choroby zakaźnej.

Chciałem chodzić do końca we własnych rzeczach, ale koszula przepocona, twarda już, jak blacha, rozlazła się w pierwszym praniu po pół roku noszenia. Dobrowolnie wyzbyłem się spodni do butów z cholewami. Też się podarły. Dla kogoś jednak miały jeszcze wartość, szczególnie dlatego, że na siedzeniu miały naszytą skórę reniferową /wiadło z lejami/.

Dlatego wyfasowałem ponemieckie spodnie narciarskie, przy kostce zawiązywane na troczki i kurtkę z kapturem, w kolorze ochronnym "feldgrau". Jedno i drugie było z podszewką, więc podwójnie izolowało od zimnych wiatrów. Otrzymałem też trzewiki ze spodami nabitymi gwoździami. Pewnego razu wyfasowano nam, o dziwo, nowe rubaszki /koszule/, z dość grubego płótna lnianego - surówki, zawiązywane na troczki pod szyją. To była jedyna rzecz nowa, nieużywana, jaką otrzymaliśmy z ekwipunku, niewątpliwie radzieckiego. Wszystko inne - nie obarczało kosztami państwa radzieckiego. Cywilne ciuchy zawsze znajdowały amatora na wolnym chłonnym rynku państwa sowieckiego, prócz umundurowania polskiego i niemieckiego.

Powody były takie: już od pierwszego rzutu oka nabywca mógł być podejrzany o spekulantstwo, po drugie handel naruszał obowiązek ścisłej izolacji "wojennoplennych" /jeńców/, aby nie zakażali "czestnych", prostych ludzi radzieckich. Tak, jak pasiaki w więzieniach, tak tu ubrania ponemieckie lub mundury polskie miały budzić ostrożność, czujność i nienawiść, a nawet obowiązek donosu.

X X X

Pewnego dnia weszła do stolarni, w chusteczce podwiązaną pod brodę, niemłoda już kobieta. Natknęła się na Lutka. Byliśmy zdziwieni, że nie zatrzymali jej konwojenci, ale stało się. Naczelnika i Jakowlewa nie było, więc został przywołany Lońka, aby tłumaczył to, z czym przyszła owa kobieta. Ona usłyszawszy polskie słowa zdobyła się na szczerość, choć łatwiej jej było mówić po rosyjsku, wtrącała niektóre wyrazy polskie .

Tak brzmiała jej opowieść:

Wczoraj zmarła jej matka, która była do śmierci katoliczką i czuła się Polką. Pochodziła z Warszawy i tam mieszkała wraz z mężem - Rosjaninem przy ulicy Karolkowej. Po wybuchu I wojny światowej mąż, a jej ojciec, poszedł na wojnę. Matka wraz z córeczką małoletnią została ewakuowana w głąb Rosji. Ojciec został zabity. Matka pracowała w jakimś zakładzie. Córka, jako młoda dziewczyna, musiała uczęszczać do szkoły rosyjskiej, a potem pracując wśród Rosjan, uległa rusyfikacji, bo po polsku mogła mówić tylko z matką. Chciały się repartiuować do Polski, ale prawo na to nie zezwalało, bo ojciec był Rosjaninem. Matka przed śmiercią prosiła, aby córka pochowała ją w trumnie z katolickim krzyżem.

Lutek wyraźnie był wzruszony. Wypadało zaczekać na naczelnika, by uzyskać zezwolenie na zrealizowanie zamówienia, ale nie był pewny, czy uda się go uprosić. Przy poparciu kolegów zdecydowali postawić szefa wobec faktu dokonanego. Maszyny poszły w ruch i trumna z pachnącego żywicą drzewa sosnowego, z katolickim krzyżem na wieku stanęła w kącie stolarni.

Zastanawiano się, czy by nie wynieść jej poza stolarnię, za-nim naczelnik wróci, ale odstąpiono od tego zamiaru, bo obawiano się rozgłosu

w przypadku wmieszania się w sprawę konwojentów.

Naczelnik wprawdzie wściekał się, ale dla zatarcia incydentu wydał trumnę znajomym owej kobiety, za wsuniętą mu łapówkę.

Na drugi dzień Łońka, jako łącznik, przniósł Lutkowi starą książeczkę do nabożeństwa, drukowaną po polsku, wywiezioną z Polski przez zmarką, podczas jej ewakuacji w czasie I wojny światowej.

Kiedy pracuje się w jednym miejscu i poznaje bliżej kolegów - wtedy usłyszane strzępki informacji układają się w pewną logiczną całość.

Obóz dostarczał robotników do przedsiębiorstwa węglowego, któremu była podporządkowana stolarnia.

Jeszcze przed zimą, pracując przy budowie drogi do szychty, widziałem zapoczątkowanie budowy drugiego szybu. Była to dopiero studnia na kilka metrów głęboka, z której wyciągano ręcznie na linach wiaderka z gliną. Nad poprzednim szybem cieśle wznosili rusztowania drewniane na pochylnię, z której miał się sypać węgiel wprost do niżej podstawionych samochodów ciężarowych, czy wprost do węglarek kolejowych /mówiło się o projekcie zbudowania bocznicy kolejowej/.

Wówczas to miałem sposobność obserwować tok inspekcji robót przeprowadzanej przez trzech inżynierów, ubranych w czarne płaszcze ze skóry i w futrzane czapy. Na nogach mieli wyczyszczone do połysku buty z cholewami. Wyróżniał się zwłaszcza wysoki pewien mężczyzna, gdyż koźnież jego płaszcz był nakryty sutym futrem z lisa. Pobieźnie przeszli po obiekcie, rozmawiając tylko z majstrami sowieckimi. Nie byli długo. Wsiadli do czarnej "Czajki" /firma samochodu/ i odjechali.

Kim oni byli? Już swoim wyglądem budzili sensacyjną ciekawość.

Sowieccy majstrowie powiedzieli, że ten z lisek - to dyrektor tu-tejszego przemysłu węglowego, a ci dwaj pozostali - to jego zastępcy.

I o dziwo, ten z lisek wpadał od czasu do czasu do stolarni,

a raczej do kantorka naczelnika. Raz przeszedł halę produkcyjną wraz z naszym szefem i Lutkiem, udając się do komórki w celu skontrolowania jakości wykonanych dla niego rzeczy. A nie wiedział o istnieniu pobocznej produkcji za utajonymi drzwiami. Po co więc tyle środków ostrożności?

Naczelnik "z guzem" tłumaczył tak:

Drabiną hierarchii "prawicielstwa" jest długa. Nie każdy z jej szczebli jest ważny i może osobiście korzystać z usług stolarni. A jeśli już korzysta, niech myśli, że tylko jemu udało się coś tu zdobyć. Po co ma wiedzieć jeden o drugim? Będą zazdrościć. Ot i nieprzyjemności! A może i duża granda.

Nasz naczelnik także nie był pozbawiony zazdrości, bo choć wydawał się być uniżony w stosunku do dyrektora "ugolnoho proizwodstwa" - to będąc pijany, żalił się na swoje uzależnienie. Niech będzie wpadka - to nikt go nie weźmie w obronę. On pójdzie do łagru, oni dadzą sobie radę. "Kagda diengi goworiat, tagda prawda mołczit" /Gdy pieniądze mówią, prawda milczy/. Kruk krukowi oka nie wydziobie.

Pewnego razu powiedział: - Direktor, eto wasz Jewrej-.

Pociągnięty za język dodał, że nazywa się Kantor, jest Żydem z Warszawy. Do Rosji przybył jeszcze przedwojną. Kiedy Niemcy zajęli Donbas, on rozgłosił, że tu i w całym okręgu leningradzkim są złoża węgla i to płytko. Gospodarka państwowa potrzebowała węgla za wszelką cenę. Kantor stał się ważnym człowiekiem, otrzymał wysokie stanowisko. Kiedy inni szli na front, głodowali, on żył jak pan, niczego mu nie brakowało. I teraz nie brakuje. Być może w innych miejscach węgiel jest ale tu sami wiecie...-

Wiedzieliśmy. Nasi ludzie ryli ziemię jak krety, coraz głębiej, coraz głębiej za urobkiem cienkiej, około 20-30 centymetrowej wars-

twy węgala. Wreszcie jest żyła węgla! Wielka radość, ale uchodzi ona na boki, trzeba ryć w ślad za nią. Ostrożnie, bo za uderzeniem kilofa tryska woda. Ręczne pompy nie nadążają, aby szybko uciec przed kurzawką. Sprawdzają pompę napędzaną silnikiem elektrycznym, budują szyb dodatkowy czy awaryjny.

Wreszcie sytuacja opanowana, ludzie wchodzi w to błoto i znów ryją.

Fakt namacalny. Do obozu przynoszą na nosilkach pierwszy urobek węgla. Kucharze się cieszą. Dokuczyło im podtrzymywanie ognia pod kotłami zmarzniętą lub wilgotną darnią torfową oraz surowymi, żywymi jessacze "prutiami", z których wyciekała na zewnątrz żywica. Drzewo trzeba oszczędzać tylko na rozpałkę, dokładać tylko wtedy, kiedy ogień przygasa. Zasypano na ruszty węgiel, ale co się dzieje? Kucharze uciekają z kuchni, kaszląc. Pomieszczenia wypełnia gryzący, ciężki dym. Znawcy powiadają że w tym dymie znajdują się różne tlenki: węgla, siarki, a może i ołowiu - wszystkie bardzo niebezpieczne dla zdrowia. Można nimi zatruć się na śmierć.

Podnoszą płaskie, jak łupek kawałki węgla. Kruszą się w rękach, przedwytują żyłkami błękitne błyszczące plamy. To nie kryszyk - to piryt (siarczek żelaza). Laboratorium chemiczne mogło by ustalić w analizie, jaki jest skład tego paliwa. Niewątpliwie bogaty!

Ale gdzie tu mówić o laboratorium?!

Trzeba spalać taki węgiel, jaki jest, bo i gałęzi brakuje w okolicy. Drzewo przechwytywane z wody Nsty już spłynęło. Szachtowi ludzie na potrzeby obozu przynoszą już parę nosiłek z węglem. Powiadają, że ich dzienny urobek wynosi 1 - 3 tony najwyżej. Nawet spróbowali, jak działa pochylnia, na razie nasypała ziemią, bo szkoda, aby te początkowe urobki rozproszyły się w otaczającym iles.

Jakież było nasze zdumienie, gdy trafiła nam do rąk stara gazeta.

- chyba "Uralski raboczij" w której znaleźliśmy wzmiankę, że nasza kopalnia dostarcza już 22 do 23 tysięcy ton węgla miesięcznie. Mała "oszybka" /pomyłka/. Mogło go być 22 - 23 tony. Cóż bowiem znaczą trzy zera na końcu? Zwyczajny chochlik drukarski, gdyby chciał ktoś kwestionować i dochodzić prawdy.

Ot, jakich cudów dokonywał Kantor wraz ze swymi kompanami.

XIII. MAKABRYCZNE APELE I GROŹNY CEREMONIAŁ REWIZJI W OBOZIE

Wiosną 1946 roku miała miejsce droga ucieczka z obozu. Tym razem jednego człowieka. Ustalono, że nazywał się Kisiel.

Kurs względem nas zastrzył się. Puszczone zostały w ruch maszyny NKWD. Samolot /kukuruźnik/ krążył przez parę dni, zataczając coraz większe koła, to windując się w górę, to zniżając ku ziemi. Penetrował okolicę, bez rezultatu. Prowierkom i apelom towarzyszyły ordynarne wyzwiska i wypominania coś w rodzaju:

- My za was krew przelewali w bojach. My was uchroniliśmy od krwawych walk, abyście żyli, a wy wrogowie ludu, "a-piat wreditiele, prestupniki, mieszatiele" występujecie wrogo przeciw władzy ludowej w "Polszy" i władzy radzieckiej. No, my Kisiele dostaniemy!!

Chyba po dwóch tygodniach Rodin tryumfująco ogłosił, że uciekiniera zastrzelono w stogu siana pod Wielkimi Łukami na Wyżynie Wałdajskiej. Do ujęcia jego jakoby przyczynili się kołchoźnicy, bo z komórki jednego z nich ten złodziej ukradł kozłatko. Ile w tym było prawdy - nie wiadomo, ale nie dowierzaliśmy opowieści, bo Kisiele wciąż nie dostarczano do obozu.

Tymczasem, pewnego dnia, nie wyszliśmy do pracy o zwykłej porze.

Zarządzony został apel całego obozu na placu przed kuchnią.

Draws urządził makabryczne widowisko. Kazał zebrać resztki zlodowaciałego śniegu i zrobić kopę na wysokość człowieka.

W milczeniu staliśmy, przyglądając się tej niezwykłej scenerii.

Wreszcie przyniesiono z kostnicy /ziemlanki/ sztywne zwłoki i ustawiono je, opierając o śnieg.

Draws zarządził defiladę wokół trupa. Wrzeszczał:

- Przyjrzyjcie się dokładnie swemu koledze. Chyba go poznacie!!!

Z każdym tak będzie, kto będzie próbował ucieczki!!!

To szpieg, wróg ludu - !!!

Obchodząc powoli trzykrotnie wokół trupa stwierdziliśmy, że niewątpliwie było to ciało Kisiela. Budziły się jednak w nas wątpliwości co do okoliczności jego śmierci. Inaczej wyglądałaby twarz człowieka zabitego przed paru dniami i przewożonego w warunkach przecieź nieluksusowych, bez trumny czy skrzyni z dalekich stron. Twarz Kisiela, jakkolwiek wychudła, była świeża. Tylko w okolicy ucha miał osmaloną, podsiniałą skórę. Krwi nie było. Czyżby go myli? Rzeczowo objaśnili ten szczegół ludzie z partyzantki z czasów okupacji hitlerowskiej. Twierdzili, że Kisiel został zastrzelony z pistoletu małego kalibru, z bliskiej odległości, a może nawet w bezpośrednim styku lufy z ciałem i to niedawno, może przed paroma godzinami. Stąd to osmalenie skóry. Kula mogła uwięznąć w potylicy, przebijając po drodze tylne płaty mózgowe. Kula karabinowa opuszczając przeszkodę dokonuje wyrwy, tu jej nie było. Jeśliby strzelano do uciekiniera z pepeszy, to całą serię. Skąd więc ten pojedynczy otworek?

Byli tacy, którzy twierdzili, że w nocy słyszeli głuchy strzał. Najprawdopodobniej Kisiela⁴⁴ dostarczono do obozu nocą żywego. Tu został zastrzelony celowo dla urządzenia tej makabrycznej maskarady.

Czy Draws znał całą prawdę?

Dlaczego Rodin nie uczestniczył w tym widowisku?

Po dokonaniu zbrodni doskonalej lepiej być z dala od swojej ofiary. Obecność mordercy mogła by nasunąć jakieś skojarzenia u tych par oczu, czujnych i spostrzegawczych. Wystarczyło jakieś niezręcznie użyte słowo, aby wzbudzić podejrzenia. Umarły nie powie już nic. Lepiej powierzyć urządzenie tej imprezy Drawsowi - byłemu przestępcy wojennemu. On nicze

go nie ujawni - w swoim interesie! Zresztą obaj są przeniknięci ciągłymi do zbrodni i mają wstręt do niewinności. Czekają tylko rozkazów.

Niepokoiliło nas to, że w nienawistnym przemówieniu użył słowa:

"szpion" /szpieg/. Czyżby szykował nową prowokację?

Pewnej niedzieli nakazano wychodzenie z baraków. Ponieważ przy bramie kręciły się grupy specjalne NKWD, spodziewaliśmy się czegoś niedobrego. Będzie chyba rewizja. Wychodząc z baraku nr 5 przez kładkę na rowie, wetknąłem pod nią ostatni dokument, jaki jeszcze pozostał mi po tych rewizjach: Legitymację Związku Nauczycielstwa Polskiego. Szczegół mało znaczący, ale warto go zapamiętać.

Po wyprowadzeniu nas za bramę w szyku zwartym, otoczyli nas żołnierze NKWD /z błękitnymi otokami czapek i z takimiż patkami na kołnierzach/. Maszerowaliśmy dość długo piątkami, takimi, jakie były przyjęte na prowierkach. Wprowadzono nas na łąkę, znajdującą się w kotlinie między wzniesieniami terenowymi i nakazano nam położyć się twarzą do ziemi. Nawet nie zauważyliśmy ukrytych wśród wzgórz karabinów maszynowych. Szeptem przakazywaliśmy sobie informacje pochodzące od bardziej spostrzegawczych obserwatorów sytuacji. Ponieważ zakazano nam poruszania się i prowadzenia rozmów, nieznacznie tylko uniosłem głowę i z całą pewnością dojrzałem jeden karabin maszynowy z obsługą w siodło między wzniesieniami. Innych nie mogłem zobaczyć, ze względu na unieruchomienie ciała.

Co człowiek myśli w takim położeniu?

Zająłem się oceną odległości, dzielącej nas od śmiertelnej broni.

- Chyba 100 metrów, nie więcej - szepnąłem sąsiadowi.

- Czy to ważne, jeśli zachcą nas wytłuc? Czy myślisz, że uciekniesz?!

- Nie wiem co zrobię, może da Bóg, że tak źle nie będzie - odpowiedziałem.

Jak długo to trwało, nie wiem, ale zapewne parę godzin. Było słoneczne, dość ciepło, więc leżenie na soczystej zielonej trawie wiosennej nie było samo w sobie przykre. Ale te strzępki myśli, wspomnień które kotłowały się w głowie, jak w kalejdoskopie, przypominały chaotyczną spowiedź z całego życia, ale żadnego epizodu wspomnień nie mogłem doprowadzić do końca, bo między nimi wpadały przerywniki:

- Koniec, koniec, to znów: nie, nie, to niemożliwe!

Niemożliwe? A co zrobił Suworow po zdobyciu Pragi? Pozwolił, aby jego żołnierze wyrzucili w pień ludność cywilną - około 10 000 ludzi.

Wreszcie pozwolono nam wstać i tą samą drogą wróciliśmy do obozu. Przy bramie stała grupa enkawudzistów. Przed wartownią leżały na ziemi jakieś pręty, zwitki drucików, blaszki, kawałki tkanin, tektury i inne drobiazgi. Był to plon generalnej rewizji w barakach i ich zakamarkach. Gdy pozwolono nam rozejść się, pierwszą moją myślą było zabrać po drodze legitymację związkową spod kładki. Nie było jej, a więc penetracja dotyczyła nie tylko pomieszczeń lecz również całego terenu, na którym znajdował się obóz. Wnętrze baraków wyglądało jak po huraganie. Sienniki, podglówki poprzewracane w nieładzie. Niektóre deski wewnętrznej szalówki baraku zostały oderwane, odsłaniając glinę wypełniającą szpary między deskami ścian. Wyjęto stamtąd nie tylko to, co schowali nasi, ale i to co zostało po poprzednikach w wiadomych im tylko skrytkach.

Wymienialiśmy między sobą informacje, co komu zginęło. Otóż zabrano rzeczy mało ważne z punktu widzenia materialnego. Każdy więzień w obozach przechodzi okres zbieractwa, jeśli ma możliwość wychodzenia poza "zonę" do pracy. A to kawałek drutu stalowego czy sprężyny /można z tego zrobić szydło, nożyk, czy igłę do naprawy odzieży, butów/, a to kawałek blachy /z niej można zrobić tartkę do tarcia ziemniaków/,

a to porzuconą i zniszczoną już szczoteczkę do zębów czy grzebień /masa plastyczna nadawała się do sporządzania krzyżyków, pierścionków, koralików różańca/, a to kawałki materiałów /na łąty do odzieży/, kawałki aluminium zużywano na szkaplerze, bo przy pomocy ryłca można było wygrawerować, co się chciało: wizerunek Matki Boskiej, Pana Jezusa lub świętego-imiennika, z miedzianych drutów przemyślnie wyplatano bransolety /podobno winni je nosić chorzy na reumatyzm/, z kartonów po opakowaniach sporządzano wzorzyste karty do gry, z kawałków miękiego drzewa /lipa, topola, wierzba/ wyrabiano przecież łyżki do jedzenia, figury szachowe itd, itd./

A więc były to surowce do przetwarzania w wyroby użytkowe. Pomysłowość człowieka odosobnionego jest zadziwiająca. Broni się on od kompletnej bezczynności. Musi, powinien się czymś zająć. Odkrywają się wówczas zdolności, a nawet talenty, których dotąd nie miał okazji w sobie odkryć. Zabija wówczas w sobie poczucie beznadziejności.

Pamiętam chłopca, który w Polsce był pastuszkim. Stale przebywał w szpitaliku obowowym, bo cierpiał na znaczny bezwład nóg. Dostarczono mu materiały, a on wciąż dłubał, polerował, strugał i wychodziły z jego rąk piękne drobiazgi. Darował je lekarzom, funkcyjnym i nawet każdemu, kto chciał z nim porozmawiać, zainteresować się jego sierocym życiem w Polsce. Po co takiego chłopczykę tu przywlekli?

Ale wróćmy do omawianego wątku.

Głowiliśmy się, co rewidantom z tego przyszło, że pozbawili ludzi skromniutkiego sensu spędzanych tutaj dni. Szczególnie odczuli to boleśnie "dystroficy", ozdrowieńcy i obłożnie chorzy, w przeważającej mierze ludzie starsi. Oni przywiązali się do swoich pamiątek. Gromadzili to z nadzieją, że wrócą do kraju nie z pustymi rękami lecz z dowodami stałej pamięci o swoich najbliższych - nawet w tak trudnych warunkach.

Chciano nam dokuczyć? Przestraszyć? Złamać? Pognębić?

Na pewno tak, po to przemyślano i zaplanowano ten cały ceremoniał. Należy jednak szukać powodów głębszych w tym całym przedsięwzięciu. Pamiętajmy, że Drawś powiedział, iż zabity Kisiel - to szpieg, po rosyjsku "szpion".

To słowo stawiało służbę bezpieczeństwa ZSRR na nogi. Przecież wi dzieliśmy, nawet w tej zapadłej krainie napisy:

- szpion padkaravliwajet /wróg - szpieg czyha/-

Nas uważano za ludzi inteligentnych /"umnych"/ i wciąż konspirują- cych, a więc szczególnie niebezpiecznych. Wystarczyło podsunąć naczelnikowi obozu podejrzenia o "podpolnej rabocie". Śmieszne, ale podejrze wano, że mamy łączność z Londynem poprzez sporządzoną przez siebie stację nadawczo-odbiorczą, bo po co ściągamy do łagru druty, druciki, izolatory, blachy itd.?

Zawiedli się i ośmieszyli. Żadnej cudownej stacji przekaźnikowej nie znaleźli, za to napędzili nam strachu. Tak więc, groźny ceremoniał generalnej rewizji obozu przez oddziały wojskowe NKWD osiągnął swój cel tylko połowicznie.

Co prawda znaleziono zapoczątkowane listy imienne oficerów, robione na pakowym papierze przez pułkownika Stamirowskiego, ale z tego tytułu nie było przykrości. Może zostały sporządzone w porozumie niu z oficerem politycznym obozu. Kto wie, czy nie chodziło tu o ofi cerski "pajok", a może o wyizolowanie stanu osobowego oficerów.

Ten wyższy oficer - najstarszy rangą wśród nas, wydawał się nam bardzo dziwny, od początku nie cieszył się ani sympyтіą, ani zaufa niem. Czy nadawał się na detektywa?

A jeśli nawet na niego liczone - to musiano z niego zrezygnować i chyba tak było, gdyż nigdy nie opuszczał obozu, nie pracował i z

nikim się nie przyjaźnił. Tolerowano go zaledwie, jako oficera wyższej rangi.

Czy chciał może spełnić jakąś rolę w obozie, z tytułu stopnia? Patriotyczną? Wychowawczą? Przywódczą?

Chęci nie wystarczą, potrzebny jest talent, a takiego on nie miał, a może go utracił w warunkach odosobnienia.

X X X

Pewnego wolnego dnia Rodin przeprowadzał ranną "prowierkę", czyli sprawdzanie stanów liczbowych ludzi w obozie. Stwierdził, że brakuje aż 23 ludzi. Sprawdzał, liczył i wciąż było nie tak, a myśmy wciąż stali przez parę godzin w słońcu i błocie, unieruchomieni w miejscu. Starszy lejtnant wściekał się, przeklinał "rugał" nas. Patrzyliśmy na niego ze zgrozą - to znów z ubawieniem, gdy się odwrócił plecami do nas i odchodził do innych baraków, przybudówek, służbowych izb dla funkcyjnych. Tym razem wszystkich wyrzucał na plac /zwykle liczył ich bez wychodzenia z pomieszczeń bez przerywania pracy/. Nie wiem, jak długo jeszcze by to trwało, gdyby Władek Grzegorski, który wówczas pełnił rolę "rozwodczika" sporządzającego ewidencję imienną grup roboczych wychodzących i wracających osób do pracy i z pracy - nie przypomniał, że jeszcze nie byli w ziemlance. Ziemlanka to piwnica, której dno było poniżej drzwi i schodów wejściowych. Do niej wrzucano nagie ciała zmarłych obozowiczów, które pozostały tam do czasu wywiezienia ich na Kozią Górkę. Ponieważ wiosenne roztopy spowodowały przypływ wody, więc trupy pływały w niej. Rodin nakazał Władkowi, aby wyciągnął zwłoki, celem ich policzenia. Wprawdzie odór zapierał dech i zbierało mu się na wymioty, ale zwyciężył wstręt i wykonał rozkaz.

Teraz wszystko się zgadzało. Rodin dał znak do rozjęcia się ^{dla} zziębniętych, przemoczonych ludzi.

Powstaje pytanie, czy Rodin rzeczywiście zapomniał o trupiarni, czy tylko udawał. Przecież będąc oficerem służbowym obozu, niejako nawykowo, nie raz i nie dwa, wchodził do tej piwnicy, aby liczyć zmarłych. Oni także byli jeszcze na stanie osobowym łagru.

Ktoś może zapytać:

Dlaczego nie opróżniano ziemiarki wcześniej? Przecież ludzie umierali codziennie.

Odpowiedź prosta. Umarli nie jedzą, a produkty żywnościowe obóz dostaje i dla nich, dopóki nie opuszczą bramy wartowni na zawsze. Wtedy dopiero z wartowni przekazywano meldunek do kancelarii, aby zdjęto ze stanu taką to a taką liczbę osób - być może z imienia i nazwiska, ale tego nie stwierdziłem, czy prowadzono ścisły rejestr lokatorów obozu, szczególnie zmarłych. Najczęściej posługiwano się ogólną liczbą. Pytanie: Czy ktoś z rodziny mógłby się dowiedzieć o przyczynie i daty zgonu bliskiego mu człowieka?

Już sama prośba o informację wzbudziłaby posądzenie o prowokację, o zły stosunek do władzy radzieckiej, o szpiegowstwo.

Jeszcze ktoś dociekliwy chciałby wiedzieć, czy nadwyżki żywności wynikające z pobierania produktów na "martwe dusze" były rozdzielane między pozostałych, żywych?

Z pewnością nie. Pobierała je sowiecka służba obozowa. Po co miała kraść, choć i to się zdarzało. Już w magazynach można było niejako legalnie pobrać to, czego nie potrzebowali umarli. A ruch osobowy był duży.

Jestem może niesprawiedliwy w stosunku do Rodina, ale podejrzana jest sprawa owej "prowierki". Znając jego mściwość, można sądzić, że

wziął rewanz za ośmieszenie się w oczach pobratymców ^{po} ściągnięciu z okolicy grupy operacyjnej NKWD dla nakrycia owej stacji nadawczo-odbiorczej. W ten bowiem sposób częściowo kompensował swoje psychiczne urazy. Taki sadysta jak on wyładowywał się na ludziach, nad którymi miał władzę. Mógł ich upokarzać, znieważać, odbierać im zdrowie, sadzać do karceru na chleb i wodę, bo nikt za nimi się nie wstawi, nikt go nie pociągnie do odpowiedzialności.

Pełne treści było jego sformułowanie:

- Eto nie roman - tolko łagier zakluczonych -

/To nie romans - tylko obóz dla aresztowanych/.

XIV. CZYSTOTA

Po polsku można strawestotać hasło "czystota" = Czystość - to zdrowie. Werbalnie rzecz biorąc, powoływano się na nie za często w warunkach ogólnej biedy, ale w każdych warunkach można coś niecoś w tej sprawie zrobić. Śmieszne jednak było powoływanie się przez rosyjskie siostry na potrzebę czystości, schludności, skoro brakowało wody, mydła, środków czyszczących i piorących, dyzjenfekujących, nawet karbolu czy chlárku wapnia. Nam nie do śmiechu było. Z każdego oślizgłego zakamarka i stęchłego kąta czaiła się podstępna śmierć, zabierając ludzi bez rozgłosu i ceremoniału. Odarta z powagi i człowieczego dostojęństwa dobierała się nawet do najsilniejszych duchem i ciałem.

Kto następny do zdmuchnięcia ...

Kuliliśmy się w sobie, w jakimś otępieniu i zamroczeniu.

Może to i lepiej, bo palna wrażliwość mogłaby nas porazić tęsknotą i rozpaczą.

Z tego stadium anabiozy budziły nas kosmopolityczne pluskwy /niemieckie "Wanze", rosyjskie "Kłapy"/.

Umiędzynarodowione w tych samych barakach, potrafiły się przystosować do picia każdej krwi, rosyjskiej, niemieckiej i polskiej; obszarniczej, kułackiej, oficerskiej, żołnierskiej i robotniczo-chłopskiej. Miały złe i dobre czasy, ale przetrwały, nieomal zasuszone. Najgorzej im się wiodło w miesiącach totalnej mobilizacji po napaści na ZSRR gigantycznej maszyny niemieckiej. Wszyscy, którzy żyli jeszcze, szli na front bronić Ojczyzny i władzy radzieckiej. Baraki pustoszały. Następane lata nie poskąpiły im pozywienia. Przezroczyście z wycieńczenia, wylaziły spoza desek, ze szpar podsufitek i spadały na jeńców niemieckich. One też miały swój udział w wojnie.

Teraz smakowały krew polskich akowców, eneszetowców, bechowców. Zwabione promieniowaniem ciepła ludzkich ciał, dążyły w takie miejsca, by odrywając się od pułapu, niezawodnie trafić w obnażone części skóry. Cięły ją dokuczliwie. Nawet głęboko śpiący nędzarze, nie przerywając snu, odruchowo omiatali rękami twarze, szyje, ocierali o siebie nogi. Wraz z postępującą wiosną nasilała się inwazja tysięcy milionów pluskw. Niektórzy udręczeni nieszczęśliwcy woleli nieraz spędzać noce cieplejsze pod gołym niebem, przed barakami. Inni drzemali, siedząc na pryczach w kucki z owiniętymi w szmaty nogami, z nakrytymi głowami w cokolwiek. Wszyscy męczyli się w ciągłym czuwaniu, zasypianiu i budzeniu się. Zabierało to resztki sił psychicznych i fizycznych.

Biologia pluskwy warta jest monografii, a nawet rozprawy doktor-
skiej. W walce o byt stosują określoną strategię. W dzień ich nie wi-
dać. Działalność swoją zaczynają tuż po zachodzie słońca. Te głodne
łatwo rozpoznać: są zupełnie płaskie jak odrobina starego pergaminu,
biegają szybko na wysokich nóżkach, trudno je nakryć palcem. Tuż przed
naciskiem, jak żołnierze, uciekają spod ostrzału w lewo, w prawo -
- zakosami i spadają w dół. W bezpiecznym miejscu nieruchomieją, tru-
dno je odszukać. Najobfitsze łowy na to prześladowcze mrowie udawały
się nad ranem, tuż przed wschodem słońca. Wówczas nabrzmiące od
krwi odwłoki krępowaly^{im} ruchy. Pelzły więc po ścianach ociężale, jak
czołgi o dużym tonażu. Nie potrzeba było ślinić palca. Wystarczyło do-
tknąć napiętą do ostateczności błyszczącą kuleczkę, aby prysnęła ci
w oczy swoją własną krwią, zresztą kto to wie, czyją? Gnietliśmy je
pospołu w sobie, na ścianach, ciągnąc z nich krwawą tapetę. Z obrzy-
dzeniem wycieraliśmy czerwone palce o deski pryczy, o sienniki, o

swoją odzież. Wąchaliśmy przykry, specyficzny pluskwiany zapach. Drr... Ludziliśmy się, że można je wytępić lub przynajmniej zmniejszyć ich ilość. Chwilowo uwolnieni od prześladowczyń, zmęczeni bezsennością, błogo zasypialiśmy, a wówczas te spóźnione rozlazily się i zapadały gdzieś w jamkach gliny, w szparach sufitu, w nierównościach ścian. Podobno z udanego krwiopoju wystarczy im pożywienia na kilka lat. Mała pociecha, nadchodziły wciąż małe i duże, głodne i niezupełnie nasycone, z powodu ^z ⁷ ^h ^a ⁿ ⁱ ^a ⁿ ⁱ ^a się śpiących. "Szacholory" byli w lepszej sytuacji. Chcąc się uwolnić od nękających insektów przynosili systematycznie pod płaszcami podkradane materiały do budowy szałasów. A to kawałki desek, a to witki przewodów, a to trochę gwoździ, a nawet konieczne młotki i inne proste narzędzia. Byli tolerowani przez konwojentów i wartowników przy bramie, którzy z przymróżeniem oka patrzyli na ten proceder, jeśli był on uprawiany z umiarkowaną ostrożnością. Pamiętajmy o powszechnej tutaj zasadzie:

- Ukraść tak, aby nie dać się złapać -

Tak więc, na wolnej przestrzeni kotliny w obrębie obozu, powstało pseudomiasteczko budek indywidualnych i szałasów zespołowych. Wchodziło się do nich w pozycji schylonej lub na kolanach. Było w nich ciasno, ale przytulnie, jak w ptasim gnieździe. Lepiej, bo chroniły od wiatrów i dżdzu. Pod sobą miało się świeżą słomę w siennikach. Wiadomo, "szacholory" - korzystali z pewnych legalnych i nielegalnych uprawnień. Wprawdzie na terenie obozu stał słup z przewodami elektrycznymi, ale ich końcówki wisiały, huśtały się na wietrze. Na jednej bujał się kawałek drutu kolczastego, już skorodowanego. Być może iż była to resztką łącząca doprowadzająca prąd do ogrodzenia strefy zakazanej /zapretnaję zonu/ lub na wieżyczki strażnicze. Nic nie wskazywało na to, aby korzystano kiedykolwiek ze światła elektrycznego w barakach. Ani gniazdek,

ani kontaktów, ani przewodów. Tymczasem w budkach rozjarzyły się żarówki.

- Jak oni to zrobili?

Pytanie to intrygowało nie tylko nas - obozowiczów, ale i Sowietów.

- Smatry - wot umnyj narodi /mądrzy, pomysłowi ludzie/

Wprawdzie była to prowizorka, wszystko na styk, ale nikogo nie porażało, a światło było. Miasteczko wyglądało malowniczo w dzień, a jeszcze bardziej uroczo wieczorem, gdy przez szpary przeświecały migające ogniki. Wiadomo było, że we wnętrzu budek roją się ludzie, przygotowujący posłanie do snu. Spracowani, zapadali w głęboki, odświeżający sen, bo plaga pluskiew ich nie nękała.

Pewnego, już letniego dnia 1945r., kiedy brygady wyszły do pracy, a pozostali w obozie tylko chorzy, ozdrowieńcy, funkcyjni i dyżurni w barakach, miała miejsce inspekcja obozu.

Przeprowadzał ją jakiś generał z "głównowo upravlennia łagierej" /głównego zarządu administracji obozów/. Czy był to człowiek z Moskwy,

czy tylko z Borowicz? - Nie wiem. Dość, że był osobistością znaczącą, przybył w otoczeniu oficerów. Towarzyszył mu komendant naszego obozu i poru-

cznik Kutuzow jako oficer dyżurny, oraz Draws jako przedstawiciel Polaków i tłumacz. Wolno kroczyli wzdłuż ścieżki okalającej baraki, a było ^{tych baraków} chyba 7, nie licząc budynków i budyneczków gospodarczych.

Co oznaczały gesty rąk, o czym rozmawiali - nie wiem. Moim obowiązkiem, jako "dniewalnogo" pełniącego dyżur w baraku, było stać u jego wejścia i odpowiadać tylko na pytania. Doszli do baraku nr 2, który stał najwyżej i dominował nad resztą zabudowań. Stąd mogli oglądać całą panoramę obozu.

W pewnym momencie generał wyciągnął rękę w kierunku kotliny, na której stały budki naszych szacheliorów i głośno zapytał:

"Eto szto takoje?!!" /Co to takiego?/

Komendant obozu zrobił szcudłem krok do przodu i uprzedził wszystkich swoją odpowiedzią, nie wiem czy ja powtarzam^{am} dokładnie:

- Towarzyszu generale. Polacy, jak cyganie! Kochają świeże powietrze, swobodę, więc jak przychodzi lato budują sobie szałas, rozstawiają namioty i wynoszą się do nich z domu -.

Powiedział to niby żartem, niby z sarkazmem, a zakończył słowami, które dobrze słyszałem:

- Eto takaja narodnaja priwyczka! /to taka narodowa tradycja, przyzwyczajenie/.

Trudno powiedzieć, jak przyjął generał to objaśnienie, ale wykrzyknął:

- Eto nie, kulturno! Nada wsio razruszyc!-

/Brak w tym kultury, trzeba wszystko zburzyć/.

Opowiadano mi potem, że ekipa weszła do baraku z ozdrowieńcami /rezerwą robotniczą/. Generał zapytał:

- Kak żywiole?

Odpowiedziało mu miłozenie, więc Draws powtórzył gdzieś z tyłu:

- Pan generał pyta, jak wam się żyje, jak wam się powodzi?

Chyba dobrze, no nie ?! - podpowiedział.

Nieliczni tylko kiwnęli głową z poświadczeniem. Nikt nie wystąpił z zaprzeczeniem, ze skargą, czy protestem. Ze strachu.

Generał zapewne dobrze zrozumiał położenie tych ludzi, ale był na czele ciemiężycieli, więc wolał nie kontynuować dalszej rozmowy.

Szybko opuścił barak. Może nawet był zadowolony, że panuje tutaj dyscyplina. Kto go wie?

Rozkaz generała został wykonany. W ciągu tego samego dnia budy zostały rozebrane. To, co nadawało się do spalenia zniszczono pod

"Eto szto takoje?!!" /Co to takiego?/

Komendant obozu zrobił szcudłem krok do przodu i uprzedził wszystkich swoją odpowiedzią, nie wiem czy ja powtarzam) dokładnie:

- Towarzyszu generale. Polacy, jak cyganie! Kochają świeże powietrze, swobodę, więc jak przychodzi lato budują sobie szałas, rozstawiają namioty i wynoszą się do nich z domu -.

Powiedział to niby żartem, niby z sarkazmem, a zakończył słowami, które dobrze słyszałem:

- Eto takaja narodnaja priwyczka! /to taka narodowa tradycja, przyzwyczajenie/.

Trudno powiedzieć, jak przyjął generał to objaśnienie, ale wykrzyknął:

- Eto nie, kulturno! Nada wsio razruszyć! -

/Brak w tym kultury, trzeba wszystko zburzyć/.

Opowiadano mi potem, że ekipa weszła do baraku z ozdowieńcami /rezerwą robotniczą/. Generał zapytał:

- Kak żywicie?

Odpowiedziało mu milczenie, więc Drawś powtórzył gdzieś z tyłu:

- Pan generał pyta, jak wam się żyje, jak wam się powodzi?

Chyba dobrze, no nie ?! - podpowiedział.

Nieliczni tylko kiwnęli głową z poświadczeniem. Nikt nie wystąpił z zaprzeczeniem, ze skargą, czy protestem. Ze strachu.

Generał zapewne dobrze zrozumiał położenie tych ludzi, ale był na czele ciemiężycieli, więc wolał nie kontynuować dalszej rozmowy. Szybko opuścił barak. Może nawet był zadowolony, że panuje tutaj dyscyplina. Kto go wie?

Rozkaz generała został wykonany. W ciągu tego samego dnia budy zostały rozebrane. To, co nadawało się do spalenia zniszczono pod

kuchnią. Sporo materiału i rzeczy zostało pochowanych w barakach przez właścicieli domków. Przydało się do palenia w piecach barakowych, na łuczywka i na wyroby.

Teraz pluskwy miały więcej żeru w barakach.

Nie wiem, czy z nakazu generała sprowadzono do obozu kocioł parowy, z którego pod ciśnieniem sześciu atmosfer /był manometr/ prądnicą kierowano strumień pary na sufity, ściany, podłogi - oczywiście, po przesiedleniu ludzi do innych baraków/. Obserwowaliśmy dość dokładną robotę operatorów. Ciekawi byliśmy rezultatów zastosowanej "balszowej techniki". Czy próba wypadnie pomyślnie? Na razie bowiem odpluskwianiu poddano jeden barak. Maszyna stała jakiś czas nieczynna. Niektórzy lokatorzy, jak dawniej, w ciepłe noce układali się przy ścianach baraku. Meldowali, że znajdowali pluskwy wokół baraku. Wprawdzie niewiele, ale były. A więc, wiedzione instynktem samozachowawczym, ratowały się ucieczką i rozlażyły się po ziemi. No, mówili optymiści, w baraku ich nie będzie. Wrócili więc pod dach i zajęli swoje dawne miejsca i po paru dniach stwierdzili, że są napastowani inwazją drobnych pluskwów, nie większych od główki szpilki. Były szczególnie cięte. Widocznie ciepło pary pobudziło do rozwoju jajeczka, które niezależnie od naturalnej potencji do rozwoju, mogą pełnić rolę przetrwalnikową. Normalnie rozwijałyby się zgodnie ze swoim zegarem biologicznym, zależnie od warunków. Poddane teraz cieplnej operacji zaczęły się rozwijać wszystkie naraz - stąd ta inwazja.

Profesor Grzymała twierdził, że limit liczbowy rozrodu zwierząt zależy od obfitości pożywienia. Może tak, może inaczej, ale przez jakiś czas rozruszały się nasze umysły w dyskusjach. Fakt faktem, że w baraku nie było pluskwów dużych, zdolnych do rozrodu, a gdy nawet poka-

zywały się, to bardzo rzadko. Gdyby więc wyparowano równocześnie ubrania, sienniki i wykąpano samych lokatorów oraz powtórzono zabiegi przy zastosowaniu maszyny parowej, aby ugotować w parze delikatną pluskwianą młodzież - skutek byłby radykalny.

Ale nas nigdy nie pytano o zdanie, nie tylko w tej pluskwianej sprawie, ale we wszystkich. Na przykład mieliśmy parudziesięciu lekarzy różnych specjalności /o inżynierach będę mówił później/, którzy wiele mogli powiedzieć w sprawie czystości i zdrowia, profilaktyki i zapadalności na różnego rodzaju schorzenia i ich zwalczania. Nie tylko powiedzieć, ale i zorganizować niejedno - nawet w takich warunkach, jakie były - bez większych nakładów pieniężnych i materiałowych.

Czy stworzono w omawianej sprawie jakiś choćby załączek rady lekarskiej? Przecież był wśród nas świetny lekarz i organizator dr. S. Hornowski, już wcześniej przeze mnie wspomniany. Byli inni: od ginekologów do chirurgów, od internistów do specjalistów chorób zakaźnych, lekarze cywilni i wojskowi. Wymienię tylko niektóre nazwiska osób, z którymi spotykałem się i miałem do czynienia w obozie: Paulo, Dzieciolowski, Frydrychowicz, Siemiątkowski, Kosiński, Zieliński, Woźniak /felczer/.

Dlaczego ich nie wykorzystano? A jeśli tak, to co najwyżej w roli tak zwanych sanitariuszy barakowych bez prawa składania postulatów projektów, rad?

Czyżby obawiano się ujawniania własnej indolencji, własnej marnej kompetencji zawodowej w stosunku do lekarzy polskich? Jakże mieli instrukcje "po profesji" lekarskiej?

Wszystko wskazywało na to, że chodziło o wyniszczenie nas, wprawdzie nie drogą drastycznej eksterminacji biologicznej przy użyciu środków technicznych, bo nie katowano nas, nie mordowano, nie prowadzono do gazu, ale mężczyźni na schwał sami kładli się jak snopy podciętego

zboża. Lagry stróżują na ziemi radzieckiej od Kamczatki po góry Kaukazu, są hańbą niepohamowanej fantazji uszczęśliwiania ludzkości wbrew jej woli.

Byliśmy kłopotliwym depozytem Polski Ludowej, z którego rozliczać się nie trzeba. Wojna się już skończyła, a wciąż jeszcze nie wiadomo, co z nami zrobić.

Przez prawie pół roku pobytu w Szepietowie nie myśleliśmy się wcale. Co najwyżej śniegiem wycieraliśmy ręce, twarz, szyję. Nic dziwnego że byliśmy kąsani przez różnego rodzaju wszy: głowowe, odzieżowe, łonowe. Pierwsze i ostatnie były wstydliwie skrywane, bo rzadko występowały. Natomiast wszy odzieżowe upowszechniły się na tyle, że nie krępowano się ich obecnością. Można było zdjąć koszulę i nad ogniskiem wytrząsać. Było to niemożliwe w temperaturze normalnej ciała ludzkiego /od 36 - 38°C/. Natomiast podgrzane do temperatury bliskiej zalecenia się tkaniny, większe i grubsze wszy odzieżowe podwijają swe delikatne pazurki i jak porażone spadały do ogniska. Tu dziwnie skręcały się, nabrzmiwały i pękały z delikatnym trzaskiem. Teraz wystarczyło dokładnie przejrzeć szwy i zaszewki, wygnieść gnidy między paznokciami obu kciuków i ulga niemal całkowita po założeniu tej samej koszuli. Proste, co?

Niektóre dorodniejsze egzemplarze wszy odzieżowej maszerowały jeszcze po zewnętrznej odzieży. Takie sztuki mogły służyć do zabawy w zgadywanke: Która z nich okaże się najszybsza i przebędzie najdłuższy odcinek drogi od linii początkowej. Można robić zakłady albo nie. Sama obserwacja jest zajmująca. "Zakluczonym" należy się również trochę rozrywki, nieprawdaż?

Dawały się nam we znaki także kleszcze i świerzby pasożytujące

w skórze, w szparach między palcami. Niewidoczne na pierwszy rzut oka wszczepiały się w skórę, drażyły chodniki, wywołując nieznośne swędzenie i pieczenie. Nawet drapanie do krwi nie przynosiło ulgi. Odwrotnie, lepiej było całą siłą woli powstrzymać się od tego zabiegu, aby uniknąć bólu i ropnych strupów.

Stosunkowo wcześnie dostarczyli nam nasz sanitariusze maść siarkową. Smierdziała okropnie, ale była skuteczna. Wdzięczności nie było granic.

Pierwszy raz zaprowadzono nas do łaźni po pół roku pobytu w obozie. Nazywano ją tutaj "banią". Był to budynek dość zmyślnie urządzone. Wchodziło się najpierw do rozbieralni. Tam leżały na ławach druciane pałaki, na które, po rozebraniu się, należało nanizać swoją odzież i zapiąć zagięte konce pałaka. Kolega funkcyjny odbierał od nas odzież, zawieszał ją żelaznym drążku w wyłożonej cegłą komorze. Owa komora stanowiła odwieszalnię. Pod nią paliło się ognisko, Po załadowaniu komory zamykał ją na żelazne drzwi, podkładał szopy drzewa na ruszta i przechodził do ubieralni po drugiej stronie budynku też z ławami. Oba pomieszczenia były częściami jednego - z dużym piecem pośrodku, połączone ze sobą nie ścianą działową lecz uchylną klapą, którą można było podnosić i opuszczać, wykorzystując na chwilowe złożenie rzeczy.

Z rozbieralni i ubieralni prowadziły drzwi do dużej umywalni. W jednym kącie stały 2 kadzie. Jedna z wodą gorącą, druga z zimną. Stali przy nich funkcyjni z chochlami, którzy nalewali po 1/2 litra wody. Razem około litra, do podstawionych drewnianych skopków.

Tu otrzymywaliśmy "kusoczek myła" /kawałeczek mydła/ pralniczego wielkości kostki do gry w domino.

Równocześnie w pozostałych kątach stali golarze, którzy usuwali zarost spod pach i krocza-na sucho, gdyż brak ^{owało} pędzli.

Fryzjerzy strzygli z głowy włosy do skóry.

Narzędzia, którymi się posługiwali /odebrane przy rewizjach/ tępiły się, a nie było na czym naostrzyć, więc znosiliśmy męki Tantalą, jak przy operacji bez znieczulenia. Wyrwane włosy ze skóry, zacięcia i skaleczenia piekły ogniście.

Wodą i mydłem należało posługiwać się oszczędnie, bo po utyciu całego ciała wypadało uprać sobie onuce, chusteczki, skarpety czy ręczniki. Plecy szorowaliśmy sobie wzajemnie, własnymi, już wypranymi rzeczami.

Po tych czynnościach otrzymywaliśmy pół litra zimnej wody do opłukania siebie i części garderoby.

W tym czasie w odwyszalni pod wpływem wysokiej temperatury ginęły bakterie i insekty. Żadnych przyrządów pomiarowych nie było. Wszystko odbywało się na wyczucie. Ani zegarka, ani termometru. Piec grzał nierówno. Ponadto, jeśli było zbyt wiele wiązek ubraniowych w komorze, to na skutek ich ścieśnienia jedne tkaniny już się tliły z gorąca, inne, ukryte głębiej - izolowane niejako - były tylko ciepłe. Ważna więc była kolejność zawieszania części garderoby na pałaku. Koszula musiała być na wierzchu, inaczej, choć wszy ginęły z reguły - ich jajeczka pozostawały i po paru dniach rozwijały się pod wpływem ciepłego ciała.

Mniej więcej po godzinie kolega otwierał odwyszalnię i po paru minutach wchodził do wnętrza pieca w rękawicach i wyrzucał na podstawione ręce właścicieli pałaki z ich ubraniami.

Prażenie ubrań radykalnie poprawiały stan, jeśli chodzi o pasyżęty, ale niszczyło tkaniny. Moją koszula, którą przywiozłem z Polski,

wprawdzie mocno przepecona i zbrudzona, po jednorazowym praniu rozla-
zła się.

Mimo dość prymitywnych warunków użytkowania "bani", czekaliśmy
na powtórne wejście do niej z niecierpliwością. Po takiej "kąpieli"
jednak czuliśmy się nieco lepiej.

Dodajmy, że niemal w tym samym czasie dokonano odkażania latryn
szpitalików i bodajże baraków lizolem i wapnem chlorowanym.

Zdecydowanie zmniejszyły się liczba zgonów, choć nakłady na
cele sanitarne były wciąż nikłe.

Już choćby zycziwa atmosfera administracji obozowej sprzyja-
ła poprawie naszego zdrowia, zwiększała odporność na choroby.

Pozostały jednak skutki poprzedniego sześciomiesięcznego okresu.
Najlepiej dawało się to zauważyć w łaźni, kiedy byliśmy nadzy i prze-
bywaliśmy ze sobą w kilkudziesięciu, naraz, przez okres około godzi-
ny. Mogliśmy się po raz pierwszy i drugi /po miesiącu/ przyjrzeć so-
bie. Jak wyglądaliśmy?

Mogę powiedzieć o innych. Siebie człowiek nie może obejrzeć ze
wszystkich stron, bo i jak. Luster nie było, nawet kieszonkowych.
Wiadomo "zrełki" nam nie były "nużne". Czyniliśmy między sobą uwagi
anatomiczne, oglądając ze zgrozą co ciekawsze egzemplarze ludzkiej,
cielesnej nędzy.

- Czy może człowiek aż tak wyglądać?! Ciała niektórych kolegów przy-
pominały jakiś zdewastowany mechanizmy z niepasującymi już do siebie
częściami elementów. Między udami z przodu i obwisłymi pośladkami z
tyłu, były tak duże rozstępy, że można by przez nie furmanką przeje-
chać. Pas miednicowy przypominał rozklekotaną nieforemną skrzynkę pod-
partą szczudłami z nabitymi guzami zgrubień, które kiedyś były sta-
wami. Wzgórek łonowy był deską, z której zwisał skurczony penis przy-

klejony do prawie przezroczystej moszny, z malenkimi bobkami jąder na dnie. Wyżej wznosiło się rusztowanie kości z drabinami żeber po obu stronach. Na szczycie bryła głowy, która zdawała się być za ciężka w stosunku do ptasiej szyi.

Wszystko było przykryte luźno odstającą, pergaminową skórą, z łaciatymi plamami liszaj i strupów po wrzodziankach. Zdawało się, że wystarczy przeciąć to okrycie, a obsunie się do stóp, by odsłonić pomnikową architekturę wnętrza - model dla współczesnych malarzy czy plastyków. Ale to było coś więcej, niż model, bo, o dziwo, poruszało się jeszcze. Z zapadni oczodołów gorejące - to znów szklane oczy odbierały rzeczywisty obraz świata bez złudzeń.

Biblijny Bóg czegoś podobnego nie przewidywał ani nie konstruował.

Twórcy nowego ładu zaczęli od demontarzu wszystkiego tego, co zastali, ale czy uda im się ożywić resztki tych ludzi?

-Memento mori - pamiętaj o śmierci.

Pamiętaliśmy.

Codziennie wzrok nasz zatrzymywał się na owej piwnicy - kostnicy i dalej biegł na Kozią Górkę.

Wierzący i niewierzący wzdrygali się na to pohańbienie ciała ludzkiego. Przeżywaliśmy psychiczne tortury, by nie umierać tutaj, gdzie nikt Ci nie przyniesie nawet kwiatka.

Zachodnio-europejski majestat śmierci uwzniośla dostojęstwo egzystencji ludzkiej, a to przechodzenie ^(ciała) z bytu do niebytu stanowi o więzi między-pokoleniowej.

Tutaj - nic nie znaczyłeś i nic nie znacysz, nikogo nie zubożysz swoim odejściem, nikogo nie wzbogacisz, gdybyś wymknął się śmierci. Nikt z bliskich nie dowie się, gdzie jest to miejsce, w którym roz-

proszyły się atomy twego ciała.

"Naplewat, Umiorszójij nie nużny".

/splunąć, gwizdać. Nieboszczyk niepotrzebny./

A dla nas? - Oni milczą, a jednak ich cienie przywołują nas wciąż,
dopóki będziemy żyli.

Domagają się zachowania pamięci i przekazania jej następnym
pokoleniom, podobnie jak ów krzyż żelazny na skwerze cerkiewnym w
Warszawie przy ul. Stalingradzkiej.

Do dziś wysocy dowódcy radzieccy cenią sobie order feldmarszałka Su-
worowa za zasługi bojowe. Należało by go raczej zdegradować za dopu-
szczenie do ludobójstwa niż wynosić na pomniki.

Historyczne przesłanie Suworowa podjął w naszym wieku Stalin i zbu-
dował imperium zła i krzywdy - z imieniem "ojca ludów" ^{na} pohanbienie czło-
wieka.

XV. JEDZIEMY NA WSCHÓD

MIĘDZY NAMI POLAKAMI PO RAZ DRUGI

Fakt dopuszczania nas do pracy poza zoną z wiosną 1945r., ciągłe przegrupowania w ramach baraków i między uczestkami /oddziałami/ borowickiego obozu, komisje lekarskie i administracyjne w ekipach z zewnątrz, zabiegi wokół likwidacji epidemicznych chorób zakaźnych, dopuszczanie do korzystania z "bani", uzupełnianie braków w odzieży, wreszcie lepsze wyżywienie i znośniejszy stosunek do nas nadzorców - to wszystko sprawiło, że poczuliśmy się, mimo wszystko - ludźmi, budziły się nadzieje.

Coś niecoś dowiadaliśmy się o ciągłych zwycięstwach Armii Czerwonej, ale uderzyło nas to, że oficjalnie nie podano nam wiadomości o zakończeniu wojny. 9 maja 1945r. jakoś przeszedł, jak każdy inny dzień, a przecież w obozie był "politruk". Oficer polityczno-wychowawczy powinien podzielić się z nami tą radosną wiadomością. Czyżby nie miał pewności co do naszego ostatecznego losu?

Z jakiegoś skrawka czerwonej gazety "Prawda" wyczytaliśmy, że w Moskwie odbywa się wielki sąd nad generałem Okulickim i innymi przywódcami polskiego podziemia. Publicysta informował społeczeństwo radzieckie, jakie to zagrożenie zaistniało w ostatnich miesiącach wojny na tyłach Armii Radzieckiej z powodu wrogiej działalności Armii Krajowej. Czego tam nie było? I szpiegowstwo i współpraca z Niemcami i wysuwanie macek aż po Dniepr. Pomieszanie z poplątaniem, ale i my nie mogliśmy wiedzieć w warunkach konspiracyjnych o wszystkich poczynaniach polskiego rządu emigracyjnego w Londynie i Komendy Głównej Ak w Warszawie.

Z jednej strony byliśmy dumni z rozległości poczynania swego państwa

podziemnego /mam na myśli akcję "Wachlarz"/, z drugiej strony z kłamliwych oskarżeń mogło wynikać zaostrenie kursu w stosunku do nas - Akowców.

Ale nie. Odwrotnie, chłopcy przynieśli wiadomość, że na stacji kolejowej w Borowiczach montuje się jakiś skład pociągu. Kołchoźnicy mieli mówić:

- Siejczas ujedziecie damoj - Eto eszałon dla was!.

/Wkrótce pojedziecie do swoich domów. Ten pociąg dla was/.

Choć oficjalnego potwierdzenia nie było, ludzie w barakach ożywili się. Koncypowaliśmy: Urządzają wagony, jak do transportu ludzi. Kogoż mieli-by stąd wywozić, jak nie nas? Sowieccy majstrowie wyłudziili jeszcze ostatnie łaszki cywilne:

-Wieszczy uże wam nie nużne, prodaj, skoro ujedziecie w Polszu!

/rzeczy wam już niepotrzebne, sprzedaj, prędko wyjedziecie do Polski/.

- Prawda, po co to trzymać, skoro można uzupełnić w obozie braki w odzieży. To nic, że są one zniszczone, ściągnięte z truposzów niemieckich i polskich i przebrane. I tak w kraju w tych ciuchach chodził nie będę. To już ostatnie dni naszej męki. Warto się nieco odżywić na drogę - rezonowaliśmy.

Owe powiedzenie, wielokrotnie kierowane do nas - "Nie nużne" - inaczej brzmiało teraz. Jeszcze niedawno przy grabieży wypowiedane z nienawiścią mogło wróżyć, że dni nasze są policzone, że jesteśmy w ich mocy i tylko od nich zależy, ile tych dni nam zostawią. Teraz owo "wam nie nużne" /niepotrzebne/ oznaczało raczej perswazję, niemal prośbę. Oni tu pozostaną, a my wyjedziemy do Polski, do swoich rodzin, gdzie życie jest zasobniejsze i to, co ewentualnie stąd wywieziemy, nie będzie przedstawiało żadnej wartości.

A więc, orientowali się, iż w naszym kraju jest lepiej, niż u nich. O rządo ludzkiego żywota! Tu nie ma rosyjskiej pychy, przechwałek: "u nas wsiewo mnoga" czym nas w Polsce przybysze chcieli zadziwić, pomniejszyć.

Ulegaliśmy namowom. Ożywił się handelek zamienny, a nawet w dowód pamięci czy sympatii, ten i ów darowywał to i owo. "Na szczęście" - /na szczęście/. A przecież w szkole uczyli się z owego podręcznika geografii zdobytego przez Heńka Zbudzkiego, w którym przedstawiano Polskę jako kraj biedny, zacofany. Oglądałem w nim zestawione parami obok siebie ilustracje, przeciwstawne co do treści i podpisane:

- Tak orze rolnik w Polsce. A tak przebiega orka w ZSRR.

Tam chłop popycha sochę ciągnioną przez nędznie wyglądające krowy. Tutaj, rząd traktorów, za którymi idą pługi wieloskibowe i szerokie brony. A jeszcze poniżej:

- Tak młóca zboże w Polsce - i do tego ilustracja bydła przepędzanego przez rozpostarte zdzbia zboża na klepisku.

- A tak młóca w Sowieckim Sojuszu - i nad tym podpisem potężna lokomobila z pasami transmisyjnymi na napęd do silnika spalinowego.

Pokazano też że w Niemczech ścinają zboże kosami, a u nich kombajnami. Nie pamiętam jakiemu krajowi przypisano żarna do przemiału na mąkę.

Sierpy, kosy, żarna, sochy, pługi jednoskibowe - to przejawy zacofania. Traktory, lokomobile, kombajny - postępu.

Dla jednych muzealne eksponaty - dla drugich "balszaja tiechnika". Dla Zachodniej Europy wstrzymano wskazówki zegara, rozwoju i postępu, dla siebie przesunęli je daleko w przód.

Takie to wszystko naiwne i nieprawdopodobne, a przy tym wbijane w głowy dzieci łopatologicznie.

Zapewne miliony ludzi radzieckich przewietrzyło swe głowy w czasie wojny w środkowej Europie i mogą dać świadectwo prawdzie i z goryczą zawołać:

- Eto wsio wranje - /to wszystko kłamstwo/.

Przecież do posiołków wrócili już z europejskich garnizonów przynajmniej inwalidzi.

Po selekcji składu osobowego łagierników staliśmy się jakoby godniejsi. Zawiązywaliśmy ze sobą bliższe znajomości i obiecywaliśmy już sobie wzajemne odwiedziny w kraju. Ruch wewnątrz baraków i między barakami był coraz większy. Spontanicznie ujawniły się talenty w posługiwaniu się słowem. Ciekawym człowiekiem był wójt spod Kolbuszowej - podobno samouk. Po kolacji siadał na górnej pryczy i płomiennie przemawiał. Wygłaszał pogadanki historyczne od Krakusa i Wandy począwszy. W swoje wywody wkładał zapewne wiele własnej fantazji i okraszał je osobistym przekonaniem o roli chłopstwa w budowaniu legendarnej Polski. Zresztą nie tylko legendarnej, bo mówił sporo o Łokietku, Kazimierzu Wielkim, o Racławicach i Uniwersale Połanieckim, o Konstytucji 3-Maja. Podziwialiśmy u niego łatwość wiązania skojarzeń i potoczność, barwność wypowiedzi. Chętnie schodziliśmy się na jego "wykłady". Obsiadaliśmy dokoła brzegi nar. Kto chciał i nie chciał - słuchał.

Bardziej rzeczowo omawiał historię Polski nauczyciel z zawodu Józef Sosnowski, z nachyleniem do mitu budowania samorządności i spółdzielczości w naszym Kraju. Akcentował przy tym wartość inicjatyw społecznej pracy i wytwarzania dóbr materialnych.

Nie omieszkać też wspomnieć o niekonczących się rozmowach na temat sporządzania posiłków i trunków. Celował w tym niejaki pan Hempel spod Łosic czy Łukowa. Gospodarował tam na resztówce kilkudziesięciu

-hektarowej, po rozparcelowaniu większego majątku, ale zachował pałac z parkiem i gazonem. Był przystojnym kawalerem, a uroki świata chłonał poprzez język i wrażliwość podniebienia. Obsiadaliśmy go wkoło, w mniejszym gronie, a on mówił o winach, nalewkach, sosach, mięsach - każdy wie co to znaczy połykać ślinkę.

- Z głodu przyprawa, najlepsza potrawa - /podobno rosyjskie przysłowie/, ale on nie tylko cenił jedzenie, lecz również, a może przede wszystkim, zasady dobrego obyczaju, organizowania przyjęć i zachowania się przy stole. Jako bywalec w "dobrych domach" posiadał ogromną wiedzę w sprawach kulinarnych i etykiety życia towarzyskiego. Zresztą mogliśmy się przekonać o tym. W obozie nie pospolitował się i chyba z nikim nie był "na ty". Był głodny, ale znosił swe dolegliwości z godnością, jak na dobrze wychowanego człowieka przystało. Taki był ten smakosz - esteta.

Umacniał też nasze charaktery wspomniany już wcześniej prof. Grzymała, ale jako człowiek skromny, nie zabierał głosu w większym gronie. Wolał rozmowy kameralne, a nawet prowadzić dialog według metody platońskiej, na przechadzkach. Propagował perfekcjonizm w postępowaniu.

W takiej to rozluźnionej atmosferze oczekiwania wychodziliśmy normalnie do pracy, po powrocie naprawialiśmy odzież, graliśmy w karty sporządzone z opakowań^z importu, słuchaliśmy prelekcji, wyrabialiśmy "pamiątki".

Aż tu pewnego dnia nadeszła nieprzyjemna wiadomość. Skład pociągu w Borowiczach odjechał z załadowanymi jeńcami wojennymi. Administracja obozu pozbyła się ciężko chorych Niemców: inwalidów, dystrofików - tak wyniszczonych, że często nie mieli sił wejść do wagonów, więc wielu wnoszono na noszach.

A więc oni odjechali do Ojczyzny, a nie my.

Nastroje nasze opadły, a nawet załamały się. "Wyrabotka" normy poszczególnych brygad spadła.

Politruk - kpt Kuźniecowa - zastrzegł sobie u pracowników kuchni zbieranie papieru i kartonów z opakowań towarów "made in USA" wyłącznie dla kancelarii obozowej.

I taki szczegół został przez nas zarejestrowany i skomentowany. Równocześnie bowiem powołał obozowych "propagandzistów". Na ich czele stanął nasz znajomy z prelekcji barakowych - Józef Sosnowski, który do pomocy dobrał sobie Edmunda Moritza /już wcześniej przeze mnie wymienionego/, Kiliszczuka, Spila i innych. Nie wiem, ile osób liczyło grono propagandzistów i jakie zadania im powierzono. Prawdopodobnie chodziło o prowadzenie akcji wychowawczej od wewnątrz. Ponieważ Moritz wypożyczył mi 2 numery czasopisma "Wolna Polska" - chodziło więc o propagowanie idei reprezentowanych przez Związek Patriotów Polskich w ZSRR, a więc braterstwa, przyjaźni, sojuszu między naszymi narodami.

Zachodziło pytanie: Dlaczego tej akcji nie podjął sam "politruk" tylko ją zlecił aktywniejszym Polakom? Czyżby indolencja? A może skrzępowanie, wynikające ze stanu, w jakim znajdowaliśmy się z jednej strony, a szumami podniosłych, patriotycznych, internacjonalistycznych haseł głoszonych przez ZPP /Związek Patriotów Polskich/.

W każdym razie zadanie polskich propagandzistów nie było łatwe, bo stosunki społeczne były sterowane zmiennym kursem politycznym. Już po nasileniu pokrzykiwań konwojentów można było orientować się, że Sowieci w czymś się nie wiedzie, na arenie międzynarodowej choćby. I odwrotnie, przejawy pewnej poufałości czy zyczliwości znamionowały, że ich akcje idą w górę.

Zadziwiająca była to falowanie nastrojów. Nie wiadomo, co było

prawdą, a co kłamstwem, co obłudą, a co szczerością.

Nieliczni tutejsi ludzie, z którymi mieliśmy do czynienia byli pozbawieni własnej orientacji, a dawali się powodować każdą oficjalną urzędową informacją, a raczej dezinformacją - kłamstwem.

Ciekawe że i my, izolowani od świata zewnętrznego, ulegaliśmy pocieszającym fałszom. Niech tylko Kuźniecowa powiedział, że rzetelną pracą możemy przyspieszyć wyjazd do Polski, że takich, jak my jest w ZSRR 400 tysięcy i że kolejność transportów zależy od zaufania władzy radzieckiej do poszczególnych izolowanych grup - już gotowi byliśmy w to uwierzyć. Ale oszukani wielokrotnie przyjmowaliśmy obietnice z niewiarą, gorzko.

- Niedolgo, ujedziecie w Polszu - Nada tolko czestno rabotać -
/Niedługo wyjedziecie do Polski. Trzeba tylko rzetelnie pracować/.
Skąd my to znamy? Czy te zawołania nie przypominają napisy u bram niemieckich obozów koncentracyjnych - Arbeit macht Frei - /Praca czyni wolnym /.

Dlatego propaganda dobrych stosunków, zasłużenia sobie na uwolnienie, nie znajdowała wielu rzeczników. Odwrotnie, większość obozowiczów mówiła sobie: oszczędzaj się, licząc każdy niepotrzebny krok, aby go wyeliminować, aby przetrwać, bo czas oczekiwania może być jeszcze długi.

Już parę razy podniecaliśmy się wiadomościami że na stacji szykują nowy transport ludzi, ale odjeżdżali znów Niemcy, a my wciąż siedzieliśmy na miejscu. A przecież nie byliśmy osądzeni ani skazani.

I Rosjanie zaczęli powątpiewać w niewinność Polaków. Skoro ich nie wywożą - to widocznie są winni, widocznie tak trzeba, aby ich ukarać.

Oh! Generalissimus Stalin jest mądry, nieomylny. On wie co robi

i co trzeba robić.

- Prawitielstwo ZSRR pod jego "rukowodztwem" nie dzieła oszibek" -
/Rząd ZSRR pod jego kierownictwem nie czyni błędów/.

Ta huśtawka ocen i nastrojów ogarniała i nas. Dlatego efekty działalności naszych propagandzistów były niezauważalne.

Oficer polityczny obozu zaczął przeprowadzać "doprośy", czyli przesłuchania, badania.

Po zajęciach wzywał nas pojedynczo do kancelarii. Ciekawi byliśmy, co będzie nam zarzucał i o co oskarżał? Każdy wchodził do niego z lękiem. Przyszła kolej i na mnie. Kiedy wszedłem do niego siedział za stołem, na którym leżała duża księga, już porubrykowana. Niektórzy twierdzili, że Kuźniecowa przy przesłuchiowaniu ich posługiwał się jakimiś materiałami przywiezionymi wraz z nami z Polski, że Kuźniecowa nie próżnował i przez cały czas naszego pobytu studiował doniesienia z Polski, otrzymywane od służb NKWD i polskiego Urzędu Bezpieczeństwa. Należy im wierzyć, ale ja niczego takiego nie stwierdziłem. Była tylko ogromna księga ewidencyjna, do której wpisywał jakieś dane. Pisał po rosyjsku, a ja do dziś mam kłopoty z odczytywaniem rosyjskiego pisma /zaledwie czytam druk i to słabo/. Na wszelaki "śluczaj" /wypadek/ postanowiłem podawać tylko te informacje, które zostały zapisane w protokołach badań w więzieniu siedleckim, a więc że byłem oficerem rezerwy, że brałem udział w wojnie z Niemcami, że do "padpolnej raboty" nie należałem. Tu "sledowatiel" powątpiewał. Przecież wiadomo, że każdy Polak to konspirator. Ale był to ogólnik, więc gdyby posiadał jakieś materiały stwierdzające przynależność moją do AK - to nie omieszkałby je wykorzystać /dobrze to świadczyło o mieszkańcach mego środowiska, skąd pochodziłem/. Tymczasem żadnych dowodów na moje zatajenie swej przynależności nie miał. Ogólnikowo też

powiedział jakby do siebie: Każdy mówi "nie należał", "nie należał", a u nas zabili ruskiego oficera.

- To niemożliwe, zaprzeczyłem. Nie znam takiego przypadku, a znam dużo przykładów, że Polacy wam pomagali. Był ciekawy, jakie są na to dowody. Opowiedziałem mu o humanitarnej pomocy naszej wsi dla jeńców radzieckich, zbiegłych z obozu niemieckiego. ^{(Dygresja: a jednak,} ^{przypadek zastrzele-}
nia komendanta gminnego był, ale już po moim aresztowaniu, o czym wówczas nie wiedziałem - w zamachu zginął wścibski komendant wojenny-lejtenant Bondarczuk, który po prostu deptał po piętach Akowcom. Jemu też przypisywano moje aresztowanie, choć zrobił to polskimi rękami UB/.

Interesowała go przyczyna, dla której rzekomo nie należałem do armii podziemnej. Odpowiedziałem, że swój obowiązek spełniłem wobec Ojczyzny w 1939r. bijąc się z Niemcami, ale kiedy dowiedziałem się że Związek Radziecki jest w sojuszu z naszym wrogiem - to uznałem wszystkie nasze dalsze poczynania zbrojne za niecelowe. Na to on szybko coś wpisał do odpowiednich rubryk i kazał mi wrócić do baraku.

A w baraku pewnego dnia wyrósł przede mną Zygmunt Kisieliński -
- rolnik z moich okolic. ^(wspominałem już o nim) Znałem go od dziecka, bo był spowinacony z ^(ow) moją drugą matką /macochą/. ^(a teraz trafił tu wraz ze mną) Ponieważ mieszkał między lasami w Tyniankach, więc był napastowany przez złodziei i bandytów. Skutecznie bronił swego dobytku przy pomocy pistoletu i dubeltówki. Broń tę przechowywał od I wojny światowej stale gotową do użycia. Strzelał niezawodnie /wyćwiczył się na kłusownictwie/. Wracając z Siedlec niekiedy wstępował ze swoją żoną do naszego domu. Barwnie opowiadał wówczas o najściach bandytów i o walce z nimi. Słuchaliśmy go całymi godzinami z dreszczykiem emocji. W czasie okupacji zaplątał się w walkę z rabusiami ~~-----~~ sowieckimi. Nosił oficjalnie przyznany przez władze

niemieckie karabin w nagrodę za zabicie sowieckiego mordercy, który zarządził komendanta policji Sikorę i ze zdobytą w ten sposób bronią grasował po wsiach.

Mówiono o Zygmuncie, że spełnia pożyteczną rolę "sanitarną". Polakom nie czynił krzywdy, odwrotnie, chronił ich, ale kto go nie znał mógł przykleić mu etykietkę kolaboranta, mordercy partyzantów radzieckich, choć w tym przypadku nie byli to żadni partyzanci, a maruderzy, którzy terroryzowali spokojnych wieśniaków: wymuszali okupy, jado, a nawet pierzyny i poduszki do swoich kryjówek w leśnych jamach.

Prawdziwi partyzanci albo ułożyliby się z Zygmuntem, albo rozprawiliby się z nim, gdyby sprzeciwiał się ich walce ze wspólnymi wówczas wrogami, jakimi byli Niemcy. Prawdziwi partyzanci uzyskaliby przecież pomoc naszych organizacji zbrojnych,.

A dlaczego Zygmunt nie należał do AK czy innej organizacji? Po prostu nie chciano go przyjąć, wobec dwuznacznej jego pozycji. Nie ufano mu, obawiano się komplikacji, był przecież skompromitowany w jakimś sensie. W świetle oceny "śledowateła" niewątpliwie został zaliczony do tych, którzy "ruskich ubiwali" i grozi mu sąd radziecki.

I oto ten człowiek stał przede mną. Nie wiedziałem dotychczas, że jest tu, w obozie.

Rozmowa była krótka. Prosił, abym nie mówił, że się znamy i zapewnił, że nie będzie się powoływał na mnie. Prawdopodobnie wszystko wiedzą o nim, bo był aresztowany przez NKWD - choć się ukrywał. Czeka go sąd tu, albo w Polsce. Woli bronić się sam.

To oświadczenie przyjąłem z ulgą. Powiedziałem mu, że byłem na "doprosie" i o nim ani o jego sprawach nie było mowy. Uspokoił się, a żegnając się dodał: - To dobrze, że nie było mowy o mnie, ale je-

szcze może być -.

Więcej go nie zobaczyłem nigdy. Po powrocie do Polski dowiedziałem się, że Kisielinski został repartiuwany znacznie wcześniej ode mnie. Sądu na nim nie było. Schorowany, znękaný przejściami zmarł we własnym domu. Tajemnicę swego ocalenia zabrał do grobu. Czyżby przed swoim uwolnieniem zobowiązał się do czegoś i nie zdążył lub nie chciał wykonać? A może uznano że nie był przestępcą, bo tępił grabieżców? A może chciał się zrehabilitować w moich oczach i w oczach swego środowiska, że nie był i nie jest kanalią..

XX X X

Złe ziele szybko rośnie - mówi przysłowie.

Zdarzyło się to w wolnym dniu od pracy. Jedni grali w karty, wykonane przez artystów barakowych, drudzy uczyli się "bukw" rosyjskich, jeszcze inni naprawiali odzież lub poprostu gwarzyli. Nagle nas z sąsiedniej górnej pryczy doszły nas urywki kłótni, wreszcie dosłyszeliśmy nienawistne, obelżywe słowa:

- Ty niemiecki sługusie, ty kurwo niemiecka!

Zrobiło się cicho.

Napastowany, choć kondycyjnie był słabszy, ze słowami - "Ty oszczerco" - rzucił się na przeciwnika, schwycił go za ubranie i na oczach wszystkich zwałił z górnej pryczy w dół, na podłogę. Ciekawe, że pokonany wstał i nie rzekisz ani słowa, wyszedł jak niepyszny z baraku. Wprawdzie nie znaleźliśmy obu, ale intuicyjnie byliśmy po stronie broniącego swego dobrego imienia. Zbliżyłem się do niego i dowiedziałem się, że jest inżynierem agronomem i przed wojną, jak i w czasie okupacji, pracował w stowarzyszeniu plantatorów buraka cukrowego. Był oficerem rezerwy, brał udział w wojnie, walcząc z Niemcami, był

członkiem Armii Krajowej.

Zapraszał mnie, abym odwiedził go w Warszawie, gdzie mieszka z rodziną - Nazwisko pochodzenia niemieckiego nie upoważnia jeszcze, aby taki "kapuś" łowił ryby w mętnej wodzie - czuję się i jestem Polakiem - stwierdził.

Wszystko się zgadzało, gdy po powrocie do Polski odwiedziłem go w Samopomocy Chłopskiej przy ulicy Kopernika w Warszawie.

XX X X

Nikt nie spodziewał się, że wśród nas jest ksiądz. Długo nie ujawniał swego kapłaństwa, był po prostu jednym z nas. Chodził do pracy i znosił wszystkie dolegliwości obozowego życia. Zwrócił na siebie uwagę tym, że inicjował zbiorowe modlitwy. Potem został przez kogoś rozpoznany, ale w dalszym ciągu jego duszpaństwo było znane tylko wtajemniczonym, ludziom zaufanym. Oni to postarali się, aby miał narzędzia liturgiczne i składany mały ołtarzyk. Kielich chłopcy sporządzili z blaszanki, które odpowiednio przerobione i wypolerowane dawały blask złota. Na komunikanty dostarczane były skóreczki chleba, krojone w małe kosteczki. Podziwiać trzeba, że znał na pamięć treść mszy świętej i wielu okolicznościowych modlitw, które wypisywał na małych kartonikach, maczając zacięte pióra kurze lub wronie w inkanście zrobionym przez siebie ze znalezionej końcówki kłopotliwego ołówka. Ułożył sam modlitwę za szczęśliwy powrót do kraju. Jedną z jego modlitw udało mi się zachować i przywieść do kraju.

Tak więc ksiądz Kornilak, pozbawiony nawet księżeczki do nabożeństwa, potrafił wzbudzić do siebie zaufanie na tyle, że potrzebujących pociechy religijnej spowiadał, komunikował, udzielał namaszczenia. Odprawiał msze święte po łacinie, co dodawało mu kapłańskiego dosto-

-jeństwa.

Wśród zwodniczych wiadomości, daremnych oczekiwań i płonnych nadziei nadeszła druga wigilia Bożego Narodzenia 1945 roku w obozie. W gronie przyjaciół i życzliwych sobie znajomych dzieliliśmy się kosteczkami chleba, jak opłatkiem /poświęcił je ks.Kornilak/. Życzyliśmy sobie następnej wigilii w Polsce. Wspominaliśmy przy tym osoby i rzeczy, które sobie najdroższe pozostawione w kraju: narzeczone, żony, dzieci, rodziców. Byli tacy, którzy gdzieś spod podszewki wyciągali fotografie. Mietek Mech miał ich kilka. Mówił o swojej narzeczonej z uwielbieniem. Rozkleił się aż do płaczu. Udzieliło się to wzruszenie innym, bo i oni przywoływali obrazy swoich najbliższych.

Potem opowiadaliśmy sobie obyczaje z różnych regionów w Polsce, związane ze świętami Bożego Narodzenia: a to pasterki, a to kolędnicy, a to najście Heroda, a to wieczerza wigilijna z siankiem pod obrusem, a to kilka rodzajów jadła na stole, a to snop zboża w kącie, a to nawar ziołowy dla bydłatek, a to opasywanie drzew owocowych słomianym powrószem. Popłynęły wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia.

Rozpamiętywaliśmy to, czego nas pozbawiono.

Nostalgia za Ojczyzną, przebliski nadziei i otuchy.

Do tego roku w Polsce!!

Z tymi słowami nakrywaliśmy się paltami, czym kto miał i zasypialiśmy już późną nocą.

X X X

Była to już chyba końcowa dekada stycznia 1946r., gdy nagle poderwano nas na prowierkę. Znowu ktoś uciekł, czy co? Zamiast wyprowadzania do pracy, kazano nam wrócić do baraków. Przy wartowni kręcili

się żołnierze, nam nieznani. Podniecenie wzrastało, gdy polecono nam zabrać swoje rzeczy i wyprowadzano nas do zupełnie opróżnionego baraku. Tam już byli sowieccy oficerowie z jakimiś kartami papieru w ręku. Stłoczeni w tylnej części sali czekaliśmy, co będzie dalej.

Zaczęto odczytywać nazwiska. Wywołany przeciskał się do przodu. Tu Kuźniecowa i Rodin machnięciem ręki kierowali go albo na prawo, albo na lewo. Odbywała się jakaś segregacja.

Można było przypuszczać, że szykują nas na powrót do Polski.

Nurtowało nas jednak pytanie: Dlaczego jedni znaleźli się po lewej, a drudzy po prawej stronie? Sądzę, że każdy z nas koncypował w duchu /nie wolno było rozmawiać/ swój ewentualny przyszły los. Co zrobią z jedną, a co z drugą grupą? Rozgorączkowani, wsłuchiwalismy się w wyczytywane nazwiska, oglądaliśmy przesuwające się twarze. Powoli zarysowywał się ogólny obraz sytuacyjny zgrupowań.

Po jednej stronie stali oficerowie, lekarze, inżynierowie, nauczyciele, "cichociemni", akowcy, geneszetowcy - przeważnie inteligencja, w starszym wieku.

Po drugiej robotnicy, chłopci, bechowcy, wuerenowcy i inni młodzi chłopcy. Obraz się psuł nieco, bo obok granatowych policjantów, zakwalifikowano tu dostojnego lekarza ginekologa, pana Zielińskiego, mojego dobroczyńcę - akowca Lucjana Górskiego wraz z bratem, ale również cwaniaków, kombinatorów, może i złodziejasków.

Do Polski wrócili ci drudzy. Stanęli w Białej Podlaskiej w początkach lutego 1946r. Taką datą opatrzony był dokument repatriacyjny Lutka, który mi pokazywał, gdy mogliśmy się zobaczyć w Warszawie po moim powrocie /półtora roku później/. Odjechali też wówczas prawie wszyscy "dystroficy" - ludzie chorzy.

Ilu nas pozostało? O ile dobrze pamiętam 747 ludzi, a ilu odwie-

ziono do Polski - nie wiem. W każdym razie Drows zniknął z naszych oczu.

Jakby na pocieszenie zaczęto nam wydawać "dobywateľnyj pajok", czyli wzmacniające dodatki do normalnego żywienia. Mówiło się, że wynika to z konwencji genewskiej, dotyczącej oficerów w niewoli. Ale nikt nie znał tej konwencji w szczególności i nie wiadomo, czy i na ile odpowiadały one tym przepisom. W każdym razie przez kilka dni fasowaliśmy po krążku masła wielkości naszej przedwojennej dwuzłotówki /do formowania tłuszczu w stanie stałym służyło urządzenie blaszane z wypchanym do góry denkiem/.

Nigdy dotychczas nie widzieliśmy w obozie masła. Gdy skończyło się masło był szmalec lub margaryna, miareczka oliwy dolewana do zupy, kawałek ryby, a nawet "winaja tuszonki" - wszystko z "Unry" made in USA.

Dawna wewnętrzna struktura ludzi "na funkcyjnych" została zdekompletowana, więc według nowych potrzeb uzupełniono ją. Kto dokonywał nowego zaciągu po Drawsie /który już wyjechał/ - nie wiem. Mogły tu wchodzić w rachubę znajomości czy referencje, które docierały do oficera politycznego Kuźniecowa poprzez naszych propagandzistów.

Faktem jest, że szafarzami w kuchni, w chlebobrezce, zostali ludzie znaczący jak: inż. Borzykowski, inż. Szczepański, inż. Szulc.

Trzeba powiedzieć, że w wyselekcjonowanym gronie ludzi czuliśmy się lepiej. Nie było odrażających wyzwisk, sprzeczek, chamskiej chciwości, niezasłużonych napaści, a i żywność była dzielona sprawiedliwiej.

W końcu czerwca 1946r. załadowano nas do pociągu w Borowiczach. Nadzór nad "eszałonem" /składem pociągu/ objęła wyspecjalizowana załoga sowiecka. Nikt z dawnych znanych konwójentów nie jechał z nami.

Z Szepietowskiej kadry oficerskiej nie było nikogo.

Nie umiem sobie wyjaśnić całkowitej amnezji związanej z faktem wyprowadzenia nas z Szepietowskiego obozu do pociągu stojącego gdzieś na bocznicy w pustkowiach. A to był krótki, ale ważny epizod znękanym ludzi, udających się w nieznaną - przy warafinowanej scenerii, która porażała naszą świadomość. Otóż spotykając się po 40 latach dochodzimy do wniosku, że w tym przypadku nie spodziewaliśmy się, iż są robione jakieś przygotowania do przewiezienia nas gdzie indziej.

A jeśli nagle nas poderwano i wtłoczono między dwustronny gęsty szpaler na ostro uzbrojonych enkawudzistów - to dobra nadzieja na powrót do kraju została gwałtownie złamana. Po cóż te nadzwyczajne akcesoria grozy: karabiny ręczne ze sztykami ustawionymi na sztorc, lekkie karabiny maszynowe ręczne i ciężkie karabiny maszynowe. Pokrzykiwania i dopięg do szybkiego marszu, do towarowych wagonów ładowano nas prosto z marszu, bez biurokratycznych czynności. Straż zajęła z góry ustalone miejsca wzdłuż pociągu. Oczekiwano jeszcze na chorych i tych, którzy ustali w marszu. Po wniesieniu ich do osobnych wagonów, zamknięto je z zewnątrz, sprawnie i prawie w zupełnej ciszy. Pociąg ruszył w drogę.

Pociąg dojechał do dużej stacji rozrządowej - Bałagoje -. Dość długo manewrował, więc optymiści, po znakach na ziemi i na niebie, twierdzili że jedziemy na Zachód, więc do Polski. Nikt w głowie nie miał mapy, więc łatwo było o pomyłkę, ale kiedy przejechaliśmy takie duże miasta jak Moskwę i Kazan, ustały sprzeczki. Niewątpliwie, jedziemy na Wschód.

Jechaliśmy z szybkością kuriera. Dopiero w wąwozach Uralu lokomotywa sapiała, dzwigała się w górę z wielkim trudem. Po obu stronach były strome ściany wylamanych skał. Któregoś ranka pociąg szybko się sto-

czył z pochyłości i zatrzymał na dłuższy postój. Odczytałem duży napis na stacji: "Perm".

Przypomniałem sobie, czego uczyłem się w szkole z geografii z elementami geologii. To od tego miasta pochodzi nazwa okresu permianego, który zaczął się około 300 milionów lat temu i w którym na Ziemi pojawiły się gady ssakokształtne.

Tu, w okolicach Permu, naukowcy po raz pierwszy dokonali tych odkryć - i tak już zostało w podręcznikach.

Ale nie to zaprzętnęło moją uwagę. Ponieważ znalazłem się na górnej przycy tuż przy zakratowanym okienku drutem kolczastym, mogłem obserwować przedpole. Im dalej na wschód, tym więcej wież strażniczych. Polatywały już płatki śniegu. Było tu zimniej niż tam, skąd przybyliśmy. Na boczniczy kolejowej, oddalonej od nas kilkadziesiąt metrów, stał skład wagonów - ciepłuszek z rurami wyprowadzającymi dym. Po schodkach wbiegały i zbiegały zwawo młode dziewczęta, umundurowane, w kozackich czapkach na głowie. W rękach miały metalowe jaszczyki, okrągłe monażki. Pobierały więc śniadanie lub wodę do umycia się.

Zacząłem liczyć, ile dni trwała nasza podróż. Kiedy i gdzie nas karmiono i czym? Dalibóg, nie mogłem sobie przypomnieć. W wagonie było ciemno, a do jedyne go okienka było wielu amatorów, aby przez nie wyjrzeć na świat. Byliśmy otępiali i wyczerpani.

Właśnie otwarto z zewnątrz drzwi, wrzucono worek sucharów z razowego chleba i w dwóch wiadrach drewnianych zimną wodę do popicia. To miało nam wystarczyć na dalszą drogę.

Drzwi potem zasunięto. Nikomu z nas nie pozwolono wyjść z wagonu.

Gdzie te dziewczyny jechały - skoro wojna już się skończyła?

XVI. W OBOZIE NIEPODAL TAJGI W ZACHODNIEJ SYBERII.

Z Permu - niszczone^m przez wiele milionów lat uralskim łańcuchem górskim oddziela^ejący^m Europę od Azji, pociąg jechał zakosami skalnych zboczy i wykopów. Jak długo trwała podróż, zanim znaleźliśmy się na równinie Zachodniej Syberii dalebóg, nie pamiętam. Wylądowano nas na jakieś rampie /około 50 km od Świerdłowska/, chyba bez nazwy. Wszędzie leżały tu zwaly kłoców drzew, dowożonych z pobliskich borów tajgi.

Ustawieni w "placiorki" i dokładnie policzeni, ruszyliśmy długą kolumną przez bezludne pustkowie, polnym traktem. Dzień był słoneczny, a ziemia obsuszona. Konwojowali nas jeźdźcy na koniach i żołnierze piesi. Czyżby uznano nas za "wojennoplennych" /jeńców wojennych/? Nie było Drawsa, Rodina i Kutuzowa, a nawet dawnych konwojentów. Cała obsada strażnicza - nowa.

Po kilkunastu godzinach marszu weszliśmy między zabudowania jakiegoś "posiołka" /wioski/ lub "chutoru" /folwarku/. Poszczególne luźno ustawione domy były ogrodzone żerdziami. Na nasz widok wybiegły wyrostki i oparwszy się o opłotki wołali: "Fryce"!, "Germańcy"!. Konwojenci nie reagowali. Ktoś z nas próbował protestować i objaśnić tę zgrają, że my nie Niemcy lecz Polacy, ale natychmiast został zgromiony przez konwojenta: "Idy, idy, job twoju mac".

Nagle z zabudowań osiedla wytoczył się niesamowity pochód mieszkańców. Na przodzie grający harmonista, za nim tańczący w przysiadach mężczyźni i kobiety. Wszyscy pijani, czy w jakimś hipnotycznym transie przecieli i zdeorganizowali naszą kolumnę.

Jeźdźcy usiłowali zatrzymać tę ciżbę krzykiem:

- Pastoj nie lzia!! - /zatrzymać się - nie wolno/.

Skierowali swe konie, aby cofnąć to rozbawione towarzystwo, ale tłu-

mek ze śpiewem, z pohukiwaniem parł do przodu, na drugą stronę drogi. Niesamowity widok. Zatrzymani, w milczeniu przypatrywaliśmy się temu oryginalnemu widowisku.

Co to było? Wesele, czy co innego? Skąd to zapamiętanie się w sobie? W jaki sposób wprowadzili się w stan ograniczenia świadomości? Gdyby przyczyną była tylko wódka, nogi odmawiałyby im posłuszeństwa. Tymczasem byli sprawni w ruchach tanecznych - choć nie słyszeli i nie dostrzegali, co się wokół nich dzieje, nie interesowali się nami wcale. Po prostu - nieprzytomny obłąd.

Gdy czoło tego zbiorowiska wsiąkało w zabudowania po drugiej stronie drogi, konwojenci uporządkowali naszą kolumnę, jeszcze raz policzili ludzi /bo mógł ktoś z nas zamieszać się w tłumek/ i poszliśmy w dalszą drogę. Współobozowicze twierdzą, że nasz marsz trwał bez odpoczynku prawie dwa dni /możny było zgubić "kalendarz" ze względu na zjawisko "białych nocy"/.

Jeszcze przed wieczorem znaleźliśmy się za drutami nowego obozu. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy miał jakąś nazwę. Podobno był to oddział większego obozu nr 531. Z najbramy witał nas transparent z sentencją: Trud - eto dzieło cz³asti, dobreści i gierojstwa /Praca - to sprawa czci, honoru i bohaterstwa/.

Po formalnościach zdawczo-odbiorczych podzielono nas na grupy, dla których przydzielono poszczególne baraki. Nasi funkcyjni z Szepietowa objęli odpowiednie stanowiska. W barakach było czysto, prycze piętrowe, ale z siennikami. Pod sufitem jarzyły się z rzadka żarówki i choć nie było kontaktów, dawaliśmy sobie radę w łączeniu i rozłączaniu końcówek przewodów. O dziwo, nie stwierdziliśmy obecności pluskiew.

Gdy wprowadzono nas do "bani", okazało się, że jest to łaźnia urządzona na sposób rzymski. Na rozpalone kamienie lało się wodę.

Gęsta para unosiła się do góry. Można było nabrać w skobek wody i udać się na jedno z trzech pięterek, by się obmyć i wyparzyć. Pod samym sufitem tylko niektórzy wytrzymywali. Dobieraliśmy więc poziomy stopni^{temperatury} odpowiednie dla własnej wytrzymałości. Była i odwieszalnia oparta na parowaniu odzieży, więc skuteczniejsza od szepietowskiej, gdzie działało^{tylko} suche, gorące powietrze. Te pozytywne strony nowego miejsca pobytu poprawiały nasze samopoczucie, ale szybko przekonaliśmy się, że były to tylko pozory lepszego losu. Pracowaliśmy wyłącznie w tajdze przy wyrębie drzew. Jedni ścinali i odgałęziali starodrzew na kłocę, inni załadowywali drewno. Ja i wszyscy z mojego baraku przemierzaliśmy codziennie cztero-pięciokilometrową drogę do tajgi, gdzie wprowadzano nas do kilku-hektarowej powierzchni lasu, oddzielonej od reszty parometrowymi duktami i z rzadka rozciągniętymi kołczastymi drutami. Na rogach stały wieżyczki z wartownikami, uzbrojonymi w broń maszynową. Wolno nam było poruszać się tylko w ramach wyznaczonego obszaru. Pracowaliśmy tu brygadami dziesięcioosobowymi. Las był z naturalnego posiewu, a więc zróżnicowany pod względem rodzajów drzew. Zadaniem naszym było ścinanie przy pomocy pił ręcznych drzew /sosny, modrzewie, świerki i gdzie, niegdzie brzozy/ następnie przy pomocy tępych siekier odcinanie odgałęzień, rżnięcie na metrowe odcinki, ewentualnie też rozłupywanie grubszych kłoców i układanie ich w stosy kubiczne. Miało to być drewno opałowe, a może również na papier. Normy dziennej nie wyrabialiśmy nigdy. Gdy nas łajano, pokazywaliśmy prymitywne i tępe narzędzia. Piły ujęte w drzewne pałaki, tępe topory, brak przyrządów do ostrzenia, brak żelaznych klinów, a drewniane nie wchodziły w mokre drzewo, mimo pobijania siekierami. Nadzorcy słuchali, kiwali głowami, ale za jedyny sposób poprawy tego stanu rzeczy uznano wydłużenie nam czasu pracy do 10 godzin, pozwolenie na

wybór dziesiętników, którzy przede wszystkim zabierali "wygawory", bo odpowiadali za "wyrabotkę" normy. Musieliśmy oszukiwać nadzorców. Wspecjalizowałem się w tym. Nic innego nie robiłem, tylko znosiłem klocki i szczapy jak również obrzynki na miejsce stosu i tu układałem je tak, aby wewnątrz było jak najwięcej pustych szczelin. Wystarczyło z jednej i drugiej strony ułożyć dwa obrzynki i nakryć je pełną szczapą, a od razu podnosił się poziom o 15-20 cm w górę. Niekiedy udało się przenieść szczapy ze stosów już przyjętych. Za mało było sił, aby wykonywać normę uczciwie - trzeba pomagać sobie fortelami i przede wszystkim oszczędzać się, bo żywili coraz podłej. W obozie zamiast ^{dawano nam} zupy w wodę z kilkoma kawałeczkami ziemniaka i garstką peluszek czy grochu. Umieliśmy już to dzielić sprawiedliwie. Najpierw czerpano rzadkie, a potem to gęste liczone na sztuki: 2-3 kawałeczki kartofla, 9-14 ziaren peluszek.

Głód, przerażający głód i niewolnicza ciężka praca. Na rękach pęcherze, zrogowaciałe guzy, okaleczenia. Z braku środków opatrunkowych, ochronnych rękawic dionie były pokryte ropiejącymi ranami. Znikąd pomocy. Odjęto nam "pajok", w lesie ani jagód, ani grzybów. Handelki ustaly, bo i z kim? Wprawdzie niedaleko obozu było kilka domostw z działkami przyzagrodowymi, ale tam mogli mieszkać ludzie z administracji obozowej. Badaliśmy je wzrokiem z dala, prowadzeni przez konwojentów do pracy i z powrotem. Ziemia tam była dobra, co można było poznać po bujnych łąkach ziemniaczanych, czepiającej się zerdzi opłotków dyni i ogórków, oraz po rozłożystych liściach kapusty. Dalej łąki, pastwiska czy ugory. Żadnych drzew owocowych, ani krzewów, ani zbóż. Na kołkach ogrodzenia wisiały garnki. Ujadały psy i od czasu do czasu ktoś tam przechodził w obejściu. Ale jak tam się dostać? Trzeba niebawem okazji, aby tu kogośkolwiek z mieszkańców tej ziemi spotkać. Nieomal

całkowite bezludzie.

Szczególny niepokój opanował nas, gdy niektórzy ^(z naszej grupy) zapadali na "kurzą ślepotę". Wiedzieliśmy, że jest słońce, że świat się mieni tysiącami ^z barwami, a tymczasem pewnego dnia, jak przy całkowitym zaćmieniu słońca - wszystko stawało się szare i bezbarwne, jasne lub ciemne, a nie kolorowe. Awitaminoza czyniła także spustoszenia w uzębieniu.

Pewnego dnia został zabity w lesie kolega Potocki. Przebieg zdarzenia był następujący: Potocki ^(rzc) szukał działkę lasu, aby znaleźć coś do zjedzenia. Po drugiej stronie dukty leśnej spostrzegł parę grzybów. Chciał przeczołgać się na drugą stronę dukty, by je zebrać. Celu jednak nie osiągnął, bo wartownik na wieży zauważył go i bez żadnego ostrzeżenia, czy wezwania do cofnięcia się, przeszył mu pierś serią z pepeszy /podobno otrzymał za to urlop - za cwujność/.

Po tym wypadku przedsięwzięto nadzwyczajne środki ostrożności, wzmocniono strażę przez wezwanie oddział^u uzbrojonych żołnierzy. Ściągnięto nas ze stanowisk pracy i odprowadzono do obozu.

Dokonano pewnych przegrupowań i wysyłano nas na "lesozagotówkę" / dostawa drzewa, uprzątnięcie terenu leśnego/. Po wyrębie starodrzewu należało zabrać pozostałe gałęzie i po przycięciu na odpowiednią długość, okorować. Zrzynki dokonywali pracownicy sowieccy przy pomocy pił mechanicznych. Kloce z wyrębu wyciągano przy pomocy małych ^u traktorów a łańcuchami, a także kołmi. My spełnialiśmy czynności pomocnicze. Tam miałem możliwość przyjrzeć się, w jaki sposób drzewo z głębi tajgi wędrowało do ramp kolejowych, by później znaleźć się w tartakach i zakładach drzewnych Świerdłowska czy Czelabińska.

Otóż na drewnianych przesłach podwieszona była szyna z wrębami, po której przesuwaly się kółka połączone z żelazną ramą, od której sko-

śnie uwieszone były po obu/stronach blizniacze drewniane ramy, zwisa-
jące jak juki z grzbietu wielbłąda. Kloce ładowano na te ramy, zapinano
na zacięcia drewniane by nie spadały w czasie transportu i bagaż po
jednej szynie mógł być przetaczany na mniejszą odległość przez ludzi,
a przy dalszej odległości zapuszczano silnik ropny czy na drzewogaz.

Na rampie wybijano boczne ramy i kloce zsuwały się po dolnych bel-
kach na ziemię. Stąd przy pomocy prostych podnośników z łańcuchami
windowano drzewo na lory wagonowe. Miałem możliwość dowiedzieć się,
skąd się biorą normy. Otóż praca brygady 10 ludzi była dozorowana
przez "normirowszczyków", którzy przy pomocy stopera czy zegarka no-
towali czas konieczny do wykonania danej czynności: przetoczenia klo-
ców, podniesienie ich, składowanie, założenie drągów w odpowiednie
klamry wagonu. Potem 480 minut /czas dniówki roboczej dziesięciu lu-
dzi/ dzielono przez czas potrzebny do załadowania jednego wagonu i
ustalano, ile wagonów powinna brygada 10 ludzi załadować w ciągu je-
dnego dnia pracy.

Miało to wszystko tylko pozory naukowości, bo nie brano pod uwa-
gę doświadczenia zatrudnionych ludzi, ich stanu fizycznego, jak rów-
nież psychicznego.

Inaczej pracują zawodowi drwale, a inaczej inteligenci, którzy
nigdy nie mieli z taką pracą do czynienia. Inaczej pracują ludzie zdro-
wi, normalnie odżywieni, a inaczej chorzy, głodni, pozbawieni sił.
Lepiej pracuje człowiek, który jest wolny i za swoją pracę otrzymuje
wynagrodzenie, a gorzej człowiek przymuszany do niewolniczej roboty
bez wynagrodzenia.

Te obiekcje wysunął robotnik, mówiący po polsku, który oka-
zał się żydowskiego pochodzenia. Skąd on się tu wziął? W tajdze Żyd?

Przecież w Polsce wciąż mówiło się w radykalnych odłamach endecji

o żydokomunie, o filozoficznych nastawieniach tej nacji, o agenturalnych jej powiązaniach z kominternem.

Tak sobie pomyślałem, ale swoich wątpliwości nie ujawniałem, by nie zrazić mego rozmówcy. Natomiast na zasadzie wzajemności opowiedzieliśmy sobie okoliczności naszego odosobnienia w ZSRR.

Otóż on, jako syn zamożnych rodziców z miasteczka nadbużańskiego z łatwością przeszedł w 1939r. do strefy radzieckiej. Rodzice, choć bali się Niemców, pozostali na miejscu. Był ciekawy, co się z nimi stało. Nie mogłem nic na ten temat odpowiedzieć, bo nikogo nie znałem z Wyszkowa, ale uspokajałem go, że może zdecydowali się i oni na ucieczkę do ZSRR i tutaj gdzieś żyją.

- Mówi pan żyją? Przecież oni nas wylapali, odebrali kosztowności, załadowali jak bydło do wagonów i zawieźli za koło polarne do "oblasti" Archangielskiej. Tam wyladowali nas po prostu na śnieg i powiedzieli: "Zdies budietie stroit swoju żiźń" /Tu będziecie budować swoje życie/. Co prawda przywieźli łopaty, piły, siekiery, nawet namioty i trochę żywności, ale ilu ludzi zginęło w tamtym klimacie, zanim jako tako urządziliśmy się, pracując przy wyrębie lasów? Teraz już jestem wykwalifikowanym, wolnym robotnikiem leśnym i za swoją pracę otrzymuję wynagrodzenie".

Na pożegnanie, wyjął ze swego woreczka główkę czosnku i dał mi ją bezinteresownie. Objął przy tym, że to jest najlepsze lekarstwo na "kurzą ślepotę". Trzeba nim gospodarować oszczędnie: jeden ząbek na cały dzień. Pomaga to również na chore zęby i dziąsła. Wystarczy drobniutko pokrajać, a nawet ścierać na skórce chleba. To wspaniałe lekarstwo. Nigdy już nie spotkaliśmy się powtórnie, ale rzeczywiście czosnek przywrócił mi zdolność widzenia barw. Co za szczęście!!!

Tymczasem w obozie zapanowały ponuro niepokojące:

- Co z nami będzie? Czy mają nas wytępić głodem?

Tak dalej być nie może!! Niech raczej nas wystrzelają! Po co tak się męczyć całymi latami?!

Oficer polityczny, w randze majora, coś niecoś wiedział o złych nastrojach w "łagrze". Im byliśmy głodniejsi, tym więcej nasilał swoje propagandowe "biesiady" /pogadanki/. Nie dopuszczał jednak do rozmowy, do wymiany zadań. Zrobił swoje i wychodził. Komendant obozu, też major, nie pojawił się wśród nas w ogóle. A jeśli już wszedł do obozu, to tylko po to, aby wydać jakieś polecenia i wracał szybkim krokiem do bramy.

Niektóre argumenty politruka zapamiętałem sobie, choć może nie dosłownie, ale sens jest ten sam.

Nawiązywał do naszego obozowego losu. Uzasadniał, że chociaż cierpimy głód i niewygody - to jednak powinniśmy być wdzięczni radzieckiej władzy, która biorąc pod uwagę ludnościowe wyniszczenie w Polsce, wywozila nas w bezpieczne miejsce, gdzie nie strzelają, nie bombardują, abysmy cali mogli wrócić do kraju, gdzie jesteśmy potrzebni. Swoje przemówienia kończył ulubionym frazesem:

- Pany. Skoro ujedziecie damoj. Tolko nužno czestno rabotać, dla uproczenia naszej sodrużestwiennej pabiedy-

/Panowie, wkrótce wyjedziecie do domów. Tylko trzeba pracować dla umocnienia przyjacielskiego zycięstwa/.

Na dowód że politruk nie miał swego własnego zdania, a był od przypadku do przypadku sterowany wewnętrznymi instrukcjami oraz aktualnymi przekazami radiowymi lub komentarzami z centralnej prasy - zreferuje treść jednego z przykrych wykładów.

Było to wówczas, kiedy miały miejsce tarcia między rządem polskim na emigracji /wspieranym przez działalność podziemia w kraju/ a rządem ZSRR. Nie podtrzymywał już nas na duchu, że wkrótce wyjedzie

my do Polski, przeciwnie, pozbawił nas, nieszczęśliwych, wszelkich nadziei.

- Wy londończyki! Wy waszu Polszu prodali -

/Wy zwolennicy rządu w Londynie! Wy swoją Polskę sprzedaliście/
Komuś z naszych wyrwało się, bo nie mógł wytrzymać takiej potwarzy:

- A wy jejo pakupili!- /A wyście ją kupili!/
Zamarliemy, a major krzyczał:

- Kto eto skazał?! /Kto to powiedział?!/
Oczywiście nie było winnego, wśród ciżby prawie ośmiuset ciasno stojących ludzi. Dał więc spokój, tym bardziej że zapadał mrok, a oświetlenie było skąpe.

Następnym razem, jakby nawiązując do poprzedniego, niefortunnie zakończonego zebrania, powiedział między innymi:

- My was aresztowaliśmy dla umocnienia tyłów Armii Czerwonej. Wśród was są więksi przestępcy. Oni naszych zabijali nożem w plecy. Wasz rząd jest w przyjaźni z rządem radzieckim i będzie was sądzić po powrocie do Polski.

Oczywiście, tak uprawiana akcja wychowawcza była wręcz szkodliwa. Nie tylko z punktu widzenia naszego, ale i radzieckiego. Ta huśtawka nastrojów: od kuszenia wolnością do urojonych oskarżeń i straszenia sądami, od nawoływań do uczciwej pracy do wymuszania uczuć wdzięczności dla oswobodzicieli - a to wszystko w atmosferze nieludzkiego głodu - mogło tylko pobudzać do buntu.

XVII. "ZABASTOWKA" - STRAJK GŁODOWY.

Już w Szepietowie poznaliśmy niejakiego Kiliszczuka, który opowiadał swoje życiowe perypetie. Każdy nieomal z nas był powściągliwy w przedstawianiu swego politycznego "Curriculum vitae" /życiorysu/, ale on jakoś dziwnie szczerze o sobie mówił. Nie ufaliśmy mu, tym bardziej, że był propagandzistą obozu i to jednym z pierwszych. Wierzyć, nie wierzyć, ale posłuchać warto, bo opowiadał barwnie po polsku, wtrącając dobitne, soczyste słowa rosyjskie.

Otóż, pochodził ze wschodnich terenów polskich. Z przekonania był komunistą, żołnierzem Rewolucji Październikowej, uczestnikiem wojny domowej w 1920r. po stronie bolszewików. Za Lenina współorganizował Polonię na Ukrainie. Za Stalina ^{był} parokrotnie więziony za działalność propolską w Kijowie. Za każdym razem uniewiniony i rehabilitowany i znów więziony. Po najeździe Armii Czerwonej w 1939r na Polskę został aresztowany i osadzony w "tiumie" - /więzieniu/. Wiele stamtąd wyniósł doświadczeń pociesznych, to znów ciężkich do przeżycia.

Wojna niemiecko-radziecka otworzyła mu bramy więzienne. Jako człowiek znający język polski i rosyjski został skierowany na kurs dla przyszłych partyzantów i spadochroniarzy, mających wykonywać określone zadania na tyłach wroga. W 1943 roku został zrzucony ze spadochronem w okolicach Krasnystawu. Po wyzwoleniu Lubelszczyzny mianowano go komendantem wojennym obszaru, na którym działał w konspiracji. W lecie 1944 roku "bojcy" przyprowadzili 17 rozbrojonych AKowców i Bechowców. Wsadzili ich do strzeżonej piwnicy, do dyspozycji komendanta wojennego. Ten w ramach swoich uprawnień przeprowadzał przesłuchania zatrzymanych. Okazało się, że wszyscy walczyli z Niemcami, a wracając z akcji, zostali osaczeni z nagle przez patrol radziecki. Mogli się obronić, ale jakże walczyć z oswobodzicielami. Byli ^{by} ofiary po obu stro-

nach i oskarżano by Polaków, że zabijali żołnierzy radzieckich, bo o Akowca nikt by się nie upomniał. Był przecież rozkaz nie walczyć z Armią Czerwoną. Więc na zawołanie "ruki wierzch" /ręce do góry/ bez sprzeciwu oddali broń.

- Nie znalazłem w nich winy i wydałem rozkaz uwolnienia ich - relacjonował Kiliszczak.

Już na drugi dzień niefortunny komendant wojenny został pomówiony o współdziałanie z polskim ruchem podziemnym. Aresztowano go, zdegradowano i dołączono do wywożonych na Wschód Polaków.

Kto to jest ten Kiliszczuk-głowiliśmy się. Czy jest zrussyfikowanym Polakiem, czy spolonizowanym Rosjaninem? Było w nim coś intrygującego. Przy widocznych brakach wykształcenia ogólnego, swobodnie poruszał się w zagadnieniach historii WKpb, znał dobrze Konstytucję ZSRR i prawo radzieckie. W jego komentarzach pojawiły się akcenty niezadowolonia, podburzania, krytyki administracji obozowej. Musiało mu być przykro, kiedy na jego widok w barakach cichły rozmowy, grupki ludzi prowadzące je, rozchodziły się.

W nowym obozie chodził, jak wszyscy, do tajgi na roboty, orientował się, że jesteśmy zdesperowani z powodu głodu. W barakach wrzało. Zaczęła się nasilać atmosfera buntu, ale nikt nie wiedział, co robić?..

Kiliszczuk zrozumiał, że potrzeba tylko sensownego zapłonu, a plan, który długo nosił w sobie, może być zrealizowany. W towarzystwie ogólnie szanowanych ludzi, już wcześniej pozyskanych dla sprawy, przeszedł przez wszystkie baraki i zadecydował po konsultacji z odpowiednimi osobami:

- Dziś - Koledzy - rozpoczynamy strajk głodowy, od kolacji poczynając. Innego wyjścia nie ma. Tu okradają nas. Wykapiejemy wszyscy z głodu!

Ktoś z boku wykrzyknął: - Tak! Niech nas wystrzelają, ale od razu, po co mamy się męczyć!

- Nie wystrzelają, zapewniam was - przekonywał Kiliszczuk.

Jedynym legalnym prawem samoobrony więźnia, czy jeńca wojennego w Rosji jest protestowanie głodówką. Znam dobrze prawo radzieckie. Jeśli nie wyjdziemy jutro do pracy i odmówimy pobierania pokarmu przez dobę, musi zjawić się tu przedstawiciel "okruga" czyli okręgu, któremu podlegają takie "uczastki" /oddziały/ obozowe, jak nasz. Gdybyśmy wytrzymali w głodówce trzy doby, musi tu przybyć przedstawiciel z "Głównowo uprwylenia łagierej", a może również przedstawiciel ambasady polskiej z Moskwy. Wszystko musi się odbyć w zupełnym spokoju, bez tumultu.

- Postanowione, dziś kolacji nie przyjmujemy - poparł kapitan Kapkowski, por. Piemiak i bodajże Zygmuntowicz.

Ten stanowczy werdykt respektowanych ogólnie oficerów przeważył i rozwiął ewentualne wątpliwości. Wszyscy zgodzili się na głodówkę.

Darmo czekał sowiecki oficer dyżurny przy kuchni. Dziesiątnicy nie przybywali do pobrania kolacji, mimo parokrotnych wezwań. Wszyscy leżeliśmy pokotem na pryczach w barakach. Skonsternowany pobiegł na wartownię, by telefonicznie zawiadomić naczelnika obozu, że wybuchła "zabastowka" /strajk/.

Darmo wyczekiwali konwojenci przy bramie dnia następnego. Nikt nie wyszedł do pracy. Politruk biegał od baraku do baraku. Namawiał, prosił, abyśmy odebrali kolację i śniadanie razem. Gdy to nie odniosło żadnego skutku, zaczął grozić:

- Eto miateż /bunt/! - Kto zdzieś naputał?! /Kto tu namieszał/. Gdy nie mógł przelamać naszego muru milczenia, spurpurowiał ze złości, a może również ze strachu przed współodpowiedzialnością za to, co się stało w czasie jego służby. Woliał, że aresztowanym nie wolno

przeciwstawiać się władzy radzieckiej, bo to jest nowym przestępstwem. Po czym udał się na wartownię. Co postanowiono, trudno zgadnąć. W każdym razie wzmocniono strażę na wieżyczkach i przy wartowni. Przez plac obozowy przebiegali funkcjonjści: oficer dyżurny, naczelnik obozu i magazynierzy - wydawali jakieś polecenia. Pod kuchnię podwieszono jakieś paczki, skrzynki. Lechące zapachy z kuchni, unoszone wraz z dymem, zwiastowały, że przygotowują dla nas wzmocniony obiad. Politrak głośno rozpowiadał, że będzie obiad "prima": grochówka z zasmażką, 10 dekagramów wędzonego łososa. Skąd łosoś? Przecież nigdy nie oglądaliśmy takich specjalów! Na takie rozgłaszane wieści, niektórzy zaczęli się łamać. W pustych żołądkach piekło, w ustach ślinotok z pożądliwości i oczekiwania na jado. Jednak siła solidarności jest wielka. Nie pozwoli na przerwanie oporu. Głodówka rozpoczęła się od umówionego sygnału: rozbicia menażki z zupą o ścianę kuchni. Podobno ktoś podkradł się cichaczem do okienka kuchni, by pobrać obiad, ale nasi kucharze zawstydzili go:

- Czy chcesz być pierwszym łamistrajkim? - Kol. Trojanowski groził chochlą. Natarczywy bez sprzeciwu odszedł, jak zmyty, z niczym. I on nie chciał być tym, kogo będą wytykać palcami. W tym zespole niemal każdy dbał o swoje dobre imię, mało, opinia zbiorowości umacniała charakter słabych.

Przed wieczorem rozeszła się wiadomość, że przejechał jakiś oficer "gazikiem", który zatrzymał się przed bramą.

Politrak objaśnił, że przyjechał przedstawiciel centrali obozu nr 531 i chce z nami rozmawiać. Zarządził apel na placu. Gdy stanęliśmy na miejscu, przyniesiono beczkę i taboret. Za chwilę pojawił się w asyście naczelnika "uczastka" i oficera dyżurnego, przystojny, w nienagannie skrojonym mundurze, podpułkownik. Zdjął czapkę, położył ją na tabore-

cie, a sam wszedł na beczkę odwróconą dnem do góry, aby mógł wzrokiem ogarnąć nas wszystkich i aby każdy z nas go widział i słyszał. Szeptaliśmy między sobą: 8- Kiliszczuk miał rację, sprawdza się - ciekawé, co powie...

Pozdrowił nas przyjaźnie i swobodnie zagalił, że dowództwo okręgu dowiedziało się, że zaszły tu jakieś nieporządki. Jeśli okaże się, że tak było, czy tak jest - zostaną wyciągnięte konsekwencje wobec administracji obozowej. Jeśli okaże się, że wszystko jest w należyтым porządku - kara spotka nas. Jego zadaniem jest przeprowadzić kontrolę i badanie. Ponieważ trudno jest rozmawiać ze wszystkimi, zaproponował, abyśmy wysunęli komitet, który chodząc po barakach, zbierze wszystkie pytania, problemy, uporządkuje je na piśmie. Zostaną one rozpatrzone wnikliwie, na co on daje "czestnoje słowo oficera Krasnoj Armii". On prosił nas - "panów", abyśmy rozeszli się do baraków, pobrali naczyńia i zjedli swój spóźniony obiad. Biedny Kiliszczuk machał rękami, aby się nie godzić, przekonywał, prosił, aby przedłużyć głodówkę. Zrobił się szum, gwar, ale jakże tu dojść do zbiorowego podjęcia decyzji, skoro jesteśmy pod ostrzałem świdrujących oczu służby obozowej. Było już widoczne, że załamuje się w szeregach stojących ludzi wola wytrwania w oporze. Tym bardziej, że z pobliskiej kuchni docierały do nich wabiące zapachy.

Podpułkownik podniósł rękę, że chce mówić dalej. Ustalił porządek: Najpierw Komitet, potem obiad i zebranie "woprosów", następnie powtórny apel, na którym udzieli odpowiedzi na zadane problemy, a wieczorem podczas kolacji on będzie chodził po barakach i każdy będzie miał możliwość z nim rozmawiać.

Komitet został wyłoniony szybko. Przewodnictwa nad nim nie odmówił kapitan Kapkowski, który w obozie nie pozwolił na pozbawienie go

1
polskiego munduru i płaszcza - prezentował się więc najlepiej, spośród nas, choć jego odzież była znacznie podniszczona. Do niego dołączyli znający się na rzeczy Kiliszczuk i jeszcze kilku/Mizgalewicz, Ostrowski - były ambasador Polski w Japonii, inż. Borzykowski oraz Pierniak - cichociemny/.

Właściwie nie miał potrzeby chodzić po barakach, aby zebrać pytania. Znali je wszyscy. Chodziło tylko o poruszenie węzłowych problemów i o zwarte, celne zredagowanie ich. Na oczyszczonej szklanej desce pisał po rosyjsku kpt. Kapkowski.

W tamtym czasie, kiedy pracował Komitet, ludzie fala za falą podążali z blaszankami po zupę. Nawet nie przestrzegali ustalonego porządku. Ten i ów szybko wlewał w siebie zawartość menażki i znów podchodził po dolewkę. Kucharze protestowali, ale stojący przy okienku przybyły przedstawiciel władzy uspokajał ich:

- Niciewo, niciewo - daj dobawku./nic, nic, daj dodatek/.

W "ohleborezce" wydano zaległy od wczoraj i należny chleb za dzień bieżący. Omaszczona zawieszista zupa grochowa z kłuzką pajdą chleba podbudowały nastroje.

Słońce było już nad zachodem, gdy wezwano nas na powtórny apel. Ociążalim, jak upojeni, ciągnęliśmy na plac apelowy. Nikt nas nie pędził, nikt nie strofował, ani liczył. Stawaliśmy tam, gdzie komu było wygodniej. Gdy pułkownik zajął poprzednie miejsce na beczce, kapitan Kapkowski podał mu deskę zapisaną po obu stronach w języku rosyjskim, pozostawiając sobie drugą deskę z tłumaczeniem polskim /czyli w oryginale/. Nie ręczę za dosłowność owego zapisu, ale treść pytań, które odczytywał kpt. Kapkowski i treść odpowiedzi pułkownika ^{była} słyszana najpierw po rosyjsku, a potem tłumaczona na jęz. polski - mogła być więc zapamiętana.

Pytanie 1. W jakim charakterze jesteście przetrzymywani na terenie ZSRR, skoro wojna już się skończyła?

Odpowiedź: Panowie, jesteście na terenie ZSRR jako internowani. Wojna się skończyła - to prawda, ale w Polsce są niepokoje. Powinniście być cierpliwi do czasu, gdy sprawy w Polsce zostaną uporządkowane.

Pytanie 2. Dlaczego nie mamy praw do porozumiewania się listownie z rodzinami?

Odpowiedź: Jestem zdziwiony, że nie zezwolono wam na uprawianie korespondencji. Jutro otrzymacie kartki z nadrukiem: wolne od opłaty pocztowej i tylko na nich proszę pisać.

Pytanie 3. Dlaczego polscy oficerowie nie korzystają z uprawnień wynikających z konwencji genewskiej, którą ZSRR podpisał?

Odpowiedź: Oficerski "pajok" oficerom przysługuje. Zbadam, dlaczego panowie go nie otrzymywali.

Pytanie 4. Dlaczego nie udostępnia się nam polskiej prasy i polskich książek /zresztą także żadnych innych/?

Odpowiedź: Formalnie nie ma zakazu co do korzystania z rodzimego słowa drukowanego. Zależy to tylko od trudności organizacyjnych i transportowych.

Pytanie 5. Czy wiadomo jest rządowi polskiemu, w jakich warunkach tu żyjemy? Czy jest możliwe, aby przyjechał tu przedstawiciel ambasady polskiej z Moskwy?

Odpowiedź: Wszystkim nam - Polakom i Rosjanom - żyje się nie łatwo w czasie wojny i po wojnie. Ja nie wiem, czy przedstawiciel rządu polskiego chciałby was oglądać i z wami rozmawiać.

Pytanie 6. Dlaczego w obozach nie ma żadnych medykamentów do leczenia chorych ludzi? Ten brak powoduje ogromną śmiertelność.

Odpowiedź: Medykamentów brakuje nawet w radzieckich szpitalach. Tam leżą się przecież bohaterowie wojny ojczyznianej, ale być może iż uda się coś zrobić w tym zakresie i dla was.

Pytanie 7. Dlaczego Niemcy są w obozach traktowani lepiej niż Polacy?

Przecież oni byli winni naszego wspólnego nieszczęścia.

Odpowiedź: Niemcy mają status "wojennoplennych" /jenców wojennych/.

To prawda, że Niemcy byli i jeszcze są przyczyną naszych i waszych nieszczęść. Ale naród radziecki nie stosuje odwetu w stosunku do wczorajszych wrogów. Chodzi o to, aby się zmienili, aby zostali internacjonalistami. Ja nie wiem, dlaczego panowie odczuwali w tym względzie jakieś różnice. Prawo nasze jest jednakowe dla wszystkich, a że bywa w praktyce inaczej, to zależy od wielu czynników, które zachodzą między ludźmi.

Pytanie 8. Czy jest możliwe, aby nas nie przebierano w mundury poniemieckie? Przecież żaden Rosjanin ich nie zakłada.

Odpowiedź: Ubrań brakuje, ale jeśli was, panowie, to obraża - to wpłynę na to, aby je przefarbowano.

Pytanie 9. Dlaczego za swoją pracę nie otrzymujemy żadnego wynagrodzenia?

Odpowiedź: To proste. Wydajność waszej pracy jest mała. Wasz transport i utrzymanie w obozie kosztuje więcej, niż wy panowie zarabiacie.

Pytanie 10. Kiedy wyjedziemy stąd do Polski?

Odpowiedź: Pytanie jest trudne. Zależy to bowiem, od rządu polskiego, kiedy was "zapotrzebuje". Jesteście panowie depozytem waszego rządu, ale na pewno wrócicie do swego kraju, aby odbudowywać go ze zniszczeń wojennych.

Odpowiedź: Medykamentów brakuje nawet w radzieckich szpitalach. Tam leczy się przecież bohaterowie wojny ojczyznianej, ale być może iż uda się coś zrobić w tym zakresie i dla was.

Pytanie 7. Dlaczego Niemcy są w obozach traktowani lepiej niż Polacy?

Przecież oni byli winni naszego wspólnego nieszczęścia.

Odpowiedź: Niemcy mają status "wojennoplennych" /jeńców wojennych/.

To prawda, że Niemcy byli i jeszcze są przyczyną naszych i waszych nieszczęść. Ale naród radziecki nie stosuje odwetu w stosunku do wczorajszych wrogów. Chodzi o to, aby się zmienili, aby zostali internacjonalistami. Ja nie wiem, dlaczego panowie odczuwali w tym względzie jakieś różnice. Prawo nasze jest jednakowe dla wszystkich, a że bywa w praktyce inaczej, to zależy od wielu czynników, które zachodzą między ludźmi.

Pytanie 8. Czy jest możliwe, aby nas nie przebierano w mundury poniemieckie? Przecież żaden Rosjanin ich nie zakłada.

Odpowiedź: Ubrań brakuje, ale jeśli was, panowie, to obraża - to wpływ na to, aby je przefarbowano.

Pytanie 9. Dlaczego za swoją pracę nie otrzymujemy żadnego wynagrodzenia?

Odpowiedź: To proste. Wydajność waszej pracy jest mała. Wasz transport i utrzymanie w obozie kosztuje więcej, niż wy panowie zarabiacie.

Pytanie 10. Kiedy wyjedziemy stąd do Polski?

Odpowiedź: Pytanie jest trudne. Zależy to bowiem, od rządu polskiego, kiedy was "zapotrzebuje". Jesteście panowie depozytem waszego rządu, ale na pewno wrócicie do swego kraju, aby odbudowywać go ze zniszczeń wojennych.

Nie ująć, ale dodać można, by wiele w swobodnej rozmowie, w polemice, ale pułkownik wskazał na kryjące się za horyzontem słońce i pozwolił rozejść się na "użyn" /kolację/.

Pobraliśmy słodsza niż zazwyczaj herbatę, dziesiętnicy wnieśli na deseczkach z opakowań spore porcje wędzonego łososia, coś około 10-12 dkg. oraz dodatkowo 200 gramowe porcje chleba, chyba bielszego i lepiej wypieczonego niż zwykle.

Już przy świetle poroziadaliśmy się na pryczach, na skrajach przejąć i delektowaliśmy się powoli jedzeniem. Mediator, chyba zadowolony ze swego posłannictwa, przechodził między nami. Tego i owego zagadywał: Czy smakuje?

- Oczywiście, smakuje, aby tak zawsze było - brzmiały stereotypowe pytania i odpowiedzi.

Podziwialiśmy jego elegancję, obycie, wyszukany język /tak zwykle zachwaszczony brutalizmami/, jasność i potoczystość formułowania myśli. Podobał się nam. Gdyby on lub Kutuzow był komendantem naszego obozu, byłyby wyrabiane normy. Można sobie pogdybać, ale wróćmy do rzeczywistości. Pochwały niekiedy są gorsze od przygany.

"Zabastowka" spełniła rolę tylko połowicznie. Przejrzyjmy po kolei co zaszło w tym dniu i dniach następnych. Jaka była realizacja obietnic przyrzeczeń, zapowiedzi inspekcji i badań kontrolnych.

Scenariusz samego spotkania się pułkownika z nami - bez zarzutu. Co obiecał - dotrzymał. Najedliśmy się. Po raz pierwszy dowiedzieliśmy się, że jesteśmy internowani do dyspozycji rządu polskiego, a nie aresztowani. Nie można nas sądzić w ZSRR. To dużo, bardzo dużo! Podbudowało to nasze samopoczucie. Kartki pocztowe do korespondencji z rodzinami w liczbie 150 na cały obóz otrzymaliśmy, a więc przypadło ich po jednej na 3-4 osoby. Z konieczności grupowaliśmy się regionami miejsc

zamieszkania, byliśmy bowiem pewni, że krajanie natychmiast przekażą sobie tę pierwszą informację z ZSRR. Chodziło przecież o to, aby dać znać, że jeszcze żyjemy. Redagowaliśmy treść zapisu oszczędnie, stylem telegraficznym.

Na marginesie: Żadna z tych kartek do kraju nie dotarła, nikt żadnego listu z kraju nie otrzymał. Byliśmy depozytem tajnym /nie-dawno dowiedziałem się, że byli tacy obozowicze, którzy nawiązali łączność listowną z Krajem, ale za pośrednictwem zaprzyjaźnionych obywateli radzieckich/.

Wyżywienie polepszyło się, ale nie na tyle, aby powiedzieć, że otrzymywaliśmy "dobawitielnyj pajok" w myśl konwencji genewskiej, przysługujący oficerom.

Żadnych książek ani gazet nie otrzymaliśmy nigdy. Nigdy nie odwiedził nas przedstawiciel rządu czy ambasady polskiej /zgodnie zresztą z powątpiewaniem wizytującego pułkownika/.

Stam zdrowia się polepszył, zmniejszyła się śmiertelność, ale nie na skutek lepszego wyposażenia w leki, ale na skutek podniesienia stanu sanitarnego baraków oraz innych miejsc użytkowych /bieleńie, wapnowanie ubikacji i dołów kloacalnych, częstsze korzystanie z łaźni/, a przede wszystkim samarytańskiego stosunku rosyjskiej kobiecej załogi ambulatorium i szpitalika. Robiły, co mogły. Podnosiły na duchu.

- Pan, a pan - Nie dumaj, tylko nie dumaj - proszę was.

- Ujedziecie damoj, nawierno ujedziecie. Nužno żyć! Żda żona, żdajut rebionki -

/Nie możmyślaj, proszę was. Wyjedziecie do domu, ^Ynapewno wyjedziecie. Trzeba żyć. Czeka żona, czekają dzieci/.

Niemcy mieli statut jeńca wojennego, a my nie, bo Stalin odmówił

przysznania Armii Krajowej praw kombatanckich - choć Niemcy to zrobili. już o tym Pisano w "Biuletynie Informacyjnym" w czasie Powstania Warszawskiego.

Ale, kto chciał, mógł wymienić łachy ponemieckie na "fufajki" i luźne płaszcze sowieckie. Nie zawsze proponowana wymiana była korzystna, więc lepsze już były "panterki" czy dość solidnie wykonane spodnie narciarskie, niż lepzące się od brudu i oliwy "brjuki" /spodnie/, czy postrzępione szynele /płaszcze/.

- Wolna wola, chcesz - to bierz. Nie - to nie--.

To prawda, nasza przydatność do pracy była niewielka, ale pułkownik był za inteligentny na to, aby nie widzieć, że najpierw nas sponiewierano, wyniszczono głodem i nieludzkimi warunkami bytowania, a potem żądano wydajnej pracy .

Nie wiem, co stwierdził pułkownik w wyniku inspekcji i kontroli działalności administracji obozowej. Okradala nas, czy nie? Natomiast rozpoczęły się przesłuchania prowadzone przez oficera politycznego. Zaczął od komitetu strajkowego. W wyniku śledztwa, w nocy wywieziono ponad 40 osób, w tej liczbie kapitana Kapkowskiego, Kiliszczuka, Babinioza /skoczek z Anglii/, Rusałę, Pieniaka /cichociemny/, Dydzyka, Lubomirskiego i innych. Wywieziono też wszystkie kobiety w liczbie około 50 osób. Przebywały one w osobnym ogrodzonym budynku. Dostępu do nich nie było, ale sam ich widok za drutami dodawał animuszu, łagodził poczucie osamotnienia.

Ale co najważniejsze, przestaliśmy chodzić do pracy. Czyniono jakieś przygotowania do transportu. Złośliwa służba obozowa rozpowiadała, że jedziemy do Polski na "sud" /sąd/.

Terror psychiczny trwał.

XVIII. W KRASNEM KOŁO ŚWIERDŁOWSKA

Jeszcze przed zimą 1946 r. przewieziono nas do niewielkiego obozu, leżącego niedaleko małej stacyjki kolejowej pod nazwą Krasne, 24 km od Świerdłowska. Pociągi osobowe tędy nie kursowały. Co najwyżej przy lokomotywie były 2-3 wagony przystosowane do przewozu ludzi. Jesień - to czas zbiorów. Ludność z Świerdłowska z łopatami, workami, wiaderkami oblepiała pociąg i jechała po południu na działki, które nieregularnie ciągnęły się wzdłuż torów. Nie były ogrodzone, nie widac^{było} na nich domków, czy urządzeń zwanych infrastrukturą. Wynikało z tego, że nie było tu planowego zagospodarowania terenów przykolejowych indywidualnymi działkami. Po prostu, wobec słabego zaopatrzenia w żywność, ludność miejska penetrowała nieużytki, ryla darń upatrzonych kawałeczków ziemi i sadiła ziemniaki. Sądząc po małych woreczkach, plonów nie było zbyt wiele, ale wykopane "kartoszki" stanowiły wielki rarytas, trudny do zdobycia. Działki zapewne nie miały stałych użytkowników, o czym świadczyły porzucone i zachwaszczone powierzchnie w kształcie kwadratów, prostokątów, trapezów - beładnie usytuowanych. Przed wieczorem barwne mrowie ludzkie, od chusteczek zawiązanych pod brodą i kolorowych perkal^{ków} dziewcząt, wracało do domów.

Z tajgi toczyły się długie składy^{wagonów} z drzewem, belkami, deskami, opalem. Rano ze Świerdłowska w kierunku tajgi wieziono armaty na poligon strzelniczy.

Było tu ciekawiej i weselej. A to gwizd lokomotywy, to terkot traktorów, to buczenie syreny jakiegoś zakładu, które z daleka przywoływało ludzi do pracy, lub dawało sygnał do odpoczynku. To nie to, co w Szepietowie lub w tajdze, gdzie diabeł dobranoc mówi.

Obóz był na odludziu, ale wokół rozciągały się pola ogromnego

sowchozu /podobno 7 tys.hektarów/ i parę kolchozów.Była jesień, więc najpierw skierowano nas tam do pracy.Rozlokowano nas po barakach szybko i sprawnie.Komendantem był niski, skośnooki kapitan.Na wstępie powiedział nam, że obóz jest na własnym rozrachunku, więc trzeba będzie dobrze pracować.Zarobimy więcej, będzie lepsze wyżywienie.Oczywiście, bezpośrednio nie przyszykaliśmy żadnego wynagrodzenia i tu, ale trzeba przyznać, znaleźliśmy tu warunki życia i pracy o niebo lepsze, niż to miało miejsce w poprzednich obozach.Komendant obozu był dobrym organizatorem.Wydawał polecenia, kontrolował ich wykonanie, zaglądał wszędzie, toteż rotacja obsady na funkcjach obozowych, złożon^{ej} z internowanych, była znaczna.Przejdźmy pamięcią po całym obiekcie:

W barakach było światło elektryczne.Na drewnianych, piętrowych narach leżały koce, sienniki & podglówki wypełnione słomą, co prawda wszystko w lichym stanie, ale było.Przy drzwiach stał pojemnik z kurkiem napełniony gorzką kawą zbożową lub innym nawarem.Na sznurku był zawieszony kubek.

Kuchnia była połączona ze szpitalikiem dla obłożnie chorych, ale tak, że między nimi była jadalnia ze stołami na krzyżakach, obstawionymi ławami.Jadaliśmy z emaliowanych miseczek, metalowymi łyżkami.Do kuchni i szpitalika można było wejść wyłącznie przez jadalnię.Jedne i drugie drzwi były opatrzone uchylnymi okienkami.Rozdział jednodaniowych obiadów odbywał się pod dozorem kontrolera /był nim przez dłuższy czas Mundek Moritz/, który nie ulegał protekcyjnym znajomościom/Dlaczego go potem zdjęto z funkcji, skoro był sprawiedliwy i rzetelny? Czyżby za sprawą oficera politycznego /"politruka"/? Może Mundek sprzeciwił się czemuś, może na coś się nie godził? A był przecież propagandzistą.

Zostawmy jednak tę dygresję na boku, idźmy dalej:

Przy kuchni była kartoflarnia, gdzie obierało się ziemniaki, a w zimie, gdy dostarczano je zmrożone na kamień, rozmrażało się gorącą wodą i potem czyściło. Byłem tam raz, gdy leżałem w szpitaliku, ale wolałem zrezygnować z dolewki. Mroziły się palce, okropnie śmierdziało fermentacją - zbierało się na mdłości i wymioty.

Niemniej jednak zupy były dość zawiesiste. Znajdowało się w nich nawet kawałki żylastego mięsa i kosteczki. Ciekawe, że te kosteczki dawały się żuć, tak były miękkie. Zasluga naszych kucharzy? Wyglądzone nasze ciała, czy rachityzm zwierząt, który powodował niedorozwój? A może wszystko razem wzięte. Może jestem nudny ze swoim nawracaniem do spraw związanych z wyglądzeniem, ale problem ten był nie rozwiązany do końca. Dokarmialiśmy się zawsze, gdy tylko nadarzyła się okazja i możliwość. Funkcjonowanie kuchni mogłem poznać dość dobrze, bo w ciągu trzech tygodni leżałem w szpitaliku z powodu uszkodzenia mięśni łydki przez modrzewiowe belki, które obsunęły się na mnie przy pracy w dużym zakładzie przetwórstwa drzewnego. Tu opiekę nad chorymi sprawował w dalszym ciągu nieoceniony doktor Hornowski. Na konsultacje z nim przychodzili nasi lekarze, między innymi dr Paulo, dr Dzieciolowski, dr Frydrychowicz. Pełnili oni rolę sanitariuszy barakowych. Racje żywnościowe otrzymywali najpierw chorzy w szpitaliku przez okienko w drzwiach. Potrawy płynne były przynoszone z kuchni w konwiach i tu rozdzielane. Następnie, do jadalni wchodziły grupy niepełnosprawnych /dystroficy, rekonwalescenci/ oraz funkcyjni obozowi. Po południu wchodziły brygady robocze, które ściągały z różnych miejsc pracy. Na nich czekały już miski z zawartością. Po zakończeniu wydawania posiłków następowało sprzątanie. Zdeptana podłoga jadalni była myta i splukiwana ciepłą wodą, z dodatkiem jakiegoś żrącego płynu. Odwiedziny wszelkie

go rodzaju były tu ograniczone lub zakazane. Mówiło się, że podłoga jest czysta i musi wyschnąć, ale chodziło głównie o to, aby nie było nagabywania o dolewkę czy dokładki, a może i o to, aby nie roznieść ewentualnej infekcji. Wszelkie więc pozalimitowe rozdzielanie żywności było utrudnione. Nie powiem, że niemożliwe, bo kto skontroluje sowiecką służbę obozową?

Idźmy dalej; W osobnym budynku były pomieszczenia dla naszych rzemieślników, Fryzjerzy pracowali na okrągło, a nie tylko z okazji kąpieli w "bani" - jak to było dotychczas. Można było do nich zajść z własnej potrzeby. Nawet siadało się na stołku przed lustrem. Parikmacher /fryzjer/ golił, strzygł - nie tylko do skóry, lecz według życzenia, bo zaczęliśmy zapuszczać sobie krótkie włosy.

Szewcy i krawcy pracowali nie tylko dla służby obozowej, ale i dla nas. Wprawdzie naprawiali głównie odzież magazynową, ale i w miarę możliwości osobistą, indywidualną, a nawet dopasowywali do danej osoby, zależnie od układów, znajomości lub wprost za podarki.

W osobnym budyńeczku była "bania", którą od biedy można by nazwać łaźnią z uwagi na znajdujące się tu krany, natryski i z inne urządzenia zrobione na sposób rzymski. Wprawdzie woda tylko ciepła, a nie tryskała silnym strumieniem, ale można się było namoczyć, namydlić i opłukać. Nie pamiętam czy był hydrofor, czy wiatrak do poboru głębinowej wody. W każdym razie przypominam sobie jakąś kadź na drewnianym rusztowaniu, stanowiącą wieżę ciśnienia.

Nieopodal kuchni stała długa blaszana niecka, nad którą widniały krany wkręcone wprost do rurek doprowadzających wodę spod ziemi. Można tu było dokonywać przepierek, umyć się /w zimie te urządzenia nie były czynne/. Od czasu do czasu wymieniano bieliznę, rzadko na nową, częściej na używaną, lecz upraną. Prania bielizny dokonywano

poza obrębem obozu. Zdarzało się, że przy zamianie bielizny warto było zachować poprzednie kalesony, czy koszulę, bo "nowe" były w gorszym stanie i niedoprane. Pamiętam, że wszyscy otrzymaliśmy różnego sortu, kształtu i koloru ręczniczkę, nawet włochate, z deseniami oraz wkompowanymi w tkaninę niemieckimi napisami w rodzaju: "Rein ist Gesund" /-czystość - to zdrowie/i inne. Nie były one całe, bo z jednego ktoś zrobił dwa lub więcej. Zależało widocznie od wielkości materiału, który poddawano operacji darcia, czy przecinania. Gdzie dokonywano tych zabiegów, czy w magazynach centralnych, czy u nas - tego nie wiem. Na pewno utrudniało to handel na t.kzw. wolnym rynku. Postrzępione, nieobrabione szmatki nie znajdowały nabywców, a jeśli nawet tak - to za bezcen, więc lepiej już było je zatrzymać dla siebie. Były przecież potrzebne. Nie posądzam, aby administracja obozowa zwiększała w ten sposób liczbę sztuk i zatrzymywała dla siebie pozostałość po obdzieleniu internowanych.

Dużo później dowiedziałem się, że oddziały wracające z frontu były poddawane szeregowej rewizji. Każdy żołnierz, czy oficer był obciążony "czemadanami" /walizkami/, pakunkami, w których wzięli prezenty dla swych rodzin. Na granicy byli pozbawiani tych "trofeów" /zdobyczy/. Przecież byłaby to wroga propaganda "zgniłego Zachodu". Czy nie obławiali się przy tym reżimowcy, którzy nigdy nie byli na froncie, bo zawsze umacniali tyły - trudno przesądzić. W każdym razie i nam dostało się coś niecoś dzięki zapobiegliwości frontowców.

Powróćmy jednak na nasze obozowe podwórko. Poszczególne budynki łączyły utwardzone ścieżki tak, że nawet w dni słotne nie chodziło się po błocie. Już wiosną 1947 roku komendant polecił Władziowi Grzegorskiemu urządzić fontannę na wolnym placu przed umywalniami.

Oczywiście, obiecał przydzielić mu odpowiednich ludzi do pomocy, których on wskaże, upoważnił go do przeprowadzenia rozmów z "warowczykami" /złodziejaskami/ celem zdobycia potrzebnych do tego materiałów. Znoszono więc rurki, stal zbrojeniową, cement, gips, naturalne kamienie półszlachetne i kolorową glinę. Złotoręki Władzio dokonał tej sztuki iż rzeczywiście powstał okrągły basenik, pośrodku którego ze sterującej rurki tryskała woda. Postument był nakrapiany szlachetnymi kamieniami. Obrzeże basenu było w kolorowe pasy, bodajże czarne /przez dodanie do betonu sadzy ze spalonych opon samochodowych/, czerwone /od ceglanego pyłu/ i białe /przez dodanie odpowiedniej glinki/. Miało to jeszcze polerować, ale nie pamiętam, czy zdołano to wykonać.

W każdym razie kapitań-naczelnik interesował się postępem robot, pytał, jak to, a to się robi z czego? W swobodniejszej rozmowie ujawnił swój plan przekształcenia naszego obozu w "kurort" dla tych mieszkańców Świerdłowska, którzy nie będą mogli wyjechać na odpoczynek gdzieś dalej. To słowo "kurort" było określeniem dwuznacznym, bo jakże można wczasować za drutami. No, można je usunąć, ale zostaną obozowe budynki, wcale nie pasujące do nowego przeznaczenia. A może chodziło o miejsce odosobnienia pewnych, podejrzanych mieszkańców Świerdłowska? Na czas "doprosów"?

Tak czy inaczej, ta informacja była dla nas cenna, bo to wszystko miało się stać już po naszym wyjeździe.

A więc - wyjedziemy! Pytanie tylko - dokąd i kiedy?

Jeszcze przyszło nam czekać kilka długich miesięcy. Zbyt długich, w ciągłym niepokoju, wśród obłudnych wypowiedzi, kłamliwych informacji. Docenialiśmy jednak starania powściągliwego w słowach komendanta obozu. Uwolnił nas od zmory inwazji insektów i nie tylko!

Przeszliśmy po głównych obiektach obozu, omówiliśmy jego wypo-

sażenie i wynikające z nich warunki życia. Został nam jeszcze jeden obiekt, należący do obozu, choć był położony kilkaset metrów od niego. Nazywano go: "Bunkier na kartoszki". ..

Mozna by go pominąć, ale na trwałe związał się z moją pamięcią, choć już wówczas nawiedzała nas amnezja.

Był dzień mroźny, śnieg skrzypiał pod stopami. Brygada złożona z 20 przypadkowo dobranych ludzi miała wyjechać saniami po ziemniaki. Przyciągnięto niewiadomo skąd chłopskie sanie, rozdzielono nas po pięciu do każdego wehikułu, pobraliśmy skrzynki sprzed kuchni i wyjechaliśmy przez bramę dozorowani przez dwóch konwojentów.

Niedługo potem stanęliśmy przed ogromnym kopcem, przykrytym śniegiem. Gdyby nie drzwi ze skoblem i kłódką myślelibyśmy, że to jakiś naturalny wzgórek. Przekopaliśmy się do drzwi. Konwojent otworzył kłódkę, ale drzwi nie chciały ustąpić. Pod naciskiem kilku ludzi wepchnęliśmy je do środka. Po kilku schodach weszliśmy do bunkra ze skrzynkami. Po obu stronach dość szerokiego przejścia były wysokie drewniane zagrody napełnione ziemniakami. Wręczono nam żelazne łomy i blaszane łopaty. Po co? Przecież ziemniaki nabiera się drewnianą szufłą lub wprost rękami, aby ich nie kaleczyć. Za chwilę mogliśmy się przekonać, że te narzędzia są konieczne i są na stałym wyposażeniu bunkra. Paru z nas wdrapało się na wierzch, gdzie stwierdziliśmy, że ziemniaki stanowiły jedną, litą skorupę skalną. Łom z trudem dał się wbijać, aby podważyć duże bryły, które zwalaliśmy w dół. Tam rozdrobiono je na mniejsze kawałki i z gruchotem łopatami wrzucano do skrzynek, które następnie wynoszono na zewnątrz do san.

Po zdjęciu wierzchniej skorupy, już było łatwiej pracować, bo kartofle już dawały się wykruszać. Poszedłem więc w swoim zajęciu w głąb. Uderzyłem łomem, a tu coś mi stawia opór. Co to może być?

Poszerzyłem jamę, odgarnąłem to, co mi przeszkadzało i dojrzałem ok-
ragłe denko beczki. Podważyłem je łomem i wsadziłem rękę do środka.
Jakaś chrupka zlodowaciała ^{masa} wyciągnąłem ją, powąchałem, polizałem ...
słone, a więc dalibóg solone ryby! Wyciągnąłem, jedną, drugą - są
smakowite. Połknąłem je szybko, bo konwojent mógłby coś zwęszyć na
skutek tego, że przestałem przez chwilę zrzucać bryły. Więc na zmianę:
jedną rybkę do brzucha i trochę kartofli w dół. W tym czasie zastana-
wiam się, co zrobić, aby te specjały wynieść do obozu. Miałem ochotę
przywołać innych, aby się najedli, ale odrzuciłem ten zamiar. Zleca
się, a konwojenci nakryją nas wszystkich. Nie namyślając się długo
zacząłem wybierać ryby i ładować je przez rozporek między kalesony
i owe ponemieckie spodnie narciarskie, zawiązane przy kostce nogi
w troczki. Ile ich władowałem nie wiem, bo nie liczyłem. Skorzystałem
z tego, że konwojent oddalił się ku wyjściu. Gdy wrócił, denko becz-
ki zostało przykryte odłupenymi ziemniakami, ^a jama wyrównana. Może je-
szcze raz powtórzy się taka sztuka - chytrze pomyślałem. Zacząłem pra-
cować w innej części bunkra, wciąż jednak nękał mnie niepokój. Co bę-
dzie na "prechadnoj" przy wartowni, gdy zrobią "obisk". Będę liczył
zęby...

Wreszcie wszystkie skrzynki zapełnione i załadowane na sanie. Wy-
chodzę, stawiając pokracznie kroki. Udało się. Niczego szczególnego
u mnie nikt nie zauważył. Po jednym człowieku stoi przy dyszlach
do kierowania saniami, po czterech przy kłonicach do popychania ich.
Stoję przy drugich saniach z wyrachowaniem. Konwojenci będą szli za
nami razem, będą ze sobą rozmawiali, a ja coraz sięgnę przez roz-
porek i łyknę rybkę. Jeden z kolegów zauważył, że coś wkładam do ust.
Szepnął mi: Co masz? Daj!

Pomógł mi w ten sposób. Nie będę ryzykował - zdecydowałem -

- Niech i oni posmakują. I zanim stanęliśmy przy bramie rozdałem wszystkie. Sam też byłem najedzony.

Całe szczęście! Była rewizja! Nic u nikogo nie znaleziono. Zamrożone kartofle na kamień - to nie taki rarytas!

Niestety, nie miałem okazji być w bunkrze po raz drugi, by odwiedzić swoje odkryte "sielodki". Nie mogłem też dowiedzieć się, kto i kiedy wybiera się do piwnicy. Na pewno podzieliłbym się jej tajemnicą, aby się tylko wkręcić do "gruszczyków" /ładowaczy/. Zastanawiałem się, ile tych ryb mogłem wówczas zjeść. Dziesięć na pewno, a być może i więcej. I nic mi nie było. Piłem tylko dużo przez dwa dni.

Już wspomniałem, że najpierw rozsyłano nas na różne "uczastki" sowchozu. Pracowaliśmy w nim najdłużej przez dwie jesienie i jedną wiosnę 1946 i 1947r., jak również od przypadku do przypadku w zimie i w lecie.

Może parę słów o tamtejszym klimacie kontynentalnym: ^{okolice} Świerdłowska ~~leżą~~ leżą na płaskowyżu uralskim na wysokości zbliżonej do naszych Gór Świętokrzyskich czy Podkarpacia, ^{są} ale wysunięte dalej na północ o kilkaset kilometrów /400 - 600/. Zima tu długa - lato krótkie. Tutejsi ludzie żartowali:

- Znajdziesz, u nas wosiem miesięcy zima, a potem wsiegda lato, lato i lato.

/wiesz, u nas osiem miesięcy zima, a potem nieustające lato, lato, lato/. Właściwie więc 2 pory roku, bo wiosna po długiej zime objawia się nagle, bez okresu zwanego u nas przedwiośniem. Śniegową biel od zieloności roślin dzieli zaledwie kilkanaście dni. Wegetacja roślin trwa znacznie krócej, niż u nas - właściwie od drugiej połowy maja do września. Potem nie ma długiej złotej jesieni. Przymrozki i śnieg. W lecie dość ciepło, ale prawie bez opadów. Obserwowaliśmy tu zjawi-

sko Zorzy polarnej na przełomie czerwca i lipca. Jeden dzień od dnia następnego rozdzielał tylko krótkotrwały mrok. Świeciły cząstki rozrządzonej atmosfery z wysokości stu kilometrów. Pól obsiewanych oziminą nie widziałem. Co najwyżej sieją zboża jare: owies i jęczmień. Sądząc po snopach stojących wśród śniegu - zbiory ich są raczej liche. Słoma krótka, grona i kłosa chude.

Za to warzywa - wspaniałe. Szczególnie dorodne były plantacje ziemniaka, kapusty, buraków, rzepy. Wszystko to aż puchło z żywotności, mimo iż nie widziałem nawożenia obornikiem. Przypuszczam, że stosowano nawożenie mineralne, a może nie, bo ziemia była zasobna w składniki pokarmowe. Do dziś pamiętam słodycz liści kapuścianych, korzeni buraków, a szczególnie rzepy, której nasiona udało mi się zdobyć z chęcią przewiezienia do Polski /odebrano mi je w Brześciu ze słowami: "Nie izia" - nie wolno! A było tego niewiele, zaledwie kilkanaście ziarenek.

XIX. W SOWCHOZIE.

We wrześniu 1946r., zresztą podobnie i w 1947r., najwięcej brygad roboczych wychodziło do wykopków ziemniaków. Trzeba je sprzągnąć, bo w każdej chwili może dmuchnąć mrozem i sypnąć śniegiem. Dziwne to kopanie. Rozdawali nam łopaty i skrzynki - a nie motyki i worki, do których przywykliśmy w Polsce. Nie ma mechanicznych kopaczek. Niewygodnie i niezręcznie jest wydobywać bulwy łopata. Trudno rozgarniać ziemię. Cały czas ręce muszą być napięte. Motyką można zahaczyć krzak, pociągnąć do siebie i ziemniaki wysypią się na wierzch. Jeszcze jeden - dwa ruchy na boki i pokażą się pozostałe. Robota szła nam niesporo, ale pracowaliśmy dokładnie - tak, jak u siebie. Okazało się, że to niedobrze. Cywilne sowieckie brygadzistki były niezadowolone, że nie wyrabiamy normy. Robotnice natomiast miały do nas pretensję, że nic nie zostawiamy w ziemi. A co one będą jadły w zimie? - pytały. Przecież mają dzieci. Czym je nakarmią? Zrozumieliśmy. One tu jeszcze przyjdą po kryjomu i będą kopać jeszcze raz - już dla siebie. Utarła się nazwa tych zabiegów - "pokopki".

Trzeba zadowolić jedne i drugie. Będzie wilk syty i owca cała. Rzeczywiście, robota poszła rażniej. Któs z nas wrywał zielone bujne lęty i odrzucał na bok, inni za nim wbijali łopaty w ziemię, przy pomocy nogi i odwracali glebę z bulwami. Były dorodne. Zebrało się co większe i dalej... Skrzynki zapełniały się szybko. Jeszcze inni podnosili je do ciężarowych samochodów.

Wszyscy zostali do nas nastawieni przyjaźnie, nawet konwojenci. Z przymrużeniem oka tolerowano fakt, że przed odejściem z pracy zabieraliśmy ze sobą po kilka kartofli. Ale od rzemyczka do kamyczka - mówi przysłowie. Niektórzy podwiązywali między nogami w woreczkach parę

kilogramów kartofli, a nawet duże głowy kapusty, i szli kaczym krokiem, kiwając się z boku na bok. Konwojenci śmieli się, zachęcając w ten sposób do szabru także innych.

Brygadzystka chciała nas rewidować. Ale o dziwo, konwojenci nie pozwolili na to, pod pretekstem że nie zdążymy na czas do pociągu. Brygadzystka po krótkiej sprzeczce ustąpiła i dała spokój. Zachwyceni tą obroną naszych interesów, szliśmy śląc konwojentom uśmiechy i miłe spojrzenia.

Nagle, już blisko obozu, zatrzymali nas gdzieś w opłotkach i nakazali wszystkie produkty wyrzucić za płot. Na początku myśleliśmy, że jedzie jakaś inspekcja. Ale nic podobnego nie było. Oni już wcześniej umyślili plan ograbienia nas ze zdobyczy. Dla siebie, a może na sprzedaż. Nikt ich nie przechytrzy.

Bywało i tak, że wartownicy przy bramie zadawali się naszym kłamstwem, że nic przy sobie nie mamy. Przepuszczali nas wolno ze znaczącym uśmiechem. Zdawało się, że świadomie akceptują wprowadzanie ich w błąd. Aż tu pewnego dnia ci sami ludzie zatrzymują nas i głośnie wołają:

- Pany! Kto imiejet produkty iz z sowchoza, nada wsio zdzies ostawić./Panowie, kto ma produkty z sowchozu, trzeba wszystko zostawić tu/.

- Nu pany! Wsio wybrosili? /No panowie, wszystko wyrzucone?/
Tak wszystko! - padała odpowiedź.

Teraz, ku uciechu naszych konwojentów, następowała rewizja szczegółowa. Wymacali wszystko, co ktoś jeszcze miał za podszewką.

- Smatri, kakaj wor!! - /popatrz, jaki złodziej/. Wyciągając z szeregu ryzykanta, który coś tam zataił. Powiedział to tak, jakby poprzednicy nie byli złodziejami. Tamci tylko nieśli dla nich, a ten

chciał "zachwacić", zawłaszczyć dla siebie.

Raz się zdarzyło, że ktoś na wezwanie wyrzucenia produktów - ociągał się. Wybili mu kolbą dwa zęby. Czy poskarżył się? Ależ skąd!!? Przecież wiedzieliśmy, że za kradzież kilku kartofli karano Rosjan obozem. Dziwni są tutejsi ludzie. Wyroki 5-letnie, 10-letnie przyjmują ze spokojem, a nawet drwiną, dzieląc obywateli na trzy grupy: Na tych, którzy siedzieli, siedzą i będą siedzieć. Ten fatalizm ogarniał nawet służby sprawiedliwości. Nie ma ludzi niwinnych. Tak więc, cierpienie jest niejako integralnie związane z ludzkim losem. Każdy musi wycierpieć swoje.

U nas w Polsce było inaczej. Człowiek, który ocierał się o więzienia, był skazany na społeczne potępienie. Powrót do swego środowiska nie był prosty. Ludzie od niego stronili, nie darzyli go zaufaniem /oczywiście poza wyjątkami szczególnych jednostek - przeciwników politycznych, ^{mogła} wchodzić tu bowiem w grę ^{jakąś} bezinteresowna idea. Z takiego statusu korzystał Stanik i Gan. Tu w ZSRR zacierą się różnica między więźniami politycznymi, a przestępcami pospolitymi. Miotła sprawiedliwości zagarnia tu nie tylko męty, lecz przede wszystkim ludzi skądinąd godnych szacunku, z pomówienia, z donosu, z "poszlak". Jeśli wiadomo było, że spośród stu ludzi jest jeden "winowat" - należy wsadzić wszystkich. Dlatego ranga społeczna wymiaru kary jest tu tak niska. Czy ważne jest ile kto "pałuczy" i za co? 5, 8, 10 lat?

Przerażająca jest ta cyniczna nonszalancja, jakby człowiek miał do dyspozycji jeszcze 100 lub więcej lat życia! Wyrządzonych krzywd moralnych i fizycznych nie rozpamiętywano. Nawet sądzić, ^{że} nie wolno ich było dochodzić, skarżyć się, opowiadać o nich, a już broń Boże pisać. Byłoby to obrazą władzy radzieckiej. Karę należy traktować jako akcję wychowawczą lub zapobiegawczą. Widocznie miara porównawcza wolności

do jej pozbawienia nie jest aż tak duża.

Zadziwiająca jest mentalność człowieka radzieckiego. To, co dla nas byłoby największym życiowym nieszczęściem - dla nich jest prawidłowością społeczną. Władza wie, co robi. Widocznie tak trzeba.

Dlatego tak trudno znosiłiśmy własne odosobnienie, mimo że już było wiadome, że wrócimy do swoich - kwestia tylko, kiedy?

Złapałem się za słowo, przed chwilą napisane: Wiadomo?

Skąd taka pewność? Co oznacza tu słowo: "wiadomo"? Jak oni manipulują ludźmi i ich sprawami? Jak dialektycznie zonglują słowami? Czy nie za wiele tej dialektyki?

O, jak szybko człowiek się tu deprawuje! Nikomu się nie wierzy, nawet sobie. Zostaw więc wstyd, reguły dobrych obyczajów i zasady moralności na lepsze czasy.

Pomysłowość ludzka jest nieograniczona. Zabrali wczoraj - dziś może się uda. Krajaliśmy ziemniaki na plasterki i wsuwali je w zaszewki do pasa. Ja zabierałem manierkę na wodę i ładowałem w nią krajanekę. Przez parę dni ten fortel przechytrzył naszych nadzorców. A gdy i to się wydało, sporządzaliśmy tar-ki z blachy przy pomocy gwoźdźcia. Tarliśmy ziemniaki na miazgę, wyciskaliśmy ją przez szmatkę i równo okładaliśmy nią brzuch, lędziewie. Kawalki ręczniczków, o których wspomniałem już uprzednio, bardzo się przydały. Liście kapusty można było wsuwać wprost między koszulę i ubranie. Najwprawniejsze ręce nie wymatały tego.

Po rewizji brygada była chwalona, że w niej są ludzie rzetelni. To było obłudne, bo byliśmy przekonani, że w duchu klęli nas, iż na darmo się trudzili. Przez parę dni, gdy nadchodziła taka chwalona brygada, wartownik otwierał bramę i tylko przeliczał wchodzących.

Bywało, że zapytał również:

- Pany, a wy nicie wo nie zwarowali? /...a wy niczego nie ukradliście?/. Wówczas wypadalo, aby ktos się przyznał, że ma 5 kartofli, inny że udało mu się kupić stakan machorki za chleb. Pozostali powinni bezradnie podnosić ręce, niby do rewizji.

- Nu, ładno - idit'ie! /No, dobrze już idzcie!/.

Chodząc do pracy przez dłuższy czas pod strażą tych samych ludzi, poznawaliśmy ich psychikę, słabości i sposoby reagowania na drobne wykroczenia. Przecież mieli nas na oku podczas pracy. Nie sposób tak kombinować, aby niczego nie zauwazyli. Powiedzmy, sprawa tarcia ziemniaków, obkładania się nimi. Wiedzieliśmy jak i czyn, kiedy i kogo, można skłonić do przychylności naszym poczynaniom. Temu wystarczy parę "krupnych skazek" /grubszych kawałów, dowcipów/, tamtemu zaproponować paplerosa, jeszcze innemu upiec w ognisku ziemniaki. itd. W ten sposób zdobywało się lepsze traktowanie, a nawet rewanz, np. w postaci gazety, która choć nieaktualna, mogła być przeczytana i jeszcze potem zużyta na skręty, czy do innych celów.

Wiedzieliśmy, który konwojent jest wrodny, niedobry, fałszywy. Wówczas szedł "cynk" - Uważajcie, dzisiaj niczego nie zabieramy! - Ryzyko rozdmuchanej wpadki i przykrych konsekwencji w postaci karceru obozowego zdarzały się niezbyt często wprawdzie, ale bywały. Jeśli miało to miejsce rzadziej, niż stwierdzane nasze "przewinienia" - to świadczył ten fakt o tym, że świadkowie "przestępstw", albo brali w nich udział, albo karali nas we własnym zakresie. Na przykład - odebraniem produktów na własny użytek. Ale brygadzysta lub konwojent, czy wartownik "nastojaszczij" /prawdziwy/ wierny swojej służbie, mógł postawić nas w stan protokulatnego oskarżenia i wówczas mogliśmy odpowiadać według prawa radzieckiego, bo przestępstwo/np.

kradzież/ zostało dokonane na terenie ZSRR. Wspominałem już o tym, że wymiar kary był tu niewspółmierny do szkodliwości czynu popełnionego.

Całkowity zbiór kapusty z reguły odbywał się już po przymrozkach, wśród śniegu. Dorodne, duże głowy scinaliśmy łopatami. Wystarczało lekko uderzyć ostrzem szpadla w głąb kapusty, a głowy spadały na śnieg pod własnym ciężarem. Jakże to proste. U nas w Polsce wycinało się kapustę nożami w pozycji schylonej. Tutaj tyłarierą szliśmy drobnymi kroczkami wzdłuż i co raz na stojąco puk, puk, a główki obsuwały się pod uderzeniem brzeszczota łopaty. Trzeba było tylko trafić we właściwe miejsce, w głąb, bo uderzenie w główkę naruszało jej strukturę, rozsypywała się jak kryształowy wazon, ukazujący swoje wnętrza. Nie należy ich kaleczyć, bo rozsypane, zmrożone blaszki ^{zaśmiecają} pole. A jak je zebrać?

Leżące pokotem głowy kapusty zносиło się na duże gromady, skąd ładowano je potem na samochód i zwożono do silosów, gdzie gąsienice traktorów ugniatały ^(je) na kiszonkę warstwami po przesypaniu solą. Nie jestem pewien, czy poddawano je czyszczeniu i krajaniu, bo w zupie obozowej pływały całe liście tylko poszarpane lub pokruszone. Kapustę przechowywano też w całych głowach, w stanie zamrożonym, w bunkrach. Ładnie się one nazywały: "owoszcziechraniliszcze" /warzywnik/.

Miałem okazję być w centralnym bunkrze sowchozu. Był to, od wewnątrz, obszerny budynek, obłożony z zewnątrz ziemią i murawą, z nad której wystawała rura z daszkiem na odprowadzenie dymu, gdyż przechowalnia była podgrzewana piecami w przypadku, gdy temperatura spadała poniżej optymalnej /ok. 4 C/. Były też wywietrzniki do regulacji temperatury i wymiany powietrza dla usunięcia dwutlenku węgla. Zatrudniano nas tu do przebierania ziemniaków, które miały być prze-

znaczone na sadzeniaki. Były tu też inne warzywa - nasieniaki. Do konsumpcji przeznaczano stąd tylko egzemplarze nadpsute. Po ukonczczeniu zajęć pozwalano nam część z nich zabierać do obozu, jak również upiec na miejscu. Szczególnie smakowała nam pieczona kapusta z pieczonymi ziemniakami. Pomyśleć: bez tłuszczu, bez żadnych przydatków smakowych, a jednak obiecywaliśmy sobie, że w kraju będziemy przyrządzać sobie posiłki w ten sposób. Ot, do czego doprowadziła bieda.

Stąpiła ona naszą wrażliwość na to, co stworzyła kultura i cywilizacja, natomiast wyostrzyła zmysły pierwotne, o znaczeniu samozachowawczym.

Pewnego razu zaprowadzono nas w grupie kilku osób na skraj terenów sowchozowych, które przylegały do ważnej drogi, prowadzącej do Świerdłowska. Choć na polach leżał jeszcze śnieg, po czarnej wstędze jezdni sunęły samochody. Pobraliśmy narzędzia z polowego magazynku i podprowadzono nas do miejsca, gdzie ze śniegu wystawały trzy rzędy grubych słupków, ograniczających duży prostokąt z przedziałem pośrodku. Kazano nam je usunąć, ale jak to zrobić? Ziemia jeszcze zmarznięta. Każda w radę polecono nam odgarniać śnieg i zrywać owe słupy tuż przy ziemi. Można było się domyślać, że na owych słupach miano wznieść jakiś budynek, ale władzy się nie podobało i to, co nasze brygady zrobiły w jesieni, należało szybko usunąć w zimie. Robota była wymierna. Mieliśmy to wykonać i tyle. Dozorował nas tylko jeden konwojent. Rozkazodawcy poszli sobie. Zaczęliśmy rozglądać się po pustkowiu. Zauważyliśmy w oddali samotnie stojącą budkę, z której uchodził dym, a więc w środku ktoś tam siedział.

Ostrożnie zapytaliśmy konwojenta, czy by nie zechciał puścić nas na zwiady. Ogrzejemy się nieco, a może przyniesiemy machorki. Pozwolił, ale tylko dwom - pozostali mieli pracować.

Poszliśmy na przełaj, przekroczyliśmy jakąś bocznice kolejową uchodzącą gdzieś w pole. Otworzyliśmy drzwi. Na ławie siedział przy żelaznym piecyku stary człowiek bez ręki. Pozdrowiliśmy go po rosyjsku:

- Zdrastw^{uj}cie - i zaczęliśmy mu tłumaczyć, że tu pracujemy, że ogrzejemy się trochę u niego i odejdziemy. Od razu poznał po naszej mowie, że nie jesteśmy Rosjanami. Zaniepokojony zapytał: Kto wy? Uspokoiiliśmy go: Kanwair razruszył /konwojent pozwolił/... "My Pala-ki"... "Internirowani".

- Aaa: Od kuda? /Skąd/ - rozpytywał.

Wymieniliśmy kilka większych miast: Warszawa, Siedlce, Lublin, Rzeszów.

Nabrał do nas zaufania. Zaprosił nas do siadania. Wyjął z kieszeni worek krupeczki, gazetę i powiedział: - Na, kuritie /macie, palcie/... - Chcieliśmy mu pomóc w skręceniu papierosa, ale on podziękował. On sobie sam daje radę. I rzeczywiście. Kikutem brakującej ręki podtrzymał kawałek gazety, wypał tytoń i wprawnie skręcił grubego knota. Poślinił go, wsadził między zęby i głowienkiem spod pieca przypalił.

Potoczyła się rozmowa, a raczej on opowiadał o "swajoj zizni", jakby już dawno czełwał na sposobność wyżalenia się.

Był komunistą, walczył w czasie rewolucji, aby nie było "pamieszczików", burżujów, kapitalistów, generałów.... Stracił rękę...

- A tiepier - smatry /a teraz popatrz/ - wskazał przez okienko w drzwiach na sunące czarne limuzyny /chyba czajki/. "Obratno, samyje krupnyje persony, Krasnyje generały, kak pietuchy... /zmowu ważne osobistości, generałowie jak koguty/. Eto moj ŕder /oto mój order/- potrzęsął kikutem... Wiedział, że rewolucja zrodziła nowe dzieci.

On już niepotrzebny.

Objaśnił nam, że obsługuje rozjazd kolejowy, że w zimie nie ma nic do roboty, ale w lecie i w jesieni rozładowuje tu torf, ładuje produkty żywnościowe. W zaufaniu powiedział, że pod tym torfem jest większa ilość ziemniaków i gdybyśmy tu kiedyś pracowali - to warto tam pogrzebać. Zapamiętaliśmy to. Na odchodnym dał nam po garści marchorki z kawałem gazety.

Po powrocie do swoich, rozdaliśmy wszystko. Konwojent także był rad z "zakurki".

Zima i wiosna - to trudny okres dla wszystkich. Nie pożywisz się dodatkowo. Tylko tyle, co w obozie.

Właśnie pracowaliśmy przy urządzaniu okien inspektowych. Jedni pikowali drobniutkie roślinki do rozsadnika, inni donosili w skrzynkach torficę z owej bocznicy kolejowej. Rzeczywiście, odkryliśmy jakąś zmasowaną warstwę szaro-białą. Czyżby to były kartofle, o których wspominał nasz znajomy? Ale on był daleko. Trudno się z nim porozumieć powtórnie. Braliśmy to do ręki, wachali, smakowali, bez zaufania. Przecież mogły to być nawozy mineralne, wapno zlasowane. Ale nie, w ustach rozklejała się grudka, jak krochmal. Naładowaliśmy tego do swych kieszeni i blaszanek, z którymi nie rozstawaliśmy się. Pamiętaliśmy technologię obróbki podobnego towaru z Szepietowa - opowiedziane przez Heńka Zbudzkiego. Nie było to apetyczne, ale na bezrybiu i rak ryba. "Wsio ryba"! - mówili Rosjanie.

Zjedliśmy i przykrych skutków nie było.

Słońce operowało już dobrze, kiedy między zabudowaniami sowchozu na dużym placu bez żadnego ogrodzenia rozesiano ogromne płachty. Z magazynu wynoszono w drewnianych pojemnikach zboże. Wysypywano je na płachty i rozgarniano łopatami. Nie mogliśmy podejść bliżej. Mieliliśmy

roboty gdzie indziej. Ale znawcy od razu wywnioskowali:

- Przewietrzają stęchły, albo skiełkowany owies i jęczmień. Na siew. Ciekawi byliśmy, jakie będą wschody tego ziarna. Czy zrobią próby żywotności takiego ziarna?

Nie mogliśmy tego zaobserwować, ale sądząc po snopkach i po mendlach z rzadka ustawionych w polu ubiegłej jesieni - to "brat urodził brata" - jak mawiali nasi rolnicy wówczas, gdy niewiele więcej zebrali, niż posieli. Z resztą już sama niedbała orka pod zasiewy, pełna ominięć, nierówności skib i bruzd po wieloskibowych pługach wskazywała na bylejąkość upraw.

XX. W KOLCHOZIE

Kolchozy znajdowały się na obłazach sowchozu, dość daleko od naszego obozu. Rzadko do nich kierowano nasze ekipy. Przede wszystkim realizowano zamówienia na robotników dla sowchozu, a jeśli główne prace polowe były w nim wykonane, to podwożono nas ciężarowym samochodem do kolchozu. Byłem tam tylko jeden raz, ale pobyt tam był bardzo pouczający.

Przyjął nas "predsiedatel" /przewodniczący/ kolchozu bardzo życzliwie. skarżył się, że brakuje im rąk do pracy. Z mężczyzn osiedla pozostał on sam. Nawet dziewczęta zostały zmilitaryzowane. Wiedział, że jesteśmy Polakami, był ciekawy, jak nam się żyło w Polsce. Przydzielił nam zajęcia w polu i chodził od grupy do grupy, aby tak od niechcenia porozmawiać. Był chyba zadowolony z naszej roboty, bo obiecywał, że nas jeszcze zapotrzebuje. My także woleliśmy pracować u niego, bo polecił przygotować kobietom dla nas posiłek w osiedlu. Tu były stoły na słupkach wkopanych w ziemię, na które wystawiono w dużych misach ziemniaki w mundurkach i do tego po kubku mleka, dobrego mleka. Zażenowany tłumaczył się, że dałby nam więcej, ale krow jest mało. Natomiast kartoszek skolko ugodno /do syta/.

Pytaliśmy, czy i u nich przechowuje się ziemniaki, kapustę w stanie zamrożonym, jak w sowchozie. Zaprzeczył: - Niet. Zawsze ziemniaki są suche, jędrne, takie, jakie zostały zebrane z pola, kapustę szatkują się i kisi w baczkach. Tak przygotowane zapasy na zimę są później dzielone według przepracowanych dniówek roboczych, jako wynagrodzenie. Tego nie jest wiele, więc poniekąd chodzą nocami na pokopki na polach sowchozu, skrycie obsuszają i pieczołowicie przechowują "kartoszki" w dołach na zimę. Dół taki musi być w suchym mie-

jscu z dala od domów. Kształt jego winien być podobny do dzbanu. Im głębiej - tym szerszy. Potem trzeba wewnątrz obsuszyć i wykadzić dy- mem z palących się na dnie polan drzewa najlepiej jałowca czy gałę- zi. Potem po wsypaniu bulw przykrywa się ... i tu ktoś z nas podpo- wiedział: deskami lub słomą. Nie, zaprotestował. A jak będą szukali i kłuli sztyletem - to deska się odezwie, słoma zaszeleści. Przykrywają ziemią "na trupa", dlatego otwór dołu powinien być jak najmniejszy, aby łatwo było schowek zamaskować. Najlepiej, gdy takich dołków jest więcej niż jeden, bo raz odkryty, musi być opróżniony i zasypany zie- nią i śniegiem, jakby tam nic nie było.

Wszystko to odbywa się w tajemnicy, nawet przed własnymi domo- wnikami /szczególnie przed dziećmi/ - "na wsiaki słuczaj" /na wszel- ki wypadek/, bo może być "donoszcik ili szpion" /donosiciel czy szp- ieg/. On, jako przewodniczący, musiałby złożyć raport, więc woli nic nie wiedzieć.

- Za kradzież zboża, kartofli - łagier!

Tu wiączyliśmy się ze swoją uwagą. Przecież tacy ludzie nie kradną, tylko zbierają z pól to, co i tak zmarnowałoby się przez zimę w po- lu.

- Niech zrośnie, niech zgnije, ale nie wolno bogacić się dobrem wszy- stkich! To kułacką chytrą, oni chcą zamorzyć Czerwoną Armię, ro- botników w fabrykach!

Podobno nasz 19-letni Lubomirski za kradzież 8 kartofli w kolchozie "pauczyi" 8 lat obozu /za każdy kartofel - rok/, a Gorzelyński ^(został) za- strzelony.

Wstał z zerdzi, na której siedział i dziwnie się uśmiechnął. Nie wiadomo po czyjej stronie był? Czy tych, którzy własną pomyslnością, sprytem zapewniali sobie sytniejszą zimę, czy tych, którzy posyłali do karnych obozów kolchoźników...

A może chciał po prostu zakręglić rozmowę, na wszelki wypadek, bo zbliżył się właśnie kowojent.

Byliśmy pewną atrakcją dla kobiet, nie tylko dlatego, że mężczyźni dawno nie widziały, ale że byliśmy "innostrancami" /obcokrajowcami/. Gdy wsiadaliśmy do samochodu jedna z nich podeszła i cichaczem wręczyła mi szklankę mleka koziego. Nigdy nie miałem okazji pić koziego mleka, a choćby taka okazja była, nie piłbym go - z powodu obrzydzeń już od dzieciństwa. Wiadomo, że koza to zwierzę żydowskiej biedoty. Mówiło się na kozę: "Miotłę zje i mleka da". Tym razem było inaczej, ale chciałem mieć bawarkę, po otrzymaniu herbaty na kolację. Zdziwiłem się, że mleko nie daje się wylewać. Natomiast dawało się krajać nożem, jak masło, tak było tłuste, a może i zsiadło się. W każdym razie połowę wybrałem do chleba wieczorowego do dna, druga połowa nie zapadła się. Dotrwała do rana.

Pamiętam ten epizod, bo po raz pierwszy nadchodzącej nocy przebudziłem się ze wzrodem prącia i wytryskiem nasienia - zwiastuny regeneracji sił witalnych. Ogarnęła mnie intymna radość. Jestem jeszcze mężczyzną. Ale to był jeden, jedyny raz w czasie przeszło 3-letniego pobytu na gościnnej ziemi Radzieckiej.

Złym prorokiem był ów smoluch, który rewidował mnie po raz pierwszy w więzieniu siedleckim przed wypiską:

- Życ budiesz, nu je... nie zachoczysz -.

Tam, w tajdze ząbek czosnku /od Żyda na wolnym osiedleniu/ przywracał zdolność widzenia barw, tu szklanka mleka koziego pfiarowana przez wieśniaczkę kolchozową poruszyła mechanizm życiodajnej fizjologii.

Rosjanki były zaczepne, ale jedyną reakcją na ich zaloty było opuszczanie oczu. Unikanie indagacji. Upokarzające zawstydzenie.

Jedynie polski komendant, wówczas był nim Kol, dotrzymywał placu i nie rejterował. Chciał i mógł flirtować z Sowietkami. Głowy za to nie ścinali. Barysznie były spragnione grzecznościowych słówek. Od swoich mogły się spodziewać: - Nu bladź, daj wodka, a ja ciebie po....-

A tu słyszy same "Barysznia - ja was proszu", "Pożansta dziewczka", "spasiba zenszczyna". Ileż tracą w zbrutalizowaniu i spodleniu ^{obyczajów} uczuć i seksualnych, Człowiek staje się ludzki w ludzkich warunkach, a tu są one nieosiągalne.

XIX. W ŚWIERDŁOWSKU

Zima - to zły czas, nawet dla wolnych ludzi, a cóż dopiero dla nas. Jeszcze wśród ciemności wychodziliśmy na przystanek i oczekiwaliśmy na pociąg, który zawoził nas do Świerdłowska do pracy.

Mróz był tęgi, więc słabiej ubrani i obuci albo mniej odporni na zimno, podkładali sobie na łędźwie i plecy gazety, w papiery okręcali nogi. /jeśli zdobyli papier/.

Wśród zupełnej ciszy, nagle w szeregach coś glucho osunęło się na ziemię. To nasz kolega stracił świadomość z osłabienia i przemarznięcia, zarył nosem w śnieg. Wyniesiono go szybko do pobliskiego obozu. Zajęli się nim nasi lekarze. Oswoiliśmy się potem z takimi zdarzeniami. Pochód śmierci był już opanowany.

Codziennie mijaliśmy po drodze oświetloną drogę w Berezowsku, ^{gdzie} kopano złotodajny piasek. Wyglądało to, jak jarzące się w ciemności miasteczko. Kiedy dni były dłuższe, mogliśmy się ^{(gigantycznej koparce,} przyjrzeć. Z chrzęstem stalowych konstrukcji obracała się wokół swojej osi, mało, kroczyła na ogromnych gąsienicach do przodu, w miarę podbierania zło-
czyła wzgórze. Na długim wysięgu obracały się czerpaki, podające na płuczki cenną ziemię. Podobno zdarzały się tu tak zwane "samorodki" o znacznej wadze czystego złota. Wodę do płukania pobierały pompy z pobliskiej rzeczki i po wykorzystaniu odprowadzano ją tam z powrotem, ale w dołach zalegała, tworząc sztuczne jezioro. Wszystkie dolne konstrukcje ociekały wodą, więc dojście z zewnątrz było możliwe tylko przez osiatkowany pomost. Tam następowało rewidowanie robotników wchodzących i wychodzących. Przy najcięższych pracach byli zatrudniani ludzie z wyrokami. Na "prehadnoj" zostawiali swoje ubrania i zakładali robocze kombinezony. Po zakończeniu zajęć, zdejmowali

kombinezony, nakładali ubrania. O tym wszystkim dowiedziałem się przypadkowo od cywilnego pracownika sowchozu, który przez jakiś czas tam pracował. Na pytanie, czy nie udało mu się wynieść stamtąd grunki złota, powiedział, że było to niemożliwe. Każdy chciał jak najprędzej odpracować tylko swój czas, ze względu na reumatyzm. Złoto można kupić od prywatnej inicjatywy. Są to ludzie starsi, którzy płuczą piasek z dna rzeki na swój rachunek, choć i oni obowiązani są do odsprzedania państwu swego urobku, ale kto ich sprawdzi?

Rzeczywiście, po drugiej stronie toru, pod rzadko porośniętym lasem, zauważyliśmy paru mężczyzn z kobietami. Lopatami nakładali piasek do drewnianego koryta, ustawionego spadzisto, wiadrami czerpali wodę z rzeczki i wlewali ją na koryto. To, co zostało z płuczki na dnie, było jeszcze płukane na ręcznych sitach. Pracowali tak, jak ich ojcowie i dziadowie - jeszcze za cara, zanim wkroczyła tu "sojalistyczna" technika.

Ze stacji byliśmy rozprawdzani pod strażą na poszczególne stanowiska pracy, tak więc mogliśmy się rozglądnąć po centrum miasta i po jego peryferiach.

Świerdłowsk, jakim nam się okazał, był miastem nowym, z dużymi placami i szerokimi ulicami. Budynki o dużej kubaturze, lecz wolno stojące i rozwleczone na ogromnym płaskowyzu bez wysokościowców, nie stwarzają architektonicznego obrazu. Peryferie - to chyba resztki dawnej zabudowy drewnianej, z czasów carskich. Domy budowane z bierwion smolnych modrzewia i sosny skutecznie opierały się zniszczeniu, choć galeryjki, balkoniki, werandy z rzezbionymi i rzezanymi dekoracjami spłowiwały, a tu i ówdzie odpadły zdobnicze elementy, zostawiając dziury i puste odcinki. Kto lubi szczerbate uzębienie? Poznać jednak jeszcze można kunszt rękodziela dawnych rzemieślników. Domki partero-

we, a nawet wille jednopiętrowe przypominały starą zabudowę naszego Ciechocinka. Kto potrafiłby obecnie wykonać takie cacka? A kto mógłby sobie pozwolić na nie!

Szczególnie zainteresowały mnie przemysłne ramy, rameczki, żuki, prześwity okienne. Gdzieniegdzie wieżyczka z hełmem - jak latarnia.

Wszystko niepowtarzalne, w każdym obiekcie inne.

Łączą rowkowane między belkami wypełniono gliną i widać było, że są one co pewien czas odświeżane poprzez malowanie gliną na biało, niebiesko lub ceglasto. Z dala dawało to efekt rozciągniętych pasiaków. Przechodząc tuż obok wrosłych w ziemię chat pokrytych gontami lub deskami /a nie słomą z powodu jej braku/, można było w jarzącym się świetle wnętrza ogarnąć spojrzeniem wyposażenie izb: jasne deski podłogi, biały piec, stół zбитy z desek, jakaś ława, łóżko, makatki, trochę garnków i to wszystko. Żadnych mebli na wysoki połysk. Obraz skromny, ale schludny. Przestronne obejścia były z rzadka zadrzewione, ale bez oparkania. Czy sadzono tu kwiaty? Chyba nie, bo i w oknach ich nie było. W lecie nigdy tamtędy nie przechodziliśmy, trudno więc o tym coś powiedzieć.

Przykre były pierwsze przemarsze nasze przez miasto na stanowiska robocze. Z rzadka przechodzący ludzie, głównie kobiety, w walmach, paltocinach wiatrem podszytych, przystawały na chodnikach i patrzyły, aż zginęliśmy na zakręcie ulicy - milczące, ale niektórzy młodzieńcy szydzili z nas.

- Heil Gitler! Heil Frycel!

Próbowaliśmy objaśnić, że my nie Niemcy, lecz Polacy.

- A Palaki, wy naszych ubiwali! /mordowali/ - Pany, kak żywiocie?! / jak wam się powodzi?! /

Skąd ten antypolonizm? Czyżby nacjonalizm rosyjski, wynikający z

odniesionego zwycięstwa? - My pabiedili!! /jesteśmy zwycięzcami/

Biada zwyciężonym. Staraliśmy się w obozie pozbywać resztek polniemieckiego odzienia. Panterkę zrzuciłem. Wyfasowałem długą, bura płaszcz rosyjski, w niezłym jeszcze stanie. Wełna szorstka, ale ocieplająca.

Nie uchroniło to nas od napaści. W centrum Świerdłowska kopaliśmy głębokie rowy na założenie trakcji ciepłowniczej i wodociągowej, a może jeszcze innej. Z wykopu wystawały nam tylko głowy i część torsu. Zawieszistym krokiem przechodził, obok świeżo wyrzuconej ziemi, młody blondyn z rozwianym włosiem pod daszkiem. Był chyba pijany, bo mamrotał coś do siebie. Nagle dostrzegł nas i przystanął.

- Hermańcy, a? - zagadał dialektem ukraińskim.

- Niet, Palaki! - spokojnie odpowiada stojący przy mnie kol. Moritz

- Ach wy praklate lachy! Jej bohu, ja by was wsiech wystrelał! - I postąpił parę kroków ku nam. Mundek machinalnie zamierzył się łopata, by odpowiednio potraktować napastnika. Odruchowo wstrzymałem cios łopaty kolegi. Widziałem, że ten pijany drań sięga do kabury, ale nie może sobie poradzić z wydobyciem pistoletu z kabury. Na szczęście całe zajęcie obserwował pilnujący nas wartownik i huknął na przybłądę.

- Czto ty diełajesz? Idy, idy od siuda! /Co robisz, idź stąd/ -

- Paszoł won!! - i złożył się do strzału.

"Geroj" - oddalił się bez sprzeciwu. Kolega zawsze, przy każdym spotkaniu akcentował swoją wdzięczność, twierdząc, że uratowałem mu wówczas życie. Może tak, może nie, ale sytuacja była co najmniej dramatyczna.

Byłbym niesprawiedliwy, nie wspominając o przypadkach zainteresowania się nami i przejawach współczucia u ludzi starszych lub zupełnie starych. Zaintrygowani przyczyną ścisłego izolowania nas od

społeczeństwa rosyjskiego, po rozejrzeniu się dookoła przystawali, pytając zduszonym głosem:

- Kto wy? - Polacy, odpowiadaliśmy.

- Palaki? - Nie wozmożno! - tak jesteśmy Polakami - potwierdzaliśmy.

Przyjęliśmy już taktykę odpowiadania wyłącznie po polsku.

Rozumieli, przekazując zdobytą informację następnym przechodniom, którzy zatrzymywali się. Ten i ów wsypał na wyciągniętą dłoń trochę krupczatki, podał kawałek gazety, a nawet papierosa.

Lecz już dopadał konwojent z krzykiem:

- Grażdanie - nie ^(zia-)razoitis! /Obywatele - nie wolno- razejść się/.

Po kilku dniach nieomal wszystkim mieszkańcom Świerdłowska było wiadomo, że w ich mieście pracują internowani Polacy.

Ustały złośliwe i obelżywe epitety, wyzwiska - a na dłuższe rozmowy objaśniające przyczyny naszego izolowania nie pozwalano.

Pracowaliśmy na placu centralnym Świerdłowska. Stał na nim duży świerk przystrojony żarówkami. Akcent noworoczny. Z oddali widzieliśmy nieliczne szyby wystawowe sklepów, za którymi leżały produkty spożywcze: dorodne, kolorowe owoce, warzywa, a nawet grube, przekraja: kiełbasy, szynki. Jeden z naszych wmieszał się między przechodniów i z rozognionymi oczami zbliżył się do witryny. Zawiedziony wrócił do nas i powiedział:

- To są pomalowane atrapy - kolorowe imitacje produktów. Może coś tam sprzedają, ale na pewno nie to, co oni reklamują. Półki są puste.

Kopaliśmy rowy dalej, w kierunku nowowznoszonego osiedla mieszkaniowego, tak zwanego "żiwostroju", do którego prowadziła bocznicą kolejowa.

Mróz pocisnął tęgi. Uralska ziemia nie ustępowała nawet pod uderzeniami oskardów, żelaznych drążków. Dłubaliśmy jednak cały dzień,

aby wyrzucić parę łopat rozkruszonej zmarzliny. Zostawialiśmy te małe dołeczki, czując odparzenia na dłoniach, mimo rękawic ochronnych. Z poczuciem daremności swego trudu wracaliśmy do obozu. Gdy wróciliśmy tu następnego dnia, zauważyliśmy już z dala, że coś się kopci, a gryzący dym snuje się po okolicy. Podczas naszej nieobecności, w nocy, przywieziono pociągiem cały zestaw wagonów z torfem i przykryto nim nasze wczorajsze dołki, podpalając go.

Skutek był, ale niewielki. Po odgarnięciu żaru można było wybrać warstwę ziemi, ale natrafiliśmy głębiej na otwartą opokę. Znowu trzeba było kuć i rozkruszać łupek. Niewiele mogliśmy zrobić w ciągu roboczej dniówki. Za ledwie zagłębiliśmy się po kolana, z tym że już to był ciągły rowek. Zostawiliśmy go na noc i wróciliśmy do łagru.

Następnego dnia żaru już nie było, a jeśli nawet coś się tliło, to tylko tyle, aby przy nim ogrzać się. Syzyfowe prace.

Podwieziono następny transport torfu i wreszcie przebiliśmy się do większej warstwy ziemi. Powstał rów głęboki na wysokość chłopca, ale ileż to kosztowało, nikt chyba tego nie liczył. Zaiste - uparty jest człowiek.

Potem przerzucono nas do budowanej parowozowni. Były tam już ceglane mury, lecz jeszcze bez dachu. Zadaniem naszym było wykopanie dwóch długich rowów - kanałów wzdłuż ścian bocznych. Ściany szczytowe z ogromnymi otworami na przyszłe wierzeje, raziły przeciągami. Ale głębiej, wewnątrz, było zacisznie.

Tutaj pracowaliśmy chyba najdłużej, bo uralski łupek dawał się drażyć, choć z trudem. Rozkruszony urobek wyrzucaliśmy na pobocza pod ściany, a stamtąd przez wysokie i szerokie otwory okienne, bez ram jeszcze, na zewnątrz budynku. Tak, jak czynili tu nasi poprzednicy. Tworzyły się więc wysokie usypiska, które obsuwając się zajmowały

coraz większy szmat ziemi, nakrywając wszystko, co na niej było, aż do przebiegającego w pobliżu toru kolejowego. Dalej widać było dalsze rzędy torów i ogromnie wysoką wieżę z długim wystęgiem, obracającą się dokoła swojej osi. Gapiliśmy się, gdy przy pomocy tego urządzenia szybko rozładowywano nadjeżdżające z **wszelkim** żelastwem pociągi. Lekko unosiły się na linach armaty, czołgi, belki mostowe, kotły i trudno rozróżnić co jeszcze, w ślad za obrotem wysięgu spadały z łoskotem na ogromne złomowisko. Jeszcze takiego omentarzyska najbardziej wyrafinowanej techniki nie widzieliśmy. Oczywiście domyśliliśmy się, że były to trofea zebrane z pól bitewnych ^(od) Wołgi po Labę.

Pewnego dnia na usypisku przed nami stanęła piękna kobieta. Rozmawiała tylko z naszym komendantem.- Tatowiczem. Nas jakby nie spostrzegła. Za to my ją podziwialiśmy. Wysoka, kształtna, ubrana skromnie, ale z gustem. Skąd ona tu się wzięła? Okazało się, że była inżynierem nadzorującym budowę "depa" /zajezdni parozozowej/. Obeszła dookoła teren i więcej nie widzieliśmy jej. Widocznie wydała jakieś polecenia, bo następnego dnia nadjechał skład samowyladowarek. W środkowej części pociągu był dźwig ze szczękowymi podbierakami, o znacznej pojemności. Nabierały one wyrzucony przez nas urobek i napełniały wywrotki. Podziwialiśmy urządzenia kompresorowe przy podwoziu. Któryś z nas dostrzegł wypukły napis: - Made in USA - Chicago -. Sześć wagonów zostało załadowanych szybko. Lecz, co to? Szczęki zagłębiające się w usypisko gruzu objęły parę jasno-srebrzystych sztab aluminiowych. Spodziewaliśmy się, że operator dźwigu przerwie robotę i nakaże zdjąć sztaby cennego surowca. Ale gdzież tam! Dosypał jeszcze nieco kruszywa, parowóz zagwizdał i powióził to wszystko za Swierdłowski, by wyrzucić w jakieś doły.

Miną tysiąclecia, a archeologowie będą mieli trudniejsze zadanie

określenia stopnia rozwoju cywilizacji epoki budowy komunizmu pod przewodnictwem partii z generalissimusem Stalinem na czele - niż to ma miejsce w pustyniach Egiptu, czy Iraku.

Ludzie izolowani są skłonni do idealizowania wszystkiego tego, co było ich udziałem na wolności, w kraju. Nawet to, co do niedawna było po prostu zwykłą, realną rzeczywistością, dostępną dla wszystkich - tu urasta do rangi wysokiej wartości. Szczególnie dopieka to, że człowiek był taki głupi i nie korzystał z wielu możliwości, rzeczy, okazji. Okazuje się, że wartość każdej rzeczy lub sprawy można podwyższyć, po prostu, przez pozbawienie jej.

Tę psychologiczną dygresję wiąże z ową "żenszczyzną" - damą - inżynierem. Ona wyzwoliła wspomnienia, tęsknotę za rajem utraconym, jakby nie było w nim żadnych rozczarowań, zniechęcenia, cierpień, czy choćby przykrości. Zaczęło się od sprzeczki: - Czy ona taka ładna, jak mówicie? Nie była brzydka, nie, tego nie powiem, ale nic nadzwyczajnego. Taka sobie białogłowa, jakich u nas w Polsce wiele. Choćby moja narzeczona.... i następowało wyliczanie jej zalet fizycznych, umysłowych, moralnych, charakteru itd.

Przedstawiano sobie wzajemnie żony, siostry, matki, narzeczone. Wszystkie były wspaniałe, niepowtarzalne. Inaczej tam świeciło słońce, inaczej się pracowało - zawsze w skali najwyższej. Były też porównania na korzyść życia na gościnnej ziemi radzieckiej. Lepiej smakowała: piętka chleba czarnego, liść pieczonej kapusty, ziemniak, upieczony czy ugotowany w mundurku, nie przypuszczaliśmy że nawet surowa rzepa, kapusta, burak mogą zawierać aż tyle słodocy.

Gorzkie zwątpienia i ożywcze nadzieje nachodziły na siebie falami, a fazy tych fal wyznaczał żołądek: pełny albo pusty.

Parę tygodni pracowałem w brygadzie naszego inżyniera Kocha na

"ziwestroju", już przedtem wspomnianego. Były tu domy w surowym stanie. Przybijaliśmy tu do ścian, sufitów "dranki", czyli drewniane maty w rodzaju kratownic dla otynkowania wnętrza. Żmudna to była robota. W zgrabiących palcach trudno było utrzymać krótkie gwoździki, szczególnie przy wykonywaniu podsufitek. W niewygodnej pozycji, z zadartą głową, trudno było trafić miotkiem we właściwe miejsce. Obtłukiwało się więc i własne palce. Aż gorąco się robiło z bólu i okaleczeń. Zakładaliśmy też kaloryfery i trakcję ciepłowniczą. Nie wiem, jak się żyje mieszkańcom Świerdłowska w tych domach, przez nas urządzonych. Czy nie zwalił im się sufit na głowę? Bo przecież w takim zimnie trudno było wbić dostateczną ilość gwoździ. Tu nie^opotrzeba fachowców. Sam zmieniałem rodzaje zajęć kilkakrotnie. Nawet, nie pytano, czy kiedykolwiek robiłem coś podobnego. Wszystko się wykonywało prymitywnymi narzędziami, często zdartymi, tępymi, uszkodzonymi - jak w okresie kamienia łupanego, siłą własnych ^ozwitczających mięśni. Najpierw cieśla, potem drwal, następnie kopacz ziemniaków, dalej ogrodnik przy inspektach, tu znowu kopacz, ale uralskiej opoki, obecnie inspektor, nie licząc już rozlicznych zajęć dorywczych. Wszystko może^ozrobić jeden i ten sam człowiek. Nawet nóż, z kawałka stalowej blachy, który będzie golił, nawet igłę, którą można sprzedać kobietom za kilka cebul lub pajdkę chleba. Podobno jej cena na bazarze dochodziła do kilku rubli. Potrzeba rodzi wynalazki, a te z kolei ułatwiają życie codzienne.

Nie wiedzieliśmy, że w dużym budynku, tylko przez ścianę, pracują młode dziewczęta. Przechodziło się do nich pod rusztowaniami. Strażnicy pełnili służbę na zewnątrz, więc ten i ów poszedł na zwiaady. Po powrocie informował nas, że to są Baszkirki szesnasto-siedemnastoletnie, dobrze strzeżone, o czym świadczyła wieżyczka drewniana,

na której zawsze ktoś siedział z bronią. Podszedłem i ja. Były już oswojone przez naszych zwiadowców, więc nie musieliśmy się im przedstawiać. Czasu było mało, więc ^{zdoływaliśmy tylko} najważniejsze informacje.

Kiedy Niemcy szli na Wschód, baszkirscy buntownicy zrobili "mia-
też" /rewoltę/ przeciw władzy radzieckiej. Po jej powrocie, całe wsie
i osiedla, razem ze stolicą republiki Ufą zostały internowane i osa-
dzone w obozach pracy. Nie tylko buntownicy ponieśli karę, ale i spo-
kojna ludność doznała krzywd. Posegregowano ją według pici, wieku.
Osobno rodzice, osobno młodzież męska i żeńska, osobno dzieci. Nic o
swoich bliskich nie wiedzą - tak, jak my. Martwiły się, czy się poz-
nają gdy minie zły czas. Teraz uczą się zawodu sztukatorskiego. Popat-
rzyłem na ich szczuplutkie postacie, małe rączki, którymi musiały
tynkować sufity i ściany. Ledwie utrzymują kielnię, a tu trzeba pod-
nieść ją razem z zaprawą wapienną i pacnąć nią tam, gdzie potrzeba.
Potem wyrównać, zacierać aż będzie gładka powierzchnia. Inne dziew-
częta przy pomocy ręcznej pompy opryskiwały ściany bielinką. Wszyst-
kie ochlapane, ale w dobrym nastroju. Szczebiotały między sobą, jak
sikorki /których tu nie ma/ we własnym baszkirskim języku. Młodość
je ponosiła, traktowała swój los, jak przygodę. "Naplewać" - i zabie-
rały się do roboty. Otrzymywały w ramach pożywienia "ług" - cebulę
/ za względu na witaminy/, którymi nie omieszkały z nami się podzie-
lić.

Kiedy śniegi stajały, a ziemia nieco obeschła, poprowadzono nas
na uprzątanie dziedzina ogromnych zakładów metalurgicznych im. Sta-
lina. Wiadomo, że cokolwiek przybrało to imię, musiało być naj, naj,
naj - w stopniu najwyższym. Były to zakłady głównie zbrojeniowe. Świa-
doczyły o tym choćby długie bloki stalowe, z których wytaczano lufy
do armat i czołgów. Kilka zbrakowanych, niedokończonych detali leża-
ło w nieładzie, tuż przed masywnymi, wysokimi i szerokimi wierzeja-

mi. Chcieliśmy zajrzeć do wnętrza hal fabrycznych. Niestety. Zarówno nasi konwojenci, jak i straż fabryczna skierowali nas na tyły fabryki, gdzie było wysypisko śmieci. Mogliśmy tylko słyszeć huk młotów mechanicznych uderzających w stal, mogliśmy widzieć odblaski w szybkach od iskier aparatów spawalniczych.

Zbrojownia pracowała podobno na trzy zmiany, czyli na okrągło bez przerwy mimo, że to już była wiosna 1947 roku. Niech świat walczy o pokój!

Mówi się, że po śmietniskach i wysypiskach można sądzić o zamożności danego społeczeństwa. Sprawdziła się tu tylko zasobność państwa w metale; cała tablica Mendelejewa: żelazo, miedź, ołów, cynk, cyna, nikiel, chrom, glin - oczywiście o ścinkach blach, perforowanych taśm, galwanizowanych lub stopowych prętów, drutów, drucików, tłoczonych i toczonych elementów konstrukcyjnych. No, jak Rosja duża i szeroka nie brakowało tu pojemników, puszek, pudełek, po tłuszczach i konserwach Made in USA, nawet z napisami "świnaja tuszonka". Za to dosłownie - nic do jedzenia i nic do ubrania.

Znalazłem tu srebną pokrywę od zegarka. Obtoczyłem ją na owal, a kolega Jędruszczak, z zawodu grawer, według dostarczonej mu mojej kompozycji, wyrył winietę, przedstawiającą złamane drzewo w postaci krzyża, z odrostkami od korzeni. Na odwrocie widnieje napis:

- Nadzieja jest grobem rozpaczy -. Ta sentencja wciąż atakowała moją otępiłą wówczas świadomość z siłą perseweraacji. Pomagała mi żyć i przeżyć . Nie oznacza to, abym wciąż jękliwie w wewnętrznej mowie nie powtarzał słów:

- Jestem głodny, jestem głodny -. Ale to nie sentencja, lecz stwierdzenie faktu. To obsesja - natręctwo myśli.

Ową elipsę zaopatrzyłem w dwa otworki i nosiłem ją na sznurku

zawieszonym na szyi - jak medalion.

Przechowuję tę pamiątkę do dziś. Była, jest i będzie dla mnie talizmanem, choć nie noszę jej przy sobie. Nie tyle blaszka, ile sentcja na niej wyryta.

Jeszcze jedno spostrzeżenie, zresztą dokonane nie tylko w potężnej fabryce zbrojeniowej, ale i w innych, mniejszych zakładach produkcyjnych. Wszędzie niedbale wykonane i zawieszono transparenty. Nie trwały farby na tkaninach robiły zacieki. W deszczu wyglądało to, jakby świat użalał się nad kłamstwem skądinąd ^(petytycznych) hasel i sloganów. Przy nich przybite flagi, dawniej czerwone, obecnie różowe, spłowiałe. Czyżby odkształcała się idea, która sama broni się przed nadużywaniem? Kwiatek do kozucha? Ale gdzie kwiatek, gdzie kozuch? Nigdzie ich nie ma. Nie ma szczęścia, nie ma dobra człowieka. A co jest? Jest dogmatyczna religia Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina. Ta czwórka musiała być na każdej paradzie.

Po ulicach Świerdłowska niedawno przechodziła kolumna żołdatów i śpiewała podniośle:

- Ja drugiej takiej strony nie znajdu, gdzie tak wolno dyszy człowiek
A do bram zakładów pracy zmierzali w walonkach, w chustkach, zawiązanymi pod brodę, w kombinezonach smutni, niedożywieni mężczyźni bezwolnego posłuszeństwa. Przechodzą obojętnie pod brudnymi napisami transparentów, pod kikutami flag, bo tylko resztki tkaniny jeszcze szarpią się na wietrze przy drzewcu. Pozostaną one do następnego "prazdnika" /święta/. Na zakładach im. Stalina w obramowaniu z desek tkwił jakiś spłowiały napis. Podobny dojrzałem i odczytałem bez trudu nad bramą innego zakładu. W tłumaczeniu tej sentencji na język polski było to tak: "Gdzie Stalin - tam zwycięstwo - gdzie zwycięstwo - tam Stalin". Jeszcze jedno wzniośle hasło: "Praca - to sprawa honoru - sprawa sławy - sprawa męstwa i bohaterstwa".

Niektóre strzępy haseł zapamiętałem. Nie ręczę jednak za poprawność zapisu:

"Godowszczinu Oktiabskoj Rewolucji" albo "Pierwowo Maja", albo jeszcze "Godowszczinu rożdżania Generallissimusa Wissarionowicza Josifa Stalina - "Smierť szpionam" /śmierć szpiegom/.

Pewnego dnia prowadzono nas od stacji długo, przez miasto, na peryferie, gdzie z rzadka widniały nowe budynki. Szliśmy na skróty, w poprzek szerokich ulic, bo ruch pojazdów był nic wielki. Zaciekawili nas z daleka widok fontanny pary, która z sykiem unosiła się w górę i skraplając się marzła, tworząc girlandy śnieżno-białego lodu na środku jezdni. Gdy zbliżyliśmy się, dojrzeliliśmy rurki frakcji ciepłowniczej, położonej wprost na ziemi, bez żadnej izolacji. Prowizorka czy skutek chwilowej awarii? Źródłem zasilania był chyba Urałmasz Zawod /uralskie zakłady przemysłu ciężkiego/. Przez te rurki przetaczały się pojazdy, więc nic dziwnego że obluźowały się łącza, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Przeszliśmy obojętnie i my. A ciepło uciekało bezpowrotnie i bezużytecznie.

Doprowadzono nas do magazynu detali drzewnych. Tu mieliśmy układać klepkę parkietową w stoły, po tysiąc sztuk w każdym. Wysypano ją tu beładnie przed magazynem, tworząc całą stertę. Nakładaliśmy półmetrowe, gładkie deszczułki na rękę i wznosiliśmy na miejsce składowania.

Wtem podjechała pod magazyn "teleżka" /furka/, ciągniona przez jednego syberyjskiego konika w chamacie między hołoblami. Zainteresowałem się tym, bo przypominał mi zaprzęgi biedniejszych gospodarzy z moich rodzinnych okolic. Porównywałem każdy szczegół. U nas dula /pałak nad głową konia/ była dość masywna, ładnie wyrobiona, często nabijana ozdobnymi blaszkami lub gwoździami, z kółkiem pośrodku dla zawieszania jej na ścianie lub na doczepianie dzwonka, jeśli zaprzęgano konia w zimie do sani. Na szczycie chomąta był nabity skó-

rzany kaptur dla osłonięcia poduszek i podkładek od deszczu, u dołu solidny rzemień dla zwarcia drewnianych obramowań. Dalej siodełko u poprzęgiem pod brzuch konia, naciągany i zaciskany na kołobki. Hołoble miały żelazne grzebienie, które pozwalały na odpowiednie rozstawienie odosów /prętów żelaznych nałożonych na osie przednich kół wozu i połączonych z hołoblami/. Wszystko musiało sprężynować, bo wówczas koń pracował nie tylko piersią, lecz również mięśniami karku i podbrzusza nie odparzając skóry. Na taki wóz ładowano około 1 tony towaru. Tu dula była surowa z jakiegoś odziomka krzaka, nie było siodełka, nie było odosów. Konik musiał pracować tylko piersią. Nie dziwnego, że nie mógł ciągnąć większych ciężarów. Najwyżej 200-300 kg.

Najbardziej zainteresowała mnie sama "telega", bo przypominała mi pojazdy bolszewików z 1942r. podczas odwrotu spod Warszawy. Nie zmieniły się wcale. Osie i koła tylko z drewna, bez wzmocnień i obręczy z żelaza. Różnica tylko taka, że zamiast wyplatane z wikliny półkoszka, na podwoziu była wmontowana "płaszczadka" /płaszczyzna jak stół/ na której kołchoznik ustawił 6 skrzynek.

Siła tradycji jest wielka - pomyślałem, ale ^{to} chyba nie tylko tradycja, jeśli się zważy iż klóci się jej pierwotność z wielkim ośrodkiem ciężkiego przemysłu tuż pod bokiem, który nie pracuje na rzecz ludności rolniczej lecz dla zmilitaryzowanego państwa.

Było zimno, więc konwojent zażądał ode mnie: zdielaj kaścior /zrób ognisko/, podając mi przy tym hubkę, krzesiwo i długi knot. Pytam go, gdzie? Przez chwilę rozejrzał się, usiadł na skrzynce w przestronnym miejscu magazynu i powiedział: -Zdzieś! - Zdziwiłem się nieco, bo jakże rozpalać ognisko wewnątrz magazynu drewnianego, nawet próbowałem oponować. Ale on głosem nie znoszącym sprzeciwu

huknął:- Nie bołtaj - /nie gadaj/. Znalazłem więc starą uszkodzoną skrzynkę, rozbiłem ją toporkiem, poszczepałem deseczki i roznieciłem ogień, dmuchając w tłący się knot od iskry krzesiwa. Świerkowe deseczki spalają się szybko - jak papier.

Rozglądamy się wokół, czym by tu jeszcze podtrzymać ogień, bo konwojent żąda "dobawki drow". Mówimy mu, że tu już nie ma nic do spalenia, chyba tę skrzynkę, na której siedzi.- Niet!- zaprotestował. Zerwał się kocim ruchem, poprawił sobie na plecach karabin, wyjął mi z ręki toporek i ustawiając ukośnie klepki ze sterty na progu, wali w nie obłuchem- przelamując je i podrzucając do ogniska.

Zdębieliśmy. Przecież te gładziutkie detale z wypustkami i wrębami - to ludzka praca. Tych w tajdze, tych w tartakach, tych w zakładach przetwórczych drewna. Co on zrobił?

Widząc nasze osłupienie, zamruczał uspokajająco: - U nas tego mnogo.... Nicowo....- /U nas tego dużo, nic się nie stało/. Skąd ta beztroska? Skąd ta bezmyślność w braku poszanowania ludzkiego trudu? Nawet magazynier, zatrudniony tu na stałe, nie zareagował. Był chyba do tego przyzwyczajony.

A to inny obrazek, choć z tego samego rodzaju. Zaprowadzono nas na jakąś bocznice kolejową. Czekał już cywilny brygadier. Pozdrowił nas grzecznie i określił nasze zadanie. Mamy załadować siedem wagonów kłoców - które leżały jeden na drugim wzdłuż toru. Wagony są tam - i wskazał je ręką przy ślepych torze. Oświadczył, że nie będzie nas pilnował. Wykonamy swoje zadanie i możemy odpoczywać - zakręcił się i znikł.

Wiadomo, że trzeba wagony porozczepiać i pojedynczo własnymi siłami przytoczyć jak najbliżej składowanego drewna. Porobiliśmy z drągów pochylnię i po niej przetaczaliśmy, przesuwaliliśmy kłocce. Ponieważ

zaczął śiąpić drobny deszcz, uwijaliśmy się, aby zostało nam więcej czasu na osuszenie się. Ktoś z nas wypatrzył bowiem, że w pobliżu znajduje się suszarnia desek, na których jest ciepło.

Załadowaliśmy sześć wagonów równo z kłonicami, tak jak było przykazane. Mieliśmy szkopał z ostatnim wagonem, bo na nim stało jakieś urządzenie - maszyna, transformator czy coś innego. Izolatory wystające z bloków wskazywały, że służy do podłączenia prądu. Przymocowana tabliczka pouczała, iż jest to urządzenie wykonane w Niemczech. Rada w radę postanowiliśmy podtoczyć ten wagon i zostawić go w takim stanie, jak jest, do powrotu brygadiera. Konwojent nie mieszał się w tę sprawę. Siedział w jamie pod kłocami i kurzył machorkę. Nie opowiadał nawet, gdy weszliśmy do owej suszarni. Pilnował nas przecież na zewnątrz i wszystko miał na oku. Niezle już obsuszyliśmy się, gdy konwojent zawołał: - Brygadier idiot! - wyskoczyliśmy z wysokiego stołu desek i z lamentem, jeden przez drugiego, mówiliśmy mu o nieprzewidzianej przeszkodzie w załadowaniu drzewem ostatniego wagonu: - Sama balszaja, sama łutszaja maszyna, elektrostancja ili szto?! /jedna z większych, jedna z lepszych maszyn, transformator czy coś takiego/.

Brygadier wciekł się. Zaczął nam zarzucać, że on nam zaufał, że z nami nie można postępować po ludzku. Przykro nam się zrobiło, staliśmy bezradnie, czekaliśmy co dalej powie...

Ale on szybko wskoczył na wagon i chciał rozkręcić druty, umocowujące urządzenie na czas transportu. Druty były dość grube i do tego skręcone przy pomocy kołków, więc i szarpanie nimi nie przyniosło spodziewanego skutku. Nic nie widział, tylko te przeklęte druty. Krzyknął do nas: - Dawaj topor! - Dawaj dyle! - /daj siekierę, dawajcie drągi/. Szybko otrzymał to, co chciał. Zaciosał drągi w klin i po-

dsadził je pod występy. Ich długie konce zwisały nad poboczem toru. Wreszcie, gdy się uporał z drutami przy pomocy siekiery, zawołał: - Zmij dyle! - /naciskać drągi/.

Gdy uwiesiliśmy się u trzech jednoramiennych dźwigni /a było nas dzie-
więciu/, przeszkoda przechyliła się na bok i z łoskotem zwała się
na drugą stronę toru.

Odrzucił poszczerbioną siekiere na ziemię, zdyszany zeskoczył
z wagonu i zapytał z przyganą:

- Można było zdiełać, ili niet?! /można było zrobić, czy nie?/
Milczeliśmy w zadumie, ale on usłyszawszy jakiś gwizd syreny - zawo-
łał:- Jeszcze imiejecie pół czasu. Nada bystro pagruzic ^{pasljednyj} wa-
gon i w łagier-./Jeszcze macie pół godziny, szybko naładować ^(ostatni) wagon
i do obozu/.

Konwojent przyświadczył: - Da, da!

Zwijaliśmy się, jak tylko było można. On nam też pomagał. Zrobiliśmy
wszystko na czas - był zadowolony, bo podziękował nam:- Spasiba...

W drodze powrotnej komentowaliśmy to zdarzenie. Przecież zni-
szczone urządzenie było więcej warte niż te wszystkie załadowane kło-
ce. Konkluzja?

- Wsio po prikazu! - wszystko według zarządzenia. Ale skąd ta
skłonność do niszczenia wytworów pracy ludzkiej?

Jeden tylko raz zawieziono nas pociągiem dalej - za Swierdłowsk.
Mijaliśmy po drodze śmiesznie krępych i niskich ludzi. Jeden w dru-
giego podobni do siebie, z czarnymi węgielkami oczu. Siedzieli wz-
dłuż nowobudowanego toru, o czym świadczyła świeżo odrzucona żółta
ziemia. Trzymali ręce na kolanach. Kto to są ci ludzie?
Nagle zerwała się burza oklasków, zaczęli wołać do nas, wyrzucając
ręce w górę: Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem, ale zapamiętałem coś

takiego:

- Eriwa, Poraddo! - Ewiwa Porando! - co mogło oznaczać: wiwat Polacy! Jak nas i po czym poznali?

To spontaniczne pozdrowienie dodawało nam otuchy. Byli to Japończycy.

Zredziła się sympatia obopólna, choć formalnie rzecz biorąc, byli przeciwnikami koalicji antyhitlerowskiej, do której my należeliśmy jako Polacy i jako państwo podziemne. Los nas zrównał. Oni są jeńcami - ^{nawet} ^{bo} my gorzej, internowanymi. Toczy się wielka gra w obrębie Wielkiej Trójki. Wszyscy chcą silnej, niepodległej, sprawiedliwej Polski. A czy my walczyliśmy o coś innego?

Takie to dylematy zajmowały nas wówczas, bo wciąż cierpieliśmy na brak kontaktu ze światem.

Dowiedzieliśmy się od Sowietów, że Japończycy są najtrudniejszą nacją do podporządkowania. Jeśli nie dostaną ryżu, nie chcą pracować. Siadają, biją się po kolanach i "szumią". Żadne pogróżki, żadne rozkazy - nie skutkują.

Czy ^{to} (tylko "narodnaja priwyczka"? / narodowa tradycja? / Pociąg, aczkolwiek na zwolnionym biegu, to jednak jechał dalej. Wyszadzono nas na jakiejś stacji. Tu spotkaliśmy się z jeńcami: Węgrami i Rumunami, którzy mieszały się z ludnością cywilną i handlowali butami, szalikami. Wyglądali potem śmiesznie, jak przebierańcy w długich rozpiętych płaszczach w odcieniu kakaowym, bez długich butów, lecz jeszcze w hajdawerach, przy których majtały się tasiemki. Mocno zniszczone trzewiki bez sznurowadeł i skarpet nie przykrywały całkowicie nagiego ciała nóg. Trudno się było z nimi porozumieć, ale rozumieli, gdy mówiliśmy: "Polak - Węgier dwa bratanki". Poklepywali nas po plecach serdecznie i przyjaźnie.

Nasi konwojenci przerywali to bratanie się, bo skierowali nas dalej od tego zbiegowiska. Ścisłe izolowanie nas - obowiązywało więc nadal.

Wracaliśmy pieszo wzdłuż torów. Mijaliśmy po drodze stojące w rowach wśród trawy duże i wysokie paki z napisami angielskimi. Widocznie stały już tam parę lat, aby wreszcie ktoś o nich sobie przypomniał, że są potrzebne. Spod odbitych desek wyglądała papa czy smołowany papier, zabezpieczający zawartość przesyłki. Skrzynie musiały być ciężkie, bo traktor na gąsiennicach wiół za sobą dziwne podwozie, złożone z żelaznej rury osadzonej na drewnianych masywnych osiach z kłonicami. Na osiach kręciły się lite kręgi, urznęte z grubego drzewa /przypominało to ów pojazd, który widziałem na szosie Siedlce-Warszawa w 1944r ciągniony przez woły/. Wokół skrzyń kręcili się cywilni ludzie. Medytowali, zaglądali do skrzyń. Zastanawialiśmy się, dlaczego do tych pak nie użyto podnośników i lor kolejowych, skoro tor był tuż, tuż. Widocznie urządzenia były przeznaczone dla jakiegoś zakładu, do którego nie prowadziła ani linia kolejowa, ani ~~nawet~~ utwardzona droga, o czym świadczyły pacyny gliniastego błota, które jeszcze nie opadły z kół.

Pewnego dnia nasz obóz powiększył się o dwóch nieznanym nam ludzi. Nikt ich nie przedstawiał. Sami opowiadali nam swoje przygody po ucieczce z jakiegoś leśnego obozu. Zdążali do Indii. Lecz samoloty ich wypatrzyły i zostali ujęci. Wrócili do swoich, lecz dla pokazu wsadzili ich do nas, a więc obyło się baz makabry, jaką urządzono w Szepietowie z Kisielem.

Pytaliśmy, dlaczego kierowali się na Indie czy Iran. Okazało się, że mapę mieli w głowie. Chodziło im, aby przez Nizinę Turzańską i dalej w górę rzeki Amu Darii dostać się na dział wodny oddzielają-

cy od rzeki Indus i stamtąd do Kaszmiru. W Indiach ^{uczestników} jeden z tej robinsonady miał dawne powiązania z racji funkcji pełnionej w przedwojennym ministerstwie spraw zagranicznych.

A więc i ta trzecia, znana nam ucieczka, zakończyła się fiaskiem. Świat nie mógł się dowiedzieć o miejscu pobytu ^{i losie Polaków} wykradanych z ich rodzinnego kraju.

Ze skąpych relacji, może niezbyt miarodajnych /powtarzam takie, jakie wówczas do nas dochodziły od tamtejszej ludności i złapanych delikwentów/ wynikało, że ucieczki były daremne z następujących powodów:

- 1/duże przestrzenie do pokonania
- 2/konieczność zdobywania pożywienia prawie wyłącznie na drodze nielegalnej /ogólna bieda wyeliminowała dawną gościnność ludności miejscowej; każdy nieznanomy wędrowiec - to człowiek podejrzany - szpieg lub przestępca, w każdym razie wróg/.
- 3/powszechnie obowiązujący system donosów pod grozą wysokich kar. Oczywiście, wchodził ^{też} tu w rachubę swoisty, sowiecki patriotyzm ludzi radzieckich, wciąż poddawanych obłudnej propagandzie i tresurze wychowawczej opartej na strachu przed konsekwencjami. Odnieśmy podobne sytuacje do stosunków w Polsce. Jeńcy sowieccy uciekający z niewoli niemieckiej ^{reprezentowali} (przecież niedawni ^{ch} najeźdźców naszego kraju. Za okazanie im pomocy groziła kara śmierci z ręki Niemców, a jednak nie znam przypadku, aby ludność polska poskąpiła im strawy, czy ubrania cywilnego. Nie było mowy o wydawaniu ich w ręce policji polskiej czy niemieckiej. Nasz humanitaryzm nakazywał nieść pomoc człowiekowi nieszczęśliwemu, bez wdawania się w racje polityczne.

Na tym europejskim humanitaryzmie bazowali nasi młodzi ludzie, którzy przemierzali wiele krajów, przedzierali się przez wiele gra-

nie państwowych i wreszcie docierali do armii polskiej na Zachodzie. Nie do pomyślenia, aby^{te} dziesiątki tysięcy ludzi mogły się przedrzeć przez terytoria radzieckie. A przecież nie należało do wyjątków, że ten i ów Polak, zabrany na przymusowe roboty do Niemiec, zjawiał się w swojej rodzinnej okolicy. Ukrywał się, to prawda, ale nawet w totalitarnej Rzeszy znaleźli się ludzie, którzy ryzykując, pomagali nieszczęśliwcom.

- Z radzieckiej ziemi nikt nie ucieknie - z przekonaniem kładli nam do głowy politrucy i służba obozowa.

Dobrze nie pamiętam, z jakiej okazji chwilowo znaleźliśmy się między prowizorycznymi barakami sowchozowymi /może hotele robotnicze, może tymczasowe magazyny, a może coś innego/. W każdym razie rosyjskie kobiety schodziły z pola i pobierały posiłek obiadowy. Siadały potem na przyzbie kuchennego baraku i drewnianymi łyżkami jadły zupę. Było w niej więcej kapusty i kartofli, ale poza tym niewiele różniła się od naszej obozowej. Mimochodem powiedziałem do jednej z robotnic przymilnie:

- Wkusnaja piscoza! Choć mięsa nietu... /smaczna zupa, choć bez mięsa/.

Ona, przyświadczyła kiwnięciem głowy i odpowiedziała: - Znajesz - ja ~~nie~~ tri goda sała nie jela - /Ja już trzy lata słoniny nie jadłam/.

Trzeba dodać, że nie mięso, lecz sadło lub słonina była największym rarytasem prostych ludzi radzieckich. Zdarzało mi się widzieć brygadierów i stachnowców, którzy rozwijali z gazet lub szmatek kielbasę i chleb, ale nigdy nie widziałem szynki, ani polędwicy. Czyżby zakłady wyróbów wędliniarskich nie przewidywały takich asortymentów? Nie widziałem też u nich nigdy jajka. Nie wiem, czy hodowano tu kury

Dość długo pracowałem w zmechanizowanym zakładzie obróbki drewna.

Jedni na piłach tarczowych obrabiali modrzewiowe kłocce na belki, inni przecierali gorsze gatunki drewna na deseczki, jeszcze inni zbijali z nich skrzynie i skrzynki. Powiedziano nam, że to wszystko będzie wysyłane do Polski. Robiliśmy w skrzynkach napisy o treści informacyjnej, że jesteśmy w Swierdłowsku. Czy je przeczytali Polacy w kraju? A czy rzeczywiście nasze wytwory były przeznaczone dla Polski? Nie wiadomo. Może chodziło tylko o pobudzenie wzrostu wydajności i jakości naszej pracy.

Zaprzyjaźniłem się tam z Marusią. Ona była operatorką maszyny o napędzie elektrycznym, ja byłem jej pomocnikiem. Razem podnosiliśmy kłocce na wałki transportera, który pobierał je i podawał pod odpowiednio ustawione piły, a dalej na strugarki. Obrobione belki na domki fińskie trzeba było składać na stos, który urastał do wysokości człowieka i wyżej.

Zauważyłem, że Marusia co raz bierze w dłoń ciepłe jeszcze trociny, podnosi je do ust i żuje. Zdziwiłem się tym niepomieranie - po co ona to robi? Gdy ustał hałas wyłączonej maszyny, powiedziała:

- Wam łutsze, kak nam. Wy w łagiere połuczycie sup, chleb, kipiatak ili czaj, u mienia doma chołodno. Maja doczka zdiot z nosom na okonnym stiekle i smatr^{at}ju szto jej pryniesu -.

- A muz? - pytam

- Paszoł...

Była więc sama, porzucona przez męża. Chodziła do roboty, bo musiała zarobić na siebie i na córkę w wieku przedszkolnym, ^{która} zamknięta w domu z rozpiaszczonym nosem na szybie czekała i wyglądała matki, aby coś przyniosła do jedzenia. Oto, chyba nieodosobniony, przykład życia człowieka wolnego w ZSRR. W rozmówkach z innymi pracownikami cywilnymi dawno się wyczuć nieuzasadniony żal do nas. Gdy grażdanie ruscy gło-

dują - jacyś tam Polacy, "wrednicy ruskawo naroda" zjadają to, co im się należy.

Tłumaczyłem im, że nie przyjechaliśmy do nich z własnej woli, że chleba w Polsce nam nie brakuje, że czekamy z utęsknieniem, aby wrócić do swego kraju, gdzie mamy swoje rodziny, równie nieszczęśliwe, jak my, z powodu rozłąki przymusowej. Że wcale nie jesteśmy wrogami narodu rosyjskiego, że chcemy być sobą.

- Eto balszaja palitika - ktoś z nich pojednawczo stwierdził. Stosunki obopólne układały się już dobrze, ale pewnego dnia ktoś ukradł z ogniska kilka pieczonych kartofli pracownikowi rosyjskiemu. Zaczął deliberować, że był to cały jego obiad. Zrobiło się nam przykro, bo co sobie o nas pomyślą? Nie było pewności, kto to zrobił. Czy ktoś z nas, czy ktoś z nich. Spryt worowszczyków i żulików rosyjskich był ogólnie znany.

Było już lato 1947r., kiedy zdziwiłem Marusię swoim pomysłem, nie mniej oryginalnym, jak jej zucie trocin. Mianowicie, kiedy wychodziłem za własną potrzebą poza halę produkcyjną, zauważyłem w rozkładających się trocinach grzyby. Wyglądały na pierwszy rzut oka jak pieczarki, jeszcze nierozwinięte. Zawiodłem się nieco, bo były to dorodne, białe, mięsiste purchawki. Na następny dzień przyszedłem do pracy już ze swoją puszką. Niepokoiłem się w drodze, czy ktoś ich nie wypatrzył i nie pozbiarał. Ależ nie! Były. Zebrałem co większe, wyplukałem, upiekłem w żarze trocin i zaprosiłem Marusię na "podobiednik" - na drugie śniadanie. Purchawki były przyrumienione, wyglądały jak kasztany.

Nie dała się namówić. Ona "dożdawisków" /purchawek/ jeść nie będzie. Można się nimi struć. Ale, gdy zjadłem wszystkie, a nic mi się nie stało, obiecała przynieść następnego dnia sól.

Jedliśmy je potem pospołu, bo grzybnia była urodzajna. Wciąż wyra-
stały nowe owocniki. Ten sposób dokarmiania się został przerwany wy-
padkiem. Belki wysokiego stosu obsunęły mi się na moją nogę i zgnio-
tły mięśnie łydki. Wspomniałem już, że z tej przyczyny znalazłem się
w szpitaliku obozowym.

XXII. W SZPITALIKU OBOZOWYM.

W szpitaliku otrzymywaliśmy wprawdzie zmniejszone porcje chleba do 400 gramów wagi, ale za to lepszego - "białego", a raczej sitkowego. Były też dodatki extra: a to kosteczka tłuszczu, a to miarka cukru do posypania na chleb, a to kawałek ryby, a to parę plasterków kiełbasy. Diety specjalnej nie było, jedliśmy ze wspólnego kotła, ale posiłki, choć gotowane dla wszystkich jednakowo, mogły być inaczej rozdzielane, bo pobieraliśmy je najwcześniej. Można było zagarnąć najpierw z samego dna kotła, gdzie opadały kawałki kartofli, a nawet strzępki mięsa na kościach, potem czerpakiem zebrać z wierzchu na dolanie do konwi. Wiadomo, że na powierzchni pływał olej lub inny tłuszcz, choćby z wygotowanej chabaniny. - Niech mają, szeptał sobie dzielący, a może była w tym troska nieocenionego doktora Hornowskiego o swoich podopiecznych .

- To dla chorych - wołano do sanitariusza szpitalnego - i wynoszono gorącą strawę pod drzwi z uchylnym stolikiem - okienkiem, gdzie nalewano jadło do podstawionych miseczek.

Nic dziwnego, że każdy, kto miał do tego powody, chciał przebywać w szpitaliku jak najdłużej. Ilość łóżek była jednak ograniczona, więc osoby podleczone musiały zrobić miejsce dla innych, bardziej potrzebujących.

Ta rotacja w obrębie jednego pomieszczenia, jakie stanowił szpitalik miała dobre strony. Każdy "nowy" wnosił z sobą różne spostrzeżenia i obserwacje. Był czas na niekończące się rozmowy. Oto zapamiętane opinie:

- W Swierdłowsku nie ma gołębi ani wróbli, które ożywiają miasta polskie.

- I są plagą dla murów i przechodniów, którym obstrzykują kapelusze.
 - Ale kał gołębi jest bardzo pożądany przez działkowiczów.
- Byli więc miłośnicy ptactwa w ogóle, byli też sceptycy ale zdecydowanych przeciwników ostatecznie nie było.
- No więc, dlaczego tu nie ma gołębi?
 - A czym by się tu żywiły? - odpowiada ktoś na pytanie - pytaniem.
 - Nawet na wiosnę nie widać, aby ptactwo budowało tu gniazda.
 - Może klimat nieodpowiedni.
 - Byłyby wyłapane i zjedzone.
 - Za miastem zdarza się widzieć wrony, ale każdy, kto nosi broń pruje do wick z pepesz, ptactwo więc omija szlaki kolejowe i osiedla, szuka bezpiecznych miejsc w tajdze.
 - Co tu mówić, nie ma tu dzikiej zwierzyny. Kto widział zająca, sarnę? Rzeczywiście nikt nie widział, ale mogłem stwierdzić, że widziałem ogromnego wilka, co prawda już zastrzelonego. W Szepietowie widywaliśmy na śniegu tropy wilków, ale żywych nie udało nam się spotkać. Jednak zdarzyło się, że wilki podkopały się pod podwaliny komórki mieszkańca, który trzymał w niej kozę z koźlątkiem. Przez ścianę dosłyszał niesamowitą szarpaninę i kotłowanie. Wypadł z mieszkania z siekierą, ale już było po wszystkim. Zaalarmował strażnicę obozową. Żołnierze razem z mieszkańcami ruszyli po tropach w zakrzaczenia. Tam dojrzeli legowisko drapieżców, ale udało im się zastrzelić tylko jednego. Właśnie przechodziliśmy na stację, gdy zdejmowano go z chłopskich sani i rozłożono przed strażnicą.

- Wot, wielikij wołk - smatry. /Popatrz, jaki wielki wilk/.
Zatrzymaliśmy się tylko na chwilę, bo moglibyśmy się spóźnić na po-
ciąg.

Takie i inne rozmówki o zdarzeniach obozowych, o spostrzeżeniach

z różnych miejsc pracy zawsze nawracały do naszej sytuacji. Dlaczego nasi inżynierowie, technicy - korzystając z faktu, że jesteśmy w pobliżu dużego zakładu metalurgicznego i innych zakładów przemysłowych, nie mogą w nich pracować zgodnie ze swymi kwalifikacjami - choć jeńcy niemieccy tam byli zatrudnieni. Wiedzieliśmy, że nasi wybitni specjaliści składali podania, umotywowane oferty - nic z tego nie wyszło. Był wśród nas inżynier Radziwicki - były dyrektor Stalowej Woli, człowiek o dużej wiedzy i ogromnym doświadczeniu. Wycieńczony dystrofikiem, ale z umysłem jasnym, dogorywał w Krasnem pod Świerdłowskiem, a nie pozwolono mu zregenerować się w sensownym działaniu.

Inżynier Koch z Bydgoszczy znający się na zagadnieniach elektryfikacji - pracował jako zwykły robotnik, w końcu uczyniono go brigadierem przy zawieszaniu grzejników w nowobudowanych domach w Świerdłowsku.

Inżynierowie budowlani: Borzykowski, Szczepański, Hanzel, Gębiński, Rogalski - to tylko bliżej mi znani fachowcy, marnowali się przy bezsensownych pracach fizycznych lub obijali się "na funkcjach" obozowych.

Profesor Grzymała - agronom, rolnik z Dublan biadał nad bezsensownością trwonienia skarbów Wielkiej Rosji i dławienia potencjału ludzkiego.

Kolega Przyłuski całymi miesiącami, prymitywnymi narzędziami robił z desek lipowych skrzypce. Był kulawy i miał funkcję kontrolera przy pobieraniu i wydawaniu żywności. Komu przekazywał gotowe wytwory?

Być może iż postawiono mu warunek z góry - za skrzypce - dobra funkcja.

Nie mogliśmy zrozumieć, o co chodzi? Wspominaliśmy nasz pobyt w Szepletowie. Stosunek służby obozowej do Niemców był daleko lepszy,

niż do nas. Nie wszyscy widzieli taki obrazek:

W lecie 1945 przyprowadzono grupę wyższych oficerów niemieckich, w swoich oryginalnych wojskowych uniformach, którzy najdłużej bili się z Armią Czerwoną w Kurlandii i półwyspie Sumbii. Każdy z nich miał szczerlnie wyładowany plecak. Wyglądali okazale w swoich szlifach wojskowych nawet z odznaczeniami bojowymi, w długich płaszczach, w butach z cholewami lub w sztylpach. Z niezdrową ciekawością obserwowaliśmy akt zdawania i przejmowania ich do obozu. Spodziewaliśmy się, że brutalnie ogołocą ich ze wszystkiego, co tu przenieśli. Nic podobnego. Oficerowie niemieccy wyłożyli z plecaków swoje osobiste przybory i o dziwo, nakazano im wszystko zapakować z powrotem. Nawet osobistej rewizji nie było. Przebywali w naszym obozie tylko parę dni. Gdzie ich skierowano potem - nie wiadomo.

XXIII. INTERNACJONALIZM SOWIECKI

Wstyd powiedzieć, ale żadnej kulturalnej działalności artystycznej nie organizowaliśmy, prócz owych spontanicznych pogadanek, o których wcześniej była mowa. Nie dekorowaliśmy baraków, nie malowaliśmy, nie urządzaliśmy amatorskich występów widowiskowych, bo i jak. Żadnej książki, żadnej gazety, nie mówiąc już o radiu czy filmie. Widocznie potrzeby uczuć wyższych pojawiają się u ludzi dopiero po zaspokojeniu najelementarniejszych konieczności biologicznych. Widocznie upadliśmy na samo dno niedostatku i psychicznego przygnębienia.

W Krasnem byliśmy zdumieni, gdy przybył do obozu zespół orkiestrowo-śpiewaczy złożony z jeńców niemieckich. Prezentowali się daleko lepiej od nas - zachmaniarzy. Mieli instrumenty przemyślnie wykonane z blaszanek po konserwach. Jeden z nich miał oryginalną ustną harmonijkę z rejestrami (Nie odebrano mu jej?).

Na koncert przybyli oficerowie radzieccy z naczelnikiem obozu na czele. Dla nich była to rozrywka nie lada. Szczególnie im się podobała pieśń, którą śpiewał solista przy akompaniamencie orkiestry, a ponieważ tekst słów był niemiecki, naczelnik poprosił na bis, aby przetłumaczono go na język rosyjski. Oczywiście, ktoś z zespołu zrobił to. Zapamiętałem refren:

"Kogo Pan Bóg chce ukarać - tego wysyła w dalekie kraje".

Przy powtórnym wykonaniu, zarówno Rosjanie, jak i my słuchaliśmy pieśni z przejęciem. Bardzo pasowała swoją wieloznacznością do odczuć wszystkich słuchających i wykonawców.

Rosjanie kwitowali pieśń frenetycznymi oklaskami. Oni "pobiedili" (zwyciężyli) pokonali i ukarali tych, którzy podnieśli rękę na niezwyciężony Kraj Rad.

Niemcy z poddaniem się woli Opatrzności (Gott nit uns) szybko podporządkowali się nowej sytuacji, wydając NKWD tatuowanych SS-manów. W ten sposób zaskarbili sobie zaufanie i karnie zmuszając się wzajemnie do solidnej pracy, przynosili sowieckiej gospodarce wymierne korzyści.

Dla nas treść pieśni oznaczała Krzyż Pański, który podnieśliśmy w imię integralności terytorialnej swego państwa, w imię wolności i niezależności Narodu. Słuchaliśmy pieśni w zadumie nad gorzkim zwycięstwem.

Jakkolwiek służba obozowa nie życzyła sobie, abyśmy kontaktowali się z przybyłymi Niemcami, to jednak podczas kolacji, niektórzy z nas, znający dobrze język niemiecki, zdołali zamienić z gośćmi kilka zdań. A więc: kierownikiem zespołu był dyrygent orkiestry Berlińskiej Kurt Tryspe (nie rękę za dokładną pisownię), który z miejsca przystał do nowotworzonej organizacji Wolnych Niemców na terenie ZSRR. Tacy Niemcy mogli pracować nawet w przemyśle zbrojeniowym. Otrzymywali tam część uposażenia w gotówce (prócz utrzymania w obozie), za którą mogli w kantynach nabywać jakieś towary.

Tak więc niemieccy jeńcy wojenni mieli swój udział w produkcji armat, które codziennie widywaliśmy wiezione na torach kolejowych w kierunku tajgi, zapewne na przestrzeliwanie. Zresztą, nie wiadomo w jakim celu, jako że do Świerdłowska nie wracały. Miały utwierdzać pokój - "Światowy Pokój".

Niemiecki precedens znowu ożył w naszych umysłach, tak jakby ich losem można było mierzyć nasze położenie. Czuliśmy skrywaną zazdrość z powodu faworyzowania Niemców. Straciliśmy ich z oczu od przełomu 1944 - 1945 r., a był już rok 1947, kiedy ujrzeliśmy ich znowu, w innej roli. Kiedyś o tej sprawie rozmawiali, ktoś z boku skierował nasze rozważania na inne tory. Był zdania, że nasza sytuacja jest lepsza.

To dobry znak, że nie mamy żadnego statusu. Świadczy to o permanentnej tymczasowości naszego pobytu w ZSRR. Jeńców przynależnych do Organizacji Wolnych Niemców zatrzymają tak długo, jak będą chcieli. Może na zawsze, na tak zwanym wolnym osiedleniu.

Rosja zawsze była łakoma na kadry techniczne. Już Piotr I, zwany Wielkim, kładł podwaliny pod industrializację przy pomocy Niemców. Do dziś istnieje autonomiczna Nadwołżańska Republika Niemców (około 600 tysięcy ludzi). A kto słyszał o autonomicznych rejonach Polaków, choć były znaczne ich skupiska na Białorusi i Ukrainie? Polacy zostali poddani silnej presji rusyfikacyjnej, ale oni zawsze mieli tendencje do repolonizacji, a jako tacy, nie nadawali się do niewolniczego podporządkowania. Kulturowo rzecz biorąc, Polska była atrakcyjna dla ludności kresowej, nie tylko polskiej. Tak czy inaczej, wcześniej czy później, będą chcieli nas się pozbyć, abyśmy nie mieszały w głowach prostych ludzi radzieckich swoim umiłowaniem demokracji, polskiej drogi rozwoju.

Tu nie chodzi o to, kto jest Polakiem, Niemcem czy Baszkirem. Wszyscy będą dobrzy, skoro uznają dominację radziecką. Wszyscy będą źli, jeśli będą nawet komunistami, ale z akcentami narodowymi. Ten swoisty internacjonalizm sowiecki musi być z ducha rosyjski. Każda mucha, która usiądzie na nosie olbrzyma, będzie zgnieciona.

Takie wartości, jak praca i profity z niej płynące, sprawiedliwość społeczna i szczęście ludzkości są tylko zasłoną dymną w dalekich planach mocarzy ZSRR. Kto by oni nie byli, dążyć będą do zapanowania nad światem, a po drodze wciąż ordynarnie wciskają rosyjski nacjonalizm i płynący z niego imperializm. Opluskwiają inne narody, odżegnują się od niezgodności, które popekniają inni, a nigdy oni.

Można by mieć wątpliwości co do powyższej interpretacji spraw nas obchodzących, gdyby choć jeden z internowanych Polaków zechciał pozostać

w ZSRR, przecież byliśmy tam, gdzie nie stanął but hitlerowskiego okupanta, a miałem takich Rosjan, którzy wyrzekli się swej ojczyzny i wsiąkli w społeczeństwo, które wychowało się i żyło w "ucisku polskich panów", było niszczone i wielokrotnie ograbiane przez okupantów.

Faszyzm hitlerowski bezprzykładnie tępił kulturową, społeczną i przywódczą tkankę narodu polskiego, nakładał dotkliwie ciężary kontygentowe, ale równocześnie nie niszczył struktury agrarnej polskiego rolnictwa. Odwrótnie, pobudzał je do intensyfikacji w produkcji żywności przez rozprowadzenie nasion i sadzeniaków selektywnych, nawozów mineralnych, narzędzi, prostych maszyn i zwierząt rozplodowych. Tak więc mógł powstać nielegalny handel między wsią i miastem, który uzupełniał głodowe racje ludności miejskiej.

Okupacyjne zubożenie społeczeństwa polskiego pod względem materialnym było ogromne, ale nie sięgało ono dna głodu do tego stopnia, aby zabrakło chleba czy ziemniaków na tyle, aby nie podzielić się nimi z grupami partyzanckimi czy ukrywającymi się z różnych powodów ludźmi.

Można zapytać, co ma wspólnego sowiecki internacjonalizm z powyższymi porównaniami ?

Otóż, od wiosny 1947 roku zaczęto nas zbierać na tak zwane "biesiedy" (pogadanki, rozmowy). Co prawda rozmów nie było, bo oficer polityczny produkował się sam, a my przyjmowaliśmy wszystko milcząco. Tematyczną osią propagandowych wystąpień "politruka" był internacjonalizm - coś w rodzaju hasła: - Proletariusze wszystkich krajów łączcie się -

Mówił o faszyźmie, o niezwyciężonej Armii Radzieckiej, o wyższości gospodarki socjalistycznej w ZSRR nad gospodarką kapitalistyczną, o "gniocie" - ucisku panów, burżujów, kapitalistów, o walce narodów ZSRR

o sprawiedliwość społeczną i szczęście ludzkości, o doścignięcie i prześcignięcie państw zachodnich, nawet Ameryki.

Było to typową niezręcznością, a nawet antypropagandą, wygłaszać te komunały ludziom, którzy na codzien stykali się z odozłowieczaniem stosunków międzyludzkich, ze straszliwym ubóstwem technicznym i ubóstwem gospodarczym narodu.

Ważne też było to, o czym nie mówił.

Nie wspominał o ogromnej pomocy ekonomicznej i militarnej Stanów Zjednoczonych, o wkładzie Zachodnich Sojuszników do ogólnego zwycięstwa nad hitlerowską Rzeszą, o koalicji antyhitlerowskiej, do której włączyły się inne narody, w tej liczbie i Polacy.

Pewnego razu zakończył swoją pogadankę mniej więcej takimi słowami: - My z Wami pobiesiadowali na łutsze żizń" (porozmawialiśmy na lepsze życie) - Družba ! - (przyjaźń) wznosił ręce i splótł je ponad głową. Ale jakby się przeraził swych słów - dodał: - Nu nada czestno rabotać. Potem obchodziliśmy "Pierwomajski prazdnik" (święto pierwszomajowe) i niedługo potem "Prazdnik Pobiedy" (Dzień Zwycięstwa). Na te uroczystości przybyli radzieccy oficerowie (nawet tacy, których nie widywaliśmy w obozie). Powołano prezydium z komendantem obozu na honorowym miejscu. Nie pamiętam, czy zasiadł w nim przedstawiciel internowanych, chyba nie. Nic dziwnego, bo nasza uwaga była skierowana na przybyłych oficerów. Zachowywali się godnie, zbyt sztywno. Ciekawi byliśmy, o czym będzie mowa.

Produkował się, jak zwykle, oficer polityczny. Uaktualniał nieco swoje poprzednie przemówienia, ale dodał ważne dla nas stwierdzenia, za które otrzymał nasze oklaski: - Budiet i na waszój drodze prazdnik. - Sejczas ujedziecie w Polsce, wy nużni waszomu prawicielstwu. - Wasza właśc uże krepkaja (Będzie, nadzieja i dla was święto. Wnet wyjedziecie do Polski, potrzebni jesteście waszemu rządowi, wasza władza już się umocniła).

Na zakończenie wyświetlono film pod tytułem "Świat się śmieje". Były już ciepłe i długie dni, kiedy po powrocie z pracy i po zjedzeniu obiadu wyświetlono filmowe reportaże z uwalnianych obozów niemieckich. Ekranem była otynkowana ściana jednego z baraków. Oglądaliśmy obrazy na stojąco. Miało to dobre strony, bo można się było przemieszczać dla lepszego widzenia czy przyjaźni i zaufania do siebie. Doszukiwaliśmy się w rozmowach analogii "Lagrów" do "Łagrów". Kto od kogo się uczył techniki rozprawiania się z przeciwnikami ideowo-politycznymi? Pod wpływem własnych dolegliwości obozowych byliśmy skłonni twierdzić, że obaj przywódcy - najpierw partnerzy w rokowaniach -, a potem przeciwnicy w wojnie - ulegli deprawacji swojej nieograniczonej władzy. Zarówno Hitler, jak i Stalin bezwzględnie niszczyli patriotyczną tkankę narodu polskiego. Wprawdzie w Niemczech oszczędzano całą kadrę oficerów polskich wziętych do niewoli w 1939 r., ale w obozach koncentracyjnych poddawano ludzi wyniszczającej pracy, maltretowani i zadawani cierpień oraz likwidowano niezdolnych już do pracy. Nie można zapomnieć, że hitlerowcy dopuszczali się totalnego ludobójstwa na narodzie żydowskim. Nie wiedzieliśmy wówczas o rozmiarach morderstwa oficerów polskich - jeńców w Związku Radzieckim i deportacji żywoźu polskiego z terenów wschodnich oraz obławach i polowaniach na Akowców w centralnych województwach, stąd skłonni byliśmy mimo wszystkiego twierdzić, że los Polaków pod dominacją ZSRR miał lepsze perspektywy, niż to zapowiadał Hitler w "Mein Kampf". Ten wątek przewijał się w ^(rozmowach) naszych do końca pobytu w ZSRR, a nawet dziś jeszcze jest żywym tematem w dysputach między ciężko doświadczonymi bojownikami o sprawę Polski i Polaków. Przemilczaliśmy sprawę strat materialnych i moralnych, gdyż wówczas najważniejsze było zdrowie i życie ludzkie, którymi tak bestialsko szafowano.

Dobrym znakiem czasu było zezwolenie na "chudożestwiennoj samodiejatelność" (artystyczne zespoły amatorskie). Nie potrafię zrelacjonować obrazów przedstawianych kupletów. Pamiętam jedynie niziutkiego i szczuplutkiego obozowicza, który w pożyczonej sukience, wypchany, gdzie trzeba, udawał skromną dziewczynę, to znów zalotną kobietkę. Mężczyźni w kaszkietach obłapiali i podskubywali ją, podnosili sukienkę, spod której widać było włochate nogi, a ona drobno drepcząca piskliwie wołała: - Nie nada - Nie nada - i przykrywała rękami swój podolek.

Najbardziej rechotali goście radzieccy - im podobało się wszystko. A nam nie było do śmiechu.

Równocześnie z przejawami odwilży reżimowej w stosunku do nas rozpoczęły się "doprosy" (indywidualne przesłuchania). Prócz oficera politycznego przeprowadzali je młodzi adepci sztuki prokuratorskiej, czy sędziowskiej.

Zbaranieliśmy, gdy pewnego dnia na mitingu (wiecu), mówca oświadczył między innymi, że wśród nas "jest nieskolko czełowieka" (niewielu ludzi) porządnych i dobrych patriotów, ale większość to Łondończycy, Mikołajczyki (tak nazywano zwolenników rządu polskiego na emigracji w Londynie). Ujedziecie w Polszu na sud ! (wyjedziecie do Polski na sąd). Poskużył się przy tym porównaniem w tym rodzaju: "Nie odrutowane świnie głęboko ryją". Mogło to oznaczać, że w Polsce są niepokoje, że trwa konspiracyjna walka podziemna, a może zdenerwowali się skromnymi wynikami przesłuchań i badań. Niech będzie co chce, aby nie tu! Niech już będzie sąd, ale w kraju - stwierdzaliśmy między sobą z determinacją.

Pewnej nocy wezwano na przesłuchanie chłopca, który pracował w kuchni obozowej. Sąsiadowaliśmy ze sobą przez pryczę. Wrócił późno. Po przebudzeniu się byłem ciekawy, jak mu poszło, ale on wsadził

twarz w siennik i zaczął szlochać.

- Co ci jest ? - spytałem szeptem.

- Nie pytaj mnie, nie pytaj, nie mogę powiedzieć.

Otóż śledczy chciał wiedzieć, ktp go zwerbował do AK. Gdy twardo powiedzia-ł, że nikogo nie zdradzi, politruk zaczął go szantażować utratą funkcji na kuchni.

Na trzecim i ostatnim przesłuchaniu kazano mu podpisać oświadczenie, że o treści rozmowy, jaka zostanie przeprowadzona, nikomu nie powie. W wyniku nalegania zrobił to, czego żądano. Rozmowa, a raczej żądanie było mniej więcej takie:

- Wróćcie do Polski. Są w niej ludzie dobrzy - patrioci, ale są również "szpiony", wraditiele, mieszatiele protiv polskiej i sowieckoj własci". Ty będzie^{sz} człowiekiem naszego zaufania polsko-radzieckiej przyjaźni.

Podsuniętą deklarację zgody wraz z oświadczeniem o zachowaniu tajemnicy badany przedał.

Politruk się zapienił i zaczął chłopakowi wymyślać, jak tylko Rosjanin może i potrafi. To on go obdarzył serdecznością, dobrze mu życzy, a on odmawia takiej drobnej sprawy. - Zastanów się baranie. Będziesz zdychał, a ja cię jeszcze kopnę, a ty będziesz lizał moje buty.- Ty "barachło"! (ty śmieciu).

Gdy maltretowanie moralne nie odniosło skutku, bo chłopak zaparkł się w sobie i wciąż w kółko powtarzał: - Nie będę donosicielem, nie będę donosicielem, nic nie podpiszę - kierownik dał spokój.

- Na pytanie moje: - Czy bili ? Chłopak zaprzeczył: - Nie, nie boli. Nie wiadomo, czy wszyscy wykazali tak twardy charakter, jak ów chłopak.

Świadczyło to jednak iż usiłowano stworzyć siatkę wywiadowczą na Polskę, która jak rakowata tkanka miała niszczyć zdrowe ziarno,

aby nie weszło. Ja byłem również wzywany na przesłuchanie. Ale ograniczyło się ono tylko do potwierdzenia formalnych danych osobowych, już wcześniej zapisanych.

W połowie października 1947 r. brygady nie wyszły do pracy. Zebrano nas podnieconych na placu obozowym, gdzie sam komendant obozu spokojnym głosem przemówił do nas i zapewnił pod słowem honoru, że wrócimy do Ojczyzny. Mogliśmy mu wierzyć. Był człowiekiem małymównym, w stosunku do nas z dystantem, nigdy nie mamił nas obietnicami, ale zdobywał nas faktami, o których była wcześniej mowa.

Dlatego opanował nas entuzjazm.

On uspokoił nas i wezwał do "podgotówki" - przygotowań do podróży. Nastąpiło strzyżenie, golenie, uzupełnianie sortów ubraniowych, a przede wszystkim czyszczenie, szlifowanie zrobionych przez siebie pamiątek. Szycie na nie pokrowców i woreczków dla podwieszenie w odzieży - tak na wszelki "szluczaj" (przypadek). Ja miałem ów medalion wykonany z pokrywy srebrnego zegarka, znaleziony na śmietniku Świerdłowska, szaszki wykonane jeszcze w Szepietowie z pociętego na kawałki zepsutego hebanowego struga, oraz nasiona owej słodkiej rzepy z sowchozu. Wyjechaliśmy, jak zwykle rano, do Świerdłowska, gdzie znaleźliśmy się na ogromnej stacji rozrządowej wśród wielu torów poza miastem.

XXIV. POWRÓT DO POLSKI

W Świerdłowsku przesiedliśmy się do przygotowanego "eszałonu" - składu towarowych wagonów transportowych, w których znajdowały się już korytka do odprowadzania uryny i otwory w podłodze - wiadomo w jakim celu. Piętrowych prycz nie było, mogliśmy się swobodniej poruszać w wagonie. Przebywaliśmy tam bodajże 3 dni. Uzbrojona straż wprawdzie towarzyszyła nam, ale wolno nam było rozglądać się, a nawet odejść dalej, ale każdy oddalał się od pociągu tylko na tyle, aby nie zgubić go z oczu, bo co będzie, jeśli odjedzie ?

Nie pamiętam, skąd mieliśmy niewielkie pieniądze, bo w robotniczej stołówce kupowaliśmy gęstą kapustę. Może wypłacono nam ekwiwalent za nie przygotowany jeszcze posiłek. Organizowała się bowiem dopiero podróżna kuchnia.

Wciąż przetaczano i doczepiano wagony do naszego składu. Skąd przybywały, dowiadywaliśmy się od przyjezdnych: spod Tobolska, spod Czelabińska. Tu spotykaliśmy kobiety i wywiezionych ze strajku głodowego - aktywistów. Pytaliśmy o Kiliszuka. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Zapewne jako radziecki obywatel z terenów wschodnich przyłączonych do ZSRR nie miał prawa do repatriacji. Podobno wrócił po paru latach, żyje i mieszka w Lublinie. Niektórzy z nas zobaczyli się ze swymi kolegami i znajomymi, których nie widzieli od dni wyzwolenia.

Wreszcie pociąg wekslowany na właściwy tor ruszył rażno w drogę. Drzwi były uchylone. Mogliśmy więc obserwować mijaną trasę. Znowu Perm, znowu Kirów (z postojem) znowu Moskwa (tu był dłuższy postój nocny, z którego zapamiętałem nocną panoramę murów i cerkiewnych wież, długą, oświetloną promenadę nad rzeką - kanałem oraz rozrzucone domki przedmieścia). Potem niewielka parterowa stacyjka z napisem Katyń,

na tle wzgórków porośniętych młodym lasem sosonowym i wreszcie Smoleńsk. Tu był dłuższy postój. Lokomotywa nabierała do tendra wodę, kolejarze sprawdzali podwozia wagonów. Wydawano nam nieźłą grochówkę, gdy z dużych megafonów, zawieszonych na drewnianych słupach podano komunikat o ucieczce wicepremiera Mikołajczyka z Polski.

Zrobiło się nam nieswojo. Taka komplikacja polityczna mogła wpłynąć na zmianę kursu naszej drogi. Wszystko to możliwe.

Ale nie ! Minęliśmy całkowicie zniszczony Mińsk Białoruski, wreszcie Borysów, dawną stację graniczną po stronie radzieckiej. Podróż trwała już z tydzień, ale nie rozróżnialiśmy dat, ani dni tygodnia. Kalendarz dla nas nie istniał. Ważne, że jechaliśmy na Zachód.

Prócz interesujących starych gór Uralu, pozostałe krajobrazy były monotonne, smutne. Była to przecież jesień, ale na bezmiernych pustych przestrzeniach nic się nie działo. Oko nie miało na czym spocząć, chyba, że na wypryskach samosiewów sosenek i brzoźek. Gdzieniegdzie sterczały w części europejskiej okopcone kominy po spalonych osiedlach.

Jakże inaczej przedstawiała się nam druga stacja graniczna po stronie dawnej Polski, nie mówiąc już o Baranowiczach. Okolice tych miejscowości były weselsze, zielone od ozimin pola, śmieśnięcie uciekały bruzdami w tył. Wokół ocalałych chat rosły drzewa owocowe. Można je poznać po pokroju korony: te przy płocie to wiśnie, głębiej rozłożyste jabłonie i strzeliste grusze. Na resztkach płotu wisiały garnki gliniane i emaliowane, to znów pasiaste chodniki zwane szmaciakami. Gdzieniegdzie zaszczeakał pies. Nie słyszeliśmy go, ale skoro kłapał dolną szczęką z podrzucaniem głowy do góry - to co mógł robić innego ?

Nie mieliśmy pojęcia, jak tu gospodarowano ziemią. Czy były kołchozy, sowchozy ? Czy jeszcze funkcjonowały indywidualne gospodarstwa chłopskie ? Nie sędzę, abym uległ patriotycznej psychozie. Zdarzały

się i tu ugory, wyrudziałe płaty niewykoszonych łąk i szuwarów, ale zielone kobierce ozimin nie były złądą. Istniały na prawdę. A wszystko razem wzięte - takie swojskie i kochane.

I tak, nie wiadomo kiedy, w początkach listopada 1947 r. stanęliśmy w Brześciu nad Bugiem. Po pobraniu śniadania kazano nam opuścić wagony z rozstawem szerokotorowym osi i kół. Wałęsaliśmy się po peronach, niewiadomo po co. Ten i ów znał przedwojenny Brześć, więc urywali się na spotkania i na place targowe. Poszedłem i ja wraz z innymi pogapić się. Na skraju miasta, na jakimś placyku między zabudowaniami, zastaliśmy bazar. Nie przypominał on polskich targów przedwojennych. Nie było wozów, koni, bydła, świń czy ptactwa domowego. Okutane w chuściny kobiety sprzedawały płody swych ogródków i sadów. Na ziemi w wyświechtanych woreczkach były ziemniaki, na płatach płótna trochę warzyw i owoców. Wszystkiego niewiele, często kilka lub kilkanaście sztuk cebul, czosnku, buraków i marchwi. Przewinęło się też parę kobiet ubranych z miejska. Spieniężały ostatnie pierścionki, aby kupić żywność. Było też kilku mężczyzn handlujących samosiejką machorki, bodajże również samogonem ukrytym w głębokich kieszeniach. Spotkaliśmy też paru pracowników zatrudnionych na kolei. Na pytanie, co słyhać? Odpowiedzieli: - To, co widzicie.

Ze wszystkimi można było porozumieć się po polsku. Mało, język polski dominował w szmerze bazarowego zgromadzenia.

Chcieliśmy niektóre osoby sprowokować do swobodniejszej rozmowy, ale sprowadzały się one do płochliwej wymiany skrótowej informacji.

Naraz ktoś mnie obłapił i zawołał: Stefan! Nie poznajesz mnie?
- To ja, twój brat cioteczny - Bolesław Kosieradzki.

Był zarosnięty i brudny, chudy i nienaturalnie wydłużony; nic dziwnego że nie poznałem go. Wracił spod Tobolska. Dziwił się, że jestem taki tłusty (był to obrzęk głodowy). Wróciliśmy na perony. Prosił

abym go ogolił.

Czym? - pytam -

Wyjął samodziałowy kozik i powiedział: - Tym - jest ostry.

Miałem przy sobie "kusoczek myła" (kawałek mydła), pobraliśmy wodę z peronowego kranu, zmiękczyliśmy brudne włosy brody. To nic, że wyrwały się włosy z cebulkami, o czym świadczyły krwiste plamy na skórze.

Bolek zachęcał: - Strugaj braciszku. Muszę jakoś wyglądać ! -

Rozstaliśmy się, bo transport, którym przybył, stał na innym torze, więc musiał trzymać się swojej grupy.

Nam kazano przeładować z jakiegoś pociągu przybyłego z Niemiec paki do wagonów poprzednio opuszczonych przez nas. Powiedziano nam, że po opróżnieniu wagonów możemy zająć je na nocleg.

Na drugi dzień wypędzono nas z nich.

- Wasz eszałon het! - wskazał ręką tor w oddali młody człowiek w kufajce, z naganem przy boku. Znaczący się był ważny. Gdy doszliśmy we wskazane miejsce, okazało się, że pociąg jest załadowany pakami z książkami, oprawionymi w skórę i w płótna tłoczone. A więc wyszabrowana biblioteka jakiegoś instytutu. Znowu napracowaliśmy się niemało, aby przeładować z pociągu normalnotorowego do pociągu szerokotorowego. Kantowaliśmy te skrzynie po betonie, więc niektóre rozbiły się, stąd wiemy, jaka była ich zawartość. Nie do jedzenia.

Niewiem jak długo trwałby ten kontredans z opróżnianiem wagonów i zajmowaniem ich, rzekomo na dalszą podróż do Polski, gdyby nie stanowcza postawa naszego komendanta, kolegi Tatowicza.

Oświadczył zawiadowcy stacji, że ludzie są słabi i chorzy i nie będą wykonywać robót, które są ponad ich siły. Nam zapowiedział, że w razie czego mamy wszyscy protestować.

Przybył do nas ów z naganem i po ukraińsku zaczął nam wymyślać. Kol. Totowicz zażądał od niego pisemnego nakazu.

Na to on uderzył parę razy w swoją kaburę i krzyknął po polsku:

- To jest nakaz !!!

Ta awantura spowodowała, że wszyscy ruszyliśmy żawą i ciasnym pierścieniem otoczyliśmy ich obu, krzycząc:

- Nie będziemy pracować bez nakazu. Przynieś nakaz ! Przynieś !!!

Mołojec zreflektował się. Ostrożnie wycofał się i pobiegł na stację. Nie wiadomo, co uradzili i czy coś od nich zależało ? W każdym razie pozostaliśmy już w poprzednich wagonach i dano nam spokój. Widocznie była to bezprawna fucha zarządzających węzłem kolejowym. Chcieli mieć bezpłatnych robotników, a być może wynagrodzenie przysługujące nam przywłaszczali sobie.

Wreszcie pewnego przedpołudnia zebrano nas i poprowadzono do koszar wojskowych. Tam wprowadzono nas do prawdziwej łaźni z natryskami. Przedtem jednak nastąpiła przebieranka pod dozorem "iskatiela" (rewidenta). Mieliśmy zostawić swoje ubrania, a po kąpieli ubrać się w nową bieliznę (z surówki) i dreluchy. Obuwie mogliśmy zatrzymać, lub wymienić na inne - używane, ale całe. Wyfasowałem do swoich trzewików onuce i owijacze. W międzyczasie chciałem przemyć swój budyń sowiecki płaszcz, do którego były zawieszony w woreczku przez siebie wykonane szachy. Rewident wyrwał mi z ręki płaszcz i zauważył woreczek:

- A to szto?

- Szaszki. Ja sam zdiełał !

- Wam nie nużno - i odrywając je odrzucił na bok.

Prosiłem, aby mi pozwolił zabrać nasionka rzepy, które miałem w bocznej kieszonce spodni. Oglądnął je, ale powiedział spokojnie.

- Eto zapreszczone (to zabronione).

Udało mi się wyłudzić od niego odrzucony płaszcz sowiecki. Powiedziałem mu, że w drelinach będzie mi zimno. Pozwolił wziąć go sobie.

W ten sposób uratowałem jeszcze jedną pamiątkę^a, wraz z płaszczem

oryginalne modlitwy ks. A. Kornilaka. Po otrzymaniu kawałka mydła rozkoszowaliśmy się ciepłą i bieżącą wodą. Po raz pierwszy od paru lat umyliśmy się porządnie. Na perony tego dnia nie wróciliśmy. Rozmieszczono nas w jakimś obozie wewnętrznym, pod strażą. Była tam względnie czysta pościel, sienniki i koce. Zrzędła nam nieco mina, bo znowu w obozie zostaliśmy odosobnieni. Jak długo tam przebywaliśmy - nie pamiętam. Pewnego dnia przyprowadzono jakiegoś wysokiego człowieka, z zarostem na twarzy. Trzymał się prosto, szedł sprężystym krokiem, ogarniał nas swym władczym wzrokiem. Cała jego postawa wyrażała dumę, niezłomność. Obok niego szedł mężczyzna niższy, ale wszystkie oczy skierowały się na tego wyższego.

Po baraku przeszło poruszenie. Kim oni są? Równocześnie pobiegła tajemniczo podawana z ust do ust informacja: generał "Wilk", generał "Wilk".... W konspiracyjnym AK było wielu ludzi o takim pseudonimie, nie każdy wiedział, że chodzi tu o pułkownika sprzed wojny, a potem legendarnego generała Krzyżanowskiego - dowódcę Wileńskiej Dywizji AK. Przy nim szedł podobno generał Bitner (nie ręczę za pisownię), dowódca lubelskiego okręgu AK. A więc są żywi i cali.

Potoczyły się rozmowy na temat dramatycznej sytuacji Wileńskiej Dywizji AK, która współdziałała z Armią Czerwoną w wyzwoleniu Wilna.

W latach 1944 - 1948 i później odbywały się w Polsce procesy wymierzone przeciw najofiarniejszym bohaterom polskiego Podziemia. Generał Krzyżanowski już po powrocie z więzienia moskiewskiego został osadzony w więzieniu Mokotowskim i tam zmarł w 1951 r.

Wróćmy jednak do obozu tymczasowego.

Pewnego dnia wyprowadzono nas na błonia za Brześciem. Był dzień pochmurny, ale bez opadów. Powiedziano nam, że oczekujemy delegacji Rządu Polskiego, która ma dokonać aktu repatriacji nas do Polski.

Po dość sztywnym i oficjalnym przedstawieniu się obu przedstawicielst^w następowало odczytanie nazwisk z list. Jednych kierowano na

lewo, innych na prawo. Trudno zgadnąć według jakich kryteriów dokonywano tej segregacji. W każdym razie znalazłem się w większej grupie, która została załadowana do pociągu. Konwojenci wciąż straszili nas, że jedziemy na sąd. Przytkumiało to naszą radość, ale kiedy koła pociągu zaczęły głośniejszej i dźwięczniej stukać na moście nad wodami Bugu ogarnęła nas euforia radości i szczęścia. Zaczęliśmy śpiewać, rzucać się nawzajem w ramiona. Konwojenci wprawdzie wołali: - Nie szumi, nie szumi. Zda was sąd! (Nie hałasować, czeka was sąd), ale nikt już nie zważał na kres pokrzykiwania. Śpiewaliśmy hymn: - Jeszcze Polska nie zginęła, potem pieśni partyzanckie.

Wtem pociąg stanął. Drzwi się rozwarły na całą szerokość. To ludność Terespola zebrała się, aby witać nieszczęśliwców gorącą kapustą, i kiełbasą i chlebem (dowiedzieli się od polskich kolejarzy, że transport jest już w drodze). Wysypaliśmy się z wagonów, nie zważając już na protesty konwojentów. Tylko gęby rozdziawiali na takie żywiołowe powitanie, chroniąc swoje karabiny oboma rękami. Widziałem, jak pęto kiełbasy zawisło na szyi jednego z konwojentów. Udobruchał się i chyba żartował, a może sam był przejęty scenerią zdarzeń:

- Czto wy za naród? Nam skazali czto jedzicie na sąd, a tu pozdrawiają Was kutasom... (Co wy za ludzie, nam mówiono, że jedzicie na sąd, a tu witają was kiełbasą).

Do Białej Podlaskiej przyjechaliśmy już wieczorem 13.XI.1947 r. Ponieważ przejął nas w imieniu Państwowego Urzędu Repatriacyjnego major Jaworski, nie było żadnej "prowierki". Prosto z wagonów szliśmy do fotografa, który robił nam zdjęcia do dokumentu repatriacyjnego. Jak się potem okazało, fotografie zostały opatrzone numerem ewidencyjnym według spisów. Potem już późną nocą wprowadzono nas do czystych baraków dostaliśmy kluski na mleku i położyliśmy się spać w świeżej pościeli.

A więc jesteśmy w Kraju.

Przez parę następnych dni wymienialiśmy między sobą adresy do odwiedzin, korespondencji, fasowaliśmy jakieś granatowe płaszcze sukienne z wycięciami na plecach - mówiono, że to kanadyjki, ale po co te łaty? Nie wziąłem go - wolałem zatrzymać swój - sowiecki. Przerobię go potem na jakąś kurtkę - pomyślałem. Włóczyliśmy się bez celu. Inżynier Rogalski miał kuzynów i znajomych w mieście, więc udałem się z nim w odwiedzinę, bo żadnej straży już nie było. A może nam się tak wydawało, bo w ciżbie ludzi kręciły się podejrzane typy. Poszedł cynk - uważajcie, to kapusie z Urzędu Bezpieczeństwa.-

Powitanie nas przez mieszkańców Białej Podlaskiej było wzruszające. Odwiedziliśmy parę domów. Na wikt zaprosili nas kuzyni inż. Rogalskiego. Pani domu prosiła nas, abyśmy przypadkowo nie dali się namówić na libację, bo miasto przyjęło już kilka transportów z Rosji. W dobrej wierze goszczono repatriantów całym sercem i "czym chata bogata", a więc jajecznicą na boczku, kiełbasą, no i wódką. Niestety były przypadki śmiertelne. Wyjąłowny przewód pokarmowy nie mógł sobie poradzić z ciężką strawnymi pokarmami, były skręty kiszek, bóleści i w najlepszym razie kończyło się przykrą chorobą, ^(jeśli) nie szpitalem czy cmentarzem.

- Dziś - powiedziała - wybaczenie, że dostaniecie tylko rosółek, a nie miejcie mi za złe, że kurkę zjedzą domownicy -.

Oczywiście, ze zrozumieniem i z podzięką przyjęliśmy to ostrzeżenie, choć ślinka ciekła, choćby na skrzydełko.

Codziennie więc chodziliśmy do naszej opiekunki na obiady, a ona stopniowo dawkowała nam ilość i jakość pokarmów. Śniadania i kolacje otrzymywaliśmy w "Purze" (Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym). Kawa zbożowa lub herbata zaprawiana mlekiem. Z chlebem nie mogły nam zaszkodzić.

Pewnego wieczoru zastaliśmy u naszej gospodyni nieznaną nam przys-

tojną kobietę, która po wzajemnej prezentacji i upewnieniu jej, że jesteście ludźmi godnymi zaufania, z emfazą opowiadała, jak to leśni chłopcy, uzbrojeni "po zęby", kawalkadą przejechali przez miasto i nikt nie odważył zastąpić im drogi. Stąd dowiedzieliśmy się, że opór przeciw narzuconym stosunkom ustrojowym nie wygasł jeszcze w Polsce. Zegnając się, owa pani wręczyła nam po jednej perfumowanej chusteczce. - To na lepsze życie, a kiedy odżywiecie się i będzie wam źle, zapraszamy do siebie - powiedziała i tak, jak się pojawiła, tak znikła.

Zaimponował nam nasz ksiądz A. Kornilak, który najbliższej niedzieli z ambony kościoła w Białej Podlaskiej wołał do ciżby ludzi szczerze wypełniających świątynię:

- Wróciliśmy z ziemi niedoli, by bezgranicznie służyć naszej Ojczyźnie może wierniej niż kiedykolwiek przedtem. Teraz wiemy, cośmy mieli i cośmy utracili. Niech nikt z rodaków nie mówi, że jest mu źle. Jasniej tu słońce świeci, zieleńsze są drzewa, skrzętniejsza praca ludzka...

Bogu dzięki za ocalenie. Niech nas strzeże, ochrania, niech nam pomaga w trudzie budowania swej lepszej przyszłości, bo jaka by ona nie była, jest lepsza od tej, którą mieliśmy okazję poznać. Ludzie płakali, przez łzy odśpiewali - Boże coś Polskę - z akcentem na słowa: racz nam wrócić Panie....

O wielkiej żarliwości, ukochaniu Ojczyzny, o duchowej postawie ks. Kornilaka niech świadczą dwie modlitwy, które sam napisał w obozie pod Świerdłowskiem: 1) Modlitwa za Polskę

2) Modlitwa za drogie osoby

i ofiarował mi w dniu 6 kwietnia 1947 r.

Ponieważ prawie tydzień oczekiwaliśmy na dokumenty repatryjacyjne, a śpieszyło się nam do domów, wybraliśmy delegację, aby rozmówiła się z kierownictwem "Puru" i postawiła sprawę jasno:

Jeśli za trzy dni nie otrzymamy dokumentów - rozjedziemy się po Polsce bez nich.

Porucznik (nie pamiętam jego nazwiska) przeraził się nie na żarty - Panowie, nie róbcie tego, skomplikujecie sobie i innym życie. Sam nie mogę decydować, muszę porozumieć się z Warszawą, przekażę wasze warunki - .

Widocznie uzyskał zgodę, bo zaczęto nam wydawać sukcesywnie dokumenty ściślego zarachowania, z danymi osobowymi i fotografiami i pieczęciami PUR-u. Ważność tego dokumentu opiewała na 3 miesiące licząc od dnia 17 listopada 1947 r. Na jego podstawie mogliśmy bezpłatnie odbywać podróże koleją po całej Polsce (co prawda stację docelową określaliśmy sami, ale praktycznie rzecz biorąc, służba kolejowa nie czyniła przeszkód w przejazdach inną trasą). Chodziło bowiem o to, aby każdy na własną rękę szukał odpowiedniego zatrudnienia i miejsca stałego osiedlenia się. Wypłacono nam po 1000 zł zapomogi, każdemu wręczono typowe paczki żywnościowe UNR-y. Były w niej konserwy z mięsa wołowego lub koniny, słodycze i coś tam jeszcze. W czasie podróży mogliśmy wstępować do urzędów PUR w większych miastach, gdzie wydawano różne sorty mundurowe z demobilu, wypłacano dalsze drobniejsze zapomogi pieniężne wpisując do zaświadczenia repatrianta treść zapomogi materialnej. Nie można więc było korzystać z niej bez ograniczeń.

Jak później dowiedziałem się, nie wszystkim tak gładko zakończył się wjazd do Polski. Niektórzy repatrianci zostali zatrzymani lub aresztowani w Białej Podlaskiej - do dyspozycji Urzędu Bezpieczeństwa

Ja bez przeszkód przyjechałem do Siedlec. Ze stacji razem z Mietkiem Mechem poszedłem na ul. 1-maja, gdzie mieszkała jego ukochana dziewczyna, której fotografie nosił i ukrywał przy sobie. Przez cały okres pobytu w ZSRR były one pewnego rodzaju talizmanem, ostoją myśli, marzeniem o szczęściu. Chciał, abyśmy się poznali.

Była zdrowa, ale przyjęła nas chłodno, niemal obojętnie. Mietek zrozumiał, że on i ona są już dla siebie obcyi ludźmi. Ktoś inny przegrodził ich od siebie. Zostawiłem ich samych, aby przejść się po mieście, i zobaczyć, co się zmieniło od 1944 r. Zewnętrznie nic się nie zmieniło. Wstąpiłem do państwa Jankowskich przy ul. Sienkiewicza. Tam zostałem w 1940 r. zaprzysiężony do Służby Zwycięstwa Polski SZP (poprzedniczki ZWZ i AK). Pani Jankowska przyjęła mnie serdecznie, ale była zboląka. Powiedziała, że jej mąż w 1945 roku został aresztowany i rozstrzelany. Niech pan uważa, mój dom nie jest całkiem bezpieczny, szaleje terror, ale i opór - choć przygasający. Ojczyzna wciąż jeszcze walczyła. Pożegnałem ją więc i zdecydowałem iść prosto do domu, ale korceło mnie zasięgnąć języka po drodze. Idąc ulicami czułem iż ktoś za mną przystaje, obserwuje, śledzi - Czy budzę swoją postacią sensację, czy też jestem przewrażliwiony? - myślałem.

Na rogatkach wstąpiłem do państwa Ornochów. Ich syn był moim podkomendnym. Zastałem wszystkich, ale nie od razu mnie poznali: obrzęki na twarzy, ruski płaszcz, owijacze, włosy niegdyś bujne, ^(teraz) ostrzyżone - Cudaczek - określiła potem swoje pierwsze wrażenie Baśka - siostra Jurka.

Dopiero mój głos naprowadził ich na właściwe skojarzenie. Odwiedziłem jeszcze państwa Patyńskich pod Siedlcami. Oboje uczyli mnie w młodszych klasach szkoły powszechnej. Nie było między nami tajemnic.

Leon zrelacjonował przykłady, źródła i powody strachu w wyzwolonej ojczyźnie. Wszystko było dla mnie nowe. Dopekniałem dno swojej udręki. Czy nie dopadną mnie jeszcze zbiry z UB?

Przekroczyłem próg rodzinnego domu już wieczorem. Tu zastałem brata Antoniego, którego nie widziałem prawie 10 lat (był w wojsku, w czasie wojny w niewoli niemieckiej, a gdy wrócił do domu, ja już dawno byłem na "gościnnej ziemi radzieckiej". Właśnie on podał list od "alinki -

mojej narzeczonej. Treść listu była krótka: - Koniecznie przyjedź do mnie, muszę z Tobą porozmawiać - Antoni dodał: - Słyszałem od Piotrowskich (kuzyni Halinki), że wyszła za mąż - O twoim powrocie dowiedziała się od kolegi, który wrócił przed paroma dniami.

Ta wiadomość uderzyła we mnie, jak grom.

- Z tego coś ukochał nie ma już nic - zadrgało we mnie żalem, wyrzutem, już nie wiem czym, ale nieznośnym przygnębieniem. Niełatwo pogodzić się z taką wiadomością, gdy wszystkie sensowne myśli łączyły się z ukochaną dziewczyną. Ona była nadzieją, przystanią znękanego państwa, zaczynem ozdrowicielskim, zadatkim nowego życia w nowych warunkach. To wszystko zostało zniweczone.

Posłowie

Wspomnienia swoje z łagrów sowieckich spisywałem parę lat z przerwami: fragmentami i do szuflady. Wierzyłem, że będą one komuś potrzebne, nie tylko rodzinie.

W 1976 r. przenoszono mnie na emeryturę z urzędu. Wówczas upomniałem się o zaliczenie do stażu okresu ponad trzech lat mego pobytu w obozach ZSRR; od października 1944 r do 17 listopada 1947 r, w przymusie pracy bez wynagrodzenia, bez wyroku sądowego, jako internowany. Mimo przedstawienia karty repatriacyjnej i zaświadczenia MON o weryfikacji stopnia oficerskiego, urzędnik ZUS nie chciał wziąć tych dokumentów pod uwagę bo były wydane przez władze polskie, a nie radzieckie. Twierdził, że w ZSRR nie było łagrów. Właściwie należałoby się zwrócić do władz radzieckich o potrzebny dokument i ewentualne odszkodowanie, ale wówczas nie było do pomyslenia, aby ktokolwiek odważył się na wysunięcie w stosunku do ZSRR roszczeń. Władze radzieckie nie wydały jakichkolwiek dokumentów dotyczących pozbawienia nas wolności osobistej. Sprawa Akowska stawała się coraz bardziej drażliwa.

Teraz już wiem, że Stalin uzyskał od Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego prawo, oddające radzieckiemu dowództwu najwyższą władzę w pasie przyfrontowym do zakończenia wojny. Na podstawie tej umowy zawartej 28 lipca 1944 r NKWD porwało z terenów centralnej Polski 50 - 60 tys. Akowców i osadników w obozach, a wyższych dowódców skrytobójczo wymordowało. Z naszej podlaskiej ziemi NKWD uprowadziło całe dowództwo akowskiego Obwodu Siedleckiego, o czym dowiedziałem się dopiero po powrocie do Kraju. Zginęli bez wieści oficerowie z pierwszej "selekcji" w Obwodzie Siedlce:

- gen. zawod. Lucjan Szymański - ps "Janczar"

inspektor podokręgu Wschód

- p płk. zawod. Marian Zawarczyński - ps "Ziemowit"
komendant Obwodu Siedlce
- mjr zawod. Jerzy Sasin - ps "Kopka"
szef grup bojowych i komendant
Obwodu Sokołów Podlaski
- kpt zawod. Jan Gilewicz - ps "Wolf"
szef łączności i wykładowca tajnej
podchorążówki w Mordach
- por. rez. (nauczyciel) Feliks Młynarczyk - ps "Grot"
dla rejonu Siedlce
- p por rez. Jankowski - ps "Zbój"
wywiad i kontrwywiad.

Prawdopodobnie pokryła ich ziemia polska.

Na Wschód jechali robotnicy i chłopci, a przede wszystkim ich dowódcy, a więc inteligencja. Przed "pierestrojką" Gorbaczowa niebezpiecznie było mówić o powyższych faktach, a relacje uczestników z "gościnniej" ziemi radzieckiej zaliczano do ciężkiego kalibru przewinień, jako rzekome szkalowanie przyjaznego nam Kraju Rad. Na swoich spotkaniach "eksztagerników" mobilizowaliśmy się wzajemnie do pisania wspomnień dla następnych pokoleń. Uważaliśmy i uważamy nadal, że żaden okrucuch naszej niedoli i naszej krzywdy nie powinien być zapomniany. Trudno godzić się z tezą że:

- Należy zamknąć świat umarłych, bo on nas dzieli, a umarłych nie już nie boli i nikt ich nie ożywi -.

Milczenie może być odczute jako bezkarne uwolnienie sprawców ludobójstwa od odpowiedzialności, choćby moralnej. Potępienie zbrodni przestrzega przed ewentualnym dokonywaniem gwałtów i mordów w przyszłości. Byłoby źle, gdyby Polacy nie wyrażali swego oburzenia na okrucieństwa i zbrodnie.

Naszym moralnym i patriotycznym obowiązkiem "ekszlagierników" jest dokumentowanie tego, co się na naszych oczach wydarzyło, czego osobiście doświadczyliśmy. Chcielibyśmy, aby o naszych cierpieniach i krzywdach dowiedziało się nie tylko społeczeństwo polskie, ale również społeczeństwo Kraju Rad, jako że zależy nam na znalezieniu właściwej płaszczyzny wzajemnego porozumienia co do budowy obopólnej, autentycznej przyjaźni. Deklarowana dotychczas przyjaźń polsko - radziecka nie mogła być szczera, bo mijała się z dobrem Polski i Polaków, a w szerszym ujęciu z prawami człowieka.

Społeczeństwo radzieckie zaczyna powoli wchodzić w proces samoczyszczenia się. Zdaje się rodzić w nim sumienie krzywdzicieli. Rachunek krzywd i strat wyrządzonych przez radzieckich "polakożerców" tylko w ostatniej wojnie jest przeogromny. Trudno nawet z grubsza oszacować liczbę ofiar - wg. niektórych źródeł może ona wynosić 600 - 700 tys. osób, a więc tyle, ile liczyły straty Armii Czerwonej w walkach z armią hitlerowską na terenach wyzwolonej Polski. A przecież nie Polska tę wojnę wywołała.

Jeden z oficerów politycznych NKWD w przystępie dobrych intencji powiedział do obozowiczów:

- Właściwie powinniście nam dziękować za internowanie i przechowanie was w łagrach. Nie musieliście narażać się na niemieckie kule -.

Wyjątkowy cynik. Mówił tak, jakby nie wiedział, że kule radzieckie są nie mniej śmiertelne. Ale powiedzmy, że odbyło się bez nich.

W łagrach zginęło 25 - 30 % "zakluczonych" (aresztowanych). Taki ubytek na froncie danej jednostki bojowej jest zaliczany do krwawej masakry. Tylko ci, którzy wrócili z sowieckich obozów wiedzą, jak zabija totalny głód, potworny klimat, praca ponad siły, wyniszczające pluskwy, pchły, wszy, świerzbi i mikroby chorobotwórcze.

Literatura wspomnieniowa pozwoli polskim młodym pokoleniom poznać bolesną prawdę o łagrach sowieckich, a Rosjanom wyzbyć się obłudy, fałszerstwa i zakłamania, wpojony^{ch} przez antypolako nastawiony aparat nacisku, który wyeliminował z walki wyzwoleńczej setki tysięcy najwartościowszych ludzi, aby ich unicestwić w hańbie i poniżeniu. Organa radzieckiego bezpieczeństwa państwowego w swojej zarozumiałości i pysze zwycięzcy dawały odczuć: - Przyszliśmy nie po to, by was wyzwalać, lecz po to, by was karać -. Praktyka zatrzymań i aresztowań przez NKWD i późniejsze, już obozowe selekcje były nieskomplikowane: - od ulicznych "pokaż ruki" (pokaż ręce) do ustalenia "obrazowania" (wyszkolania) - w "doprosach" (w przesłuchaniach). Każdy Polak, który coś znaczył w swoim środowisku, był zaliczany do ludzi podejrzanych i niepożądanych. Wystarczyło, że ktoś był trudny do pozyskania dla Kraju Rad lub odważnie akcentował swoje patriotyczne stanowisko, aby się znalazł w przedziale "wroga ludu". Szczególnej "obróbce" służby bezpieczeństwa podlegali ludzie utalentowani, zasłużeni działacze, dowódcy sztabowi organizacji podziemnych. Z reguły Akowcy musieli znosić bezprzykładne poniżanie godności osobistej, a nawet cierpienia fizyczne. Rzadko kto mógł liczyć na proces sądowy. Wystarczyły sądy polowe nie podlegające jakiegokolwiek weryfikacji. Mało kto ujawniał rąbka krwawej tajemnicy, nawet po wielu latach.

Wyjątkowe szczęście miał por. rez. Tomasz Hardejewski - pseudonim "Grab" - szef Biura Informacji i Propagandy A.K. obwodu siedleckiego. Był aresztowany przez NKWD jako członek ścisłego kierownictwa Obwodu, ale jako potrzebny do dalszej "obróbki" został wywieziony do Rosji na sąd. Skazano go na 10 lat łagrów. Po odbyciu kary dodano mu jeszcze rok, licząc, że nie dożyje terminu zwolnienia. Tymczasem "Grab" był słaby fizycznie, ale mocny duchem i wrócił do Polski, dożywając 87 lat.

Pierwsza "selekcja" pojmanych Akowców odbyła się jeszcze w Polsce na drodze skrytobójstwa. Druga selekcja nastąpiła po półtora roku naszego pobytu w Łagrach. Do tajgi zauralskiej pojechali ludzie z białymi rękami - inteligencja z różnych miejscowości Centralnej Polski. W personaliach przejawiały się takie miejscowości pochodzenia: Krosno, Jasło, Sanok, Kolbuszowa, Ropczyce, Rzeszów, Tarnobrzeg, Dębica, Lublin, Łuków, Siedlce, Mielec, Biała Podlaska, Sokołów Podlaski, Wołomin, Radzymin, Rembertów.

Pobieżnie obliczony skład zawodowy po strajku głodowym przedstawiał się następująco:

1 pułkownik zawodowy, 2 majorów zawodowych, 3 kapitanów zawodowych, 5 poruczników zawodowych, około 300 podporuczników służby stałej i rezerwy, kilkunastu podchorążych i podoficerów (najczęściej z konspiracyjnych szkół AK), 6 ziemian (w tym 1 książe i 1 hrabia), 1 ksiądz rzymsko-katolicki, paru leśników, kilkunastu nauczycieli, 1 operator filmowy, kilku urzędników państwowych (w tym 1 dyplomata), dwóch marynarzy, 18 lekarzy, kilku żołnierzy z Armii Berlinga, 2 cichociemnych (skoczków z Anglii), 1 pracownik radia lubelskiego, 1 łącznik wysłany przez gen Bora Komorowskiego do gen Rokossowskiego, 1 obrońca Westerplatte, 1 Żyd z rządu lubelskiego, cały oddział akowski rozbrojony w obwodzie Mielec. W sumie było nas około 800 osób.

Nie można spodziewać się, że nasze wspomnienia wypełnią obraz całości kształtu barbarzyństwa "imperium zła". Temat był nietykalny, zakazany i do dziś w znacznej mierze przemilczany.

Jako internowani widzieliśmy tylko skrajny margines rzeczywistości sowieckiej. Gdyby nas ktoś zapytał: jak żyją Rosjanie na wolnej stopie, byłibyśmy z odpowiedzią w kłopotcie. Wprawdzie w moim eseju jest sporo migawek, ukazujących niedolę ludzką w komunizmie: wybieranie z ziemi

zeszłorocznych ziemniaków, pokopli, żucie trocin, los samotnych matek i ich dzieci, przekleństwo pracy, odżywianie robotnic rolnych itp., ale nie obserwowaliśmy prawie wcale wesołych epizodów życia, radości z pracy, czułości do członków rodziny, miłości itd., a przecież coś z tego być musiało. Rezygnacja i brak nadziei zapewne nie wyczerpuje treści życia "wolnych" Rosjan.

Ojczyzna - to podniosły temat literatury rosyjskiej, ale co o tym myślał przygnębiony obywatel radziecki, który nie czytał książek, lecz poddawany był presjiⁱ rozkazom komisarzy?

Być może, że czytelnik powyższych uwag zarzuci mi jednostronność^{oceny} społeczeństwa radzieckiego, ale jakże pisać o tym, czego nie mogliśmy widzieć. Z konieczności daję wycinkowy obraz ludności w waciakach i walonkach, bo ludzi w krawatach i lakierkach nie spotykaliśmy.

Sołżenicyn w swojej książce p.t. "Archipelag Gułag" zbyt skąpo naświetlił trudności spisywania realiów bytowania w obozach: zdobywania papieru, narzędzi pisarskich, przechowywania zapisków itp. Rozumiem, że musiał pamiętać o bezpieczeństwie nie tylko własnym, ale i tych, którzy wewnątrz^{na} jak i zewnątrz obozów pomagali pisarzowi w rejestrowaniu faktów i zabezpieczaniu rękopisów przed donosicielstwem oraz konfiskatą materiałów z dalszymi konsekwencjami. Nam nie pomagał nikt. Byliśmy w daleko trudniejszych warunkach. Gdyby nawet ktoś z nas bardzo zapragnął utrwalić na żywo swoje przeżycia - to byłoby^{to} zupełnie niemożliwe. Od dnia deportacji poddano nas daleko posuniętej izolacji. Utajnienie musiało dotyczyć także wiadomości o więźniach Kozłiska, Starobieliska, Ostaszkowa, a również^o represjonowanych w Polsce. Funkcjonariusze NKWD byli przekonani w 1940 roku, że nikt nie dotrze tam, gdzie zostały pochowane zwłoki pomordowanych. Sądziłi również, że my o tej tajemnicy stanu nic nie wiemy. Niefrasobliwość oprawców sprawiała,

że przy ofiarach w Katyniu pozostawiono dokumenty, kalendarzyki z zapiskami, ołówki itp. To nie mogło się powtórzyć. Dlatego przy naszych wielokrotnych rewizjach przede wszystkim szukano papierów i przyrządów do pisania. Rewidenci musieli wykazać służbową staranność w pozabawianiu zatrzymanych i aresztowanych materiałów dowodowych (na wszelki wypadek). Grabież przedmiotów użytecznych nie wymaga komentarzy. Pojęcie depozytu w ZSRR nie było stosowane (przynajmniej w stosunku do Polaków). Pożądliwość zdobycia "skarbów" była zaspokojona za zgodą i aprobatą przełożonych dowódców. W obozie kompletnie brakowało papieru. Nawet administracja obozowa wykorzystywała opakowania z nadchodzących darów amerykańskich. Spisy brygad, wychodzących poza bramę do pracy, sporządzano na deskach, codziennie zeszkrobywanych szkłem dla wpisania aktualnych nazwisk. Oto powody, że nie pisaliśmy pamiętników, jedynie mogliśmy pisać wspomnienia już po powrocie do Polski.

Byliśmy "utajniani" nie tylko wobec własnego kraju, ale również i chyba przede wszystkim wobec rosyjskiego społeczeństwa. Nawet epizodyczne i okazjonalne próby rozmowy z obywatelami radzieckimi napotykały na gwałtowny sprzeciw konwojentów. - Nie razgawariwat: - Nie zadawat waprosow. - Nie rozmawiać, nie zadawać pytań - zakazy tak dla Polaków, jak i Rosjan. Byliśmy zawsze pod bronią nadzorców. Wprawdzie zdarzały się krótkie wymiany słów "sam na sam" z jakimś Rosjaninem lub Rosjanką, ale wciąż te informacje dla nich niewiarygodne były przyjmowane z niedowierzaniem, szczególnie zapewnienia, że nie byliśmy i nie jesteśmy przestępcami ani sprzymierzeńcami Niemców. Dziwili się: Jakże można tak traktować niewiennych ludzi? Wiele trudu włożyła propaganda reżimowa, aby nas zohydzić. Szczególnie podatne na te antypolskie, nacjonalistyczne akcenty były dzieci szkolne i wychowankowie konsomolu, którzy byli wychowywani wbrew zasadom pedagogii "na bieżąco",

że przy ofiarach w Katyniu pozostawiono dokumenty, kalendarzyki z zapiskami, ołówki itp. To nie mogło się powtórzyć. Dlatego przy naszych wielokrotnych rewizjach przede wszystkim szukano papierów i przyrządów do pisania. Rewidenci musieli wykazać służbową staranność w pozbawianiu zatrzymanych i aresztowanych materiałów dowodowych (na wszelki wypadek). Grabież przedmiotów użytecznych nie wymaga komentarzy. Pojęcie depozytu w ZSRR nie było stosowane (przynajmniej w stosunku do Polaków). Pożądliwość zdobycia "skarbów" była zaspokojona za zgodą i aprobatą przełożonych dowódców. W obozie kompletnie brakowało papieru. Nawet administracja obozowa wykorzystywała opakowania z nadchodzących darów amerykańskich. Spisy brygad, wychodzących poza bramę do pracy, sporządzano na deskach, codziennie zeszkrobanych szkłem dla wpisania aktualnych nazwisk. Oto powody, że nie pisaliśmy pamiętników, jedynie mogliśmy pisać wspomnienia już po powrocie do Polski.

Byliśmy "utajniani" nie tylko wobec własnego kraju, ale również i chyba przede wszystkim wobec rosyjskiego społeczeństwa. Nawet epizodyczne i okazjonalne próby rozmowy z obywatelami radzieckimi napotykały na gwałtowny sprzeciw konwojentów. - Nie razgawariwat: - Nie zadawat waprosow. - Nie rozmawiać, nie zadawać pytań - zakazy tak dla Polaków, jak i Rosjan. Byliśmy zawsze pod bronią nadzorców. Wprawdzie zdarzały się krótkie wymiany słów "sam na sam" z jakimś Rosjaninem lub Rosjanką, ale wciąż te informacje dla nich niewiarygodne były przyjmowane z niedowierzaniem, szczególnie zapewnienia, że nie byliśmy i nie jesteśmy przestępcami ani sprzymierzeńcami Niemców. Dziwili się: Jakże można tak traktować niewiennych ludzi? Wiele trudu włożyła propaganda reżimowa, aby nas zohydzić. Szczególnie podatne na te antypolskie, nacjonalistyczne akcenty były dzieci szkolne i wychowankowie konsomołu, którzy byli wychowywani wbrew zasadom pedagogii "na bieżąco",

zgodnie (jak to się mówiło) z aktualizacją treści nauczania i wychowania (upolitycznienie). Filarem ideologicznym doktryny komunistycznej miał być internacjonalizm, a faktycznie był ^{on} frazesem, w oparach którego kryła się szowinistyczna rusyfikacja.

Niewiele zmieniło się pod tym względem od 1920 roku. Właśnie dlatego moje wspomnienia, jako dziecka, włączyłem do swego eseju, aby ukazać istnienie problemu przez dziesięciolecia. Obie strony walczące wówczas ze sobą również obrzucały się epitetami, ale ówczesni bolszewicy mieli zwyczajne ludzkie twarze. Nie znali jeszcze wychowania przez łagry. Naiwnie głosili nadzieję powszechnej sprawiedliwości i szczęścia ludów w sytości, za ich bolszewicką sprawą. Liczący się myśliciel okresu Wiosny Ludów Wissarion Bieliński marzył o wielkiej przyszłości Rosji i pisał:

- Zazdrościmy wnukom i prawnukom naszym, którym sążone będzie widzieć Rosję w 1940 roku, stojącą na czele oświeconego świata, nadającą prawa nauce i sztuce i odbierającą daninę szacunku i czci od całej oświeconej ludzkości - (Tę "perełkę" znalazłem w krótkim słowniku filozoficznym na stronie 51 - 52, wydanym przez Książkę i Wiedzę w 1955 r.; przekład z czwartego, poprawionego wydania rosyjskiego). Oto korzenie rosyjskiej pychy - Nas stać na wielkość - przekonywał ideolog duszy rosyjskiej. Pamiętamy, co się stało w 1940 r ! Porażeni zostaliśmy szczytem martyrologii oświeconych Polaków.

Przybysze ze Wschodu w 1920 roku, jak wiatr powrotny zniknęli w tumanach kurzu. W dwudziestoleciu międzywojennym zdarzało się, że spotykałem ludzi, którzy swymi poglądami ocierali się o problemy socjalizmu czy komunizmu. Krytykowali ustrój sanacyjny, wskazywali na osiągnięcia wschodniego sąsiada. Czytałem filorewolucyjną książkę pt. "Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem" Johna Reeda. Czytałem swoj-

ską książkę Melchiora Wańkowicza pt. "Opierzona rewolucja", a przede wszystkim "Poemat Pedagogiczny" Makarenki z jego fantastycznymi osiągnięciami wychowawczymi i wiele innych książek z zakresu utopii socjalizmu i komunizmu. Równocześnie z prasy dowiadywałem się o imponujących osiągnięciach Kraju Rad: Dnieprostroj, Magnitogorsk, Kanał Białomorski, Kanał Wołga - Don. Przykłady przekonywujące. Nie wiedziałem, że będę mógł zobaczyć nieopodal Szepietowa zarzucony kanał bez nazwy, który pochłonął około 60 tys. istnień ludzkich, przeważnie "kułaków", a może nie tylko "kułaków" (znajdowano guziki z polskimi orłami w koronie). W trójkącie miejscowości Borowicze Bałagoje, jezioro Selin-
ger, (w sercu Rosji między Moskwą a Leningradem) /leży duży obszar przeklętej - świętej ziemi, która kryje wielkie tajemnice. Z dużym prawdopodobieństwem (można jednocześnie powiedzieć, że) każda gigantyczna wielka budowa w ZSRR pochłonęła wielokrotnie więcej istnień ludzkich niż to miało miejsce w Szepietowie (niedaleko rzeki Msta).

Gdy się pomyśli o niewolniczej, morderczej pracy - to satysfakcja z jej rezultatów jest co najmniej problematyczna. To prawda, że wojny ojczyźnianej jaką prowadziła Armia Czerwona nie można niedoceniać, ale i tu trzeba zapytać o koszty, nie zawsze konieczne. Cierpienia i życie ludzkie nie liczyło się w kalkulacjach strategii ZSRR.

Przemocnym czynnikiem dyscyplinującym społeczeństwo radzieckie był strach, a strach był napędzany przez aparat polityczno - policyjny (obojętne jak się nazywał) zorganizowany przez Stalina i jego pomocników (Mołotow, Beria, Mierkułow). W ich rękach spoczywał los milionów ludzi.

Jakież kwalifikacje posiadało NKWD? Wykształcenie humanistyczne byłoby przeszkodą w wyegzekwowaniu ślepej karności. "Władza radziecka wie co robi", argumentują obywatele Kraju Rad. Wyższość zaprogramowanej gospodarki ZSRR nad innymi krajami kapitalistycznymi stała się

dla Rosjan oczywista. Stąd hasło: Dościgniemy, prześcigniemy !!
Ludzie aparatu propagandy w swoim ręku ześrodkowali represyjny nadzór w każdej dziedzinie życia gospodarczego i społecznego a nawet naukowego. W obrębie obozu propagandiści operowali kłamliwą informacją i strachem, ale również bezprzykładną niewiedzą swoich obywateli.

- Z ziemi radzieckiej nikt nie ucieknie, nawet ptak - krzyczał na powierce st. lejtnant Rodin - (Niestety, była to prawda).

- Kto ucieka z obozu, ten na pewno jest przestępcą, bo chce uniknąć kary za przeciwstawianie się sowieckiej władzy - (perfidia).

Pod kloszem strachu Stalin i jego wykonawcy doprowadzili swoje społeczeństwo do nieprawdopodobnej pauperyzacji. Nadużycia władzy bez sumienia zepchnęły jednostkę do ślepego posłuszeństwa, przy zatraceniu samodzielnego myślenia i zaniku aspiracji do żądań praw człowieka.

Problem antyrosyjskości w Polsce międzywojennej miał raczej charakter ^(przygodny,) literacki, historyczny i socjologiczno - polityczny. Nastawienia antypolskie w ZSRR miały charakter programowy ^{(na przykład} podręczniki).

Bardzo dotkliwie odczuwaliśmy zniewagi rzucone przez młodzież szkolną i wychowanków komsomołu pod naszym adresem.

Niezrozumiałe było to, że szczególnie "bojcy" skośnoocy byli tak zniewoleni przez władzę satrapów, że po prostu tylko czekali na przyzwolenie, aby swoimi "sztykami" przebijać "panów". Tak, jak by chcieli zaspokoić głód mordy. Oni nudzili się. Wiedzieliśmy, co potrafili robić prymitywni ludzie wschodu z dywizji Kamińskiego podczas Powstania Warszawskiego w służbie hitlerowców. Kult karabinu był upostaciowany w osobie konwojenta, który przed wymarszem brygady do pracy z palcem na spuście wygłosił taką formułkę:

- Pany, a pany! Wniamanie! Szag w prawo, szag w lewo, budiem prynimac oriuzje (panowie, uwaga, krok w prawo, krok w lewo - strzelamy).

Jacy oni byli ważni, że mogą rozkazywać lub czegoś zabraniać "panom i kapitalistom". Byliśmy przekonani, że użyją swej broni, aby zastrzelić człowieka, który wyskoczy bez pozwolenia po grzyba, pokrzyw oset dla dokarmienia się czy papierowego peta. Podałem w tekście tylko dwa przypadki niepotrzebnej śmierci, ale było ich więcej. Dlatego nie lekceważyliśmy bełkotu ludzi^wburych i brudnych szynelach.

Do wartości najwyższych społeczeństwo radzieckie zalicza odwagę bojową. Odznaczenia bojowe nosi się tu ze szczególną atencją i poważaniem. Natomiast praca, szczególnie umysłowa, nie jest w cenie. Niemal na każdym kroku widzieliśmy brak poszanowania do wytworów pracy ludzkiej.

Pospolita bieda bierze swój początek w niegospodarności i w lekceważeniu swych obowiązków. Mieliśmy więc do czynienia ze ślepią dyscypliną w sprawach politycznych i rozluźnieniem jej w pracy zawodowej.

W świecie niedoli ludzkiej i poniżenia byt człowieka draży korozja słowa, ^{a ta} z kolei brutalizuje jego myślenie i działanie. Prawda, że mieliśmy do czynienia z nadzorcami, a więc ludźmi surowego autoramentu, dla których piękny, bogaty język rosyjski był za trudny, a nawet nieznanym. Wszystkim było źle i bez nadziei, coraz gorzej i gorzej. Aby dodać sobie animuszu, dzielności - obywatel wulgaryzuje mowę. Bijatyki wprawdzie zdarzały się rzadko, ale sprzeczki, spory, a nawet zwykłe rozmowy były zaprawiane przekleństwami. Czytelnik wybaczy mi, że w eseju wtrącałem fonetycznie zapamiętane rosyjskie zwroty bez pełnego ich rozumienia. Dodają one pikanterii. Dzięki temu nie zapomniałem zaskłyszanego języka. Złym mistrzem w tej dziedzinie był Pawlik ze stolarni. Zkorszeczył i przeklinał całymi wiązkami, nie powtarzając się. Aż gęsia skóra występowała na ciele, gdy wzniecał swoją agresję grubiaństwem, prostactwem, nienawiścią, złością, histeryczną dzikością bez opamiętania.

W społeczeństwach cywilizowanych o wysokim poziomie moralności egzystuje w języku "słowo honoru". Słowo honoru funkcjonuje tam w stosunkach towarzyskich, obyczajowych a nawet służbowych. Dotrzymuje się tego słowa w poczuciu rzetelności, godności własnej. Tu coś podobnego byłoby przewrotnym żartem. "Jej bohu" - taki "kwiatek do kożucha", do niczego nie zobowiązuje w państwie ateistycznym.

Wielokrotnie słyszeliśmy zapewnienia "śledowaciel": "Ja wam daję sławo oficera Krasnoj Armii... że będzie to a to. Teraz wiadomo, że oszukiwali. Nie wiedzieli o tym polscy dowódcy udający się na układy w sprawie zaprzestania walki lub kapitulacji i ginęli.

Przesiedlanie różnych grup narodowościowych w nowe miejsca osiedlenia przynosi znaczne rezultaty w procesie rusyfikacji, ale zniszczenie moralnej struktury rodzimej czy innej zbiorowości jest nie-
szczęściem dla jednostki, którą dotknęły tego rodzaju decyzje bez-
dusznych władz administracyjnych lub sądowych. Porwanie więzi rodzin-
nych i międzyosobniczych budzi nienawiść do sprawców ich zniewolenia.
W ZSRR człowiek nie wybiera swego losu - to los bierze człowieka za
kark i wlecze go ku nieznanemu. Na tej zasadzie dialektycznej poje-
chaniem na "wospitanie" (wychowanie) w Kraju Rad. Wróciłem psychicznie
okaleczony, ale szczęśliwy, że już nie muszę korzystać z gościnnej
ziemi radzieckiej - łagier eto nie roman - kpił st. lejtnant Rodin.
Zastanawiam się na jakiej drodze, a raczej jakimi metodami można
dokonać reedukacji społeczeństwa radzieckiego.

Sprawa o tyle nie jest beznadziejna, że nawet w łagrach poznałem
paru ludzi, mających wszelkie walory umysłu i serca, aby znaleźć się
w liczbie ruchu reformatorskiego. Lejtnant Kutuzow wprowadził nie
awansował w hierarchii NKWD, ale prawość w postępowaniu przy żywej
inteligencji i wyobraźni chroniła go od czynów niegodnych.

85
Nie wiedzieliśmy wówczas o istnieniu Achmatowej, Okudzawy, Bułhakowa, Pasternaka, Sołżenicyna. Potem dowiedzieliśmy się też o Sacharowie. Przed laty czytałem, że Sacharow skupił wokół siebie 167 ludzi, którzy podjęli walkę z reżimem stalinowskim. Dziś trudno ich policzyć.

Michał Gorbaczow w 1987 roku musiał podjąć przebudowę państwa radzieckiego. Plan swój określił mianem "główności i perestrojki". Sumienie ludzi stawiających opór stalinizmowi - drgnęło i dla sprawy polskiej. Tak, jak przez wieki Polacy bili się o wolność naszą i waszą tak dziś wszczynamy batalię "o naszą i waszą prawdę" bez przemilczania i zakłamania. Walczymy o poległych, o groby, o symbole.

Od 1772 r (I rozbiór Polski) do roku 1944-45 (kiedy to Polacy prowadzili zażarty bój w ramach koalicji antyhitlerowskiej), zginęły miliony najwartościowszych, najbardziej oświeconych Polaków z przyczyny wschodniego sąsiada (który ostatnio ^{formalnym aliansem!} przecież był naszym).

Rzeź warszawskiej Pragi 4 listopada 1944 r kojarzy się z Katyniem, Ostaszkowem i Starobielskiem. Tam i tu dopuszczono się ludobójstwa. W pierwszym przypadku wojska feldmarszałka Suworowa dokonały mordu 10 tysięcy bezbronnej, cywilnej ludności, w drugim wymordowano w 1940r około 15 tysięcy jeńców bezbronych - oficerów, którzy walki z Rosją radziecką nie podjęli. Zginęli tylko dlatego, że byli Polakami. Na przyznanie się ZSRR do tej zbrodni trzeba było czekać 50 lat. Mechanizm utajniania, skrywania dokumentów, wprowadzania w błąd opinii świata działał wytrwale.

Trzeba wspomnieć o znanych na ogół bitwy w czasie powstań narodowych. Polacy wykrwawili się dla przywrócenia sobie niepodległości, Rosjanie walczyli, aby naród polski ujarzmić i zniewolić.

Order Suworowa jest szczególnym zaszczytem dla każdego sojuszniczego sowieckiego generała. Był wniosek o nadanie tego orderu generałowi Zygmuntowi Berlingowi - nie przyjął go. Nasuwają się pytania: Niewiedza historyczna wnioskodawcy? Sprawdzanie wierności dla ZSRR? Cynizm, czy chęć upokorzenia?

Współczesna historiografia wzbogaciła się o nowe pojęcia jasyru w postaci "zakluczenia", deportacji, ewakuacji, internowania przy użyciu nowoczesnych środków transportu i pieszych dróg mogilnych.

Zaiste, Stalinowi i jego generałom powiódł się diabelski zamysł zagłady Akowskich obrońców cudzymi rękami w Powstaniu Warszawskim, ale właśnie wówczas ukazał się blask ochotniczej Armii Krajowej - głównego filaru Państwa Podziemnego. Dzieci hitlerowców ^{"sojuszniczy"} przejął więc radziecki Już 26.III.1945 r. podstępnie zostali wciągnięci w pułapkę NKWD przedstawiciele władzy Polaki podziemnej pod pozorem układów porozumiewawczych. "Łagodnie" osądzono ich w procesie moskiewskim, nie po to, aby żyli. Prócz jednego zginęli wszyscy.

Rok 1944-45 zaznaczył się obławami na Akowców i likwidacją dowódców sztabowych. Odsłaniane są coraz to nowe tajne cmentarze, na przykład groby w Suwalskim, Grabowice w Chełmskim, Kąkolewnica w Lubelskim itd, itd. Oprawcy doszli do wniosku, że dla utrudnienia identyfikacji zwłok należy odzierać je z odzieży i zakopywać nagie.

Parę zdań o przesłankach ideologicznych systemu politycznego Związku Radzieckiego. Z faktu przewodnictwa i dominacji ZSRR nad krajami podporządkowanymi sobie wynika ^{ja,} dyrektywa internacjonalizmu. Praktycznie rzecz biorąc, sprowadziła się ona do tego, że dobry obywatel radziecki kocha Rosję i zniewala innych do tego samego.

Patriotyczna tonacja obywateli krajów socjalistycznych nazywa ^{ja,} się nacjonalistycznym odchyleniem prawicowym i wymaga ^{ja,} wzmożonej czujności, jeśli już nie stosowania nacisków i represji.

Patriotyzm Rosjanina mógł wyrastać z podglebia historycznego. Patriotyzm Polaka, Czecha, Węgra musi być wyciszany przez pomijanie akcentów nieprzyjemnej prawdy i skandalicznej niesprawiedliwości. Można stanowić prawo w oparciu o bezprawie. Zależy to od tego, kto, kiedy i kogo sądzi. W ZSRR prawda i sprawiedliwość ma charakter instrumentalny, a więc zastępowane są przez prawo ("zakon") stosowane incydentalnie (wynikające w danej chwili z przemocy lub sytuacji).
Zachodzi pytanie:

- Dlaczego "homo sovieticus" cierpliwie znosił^{to} wszystko ?

Poczucie krzywdy rodzi się z porównań sytuacyjnych. Nie zna ^{uczucia} tego człowiek odcięty od świata szczytną barierą żelaznej kurtyny. Omotany propagandą wierzył, że uczestniczy w wielkiej budowie Ojczyzny światowego proletariatu, gdy w istocie był i działał dla tyrańskiej, imperialistycznej Rosji. Dla osłony dalszego istnienia "rodiny" (ojczyzny) nawiał: - U nas najuczszaja żizń - (żyje się nam najlepiej). - U nas wsiego mnoga - (u nas wszystkiego pod dostatkiem)-. Ale takie zapewnienia były rozgłaszane tylko w pierwszych dniach i tygodniach ^{(pobytu w} ^(„przybysze z lepszego świata”) ^{wyzwalanych osiedlach,} a potem orientowali się, że są przedmiotem kpin i zaprzestawali swojej chwalby.

Praca miała się stać sprawą honoru, chwały, męstwa i bohaterstwa świadomych pracowników społeczeństwa socjalistycznego. Ze społecznego rzekomo podziału wytwarzanych dóbr, wynikły sprzeczności i krzywdy. Wszechwładna i pasożytnicza klasa aparatu ucisku przywłaszczyła sobie wyższe pensje, zwiększyła sobie przydziały, ograbiła bez kontroli ludzi zatrzymanych, skazanych, zamordowanych (tak zwany przepadek mienia), korzystała ze wszystkich przywilejów akcji socjalnej: wczasów, kurortów, sanatoriów, balonów. Trudno zrozumieć ten zataw przemocy i siły przy istnieniu szczytnych, humanistycznych hasł.

Mija 70 lat od sierpniowej bitwy warszawskiej w 1920 r. Byłem niespełna 8-letnim chłopcem zafascynowanym widokiem pojawienia się w mej rodzinnej wsi i panicznej ucieczki bolszewików. Bieda powojenna w Polsce nie była aż tak wielka, aby ludzie niepokoili się, co jutro włożą do garnka. Mimo przemarszów różnych armii hallerowskich, carskich, niemieckich, bolszewickich to znów legionów Piłsudskiego zapobiegliwość i pracowitość polskiej wsi (nawet ukradkiem w nocy) umożliwiła przeżycie ludności najtrudniejszych okresów. Krzywdy odniesione od armii rewolucyjnej w następnych latach dwudziestolecia międzywojennego przyschły. Pamięć o krzywdach wyrządzonych przez wschodniego sąsiada uległa zatarciu. Zawarte z oboma sąsiadami paktów o nieagresji stanowiły podstawę do niezakłóconego, swobodnego rozwoju młodej państwowości polskiej i stopniowego rozszerzenia współpracy i współdziałania z kontrahentami z Zachodu i Wschodu. Nie trzeba omawiać historycznego faktu sprzymierzenia się poza naszymi plecami Niemców i Rosjan z tajnymi klauzulami o czwartym rozbiórce Polski. Polacy chorują na swoją polskość i chyba dobrze odczytali sytuację swojego miejsca w walce o przywrócenie niepodległości i suwerenności. Mianowicie, od pierwszych dni okupacji hitlerowskiej przygotowywali walkę z Niemcami bez względu na ofiary. Nie będzie z nimi żadnego porozumienia, nawet wówczas, gdy obaj agresorzy znaleźliby się w stanie wojny między sobą.

Trafną orientację wykazał były rząd Polski opuszczający Kraj przed agresją sowiecką. Zachować się defensywnie wobec Sowietów za wyjątkiem konieczności samoobrony.

Niestety, Rosjanie pragnęli ukarać Polaków za rok 1920. Oczywiście byłoby wielkim uproszczeniem sprowadzić najazd na Polskę chęcią rewanżu. To, co robili stalinowcy z Polakami wykracza poza wszelkie granice politycznego myślenia. Karać Polaków za to, że nie stali się Rosjanami ? komunistami ?

Wszystkie organizacje zbrojne powstające w okresie okupacji miały zakodowany kierunek działalności: Bić się z Niemcami wszelkimi dostępnymi środkami, szkodzić hitlerowskiemu frontowi wschodniemu, niszczyć linie przesyłowe: kolejowe, samochodowe i telegraficzne. ^{Wojny niemiecko-sowieckiej} ^{Zas po wybuchu}

zadaniem stało się pomagać Rosjanom w organizowaniu partyzantki, ochraniać zbiegów z niewoli i ułatwiać ich przeżycie w obcym otoczeniu.

Wszystko to nie znalazło uznania ^{w oczach} Stalina. Zamiast życzliwości dla ofiarności, waleczności w zmaganiach ze wspólnym wrogiem - - totalne niszczenie patriotycznego żywiołu polskiego, głównie Armii Krajowej będącej mandatariuszką olbrzymiej większości naszego społeczeństwa. Odbywało się to ze sponiewieraniem ludzkiej godności i niesłychanym okrucieństwem, barbarzyńską brutalnością, ze stanowieniem prawa opartego na bezprawiu. 70-letnie bezpośrednie sąsiedztwo nasze z ZSRR było dramatyczne, jeśli już nie tragiczne. Wciąż nasuwa się na myśl problem winy i kary.

Dobre nastawienia Polaków do Rosjan zostały zasnuwane mgłą żalu za poniewierki, za krew darmo przelaną, za morze cierpień i łez, za rozproszenie Polaków po całym świecie. Jak zachowuje się Polak wobec Rosjanina? Konieczne było konstytucyjne zadeklarowanie ochrony dobrego imienia i przyjaźni Polaków do ludów Związku Radzieckiego. Jak przedstawia się więc suma polskiego losu? Na pewno negatywnie, ale trzeba myśleć kategoriami politologicznymi. Trzeba pamiętać, że ocalenie nas od totalnej ekstreminacji grożącej po zwycięskiej wojnie faszyzmu hitlerowskiego nad komunizmem ZSRR - ^{mię wszystko} ^{zawdzięczamy} sąsiadowi ze Wschodu. Mamy niezłomną wolę żyć i pracować w Polsce i dla Polski.

Przebudowa stosunków politycznych, gospodarczych i społecznych w Związku Radzieckim będzie bardzo trudna i długotrwała, ale znając cierpliwość, karność i prężność Rosjan, po przykrych doświadczeniach stalinizmu można przewidywać, że ich bieda zostanie ^{kiedyś} opanowana i pokonana.

Zamiast nienawiści do sąsiedniej Polski i do Polaków zamieszkujących jeszcze na terenach niegdyś polskich nastąpi ożywie^{nie} kontaktów osobistych i współpraca gospodarcza między naszymi nacja^{mi}.

Oby następny wiek był owocniejszy dla obu stron. Teorię dwóch wrogów chcielibyśmy zastąpić faktami dwóch przyjaciół, a więc ?

Życie

i dajcie życie innym !

© ARCHIWUM WSCHODNIE